

Amazonka
Patricia Cabot



Lyming, Szkocja
luty 1847

Przewoźnik nie żył.

Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Nie miał tętna. Jego skóra była lodowato zimna. Źrenice rozszerzone, oczy szkliste i nieruchome. Reilly Stanton nie musiał być licencjonowanym lekarzem, by stwierdzić, że ów człowiek znalazł się poza światem żywych.

Lecz to nie Reilly'ego należało przekonywać. Obok niego stał pomarszczony rybak, który zdawał się mieć co do tego jakieś wątpliwości.

- Co mu jest? - zapytał, a jego oddech zmienił się w obłoczek pary w mroźnym zimowym powietrzu.

- Właśnie. - Wątpliwości rybaka potwierdziło kilku jego kolegów, którzy zebrali się, by obejrzyć zwłoki, wraz z Reillym, któremu strzeliło do głowy, by wskoczyć do lodowatej wody i wyłowić z niej tonącego.

- Obawiam się - powiedział Reilly, unosząc moką głowę sponad piersi zmarłego - że odszedł.

- Odszedł? - Najstarszy z rybaków zamrugał oczami. - Co to znaczy „odszedł”?

- Inaczej mówiąc, przeniósł się na tamten świat. - Na widok pozbawionych wyrazu twarzy Reilly spróbował jeszcze raz: - Dokonał żywota.

Takie sformułowanie zazwyczaj wyjaśniało sprawę rodzinom zmarłych pacjentów Reilly'ego w Mayfair *. Ale widząc, że wobec tych tu jegomości cała jego delikatność poszła na marne, Reilly dodał, z trudem, bo zęby szczękały mu z zimna. - Obawiam się, że wasz przyjaciel nie żyje.

- Nie żyje? - Stary rybak wymienił niedowierzające spojrzenie ze swymi towarzyszami. - Stuben nie żyje?

Reilly podniósł się na kolana, co stanowiło nie lada wyczyn, zważywszy na to, że jego bryczesy były sztywne od zamarznętej morskiej wody, i tęsknym wzrokiem spojrzał w kierunku piwiarni. A przynajmniej w kierunku tego, co sprawiało wrażenie piwiarni. Był to dom położony najbliżej przystani, w której się znajdowali, i Raily dostrzegł poprzez mgłę, że nad drzwiami kołysze się szyld, a w oknach płonie ciepłe, zachęcające światło. Piwiarnia czy burdel, dla Reilly'ego było wszystko jedno, byle tylko znaleźć się tam i wyschnąć oraz rozgrzać się przy ogniu, najlepiej ze szklaneczką whisky w dłoni.

Ale najpierw, oczywiście, musiał obejrzeć martwego.

- To niemożliwe - upierał się bezzębny rybak. - Stuben nie mógł umrzeć. Nigdy przedtem nie umarł.

- Cóż, na tym właśnie polega istota śmierci - powiedział Reilly z pełnym współczucia uśmiechem. - Przydarza się nam tylko raz w życiu.

- Ale nie Stubenowi. - Zebrani wokół zwłok rybacy z przejęciem pokręcili kudłatymi siwymi głowami. - Stuben zniknął pod wodą wiele razy, ale nigdy dotąd nie umarł.

- Cóż... - Reilly na próżno starał się wyobrazić sobie któregoś ze swoich lepiej wykształconych kolegów po fachu, na przykład

* Mayfair - elegancka dzielnica Londynu (przyp. tłum.).

Pearsona, z jego nieodłącznym cygarem, lub Shelleya, z dziwną laseczką o srebrnym uchwycie, której wcale nie potrzebował, stojącego na pomoście w przystani i dyskutującego z pstrokato ubranymi rybakami na temat tego, jak należy pojmować śmierć.

Zarówno Pearson, jak i Shelley mieliby dość rozsądku, by nie zatrudniać się w takim miejscu. Dość rozsądku i mniej porywczosci, cechującej złotowłosego Reilly'ego.

- No, cóż, panowie. Obawiam się, że tym razem nie udało mu się. Bardzo wam współczuję z powodu straty. Ale najwyraźniej był upojony...

Delikatnie powiedziane. Przewoźnik był tak zalany, że Reilly omal nie spytał, czy nie ma tu jakiejś innej łodzi, którą mógłby się przeprawić na wyspę. Lecz powstrzymał się w ostatniej chwili. Co mogło go spotkać ze strony pijanego przewoźnika? Że łódź ugrzęźnie na mieliźnie lub, co gorsza, zatonie?

Najwyżej utonąłby w lodowatych i wzburzonych wodach u górzystych wybrzeży północnej Szkocji. Wielkie rzeczy! I tak nie miał po co żyć! Pozostała w Londynie Christine dowie się o tym, że utonął, i będzie musiała żyć ze świadomością, że Reilly Stanton zginął, usiłując zasłużyć na jej miłość...

Lecz w chwili, gdy ten głupiec stracił równowagę i wpadł do morza, akurat wtedy, gdy już dobijali do przystani, Reilly nie przejął się własnym bezpieczeństwem ani tym, co sobie pomyśli panna Christine King. Bez wahania rzucił się w lodowate odmęty i wyciągnął z nich okropnie ciężkiego starca na ląd.

Dopiero teraz, kiedy dygotał, ociekając wodą, przyszło mu do głowy, że oto stracił następną doskonałą okazję, by obudzić w Christine poczucie winy. Romantyczna śmierć przeszła mu obok nosa! Nieomal słyszał, jak rozmawiają o nim damy w Mayfair:

„Słyszałaś, moja droga? Młody doktor Stanton, no wiesz, ósmy markiz Stillworth, zginął we wzburzonych wodach, otaczających Hebrydy, usiłując ratować życie człowieka. Nie potrafię sobie wyobrazić, co myślała ta pozbawiona serca Christine King, żeby

odtrącić takiego mężczyznę. Chyba straciła rozum. Taki pełen poświęcenia, szlachetny dżentelmen... i przystojny, z tego co słyszałam. Teraz nieszczęsna dziewczyna musi się zamartwiać".

Tak, z całą pewnością pokpił sprawę. A ponieważ, pomimo jego usilnych starań, ten stary głupiec wziął i skonał, Reilly nie może nawet napisać do domu, wspominając od niechcienia, że już w pierwszym dniu pracy udało mu się uratować życie człowieka. Niech to wszyscy diabli!

Kiedy skończy się jego niefart?

- Przykro mi z powodu pana Stubena - powiedział, zwracając się do przyjaciół przewoźnika - ale jeśli to może stanowić jakąś pociechę, umierając, nic nie czuł. Był całkowicie odurzony. A teraz, jeśli panowie nie mają nic przeciwko temu, chciałbym się schować przed tym wiatrem, jestem całkowicie przemoczony i zmarznięty...

- Słusznie. - Kilku starców pokiwało siwymi głowami. - Zabierzmy go z tego wiatru. I niech ktoś skoczy po pannę Brennę.

- Zrobione - zapewnił ich jakiś bezzębny dżentelmen. - Jak tylko zobaczyłem, że Stuben poszedł pod wodę, wysłałem po nią chłopaka.

- To świetnie, chłopie. - Stary rybak westchnął. - Ja chwyć za głowę, a wy za nogi. Gotowi? Hej, rup!

Reilly stał targany wiatrem, spryskiwany słoną wodą, podczas gdy sękaty dłoń chwyciły i uniosły ciało przewoźnika. Następnie uroczysta procesja ruszyła z zatrważającym brakiem pośpiechu w stronę najbliższego domu, który pełen nadziei Reilly uznał za piwiarnię.

Pozostawiony na przystani Reilly rozejrzał się dookoła. Miotany wiatrem i podrzucany na falach prom uderzał o nabrzeże przystani. Torby i kufer Reilly'ego wciąż znajdowały się na pokładzie, ale ponieważ był on jedynym pasażerem promu, oprócz nich były tam jedynie puste butelki przewoźnika, które z brzękiem turlały się po deskach. Poza przyjaciółmi zmarłego przewoźnika oraz

wielką liczną krzykliwych mew wokół nie było żywej duszy. Wobec istniejącego stanu komunikacji z łądem Reilly nie spodziewał się, że zostanie uroczyście powitany, lecz myślał, że ktoś przynajmniej pomoże mu nieść bagaże...

Cóż, trudno. W końcu zdarzył się śmiertelny wypadek. Uznał, że torbom nic się nie stanie. Owinął się przemoczoną peleryną, chociaż nabita lodem tkanina stanowiła kiepską ochronę przed chłodem, i podążył za zmarłym i niosącymi go towarzyszami. Zmierzali ku jednemu, widocznemu we mgle, budynkowi, którego oświetlone okna obiecywały, że jest tam ogień, a może i coś więcej.

Reilly zrównał krok z rybakami i gdy jeden z nich poskarżył się, że jest zmęczony, zastąpił go i podtrzymał głowę zmarłego.

Następnie jeszcze jeden starzec odstąpił od ciała, chwytając się za serce, i Reilly sam unosił nie tylko głowę, ale i górną część tułowia przewoźnika.

Wreszcie trzeci rybak zgiął się wpół i zaniósł niepokojącym kaszlem, który wstrząsał całym jego ciałem. Wkrótce Reilly zarzucił sobie zwłoki przewoźnika na plecy i dźwigał je zupełnie sam, podczas gdy pełni aprobaty przyjaciele Stubena pokrzykiwali zachęcająco. Dzięki Bogu, pomyślał Reilly, że Christine się o tym nie dowie. O ile śmierć byłego narzeczonego mogłaby się jej wydać romantyczna, to obecna sytuacja nie miała w sobie nic z heroizmu.

Zataczając się, dobrnął do piwiarni, teraz widział, że to z całą pewnością piwiarnia, choć jej nazwa wypisana na zniszczonym szyldzie - Pod Udręczonym Zającem - nie była specjalnie zachęcająca. Lecz gdy z otwartych drzwi buchnęło na niego rozgrzane, przesiąknięte wonią piwa powietrze, Reilly z ulgą stwierdził, że Udręczony Zając, jakkolwiek był, jest przynajmniej ciepłym, suchym oraz wciąż czynnym lokalem.

I pełnym ludzi. Gdy jeden z nowych towarzyszy Reilly'ego oznajmił: „Stuben znowu się zalał, a ten tutaj go wyłowił”, rozległ

się zbiorowy pomruk podnieconych głosów, a następnie zebrani w knajpie mężczyźni znieśli metalowe kufle, by zrobić miejsce kobietom, niosącym ogromną deskę, którą następnie umieściły na kilku ławach, ustawionych pospiesznie w pobliżu paleniska.

- Połóż go tutaj - rozkazała wielka kobieta w średnim wieku, przybrana w biały czepek i przepasana czystym, białym fartuchem. - Tutaj, na stole.

Reilly posłuchał jej, chociaż słowo „stół” nie bardzo pasowało do prowizorycznej konstrukcji, na której złożył zimne, pozbawione życia ciało. Gdy tylko człowiek zwany Stubenem spoczął na twardych deskach, kobieta w pośpiechu wyswobodziła go z przemoczonego ubrania, warkliwie wydając polecenia wszystkim zebrany w pobliżu kobietom.

- Flora, przynieś butelkę whisky! Maeve, koce z szafki na piętrze! Nancy, w kuchni na ogniu grzeje się garnek z wodą, przynieś go tutaj i znajdź jakieś gałgany. Czy ktoś poszedł po pannę Brennę?

- Wysłałem po nią chłopaka - zapewnił ją jeden z rybaków.

- Dobrze - powiedziała kobieta.

Znowu ta panna Brenna? Kimże, u diabła, jest panna Brenna? - zastanawiał się Reilly. Według niego nosiła szczególnie paskudne imię. Jego opinię podzielali obydwaj przyjaciele Reilly'ego, Pearson i Shelley, którzy jednomyślnie uznali imię Brenna za najwstrętniejsze imię kobiece, no, może z wyjątkiem imienia Megan. Należało się spodziewać, że kobieta ochrzczona imieniem Brenna będzie oszpecona wieloma podbródkami, przesadnie wielkimi siekaczami oraz powierzchownością upodobią ją do szkapy. I, jak dotąd, ta ich nie bardzo naukowa teoria nie została jeszcze zakwestionowana.

Po chwili przewoźnik leżał zupełnie goły. Na oczach wszystkich, którzy akurat znaleźli się Pod Udręczonym Zającem. Łącznie z personelem piwiarni, składającym się wyłącznie z kobiet, niektórych zadziwiająco młodych. Jeszcze bardziej zadziwiające było

to, że owe młode damy ani trochę nie przejmowały się widokiem pozbawionego ubrań ciała. Nawet wtedy, gdy upokorzono je, zawijając w rozgrzane szmaty, i polewano parującą wodą z garnka trzymanego przez służącą o imieniu Nancy, żadna z twardych góralskich dziewczyn nie zaszczyliła trupa swoim spojrzeniem.

- Hm - z trudem wyjąkał Reilly, gdy szczękanie jego zębów ustało na tyle, by mu na to pozwolić. Do tego czasu nieboszczyk został od stóp do głów okryty gorącymi szmatami.

Kobieta, najwyraźniej właścicielka gospody, rzuciła na niego okiem.

- Maeve, nie stercz jak niedołęga. Rozbierz dżentelmena z mokrego ubrania i nakryj go kocem.

Reilly spojrzał z przestachem na zbliżającą się do niego, bardzo stanowczą młodą damę. Cofnął się w pośpiechu i unosząc obie ręce, wykrzyknął:

- Nie, nie! Nie trzeba... to znaczy, nic mi nie jest. Naprawdę. Pomyślałem sobie tylko, że ktoś powinien poinformować panią, że ten człowiek jest...

Lecz Reilly, bywający w Szkocji wyłącznie na polowaniach, w czasie których miewał niewiele, lub nie miewał wcale, kontaktów z tubylcami, nie umiał się bronić przed pełnym prostoty zdecydowaniem typowej celtyckiej służącej. Panna Maeve w ułamku sekundy chwyciła jego pelerynę, a następnie płaszcz i zaczęła je z niego zrywać w sposób każący podejrzewać, że nawykła do rozbierania opornych klientów... które to podejrzenie szybko zmieniło się w pewność.

Pozostawszy w koszuli i kamizelce, przekonał się, że w żaden sposób nie odwiedzie Maeve od osiągnięcia celu, którym było doprowadzenie go do stanu całkowitej nagości, takiej samej jak nagość spoczywających obok zwłok... zwłaszcza gdy znalazł się w przeciwnym końcu pomieszczenia, dosłownie przyparty do muru, teraz już także bez kamizelki i bez koszuli, a bardzo zdecydowane paluszki zajmowały się rozpinaniem jego bryczesów...

- To - powiedział Reilly, chwytając za nadgarstki ponad owymi paluszkami - w zupełności wystarczy, dziękuję.

Maeve łypnęła w górę, mrugając powiekami. Wyraz jej twarzy był zupełnie inny, niż się spodziewał. Bynajmniej nie speszona dziewczyna spoglądała na niego figlarnie.

- Powiedziała, że mam pana rozebrać z mokrych rzeczy - przypomniała mu.

- Owszem - przyznał Reilly. - Jednak, jeśli ci to nie sprawi różnicy, wolałbym zachować spodnie.

- Nie sądzę, by to było rozsądne - powiedziała Maeve. - Jeśli będzie się pan upierał, nabawi się pan ropnego zapalenia migdałków.

- Albo reumatyzmu - dodał inny głos kobiecy.

I wtedy Reilly dostrzegł młodziankę Nancy, służącą, która została wysłana po gorącą wodę dla przewoźnika. Stała obok i przyglądała im się z wielką uwagą.

- Właśnie - przytaknęła Maeve stanowczym tonem. - Albo reumatyzmu. Chyba nie chce pan zapaść na reumatyzm... - Maeve omiotła wzrokiem nagą pierś Reilly'ego. - Taki dorodny młody mężczyzna jak pan.

Reilly, teraz całkowicie pewny, że trafił do siedliska szaleńców, ścisnął nadgarstki Maeve tak mocno, że się podniosła. Następnie oderwał jej palce od swego paska, zachowując w ten sposób resztki godności.

- Zaryzykuję - powiedział i stanowczym gestem odsunął od siebie Maeve.

Przyodziały jedynie w ociekające wodą bryczesy i równie przemoczone buty, Reilly stwierdził, że jego strach przed obnażeniem się na oczach całej wioski był całkowicie bezpodstawny: nikt, z wyjątkiem Maeve i Nancy, nie zwracał na niego najmniejszej nawet uwagi. Wszystko wskazywało na to, że goście Udręczonego Zająca znacznie bardziej interesują się zawartością swoich kuflów niż nawet goląsem rozciągniętym na stole w centrum pomieszczenia.

Wszyscy, wyjąwszy właścicielkę tawerny, która wykrzykiwała do przewoźnika:

- Stuben, obudź się! Obudź się, Stuben!

Wzruszony jej odmową pogodzenia się z tym, co oczywiste, Reilly powiedział łagodnie:

- Madame, z największym smutkiem muszę panią poinformować, że pan Stuben nie żyje.

Kobieta zastygła, dzierżąc w dłoniach parujące, rozgrzane szmaty, które miała właśnie narzucić na intymne części ciała przewoźnika. Spojrzała na Reilly'ego ze zdumieniem.

- Nie żyje? - powtórzyła.

Te słowa natychmiast przykuły uwagę gości. Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Reilly'ego.

- Ee... tak. - Teraz, gdy w końcu udało mu się obudzić zainteresowanie prawie wszystkich obecnych, boleśnie odczuł swoją niemal całkowitą nagość. Wspomniany uprzednio koc jeszcze do niego nie dotarł.

Jednakże miał do wypełnienia obowiązek, więc go wypełnił.

- Tak, proszę pani - ciągnął. - Umarł. Nie ma tętna i nie oddycha, odkąd wyciągnąłem go z wody. Mówię to z przykrością, ale obawiam się, że pani wysiłki, aczkolwiek bardzo chwalebne, są w tej sytuacji raczej bezużyteczne.

Reilly spostrzegł, że teraz, gdy usłyszeli, że człowiek rozciągnięty na deskach jest martwy, goście Udręzonego Zająca nagle okazali mu znacznie więcej zainteresowania, niż wtedy gdy sądzili, że żyje. Niektórzy wyciągali szyje, by mu się lepiej przyjrzeć. Martwy przewoźnik, uznał Reilly, był znacznie bardziej godny uwagi niż żywy.

- Nie żyje? - Kobieta spojrzała na twarz nieboszczyka. - Stuben? Przecież nigdy przedtem nie umarł.

- Tak - powiedział Reilly, unosząc brew. Zastanawiał się, czy wszyscy w tej wiosce są durnowaci, a jeśli tak, to co on, jako jedyny lekarz, ma z tym zrobić. - Cóż, obawiam się, że tym razem

jego kąpiel okazała się fatalna w skutkach. Bardzo mi przykro, że przynoszę złe nowiny. Zrobiłem dla niego wszystko, co w ludzkiej mocy, ale obawiam się, że woda była zbyt zimna, a on, jak sami widzicie, jest w raczej zaawansowanym wieku.

Reilly uznał, że rozsądniej będzie nie wspominać o stanie upojenia zmarłego w chwili śmierci. W końcu obecne były damy.

- Tym razem po prostu nie był wystarczająco silny, by to przetrzymać - powiedział. - A teraz, jeżeli nie sprawi to wam zbytniego kłopotu, może wysłałibyście kogoś na prom po moje rzeczy. Chciałbym się przebrać...

Przerwało mu gwałtowne stuknięcie otwieranych drzwi. Stała w nich wysoka postać, spowita w ciężką ciemną pelerynę, której poły powiewały na porywistym wietrze.

- Och, panna Brenna! - wykrzyknęła z ulgą właścicielka Udreżonego Zająca. - Dzięki Bogu, że się pani zjawiła.

Reilly z zainteresowaniem przyglądał się postaci w drzwiach. A więc to jest panna Brenna, o której wszyscy mówili! Cóż, w żadnym razie nie sprawiła mu zawodu. Z całą pewnością była wystarczająco wysoka, by nosić imię Brenna. Zaledwie kilka centymetrów niższa od niego, a on, na Boga, mierzył ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Peleryna maskowała jej figurę, a kaptur ukrywał twarz, więc Reilly nie mógł się przekonać, czy reszta pasowała do imienia. Lecz z całą pewnością Brenna wyglądała jak amazonka. Pearson i Shelley z przyjemnością o tym usłyszą.

- Stuben znowu się upił - poinformował ją jeden z rybaków. - A ten tu twierdzi, że nie żyje.

- Kto?

Głos był dokładnie taki, jakiego Reilly oczekiwał u Brenny. Głęboki i pozbawiony wszelkiej kobiecości. Reilly gratulował sobie, że jest takim doskonałym znawcą kobiet, gdy spomiędzy fałd peleryny wychynęła dłoń w rękawicze i odgarnęła do tyłu kaptur... omal nie przyprawiając go o apopleksję. Ponieważ nie było tam żadnego podwójnego podbródka ani nic, co w naj-

mniejszym stopniu przypominałoby konia, z wyjątkiem może dzięki grzywy loków o miedzianej barwie, które spływały na ramiona, nie przytrzymywane przez jakąkolwiek siatkę czy grzebień. Ta Brenna stanowiła kwintesencję nadobności i piękna.

Co Reilly był gotów zaświadczyć, mimo że pod peleryną dziewczyna nosiła... tak, drugi rzut oka w pełni to potwierdził... parę męskich spodni.

Tak, męskich spodni, które, ściśle przylegając do jej szczupłych ud, pobudziły wyobraźnię Reilly'ego, i były ściągnięte w talii szerokim skórzanym pasem, pod który wepchnięty został obszerny zielony sweter. Na nogach dziewczyna miała solidne skórzane buty.

Sweter i wysokie buty ukrywały niektóre z kobiecych atrybutów, lecz spodnie były doskonałe. Reilly nigdy dotąd nie widział kobiety w spodniach. Christine, był o tym święcie przekonany, prędzej paradowałaby w worku na ziemniaki niż w czymś, co, choć w przybliżeniu, przypominałoby spodnie.

Jednakże była to nowinka w dziedzinie mody, którą Reilly, choć nie dotarła jeszcze do Paryża czy Londynu, poparłby z całego serca. Na ich widok doznał tak silnego wstrząsu, że dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że dziewczyna znów przemówiła.

- Kto powiedział, że Stuben nie żyje? - spytała tym swoim męskim głosem, który teraz okazał się w wielkiej sprzeczności z jej nadzwyczajnie kobiecą powierzchownością.

Kilkanaście palców wskazało w kierunku Reilly'ego, który zaraz potem poczuł na sobie przeszywające spojrzenie pary oczu, będących nie tylko najbardziej niebieskimi, lecz z całą pewnością najbardziej bystrymi z wszystkich, jakie dotychczas widywał. Nie miał kapelusza, który mógłby uchylić, by powitać pannę Brennę. Maeve przywłaszczyła go sobie wraz z płaszczem i peleryną, więc tylko skłonił się lekko, boleśnie świadom swej omal całkowitej nagości.

- Ja - powiedział, zaniepokojony jej przenikliwym spojrzeniem. - Ja to powiedziałem. Osobiście go wyłowiłem i wyciągnąłem z wody. Nie miał tętna. Był lodowato zimny...

- Kim - zapytała, mrugnawszy powiekami - kim pan jest?

Reilly spostrzegł, że panna Brenna, w przeciwieństwie do wszystkich osób napotkanych po przekroczeniu granicy, nie wymawia po szkocku głoski „r”, lecz mówi, jak przykazali pan Bóg i królowa, poprawną angielszczyzną bez żadnych naleciałości.

- Stanton - powiedział. - Reilly Stanton. To ja przyjąłem stanowisko...

Już na niego nie patrzyła. Zmierzała w kierunku zwłok przewoźnika.

- ...lekarza, którego poszukiwaliście poprzez ogłoszenie. - Reilly patrzył, jak przekręca ciało na bok, a potem pochyła się nad nim. - Mam być tutejszym lekarzem. Rozpocząć praktykę. - Stwierdziwszy, że ludzie spoglądają na niego z całkowitym brakiem zrozumienia, dodał szybko: - Jestem dyplomowanym lekarzem, oczywiście, mam świadectwo Królewskiej Akademii Medycznej. Jestem członkiem bractwa akademii, a także uniwersytetu w Oxfordzie, i studiowałem w Paryżu... Jak już mówiłem, może pani nie słyszała, ten dżentelmen jest naprawdę zupełnie...

Ku jego zdumieniu, dziewczyna rąbnęła pięścią - wystarczająco silnie, by wywołać głucho dudnienie, co z pewnością by podziałało, gdyby nie to, że jegomość już nie żył - w sam środek pleców nieboszczyka, dokładnie pomiędzy jego łopatkami.

- ...martwy - mówił Reilly. - Bardzo mi przykro. Zrobiłem wszystko, co mogłem.

W tej właśnie chwili przewoźnik rozdziawił usta i bluznął na podłogę fontanną rumu oraz słonej wody, opryskując buty wszystkich zebranych dookoła, nie wyłączając Reilly'ego.

Mrugając półprzytomnie, były martwy przewoźnik zdobył się na pełen zażenowania uśmiech.

- Przepraszam za wszystko - powiedział.



J jakie ogłoszenie? - spytała.

Reilly uniósł wzrok ze zmartwychwstałego człowieka i spojrzął na stojącą przed nim dziewczynę. Była tak wysoka, że by spojrzeć mu prosto w oczy, z lekka tylko uniosła podbródek. Christine sięgała mu zaledwie do piersi.

- Jakie ogłoszenie, panie Stanton? - powtórzyła.

- Ale on nie żył - usłyszał własne słowa. - Ten człowiek był martwy. Jego serce nie biło. Przykładałem ucho do jego piersi. Nic nie słyszałem.

Zerknęła od niechcienia na przewoźnika, przyjmującego gratulacje od przyjaciół i od sąsiadów, bardzo zadowolonego, że stał się ośrodkiem zainteresowania, a jeszcze bardziej z tego, że ktoś wetknął mu w ręce parujący kubek.

- Och - powiedziała. - Chłód zazwyczaj wstrzymuje na chwilę pracę serca. Zwykle wystarcza jedno lub dwa mocne uderzenia, aby je pobudzić na nowo.

Reilly pokręcił głową.

- Nic dziwnego, że wszyscy mówili, że nigdy dotąd nie umarł. Ile razy sprowadziła pani staruszka z Hadesu na ziemię?

- Raz czy dwa - odparła.

- Jestem pewien, że nie mniej niż dobrych kilka razy - powiedział Reilly z szerokim uśmiechem. - Muszę pani wyznać, że, będąc w Paryżu, nigdy nie spotkałem się z literaturą, wspominającą o tej szczególnej metodzie ożywania pacjentów...

- Och - przerwała mu, roześmiawszy się krótko. - Paryż.

Wzruszyła ramionami. Najwyraźniej nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Bo musi pani wiedzieć - powiedział Reilly, którego duma ucierpiała - że studiowałem medycynę w Paryżu pod kierunkiem tamtejszych najtęższych umysłów.

- Ale owe najtęższe umysły nie nauczyły pana, jak przywrócić do życia Stubena, prawda?

- Nie mam w zwyczaju grzmocić moich pacjentów po plecach - odparł Reilly z godnością.

- Może powinien był pan nabrać tego zwyczaju - podsunęła mu dziewczyna tonem pełnym słodyczy. - Nie straciłby pan ich tak wielu.

Rzucił jej gniewne spojrzenie. Pomyślał, że będzie musiał zmienić zdanie, jakie miał na jej temat. Umiała zawrócić w głowie, owszem, ale jednocześnie była nieco...

- Ale pan najwyraźniej ma zwyczaj tracenia rzeczy. - Niebieskie oczy młodej kobiety powędrowały z twarzy Reilly'ego poprzez jego nagie barki, w dół na porośniętą włosami klatkę piersiową, by spocząć na pasie, przytrzymującym bryczesy.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Reilly poczuł, że się czerwieni. Odczuł również natychmiastową potrzebę ukrycia się przed tym uważnym wzrokiem.

Nie chcąc pokazać jej, że go wprawiła w zakłopotanie, splótł ramiona na piersi i rzekł:

- Strata koszuli jest niewielką ceną za to, że się wyratowało życie człowieka. - Nawet, dodał w myśli, gdy jest to życie głupawego pijanicy.

Nie wypowiedział tych słów na głos, ale, sądząc po jej uniesionej

brwi, panna Brenna najwyraźniej pomyślała to samo. Możliwe jednak, że zastanawiała się nad tym, że to właśnie ona, a nie Reilly, ostatecznie uratowała żałosne życie Stubena.

Lecz jeśli nawet jej myśli podążały tym torem, powstrzymała się przed ich wypowiedzeniem. Spytała jeszcze raz:

- Niech mi pan powie, panie Stanton, jakież to ogłoszenie przyniosło tutaj pana?

- Doktor - poprawił ją Stanton. - Doktor Stanton. Miałem na myśli ogłoszenie zamieszczone w „Timesie”, oczywiście.

Dziewczyna, wciąż unosząc brew, spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- W „Timesie” - powtórzyła bezbarwnym głosem. Najwyraźniej mu nie wierzyła.

Co ubodło go równie dotkliwie jak obraźliwy sposób, w jaki omiotła wzrokiem jego nagą pierś. Rozejrzał się wokół, wypatrując swego przyodziewku, i dostrzegł Maeve, która najwyraźniej zapomniawszy o przyobiecanych mu whisky oraz kocu, rozwieszała ubrania przed paleniskiem.

- Otrzymałem odpowiedź na moją ofertę - powiedział Reilly, przemierzając salkę, by sięgnąć do kieszeni kamizelki.

Wierzchnia warstwa kamizelki była równie nasiąknięta wodą jak jej wnętrze, całość zamarzła na mrozie w przystani, a teraz stopniowo topniała w ciepłe pomieszczenia. Reilly potrzebował dłuższej chwili, zanim udało mu się wydobyć mokrą kartkę papieru. Dopiero gdy wystawił ją na światło, stwierdził, że nie była to ta, której poszukiwał. Natrafił bowiem na list od Christine. Nosił go na sercu, odkąd go otrzymał. Teraz był to zaledwie mokry strzępek różowego papieru listowego, zbyt często składanego i rozkładanego, na skutek czego widniały na nim tylko fragmenty pisma, bez wątpienia kobiecego, jak zresztą wszystko, co miało związek z Christine.

Młoda kobieta, zwana panną Brenna, uniosła ciemne brwi.

- To nie wygląda jak ogłoszenie z „Timesa” - powiedziała.

Reilly skrzywił się i wepchnąwszy różową papkę do kieszeni, wyłowił z niej inną kartkę papieru.

- Mam - powiedział. - Odpowiedź na mój list, który wysłałem w sprawie tego ogłoszenia. Od Iaina MacLeoda, hrabiego Glendenning...

Wtedy z ust dziewczyny padło plugawe słowo. Dotychczas Reilly słyszał je tylko raz. W dokach wschodniego Londynu, jednej z owych nocy, po zerwaniu zaręczyn przez Christine, gdy Pearson i Shelley uparli się, by wyszukać dla niego ładacnicę, która złagodziłaby ból złamanego serca. Głos panny Brenny, bardzo donośny i charakterystyczny, dobiegł uszu właścicielki gospody, która natychmiast odstąpiła od przewoźnika.

- Co się stało, panno Brenno? Czy ten tutaj potraktował panią grubiańsko? - Spojrzała na Reilly'ego z dezaprobatą. - Niech pan sobie zbyt wiele nie pozwala, sir. To przyzwoity lokal i nie życzę sobie, by ktoś obrażał moich gości. Jestem panu wdzięczna, że przytaszczył pan tutaj Stubena, ale nie pozwolę znieważać panny Brenny...

- Ależ proszę pani - powiedział Reilly, zbity z tropu. - Nie tknąłem palcem waszej panny Brenny i nie podoba mi się, gdy ktoś podejrzewa mnie o nieodpowiednie zachowanie...

Przerwał nagle, bo osoba, którą rzekomo tak dotkliwie zranił, wyjęła z rąk szynkarki butelkę. Reilly, który właśnie przychodził do siebie po szoku, jakiego doznał, usłyszawszy tak plugawe słowo, wypowiedziane przez piękne usteczka, teraz był jeszcze bardziej wstrząśnięty, widząc, że te same usteczka przysysają się do butelki i młoda kobieta bezwstydnie pociąga z niej zdrowy haust whisky.

Reilly nigdy w życiu nie widział kobiety pijącej whisky prosto z butelki ani nawet ze szklaneczki. Christine od czasu do czasu popijała wino, lecz wyłącznie z kryształowych kieliszków, i z całą pewnością nie brała do ust nic mocniejszego.

Jednakże wstrząsy, których doznał, nie były wcale przykre. Był

oto świadkiem zachowania, jakiego należało się spodziewać ze strony kogoś, kto miał nieszczęście nosić imię Brenna.

Dziewczyna odjęła flaszkę od ust i oddała ją właścicielce.

- Przepraszam, pani Murphy - powiedziała, bynajmniej nie speszona. - Nie chodzi o tego tutaj. Lecz znowu o niego.

Pani Murphy sprawiała wrażenie zaskoczonej, lecz, w przeciwieństwie do Reilly'ego, nie pijaństwem dziewczyny, a jej słowami.

- Masz ci los - mruknęła.

- Lepiej już pójdę... - Ku wielkiemu rozczarowaniu Reilly'ego amazonka panna Brenna zebrała poły peleryny, skrywając przed jego wzrokiem swoje kształtne uda. - ...i sprawdzę, czy nie uda mi się tego naprawić.

- Ojej - westchnęła pani Murphy. - Myślę, że nie powinna pani iść sama, panno Brenno...

- Nic mi nie będzie. - Wepchnęła pod kaptur niesforne rude włosy i dodała: - Zatrzymajcie Stubena w ciepłe i niech mu pani da herbaty. Nie whisky, lecz herbaty. Zrozumiano, pani Murphy?

- Zrozumiano - wymamrotała starsza kobieta. - Tylko niech pani uważa, panno Brenno. Jest gęsta mgła i droga może być oblodzona...

Dziewczyna tylko machnęła ręką.

- Ale doktor Stanton może się napić whisky - rzekła na pożegnanie i, wskazawszy kształtną głowę Reilly'ego, ruszyła ku drzwiom. - I dajcie mu suchą koszulę, jeśli znajdzie się tu wystarczająco duża.

Reilly pojął, że go całkowicie zlekceważyła.

- Jeszcze nie skończyłem... - zawołał, lecz drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem - ...rozmowy z panią!

- Niech pan sobie da spokój z panną Brenna - powiedziała pani Murphy macierzyńskim tonem. Podeszła do niego i w końcu zarzuciła mu na ramiona długo wyczekiwany koc. - Musi się pan wysuszyć i rozgrzać. Pewnie pan przemarzł do kości. Panna Brenna ma rację, w całej wiosce nie znajdzie się koszula dość

duża na pana... no, może tylko u lorda Glerldenninga, ale jego lordowska mość nie zwykł pożyczać swoich koszul. Niech pan wypije szklaneczkę i pogrzeje się tutaj, dopóki nie wyschną pańskie rzeczy. -I nalała mu whisky z butelki, którą panna Brenna jeszcze przed chwilą trzymała przy ustach.

Reilly wziął szklanę od szynkarki, nie odrywając oczu od okna, przez które widział młodą kobietę, dosiadającą siwą klacz o nogach tylko nieznacznie dłuższych niż jej własne.

- Na oklep - mruknął sam do siebie. - A jakżeby inaczej.

Nigdy przedtem nie widział kobiety dosiadającej konia na oklep. Prawdę powiedziawszy, nie znał wielu kobiet jeżdżących konno. Jego matka i siostra stokroć bardziej wolały jeździć po parku faetonem *. A Christine straszliwie bała się koni. Z tego co wiedział, nie posiadała nawet stroju do konnej jazdy, a tym bardziej damskiego siodła.

Cóż, okazało się, że amazonka, panna Brenna, także go nie ma. Ale to jej nie powstrzymało. Reilly patrzył, jak spięta piętami siwą klacz, i obydwie zniknęły w gęstej mgle.

- Zupełnie jak królowa Bodicea ** - powiedział Reilly w zadumie, zdawszy sobie sprawę, że wyraził swoje myśli na głos, dopiero wtedy, gdy pani Murphy mu odpowiedziała.

- Tak - rzekła bez cienia entuzjazmu. - Ma pan rację, sir. Rozstanie się pan ze swymi spodniami czy przyrosły panu do siedzenia? I jeśli zechce pan oddać swoje buty, to Nancy włoży w nie prawidła, aby skóra się nie zdefasonowała.

Reilly usiadł i bez wahania zaczął ściągać buty.

- Kim jest ta kobieta? - zapytał, mocując się z nimi. - Nie jest tutejsza, prawda?

* Faeton - lekki czterokołowy powóz konny na resorach, bez drzwiczek (przyp. tłum.).

** Królowa Bodicea lub Boudikka - królowa plemienia Icenów, która w 60 r. n.e. stanęła na czele powstania przeciwko Rzymianom (przyp. tłum.).

- Chodzi panu o pannę Brennę? - Pani Murphy stwierdziła, że Reilly nie poczynił z butami żadnych postępów, więc się schyliła i uniosła jedną jego nogę.

- Urodziła się w Londynie, mam rację?

But zsunął się z nogi, wydając głośne cmoknięcia, a pani Murphy zatoczyła się do tyłu. Z eleganckiej niegdyś skóry wylała się słona woda.

- Bardzo przepraszam - powiedział Reilly na widok tworzącej się na podłodze kałuży. - Oczywiście, zapłacę za szkody, jeśli woda na trwałe zniszczy podłogę. Więc jak? Pochodzi z Londynu?

Pani Murphy zdążyła już napuścić dwie czy trzy służące na ową kałużę i wydawało się, że nie dosłyszała pytania Reilly'ego. Zabrała się do ściągania drugiego buta.

- Hampstead - powiedział Reilly, wyjmując z portfela kilka banknotów. - Oto skąd pochodzi. Mam rację?

Drugi but uległ wysiłkom szynkarki i posługujące dziewczyny zajęły się ścieraniem wody, która z niego wyciekła. Reilly poruszył przemarzniętymi palcami w przemokniętych skarpetkach.

- Co tutaj może robić dziewczyna z Hampstead? - zastanawiał się głośno. - Wyszła za męża za jakiegoś miejscowego jegomościa? - Ale gdyby była mężatką, pomyślał, nie zwracano by się do niej panno Brenno...

Zresztą nie jest to coś, co by go szczególnie zajmowało. Nie przybył na tę wyspę, by dociekać, jaki jest stan cywilny kobiet, noszących niefortunne imię Brenna... choćby były nieprzeciętnie urodziwe, nosiły spodnie i jeździły konno na oklep. A już na pewno nie miał zamiaru interesować się tą, która okazała mu całkowity brak sympatii. A na dodatek była tak wyjątkowo pewna siebie.

Nie. On przybył tu, by udowodnić swojej narzeczonej, że nie jest jakimś dyletantem, amatorem, nie znającym się na sztuce leczenia. Miał szczerzy zamiar ratować ludzkie życie. Dlatego właśnie porzucił praktykę w Londynie, gdzie jego pacjenci mieli

denerwujący zwyczaj niezapadania na choroby grożące utratą życia. Jakże miał udowodnić swe oddanie profesji lekarza, skoro nie miał chorych, których mógłby uzdrawiać?

I udowodni je, na Boga, nawet gdyby musiał wycierpieć obecność tysiąca panien o imieniu Brenna...

- Lyming - nieoczekiwanie odezwała się właścicielka piwiarni Pod Udręczonym Zajacem.

Reilly spojrzał na nią.

- Słucham?

- Panna Brenna - odrzekła pani Murphy, skinąwszy głową. - Pochodzi stąd. Urodziła się i wychowała w Lyming.

Reilly był naprawdę wstrząśnięty.

- W Lyming?

- Tak - potwierdziła kobieta, najwyraźniej zakłopotana jego zdziwieniem.

Minęła dobra chwila, zanim Reilly przeanalizował tę informację. A zaraz potem nasunęły mu się następne pytania, dotyczące tej irytującej panny Brenny.

- Jak to możliwe? - zapytał wbrew sobie. - Najwyraźniej otrzymała staranne wykształcenie. I z całą pewnością posiadała wiedzę medyczną. Ale nie może być akuszerką, prawda? Jest na to o wiele za młoda. Przecież ma nie więcej niż jakieś dwadzieścia lat.

Pani Murphy uważnie wysłuchiwała wszystkich jego pytań, lecz nie sprawiała wrażenia osoby, która ma zamiar na nie odpowiedzieć. Wprost przeciwnie. Sama zadała mu pytanie:

- Czy pan wspominał coś o jakimś kufrze, panie Stanton? Może znajdzie się w nim sucha koszula. I spodnie na zmianę.

Reilly natychmiast zapomniał o dręczących go wątpliwościach.

- Owszem. Zostawiłem kufer na promie. A także kilka toreb. Instrumenty lekarskie i inne takie. Wie pani, wygodniej by było, gdyby zanieśiono je wprost do mego domu.

- Do domu, proszę pana? - spytała, zaintrygowana.

Reilly skinął głową.

- Tak. Właśnie. Lord Glendenning napisał mi, że obejmując stanowisko, otrzymam dom. Tak się wyraził. A może domek? Tak, chyba tak. Nazwał go Burn Cottage.

Dziewczyny, które zajmowały się myciem podłogi, zamarły w bezruchu i uniosły głowy.

- Burn Cottage? - Pani Murphy przyjrzała mu się uważnie. - Napisał panu, że otrzyma pan Burn Cottage? Jest pan tego pewien?

- Całkowicie pewien - odparł Reilly. - Doskonale pamiętam, że dziwiłem się tej nazwie i miałem nadzieję, że domek zawdzięcza ją sąsiedztwu potoku, nie zaś tendencji do stawiania w płomieniach*.

Roześmiał się, ale widocznie Burn Cottage rzeczywiście od czasu do czasu płonął albo goście Pod Udreńczonym Zającem odznaczeni się brakiem poczucia humoru, bo Reilly był jedyną osobą w pomieszczeniu, którą rozbawił ten żarcik. Cóż, Christine zawsze mu wytykała, że jego dowcipy bywają chybione. Widocznie teraz także trafił kulą w płot. Służące, skarcone surowym spojrzeniem szynkarki, zerwały się z kłeczek i pobiegly obsługiwać klientów. Wszystko wróciło do stanu sprzed przybycia przewoźnika. Nawet Stuben przebrał się w suche ubranie, które najwyraźniej trzymano tu na wypadek w rodzaju dzisiejszego.

- Mam nadzieję, że nie strzeliłem jakiejś gafy. Przez burn rozumiecie tu potok, prawda? - zapytał Reilly

Pani Murphy uśmiechnęła się do niego z sympatią.

- Oczywiście, proszę pana. To naprawdę śliczny domek. Tylko że...

Reilly pokręcił głową.

- Niechże pani mi powie, madame. I skończmy z tym wreszcie. Najwyraźniej coś tu nie pasuje. Czy ten dom jest przeznaczony do

* Burn - oznacza po angielsku „płonący”, a w Szkocji także „potok” (przyp. tłum.).

rozbiórki? Słyszałem, że zeszłego lata mieliście przypadki zachorowań na cholere. Czyżby Burn Cottage podlegał kwarantannie?

- Nie, nie - pośpiesznie przerwała pani Murphy. - Nie o to chodzi. Tylko że... że...

- Powiedźże mu, Moira! - zawołał jeden z mężczyzn przy szynkwacie.

- Idzie o to, że... - Pani Murphy dojrzała wreszcie do decyzji i oświadczyła stanowczo: - Chodzi o to, że teraz, kiedy mgła jest taka gęsta, trudno będzie panu tam dotrzeć. Wyślę kogoś do przystani po pańskie rzeczy i na noc zatrzyma się pan tutaj. Flora przeniesie się do Maeve. Dobrze, Floro?

Flora, którą Reilly zauważył dopiero teraz, miała ogromny brzuch, przewiązany brudnym fartuchem. W odpowiedzi wywróciła oczami i ruszyła ku rozchwierutanim schodom, widocznym w głębi pomieszczenia.

- Ależ - powiedział pośpiesznie Reilly. - Nie ma potrzeby, by panna... panna... ee... pani Flora przenosiła się do innego pokoju. Jeżeli domek jest rzeczywiście daleko stąd, zostaną tutaj, na dole. Nie zrobię najmniejszego kłopotu.

- Stanowczo nie. - Pani Murphy sprawiała wrażenie zatrwożonej tą propozycją. - Flora nie ma nic do przenoszenia.

- Owszem, mam - dobiegły do nich słowa zadyszanej Flory.

Lecz nie dość zadyszanej, by nie dosłyszała ich szynkarka, która pospieszyła za dziewczyną, groźnie wznosząc płaską dłoń.

- Dostyc tego, moja panno - oświadczyła, lecz zanim zdążyła opuścić rękę, uchwycił ją Reilly i ścisnął tak, jakby pani Murphy była jego ukochaną, choć należy przyznać, że jego uchwyt miał na celu jej powstrzymanie, nie zaś wyrażenie czułości.

- Powiedziałem przecież, madame - rzekł z udawaną wesołością. Uważał, że na świecie nie ma nic gorszego od gospodyni bijącej służące, no, może tylko mąż bijący żonę. - Nie zasługiwałbym na miano dżentelmena, pozbawiając młodą damę jej pokoju.

Nie chcę o tym słyszeć... zwłaszcza w delikatnym stanie pani Flory. Gdyby moi koledzy usłyszeli o czymś takim, zostałbym wykluczony z bractwa...

Było to oczywiście bezczelne kłamstwo. Niejeden rzekomo dystygowany przedstawiciel zawodu lekarskiego bez oporów pozbawiłby łóżka kobietę w ciąży, aby móc wygodnie odpocząć. Wielu kolegów po fachu rościło sobie prawa, których Reilly nie był w stanie pojąć.

Lecz pani Murphy z pewnością nie zetknęła się z wieloma lekarzami, więc nie mogła sobie zdawać sprawy z tego zadziwiającego faktu.

- A więc, moja dobra kobieto - ciągnął Reilly, poluzowując nieco uścisk - jeśli zechce pani posłać kogoś po moje rzeczy, prześpię się tutaj i po sprawie.

Pani Murphy nie była jedyną osobą w pomieszczeniu, spoglądającą na niego ze zdumieniem. Maeve, Nancy, a nawet brzemienna Flora patrzyły na niego jak na jakiś nieznany im okaz.

I być może w ich oczach był kimś dziwnym. Zwyczajni goście, bywający Pod Udręczonym Zającem, nie należeli do kategorii ludzi, którzy upieraliby się, by pozostawić ciężarną kobietę w jej własnym łóżku, nie mówiąc już o chronieniu jej przed uderzeniem pracodawczyni.

Z drugiej jednak strony spojrzenia kobiet mogły nie mieć nic wspólnego z jego galanterią, lecz odnosiły się do faktu, że gdy Reilly chwycił nadgarstek pani Murphy, koc zsunął się z jego nagiej piersi, wystawiając ją na chciwe i, sądząc z wyrazu ich twarzy, wysoce aprobujące spojrzenia.

Pani Murphy pierwsza oderwała wzrok od nagiego torsu Reilly'ego.

- Sama nie wiem - powiedziała powoli. - Lord Glendenning nie byłby z tego zadowolony...

- Skoro lord Glendenning nie pochwaliłby tego - odparł Reilly - to mógł mnie zaprosić do swego zamku.

Pani Murphy skinęła głową.

- Tak, mógłby.

- W takim razie wszystko zostało omówione. - Reilly wypuścił pulchną rękę szynkarki, owinął się kocem, zapewniającym mu kiepską ochronę przed wścibskimi spojrzzeniami Maeve i jej koleżanek, po czym uniósł zapomnianą szklanę z whisky. Wskazał nią w kierunku Flory. - A więc zdrowie dam...

I, spojrzawszy na przewoźnika, który, dzięki licznym kolejkom, stawianym mu przez towarzyszy, znowu zapadał w stan nieświadomości, Reilly odchylił głowę do tyłu i wlał sobie do ust zawartość szklaneczki.

Whisky była znakomita, o przepysznie dymnym smaku i tak mocna, że zapiekły go oczy. Pałacy płyn spłynął mu do gardła, rozgrzewając Reilly'emu całe ciało, włącznie z częściami, na których rozgrzanie utracił wszelką nadzieję. Pomyślał, że za szklaneczkę czegoś równie wyśmienitego Pearson i Shelley musieli by zapłacić dwie do trzech koron, a on popijał trunek zupełnie darmo, za to, że wyłowił z morza na wpół żywego przewoźnika.

A namawiali go, by pozostał w Londynie!

Dopiero gdy po kilku następnych szklaneczkach whisky Reilly przebrał się w suche rzeczy, pochodzące z jego kufra, przypomniał sobie jeden z powodów, dla którego Christine zerwała ich zaręczyny. Przyczyną, podaną w liście, obecnie prawie nieczytelnym, suszącym się właśnie nad paleniskiem po troskliwym rozprostowaniu, było notoryczne pijaństwo Reilly'ego. Choć trzeba przyznać, że określenie „notoryczne” było cokolwiek przesadne. Reilly popijał nie częściej niż znani mu mężczyźni, a nawet rzadziej.

Lecz Christine, słodka, pobożna Christine, która nigdy nie opuściła niedzielnej mszy i należała do licznych stowarzyszeń: wstrzeźliwości, misyjnego, abolicji oraz wielu innych, których Reilly nie zliczyłby na palcach obu rąk, najwyraźniej uważała, że jedna czy dwie whisky w ciągu wieczora to o jedną czy dwie za dużo.

Cóż, prawdopodobnie miała rację. Im więcej pił, a Pod Udęczonym Zającem panował nastrój bachanalii, któremu Reilly nie potrafił się oprzeć, tym bardziej zapominał o celu, w jakim przybył do tej oddalonej od świata wioski.

A przecież jego celem nie było przesiadywanie wśród miejscowych pijaków, co właśnie czynił, lecz praktykowanie zawodu, poświęcenie się dla innych ludzi, aby raz na zawsze udowodnić panie Chnstine King, że Reilly Stanton - by powiedzieć całą prawdę, lord Reilly Stanton, bo czyż nie był ósmym markizem Stillworth? - jest odważnym i zaangażowanym mężczyzną, który, aby pozyskać szacunek, nie musi powiewać swoim herbem. A już z całą pewnością nie jest pijącym, pozbawionym charakteru nicponiem, za jakiego uważała go Chnstine.

I, na Boga, udowodni jej to, choćby miał ratować każdego cholernego pijusa na tej zatraconej skalistej wysepce.

- Stanton. - Jego rozmyślania przerwał Adam Mac Adams, nowy przyjaciel Reilly'ego, najstarszy i najbardziej bezzębny spośród tutejszych rybaków, obejmując go ramieniem i bełkocąc: - Pozwól, że ci postawię następną szklaneczkę.

- Och, nie, dziękuję - grzecznie odparł Reilly. - Już dosyć wypilem.

- Tylko jedną szklaneczkę. Uratowałeś mojego kumpla. Mego kumpla Stubena. Nie pozwolisz mi, abym ci postawił drinka, za to, że uratowałeś mego kumpla Stubena?

- Nie uratowałem go - odparł Reilly. - Uratowała go ta wasza panna Brenna.

- Tylko jedną szklaneczkę - upierał się Mac Adams. - Jedna jedyna.

Reilly nie pamiętał, by gdziekolwiek indziej przyjmowano go równie serdecznie. Naprawdę, jego przyjaciele bardzo się mylili. Górale okazali się nadzwyczaj sympatycznymi i cywilizowanymi ludźmi. A mieszkańcy wyspy Skye byli najmiłszymi, najbardziej łagodnymi spośród wszystkich górali.

- Dobrze - zgodził się, wzruszony do łez. - Jeszcze jedna. Ale tylko pod warunkiem, że będzie mi wolno wznieść toast.

- Jasne - powiedział MacAdams. - Wznies toast.

Reilly wysoko uniósł szklaneczkę.

- Pragnę wznieść toast za najpiękniejszą, najmiłą, najśłodszą damę w całym kraju, autorkę tego oto listu... - Wszyscy spojrzeli na strzępek różowej papeterii, suszący się przy ogniu. - ...czarującą, śliczną i pobożną kobietę, którą pragnę poślubić, o ile mnie zechce, godną szacunku, pannę Christine King.

- Za pannę King - podjęli rybacy.

Opróżnili szklaneczki, a Reilly zwrócił się do Adama MacAdamsa i zapytał:

- A teraz mi powiedz, o co chodzi z tym Burn Cottage.

Lecz nie otrzymał odpowiedzi. A to z tej przyczyny, że wszyscy jego nowi przyjaciele przysnęli, zanim wymówił te słowa.

Przepełniony ciepłymi uczuciami koleżeństwa Reilly uznał, że nie przyłączając się do ich drzemki, nie zachowałby się po dżentelmeńsku... niezależnie od tego, co o tym wszystkim pomyślałaby Christine.



Zamczysko było stare, niektóre jego części liczyły całe wieki. Co dziwne, najszybciej zaczęły niszczyć jego najmłodsze fragmenty, wybudowane około 1650 roku. Mury kruszyły się od dziesiątków lat, fundamenty przeciekały. Corocznie, wiosną, podmakały lochy. Wobec tego, że nie trzymano w nich więźniów, nikt się tym nie przejmował, lecz woda wypłaszała stamtąd szczury, które zadomowiły się pośród beczek z winem, i sprawiała, że wnosiły się do zamieszkanymi części zamku.

Stanowiło to kłopot dla służby, lecz nie obchodziło właściciela zamku. Brenna była przekonana, że nawet gdyby sznur wielkości kuca rzucił się na pierś lorda Glendenninga, ten nie zareagowałby, gdyby tylko zwierzę nie przeszkodziło mu w popijaniu piwa.

Spoglądając beznamiętnym wzrokiem na hrabiego, Brenna żałowała, że wiosna jeszcze nie nadeszła.

Nie dlatego, że delectowała się perspektywą spotkania szkodnika w ciemnych i porośniętych pleśnią korytarzach zamku Glendenning. Z całą pewnością nie. Lecz przypuszczała, że Iain MacLeod, dziewiętnasty hrabia Glendenning, nie byłby taki wyrozumiały dla obecności szcurów w jego domostwie, gdyby posadziła ich

przedstawiciela na hrabiowskim obmierzłym karku, na co zresztą lord w pełni sobie zasłużył.

Ponieważ jednak nie miała pod ręką żadnego szczura, Brenna zdecydowała się przejść przez komnatę i wymierzyć tęgiego kopniaka w nogi, które hrabia wsparł na kominku.

Ogromne, obute stopy lorda Glendenninga zadudniły, opadłszy na kamienną posadzkę, budząc psy, które zwinięte spały w pobliżu paleniska. Psy natychmiast się poderwały i zaczęły hałaśliwie ujadać, podczas gdy lord Glendenning szukał miecza w fałdach udrapowanej na hrabiowskiej mości peleryny.

- Stój, złodzieju! Jestem uzbrojony i umiem posłużyć się mieczem! - zakrzyknął.

Gdy w końcu udało mu się wydobyć groźny i starodawny miecz, jak powiadano, służący jego rodzinie od czasów króla Artura, osoba, w której gardło wymierzył ostrze, wcale się tym nie przejęła. Ujęła je w dwa palce i spokojnie odepchnęła.

- Nie mogłeś mi przynajmniej wspomnieć - zapytała lodowatym tonem - że masz zamiar zatrudnić nowego lekarza?

Lord Glendenning powoli przytomniał. Zamrugał bladoniebieskimi oczami o ciemnych rzęsach - oczami, które, jak wiedziała Brenna, przyprawiły o drżenie serca więcej kobiet, niż mogłaby zliczyć na wszystkich, razem wziętych, palcach rąk i nóg - i zapytał:

- Brenna? A więc to ty?

- Oczywiście, że ja. - Schyliła się i przeszła pod wciąż wznie-
sionym mieczem. Stała przy kominku i wyciągnęła przemarz-
nięte po konnej jeździe dłonie w stronę ognia. Psy, rozpoznawszy
Brennę, przypadły do niej, ocierając pyski o jej ręce.

- Leżeć! - ryknął lord Glendenning na zwierzęta, które nie zwracając na niego uwagi, podskakiwały, by polizać twarz gościa, dopóki Brenna nie usiadła przy kominku plecami do ognia i rozkazującym tonem wydała polecenia: - Nie - a potem: - Siad! - natychmiast posłusznie wykonane przez wszystkie psy.

- Co tu robisz? - zapytał lord Glendenning, chowając miecz

do pochwy. - Zmieniłaś zamiar? - Odgarnął z twarzy długie, kruczoczarne włosy i przyjrzał się twarzy Brenny w świetle dogasającego ognia. - Na Boga, widzę, że tak. Wreszcie nabrałaś rozumu. Musimy to uczcić. Raonull! - Hrabia odrzucił głowę do tyłu i zawył głośniej niż którykolwiek z jego psów: - Raonull! Obudź się i przynieś jakieś wino!

- Przestań się wydzierać - powiedziała Brenna, w roztargnieniu wyplątując rzep z sierści najbliższego psa. Ogar wywrócił z rozkoszy oczami i oparł ciężki łeb na jej kolanach. - Czyżbyś stracił resztki rozsądku, jakim obdarował cię Bóg? Nie zmieniłam zamiaru. Chcę się dowiedzieć, jak mogłeś, ot tak, po prostu, nie mówiąc nikomu ani słowa, zatrudnić nowego lekarza?

Lord Glendenning spojrzał na nią nieco zażenowany.

- Zatrudnić nowego... - zamrugał powiekami. - Och! O wszystkim już wiesz, tak?

- Czy wiem wszystko? - Brenna pokręciła głową z powątpiewaniem. - Można tak powiedzieć. Jegomość wparował do Moiry jakieś pół godziny temu. Doprawdy, lordzie. Jak mogłeś? Powinieneś być przynajmniej wspomnieć...

- Pół godziny temu? - Glendenning opadł na wyściełany fotel, w którym przed chwilą drzemał. - Ale miał się tu zjawić dopiero w środę - powiedział z przejęciem.

Brenna wzniosła oczy.

- Dzisiaj jest środa, lordzie.

- Ach.

Iain MacLeod spojrzał na swoje duże, pokryte odciskami dłonie, jakby spodziewał się tam znaleźć jakieś wytłumaczenie kłopotliwej sytuacji, w jakiej się znalazł. Brenna przyglądała mu się nieporuszona. Chociaż lord Glendenning rzadko robił coś, co się jej podobało, doskonale zdawała sobie sprawę, że nie postępuje tak, by ją osobiście obrazić, lecz tylko dlatego, że po prostu inaczej nie potrafi. Czasami, starając się zasłużyć na jej względy, prze-

chodził samego siebie. Fakt, że te wysiłki nie odnosiły należytego skutku, niekoniecznie był winą hrabiego.

Tak przynajmniej tłumaczyła to sobie Brenna, ilekroć poczuła gwałtowną chęć, by chwycić go za masywny kark i mocno ścisnąć.

- Przecież mogłeś - besztła go łagodnie, głaszcząc po uchu psa - powiedzieć mi o tym.

Lord Glendenning spochmurniał. Był przystojnym mężczyzną. Prawdę powiedziawszy, był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Brenna kiedykolwiek widziała. Przynajmniej do niedawna. Teraz, po spotkaniu z Reillym Stantonem, nie była już tego całkowicie pewna.

Była jednak całkowicie pewna, że lord Glendenning prezentuje się dobrze, nawet z chmurnym wyrazem twarzy... z czego doskonale zdawał sobie sprawę. Hrabia był bardzo czuły na punkcie swojej powierzchowności, czego Brenna nie powiedziała by o doktorze Stantonie, i świetnie się orientował, jakie wywiera wrażenie na młodych kobietach, a nawet na niektórych starszych. I bez najmniejszych skrupułów wykorzystywał swój wygląd, kiedy tylko było to możliwe.

Ale Brenna zbyt dobrze wiedziała, że powierzchowność hrabiego jest zwodnicza. Na oko lord sprawiał wrażenie anielskiego, lecz za tą niebiańską fasadą kryło się demoniczne serce. Dlatego mina hrabiego nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia. Ona także się nachmurzyła.

- To nie była uczciwa zagrywka - powiedziała, marszcząc czoło, aby dać mu do zrozumienia, że wcale nie jest nim zachwycona. - Mogłeś mnie przynajmniej uprzedzić.

Glendenning uniósł podbródek. Miał mocno zarysowaną szczękę, w danej chwili niebieskawą od jednodniowego zarostu. W brodzie widoczny był dołek.

- Miałem zamiar ci powiedzieć - odparł butnie. - Tylko... zapomniałem.

- Ach, tak. - Brenna skinęła głową. - Zapomniałeś. Oczywiście,

byłam głupia, sądząc, że postąpiłeś tak celowo, aby wyprowadzić mnie z równowagi, bo miałeś nadzieję, że wtedy życzliwiej odniosę się do twoich... propozycji.

- Do diabła, Brenno! - Hrabia zerwał się z fotela i zaczął przemierzać komnatę, która, jako że kiedyś pełniła rolę zamkowej sieni, była dość długa. Z umieszczonego na wysokości sześciu metrów sklepienia nadal zwisały stare i obszarpane chorągwie z godłem tutejszej gałęzi rodziny MacLeodów, przedstawiającym dwa walczące lwy na zielonym polu. - Czego ode mnie oczekujesz?

- Oczekuję, że będziesz się zachowywał jak mężczyzna - odparła Brenna. - A nie jak zepsuty dzieciak.

- Zachowuję się jak zepsuty dzieciak? Niby dlaczego? - zdziwił się hrabia, zwracając się ku niej tak gwałtownie, że długa peleryna, którą miał na sobie, zatrzepotała za nim jak skrzydła ptaka. - Działam w najlepiej pojętym interesie moich poddanych...

- Zatrudniając lekarza, którego znalazłeś dzięki ogłoszeniu, zamieszczonym na łamach londyńskiego „Timesa”? - spytała Brenna ironicznym tonem. - Masz chociaż pojęcie, czy ten człowiek nadaje się na to stanowisko? Bo przecież może być zwykłym szarlatanem...

- Nie jest szarlatanem - warknął hrabia. - Przysłał mi z pół tuzina listów rekomendujących. Na miłość boską, Brenno, studiował w Oxfordzie. Jest członkiem Uniwersytetu Królewskiego...

- Akademii - poprawiła go Brenna.

Hrabia wzruszył ramionami.

- Przeszło rok praktykował w Londynie. Niektórzy spośród jego pacjentów są członkami Izby Lordów. Jedna z pacjentek jest nawet wicehrabiną...

- Właśnie. I człowiek z prosperującą praktyką w Londynie, leczący dobrze urodzonych i bogatych pacjentów, z ochotą porzuca swoje stanowisko, by zaszyć się w najbardziej wyludnionym oraz trapionym przez najstraszliwsze zarazy miejscu w całej Europie i pracować za psie pieniądze.

Glendenning zmroził ją wzrokiem. Niestety, był całkowicie odporny na wszelki sarkazm.

- Co ty opowiadasz?

- Mówię, że się dałeś podejść. Szkoda, że nie zasięgnąłeś mojej rady...

- Dlaczego myślisz, że dałem się podejść? Co jest nie w porządku z tym gościem?

Brenna zamrugała powiekami. Był taki prostoduszny. W niektórych sprawach naiwny jak dziecko.

Lecz w innych aż nadto męski.

- Nic - odparła. - Przynajmniej nic, czego byś się spodziewał.

- Więc? - prychnął hrabia. - Z tego co powiedziałaś, mógłbym się spodziewać, że w najlepszym razie jest garbaty.

- Nie jest garbaty - odparła Brenna.

Prawdę powiedziawszy, wprost przeciwnie. Po krótkim spotkaniu z doktorem Stantonem odniosła wrażenie, że jest pełnym wigoru młodym człowiekiem. Gotowa była zaświadczyć, że nawet bardzo żywotnym. Nie zdarzało się, że wstąpiwszy Pod Udręczonego Zająca, stanęła oko w oko z Apollinem, a właśnie tak stało się dzisiejszego wieczoru.

A co gorsza, ów Apollo był pozbawiony koszuli i prezentował niepokojąco szerokie bary, płaski brzuch, wydatne muskuły i brązową, aksamitną skórę, lśniącą w świetle płomieni paleniska. Brenna z trudem oderwała od niego wzrok, zwłaszcza gdy po bliższych oględzinach stwierdziła obecność gąszczu jedwabistych, ciemnych włosów, wijących się na piersi doktora w jej najszerszym miejscu, porastających wąską smugą twardy brzuch i znikających prowokacyjnie pod pasem bryczesów.

Jej uwagi nie uszedł również fakt, że doktor dorównuje wzrostem jednemu na wyspie, nie licząc jej ojca, wyższemu od niej mężczyźnie, to jest lordowi Glendenningowi. Ale doktor Stanton był nie tylko równie wysoki jak hrabia. Był, w sposób oczywisty, równie jak on silny, o czym świadczyły muskuły na jego ramionach,

które się uwydatniły, gdy skrzyżował ręce na szerokiej piersi. Brenna nie wiedziała, po co lekarzowi takie mięśnie, lecz właśnie dzięki nim mógł w pojedynkę wyciągnąć z wody Stubena, do czego normalnie koniecznych było czterech mężczyzn.

Brenna z największym trudem nie okazała swego podziwu, czego nie można było powiedzieć o personelu Pod Udręczonym Zającem. Dziewczyny zachowywały się wobec przybysza zupełnie skandalicznie... zwłaszcza Maeve, która spojrzawszy na niego, za każdym razem traciła oddech. Brenna nie miała jej tego za złe. Doktor Stanton, ze swoim gładkim, umięśnionym ciałem, silnymi ramionami, wesołymi ciemnymi oczami i ujmującym uśmiechem, mógł się podobać.

Więc co, na Boga, porabiał na wyspie Skye?

- Najwyraźniej miał w Londynie jakieś kłopoty - powiedziała.

- Kłopoty? - Glendenning, który właśnie skierował kroki ku kredensowi, gdzie przechowywał zapas whisky, rzucił jej zdziwione spojrzenie. - O czym ty mówisz? Jakie kłopoty?

- Nie wiem - odparła Brenna. - Ale żaden inteligentny mężczyzna, a doktor Stanton niewątpliwie na takiego wygląda, nie przybędzie tu z własnej woli, aby otworzyć praktykę lekarską. A już na pewno nie ktoś, kto ma lukratywną pracę w Londynie. To byłoby czystym szaleństwem. Mogę się jedynie domyślać, że dopuścił się jakiegoś haniebnego czynu, za co zabrano mu licencję. To jest jedyne wytłumaczenie.

- Niczego takiego nie popełnił - poinformował ją lord z oburzeniem, napełniwszy dwie szklanki whisky. - Osobiście napisałem do jego bractwa, skąd otrzymałem zapewnienie, że doktor Stanton jest doskonałym kandydatem na to stanowisko, lecz jego decyzja, by je przyjąć, wszystkich wprawiła w zdumienie.

- Ha! - wykrzyknęła Brenna. - O to chodzi. Ma nie po kolei w głowie.

- Czy wygląda na niespełna rozumu? - zapytał Glendenning, podając jej szklankę whisky.

- Nno... nie. - Na nieszczęście, sprawia wrażenie zupełnie normalnego. Brenna zasepiła się i odstawiła szklanę, tak aby znalazła się poza zasięgiem psów. Zaraz potem jej oblicze pojaśniało. - Jednakże rzucił się do wody, by wyłowić Stubena.

Hrabia się roześmiał. Nie był to miły śmiech. Zabrział jakoś triumfalnie.

- W takim razie doskonale się nadaje - oświadczył. - To jeden z nich.

- Niby kto? - spytała Brenna, spoglądając na lorda z zaciekawieniem.

- Rozprawiał może tam u Moiry o religii?

- O religii? Z całą pewnością nie. O czym tu mówisz?

- O Stantonie! - wykrzyknął Glendenning. - A o kimże innym? Myślę, Brenno, że będziesz musiała przyznać, że jegomość przybył tu, aby czynić dobro, pomagać tym, którym się nie powiodło, i inne brednie. Znasz ten typ. Gorliwiec. Entuzjasta straconych spraw. W Londynie roi się od takich.

- Jasne. Wysoko wykwalifikowani i dobrze opłacani lekarze słyną z tego, że pakują manatki i wyjeżdżają z miast, w których zdobyli pozycję, aby rozpocząć kiepsko opłacaną praktykę w rybackich wioskach na Hebrydach. Zapomniałeś, lordzie, że mieszkałam w Londynie i wiem, jacy są jego mieszkańcy. To ludzie tego samego pokroju co ci, którzy pozbawili mego ojca praktyki lekarskiej. Nie ma wśród nich ani jednego, który zamieniłby wygodne życie na... - rozejrzała się po komnacie, krzywiąc usta - ...to.

- Tak się składa - powiedział dotknięty do żywego Glendenning - że to jest najstarszym zamkiem na wyspie Skye. I wciąż się trzyma.

- Nie mam co do tego wątpliwości - zapewniła go Brenna.

Uszczęśliwiony, że Brenna nie deprecjonuje jego domostwa, czego się najwyraźniej obawiał, hrabia wzniósł w jej kierunku szklanę.

- Możesz rzucać na tego człowieka najgorsze kalumnie, Brenno - powiedział - ale zapewnił mnie, że przyjedzie, a teraz, gdy jest na miejscu, nie mam zamiaru go odsyłać z powrotem. Zostanie tutaj.

- Tylko - szybko podchwyciła Brenna - jest jedno pytanie. Gdzie zamieszka?

Glendenning od razu przestał się uśmiechać i głośno odstawił swoją szklanę.

- Dobrze wiesz gdzie, Brenno - powiedział głębokim głosem.

Skinęła głową, nagle przygnębiona. Oczywiście, obawiała się tego, ale nie przypuszczała, że to się stanie. Nie podejrzewała hrabiego, że tak postąpi. Sądziła, że pomimo całej swej fanfaronady, był nieskomplikowanym człowiekiem, niezdolnym do przebiegłości i wybiegów.

Przynajmniej do dziś.

- Wobec tego sytuacja trochę się zmieniła, prawda? - powiedziała.

Glendenning sprawiał wrażenie zakłopotanego, lecz stanowczego.

- Ani trochę - zaprotestował, przystając przed nią i krzyżując na piersi mocne ramiona. - Chyba się spodziewałaś, Brenno, że w końcu postawię na swoim.

- Po moim trupie - odparła, wzruszając ramionami.

Lord zacisnął zęby, uwydatniając widoczne w świetle migocących płomieni mięśnie niebieskawej od zarostu szczęki.

- Ależ Brenno - powiedział - bądźże rozsądna.

- Jestem rozsądna. Ale postąpiłeś nikczemnie. Przeszedłeś samego siebie.

- Daj spokój - powiedział, dotknięty do żywego, i spochmurniał. - Wydawało mi się, że okazałem ci wiele cierpliwości, Brenno. Więcej, niż okazałby jej na moim miejscu jakikolwiek inny mężczyzna. Nie chciałem, żebyś się o tym dowiedziała w taki sposób, natrafiwszy na tego jegomościa u Moiry, ale nie mam cię zamiaru przeproszać, to nie jest w porządku, Brenno.

- Właśnie, i nie wyobrażaj sobie...

- Nie zrozumiałaś mnie, Brenno. Ja jestem w porządku - zaprotestowałam. - To ty wszystko pokręciłaś.

- Ja? - Brenna zerwała się na równe nogi, zaniepokoiwszy psy, które przysnęły u jej stóp. - Ja wszystko pokręciłam! Paradne. Przecież tysiąc razy powtarzałam ci, że będę płaciła za wynajem. Gdybyś słuchał, co do ciebie mówię...

- Cała jesteś pokręcona, Brenno. Na miłość boską, popatrz, jak ty wyglądasz. Nosisz spodnie.

- A więc o to chodzi? - powiedziała, dając krok przez jednego ze sfory psów, aby stanąć naprzeciw lorda. - Żadnych dyskusji? Żadnych negocjacji?

Zauważyła, że stał się nieco skrzepowany, prawdopodobnie na skutek jej bliskości. Ale się nie cofnęła.

- Żadnych dyskusji - odparł lord. - Mam ich dosyć. Wiesz, jakie jest moje stanowisko. A teraz wiesz również, że wygrałem. Przykro mi, że zrobiłem to w taki sposób, ale nie pozostawiłaś mi wyboru. Więc kiedy mogę się ciebie spodziewać?

Wybuchnęła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać.

- Chyba żartujesz.

- Ani mi w głowie. - Lord starał się za wszelką cenę zachować godność. - Jestem śmiertelnie poważny.

- Możesz sobie być poważny, ale brak ci sprytu. Wiesz, że mam inne możliwości.

- Możliwości? - spytał zaniepokojony. - Jakie możliwości?

- Mogę opuścić wyspę.

- Możesz - odparł z godnym podziwu spokojem. - Lecz musisz przyznać, że nigdzie poza wyspą nie będziesz...

- Co?

- Akceptowana.

Posłała mu gniewne spojrzenie. Był najbardziej nieznośnym z wszystkich ludzi! Nawet jeśli miał trochę racji.

- Tak myślisz? Wyobrażasz sobie, że skoro wolę nosić spodnie,

nie potrafiłabym przywdziać spódnicy? Otóż wiedz, że potrafiłabym, milordzie. I oświadczam ci, że jeśli nie odkręcisz całej tej śmiesznej intrygi, ubiorę się w spódnicę i odejdę z tej nieszczęsnej wyspy...

Jej przemowa nie odniosła należytego skutku. Ponieważ zamiast potulnie ustąpić, lord Glendenning chwycił ją za ramiona swymi wielkimi, stwardniałymi palcami, i przyciągnął ku sobie.

- Posłuchaj mnie - powiedział, potrząsając nią tak energicznie, że rude włosy zakryły jej twarz, a następnie znów opadły na ramiona. - Nigdzie nie pojedziesz, zrozumiałaś?

Niebieskie oczy hrabiego straciły blask i stały się lodowato zimne.

- Nie wyobrażaj sobie, że odpłyniesz stąd promem. Natychmiast bym się o tym dowiedział. Myślisz, że nie? To mała wioska, a ja jestem jej panem. W razie potrzeby osobiście sprowadzę cię tu z powrotem.

No i masz, czego chciałaś, Brenno, pomyślała, z trudem przełykając ślinę. Zawsze musisz posunąć się za daleko.

Lecz choć jej serce galopowało, odezwała się niezwykle pewnym głosem.

- Doprawdy, lordzie. Czy zawsze musisz się zachowywać tak brutalnie? Wolę, gdy okazujesz mi więcej powściągliwości.

- Sama mnie do tego doprowadzasz - odparł oskarżycielskim tonem. - Dobrze o tym wiesz, Brenno.

Następnie uznał, że cielesne wyrażenie swego zapału odniesie lepszy skutek niż uciekanie się do mdłych słów. Toteż z całej siły przycisnął Brennę do piersi i wierząc, że w ten sposób zarazi ją swoją namiętnością, przywarł wargami do jej ust.

Daremnie. Jego nieokiełznane emocje tylko przeraziły Brennę.

Uczyniła więc jedyną rzecz, możliwą w tych okolicznościach, to jest rąbnęła lorda Glendenninga pięścią w ucho.

A gdy, zaskoczony, oderwał usta od jej warg, tą samą pięścią ugodziła go w prawe oko.

Hrabia krzyknął, natychmiast wypuścił ją z objęć i zatoczył się do tyłu, chwytając się za twarz.

- Na miłość boską, Brenno! - ryknął. - Co ty wyrabiasz i dlaczego?

Brenna szybko usunęła się poza jego zasięg i stanęła w przeciwnym końcu komnaty. Psy skupiły się wokół niej, ujadając nerwowo.

- Doskonale wiesz dlaczego - odparła, nie dbając o to, że mówi drżącym głosem. - Zachowujesz się jak brutal, więc odpłacam ci pięknym za nadobne.

- Tyle że - odparł lord ponuro - nie musiałaś mnie walić tak mocno.

- A ty nie musiałaś mnie tak ścisnąć.

- Wiem. Tylko że... - Lord opadł na fotel i sięgnął po szklanę z whisky. - ...jestem w tobie tak cholernie zakochany.

- Wcale nie - powiedziała Brenna. Poczwała do niego coś w rodzaju sympatii. Przecież był tylko wielkim dzieciakiem. - Tylko ci się tak wydaje. Wciąż nie odróżniasz miłości od zwykłego pożądania.

- Nieprawda. Stale mi to powtarzasz, a to wcale nie jest prawda.

Brenna westchnęła. Gdy był w takim nastroju, dyskusowanie z nim nie miało najmniejszego sensu. Powinna była stąd wyjść, gdy tylko spostrzegła pierwsze objawy.

- Odeślesz doktora Stanton'a z powrotem do Londynu? - spytała, czyniąc ostatni wysiłek.

- Nie - pośępnie odparł hrabia. - I co ty na to?

Nie dowiedział się, bo zanim wymówił te słowa, Brenna obróciła się na pięcie i wyszła z zamku, pragnąc, by wiosenna powódź nastąpiła wcześniej, a pogrążonego we śnie lorda Glendenninga żywcem pożarły szczury.



Doktorze Stanton?

Reilly skrzywił się, lecz nie otworzył oczu ani nie uniósł głowy.

- Doktorze Stanton? Jak się pan czuje?

Reilly ostrożnie uchylił jedno oko i szybko je zamknął. To tylko sen. Najwyraźniej wraz z Pearsonem i Shelleyem zahulał zeszłej nocy, a teraz ma kaca. Znowu przydarzył mu się okropny sen o poetach romantycznych. A wszystko dlatego, że Christine zaciągnęła go na jeden z tych nudnych wieczorów poezji...

- Doktorze Stanton? Widziałam, że otworzył pan oczy. Wiem, że pan nie śpi.

Obok niego rozległo się donośne trzeszczenie, jakby ktoś bardzo duży usiadł na krześle, które okazało się zbyt słabe, by wytrzymać jego ciężar.

- Niech pan zje ze mną śniadanie.

Reilly westchnął i otworzył oczy. By natychmiast tego pożałować.

Nie, to nie był sen. Obok niego siedział lord Byron.

No, dobrze, może nie Byron, bo przecież umarł jakieś dwadzieścia lat temu, lecz ktoś wyglądający zupełnie jak lord Byron... lub

raczej ktoś, kto starał się do niego upodobnić. Mężczyzna, siedzący obok Reilly'ego, miał szerokie bary i wąskie biodra i nie miał ani grama tłuszczu. Same mięśnie i włosy. Miał mnóstwo włosów, bardzo ciemnych, opadających falami na ramiona, okryte szerokimi rękawami białej koszuli, rozchełstanej na szyi, ponieważ mężczyzna nie nosił fularu.

Twarz mężczyzny była gładko ogolona, poza miejscami, gdzie pojawił się nowy zarost. A ponieważ pora była bardzo wczesna, dawało to do myślenia. Mężczyzna był z całą pewnością bardzo męski.

Tym dziwniejsza wydawała się jego spódnica.

No, dobrze. To nie spódnica, lecz kilt. A obfitość włosów, porastających jego nagie kolana, była rzeczywiście imponująca.

- Kim - zdołał wychrypieć Reilly z wygarbowanego wódka gardła - kim pan jest?

- Glendenning - odparł mężczyzna. Jego donośny głos zadudnił w czaszce Reilly'ego niczym grzmot. Nie było to miłe odczucie, zważywszy na delikatny stan, w jakim w tej chwili znajdowała się czaszka Reilly'ego. - Iain MacLeod, hrabia Glendenning. Przybyłem tak szybko, jak mogłem. Opóźniła mnie ta przekłeta mgła. Widzę jednak, że tymczasem nieźle się pan zabawiał.

Reilly rozejrzał się dookoła zapuchniętymi oczyma. Adam MacAdams i jego kumple osunęli się na szynkwasy w różnych stadiach nieświadomości. Jedynie zmartwychwstały Stuben znalazł sobie wygodne miejsce do spania i wyciągnął się na posłaniu, które pani Murphy umościła dla Reilly'ego na wyściełanej ławie.

- Która? - zaczął Reilly i skrzywił się, po czym ściszył głos. - Która godzina?

- Dochodzi szósta. Zdaje się, że spędziliście razem miłe chwile.

Reilly spojrział na swoich chrapiących towarzyszy popijawy. Dziwne, nocą sprawiali wrażenie znacznie mniej starych i paskudnych niż teraz w zimnym świetle dnia.

- Chyba tak - niechętnie przyznał Reilly, ponieważ, prawdę

powiedziawszy, nie bardzo pamiętał, jak spędził minione chwile. - Nie rozumiem, dlaczego pani Murphy nie wyrzuciła ich, zamykając piwiarnię.

- Zamykając piwiarnię? - Lord Glendenning pokazał zęby w szerokim uśmiechu. Reilly zdumiał się na widok ich rozmiaru, po czym nieco się odsunął, ponieważ w niemiły sposób przypominały uzębienie wilka. - Nie na wyspie Skye. Moira pozwala im pić, dopóki nie spiją się do nieprzytomności, przez wiele nocy. Założę się, że połowa z nich nie była w domu od miesiąca.

Reilly skrzywił się ze wstrętem. To wyjaśniało, skąd brał się ten odór.

- Co nie oznacza, że ktoś za nimi tęskni - ciągnął lord Glendenning. - Ich żony to w przeważającej mierze bardzo apetyczne dziewczyny. - Mrugnął porozumiewawczo do Reilly'ego. - Ogrzałem już niejedno łóżko, podczas gdy ci nicponie przesiadują w gospodzie, upijając się do nieprzytomności.

Reilly słuchał go ze zdumieniem. Nie dlatego, że oburzyło go cudzołóstwo lorda Glendenninga, lecz fakt, że sypiał z żonami tych starców. Najwyraźniej sprawy na wyspie Skye miały się o wiele gorzej, niż sądził do tej pory.

Zauważywszy jego spojrzenie, Glendenning dodał z uśmiechem:

- Wiem, co pan sobie myśli, ale myli się pan. Widzi pan tego starego MacAdamsa?

Reilly skinął głową.

- Jego żonka nie ma nawet trzydziestki. Nic dziwnego. On sam liczy sobie nie więcej niż trzydzieści pięć lat.

Reilly aż się zachłysnął.

- Ale... na Boga, ja mam trzydzieści lat i...

- Wszystkiemu winne jest morze - wyjaśnił Glendenning, wzruszając ramionami. - Całe dni spędzane pod gołym niebem, bez względu na pogodę. Chłoszcze ich wiatr, spryskuje słona woda... Starzeją się przedwcześnie.

- Nie przyszyłoby mi to do głowy. Nigdy w życiu.

- Pewnie, że nie. Niby skąd? - Glendenning rozejrzył się po izbie. - Dziewczyny jeszcze nie wstały? Myślałem, że pogadamy sobie przy śniadaniu.

- Chyba nie - odparł Reilly. - Nie szkodzi. Nie jestem wcale...

- A ja owszem. - Glendenning wstał, a jego stawy zatrzeszczały donośnie. - Sprawdzę tylko, czy nie uda mi się namówić któregoś z nich, by usmażyła nam kilka jajek - powiedział, kierując się ku schodom w głębi pomieszczenia. - Kiedy mi na czymś zależy, potrafię być bardzo przekonujący - rzucił przez ramię i znów mrugnął porozumiewawczo.

Reilly odprowadził go beznamiętnym wzrokiem. Gdy tylko hrabia zniknął z pola widzenia, podniósł się i zerwał list od Christine, wiszący nad wygasłym paleniskiem. Jak mógł pozwolić, by suszył się na oczach wszystkich, jak jakiś przepis kulinarny lub kartka z referencjami? Mężczyzna nie afiszuje się z listem, w którym narzeczona oznajmia mu o zerwaniu zaręczyn.

Dzięki Bogu, morska woda spłukała z niego niemal wszystko, co napisała Christine. Bez szkody dla Reilly'ego, bo i tak od dawna znał treść listu na pamięć. Nie należało jednak go wystawiać na widok publiczny, zwłaszcza że już wkrótce Reilly miał tu pracować.

Podszedł do swego kufra, który pani Murphy wyratowała z promu Stubena i umieściła pod szynkwasem. Uniósł wieko, wsunął list do środka i wyjął dziennik, a także kałamarz z atramentem i ubrudzone pióro. Usiadł, otworzył dziennik, odczytał pobieżnie poprzedni zapis, po czym zanotował:

75 lutego 1847 roku

Ostatniej nocy wypięłem zbyt wiele, a teraz mdli mnie. Christine ma rację: utracysz ze mnie i pijanica. Muszę jej udowodnić, że się myliła. Ale w jaki sposób? Oczywiście, poza zaprzestaniem picia.

Nie udało mi się uratować życia topielca. Zostałem zawstydzony

AMAZONKA

na oczach całej wioski przez amazonką w spodniach. Ma na imię Brenna, ale nie przypomina żadnej z dotychczas poznanych.

Przerwał na chwilę, zastanawiając się, jak ma dokładnie opisać tę kobietę, tak niepokojąco atrakcyjną, a jednocześnie tak niewybaczalnie grubiańską. Uznał jednak, że zważywszy na jego aktualny stan, taki wyczyn przekracza jego siły. Skupił się więc na Iainie MacLeod.

Lord Glendenning jest przerażająco podobny do Byrona. Aż lękam się spojrzeć na jego stopy, czy aby nie utyka.

*Na razie nie było mowy o haggis *. Pearson i Shelley znów się mylili.*

Wygląda na to, że będą jakieś kłopoty z domkiem.

Uniósł głowę, posłyszawszy jakieś intrygujące odgłosy, docierające z góry. Zasiadł przy ladzie, zastanawiając się, czy kawa dobrze mu zrobi na ból głowy. Po chwili wrócił hrabia, a za nim szła rozchichotana Flora, usiłując pozapinać suknię. Reilly zdał sobie sprawę z przerażającą jasnością, że będzie spożywał posiłek w towarzystwie mężczyzny, odpowiedzialnego za obecny stan dziewczyny. Zaczął się zastanawiać, jak wiele bękartów zawdzięcza lordowi Glendenningowi personel piwiarni Pod Udreńczonym Zającem.

- Obecna tu panna Flora zgodziła się przygotować dla nas posiłek, doktorze - powiedział hrabia swym grzmiącym głosem. - Może siądziemy przy stole i zaczekamy na to śniadanie godne samego króla?

Na myśl o jakimkolwiek pożywieniu Reilly odczuwał mdłości,

* Haggis - szkocka potrawa narodowa z podrobów baranich - serce, płuca i wątroba owcy ugotowane w żołądku z sadłem i mąką owsianą (przyp. tłum.).

lecz usiadł z Glendenningiem przy najbliższym stole, ostrożnie przekroczywszy nieruchome ciało jednego ze swych nowych przyjaciół, którego imię w tej chwili wymknęło mu się z pamięci.

- A więc - powiedział lord Glendenning, unosząc szklanę, którą napełniła dla niego Flora - zacznijmy od tego, co najważniejsze. Toast, doktorze Stanton. Pańskie zdrowie. Witam na wyspie Skye.

Reilly spojrział ze wstrętem na swoje piwo. Na wierzchu burzyła się warstwa piany.

- Świetnie - powiedział. - Za Skye.

I upił łyk gęstej, drożdżowej mikstury.

Poczuł przypływ mdłości. Przez chwilę był pewien, że wymiotuje i obrzyga siebie, stół i lorda Glendenninga. Co na pewno zrobiliby wrażenie na jego nowym pracodawcy.

I nagle poczuł się lepiej. O, tak. Piwo osiadło w jego żołądku, a ucisk w głowie ustąpił.

Ułga, jakiej doznał, musiała odmalować się na jego twarzy, bo hrabia roześmiał się i rzekł:

- Wiedziałem, że to poskutkuje. Sierść psa. Nigdy nie zawodzi.

Reilly spojrział na piwo z uznaniem.

- Nie mogę uwierzyć. Pani Murphy powinna to opatentować i sprzedawać napój jako zdrowotny tonik. Amerykanie zaraz by to podchwycili.

Glendenning uniósł palec.

- Masz źle w głowie, człowieku? Wyjechałaby stąd i dokąd mielibyśmy się udać po pomoc?

- Racja - Reilly nie mógł mu odmówić roztropności. - Święta racja.

- No, dobrze. - Glendenning schylił się i podrapał w miejsce, które nie byłoby tak łatwo dostępne, gdyby nie miał na sobie kiltu. - Po śniadaniu pójdziemy rzucić okiem na szpitalik. Musi pan pamiętać, że jest zamknięty od czasu ostatniego cyrulika.

- Lekarza - poprawił go Reilly.

- Słucham? - zapytał zdziwiony Glendenning.

- Lekarza. - Reilly znów popił piwa. Czuł się coraz lepiej. Wkrótce odzyska Christine. Musi tylko wyleczyć z cholery kilka osób i udowodnić, że, niezależnie od tego, co na ten temat myśli Christine, uzdrawianie ludzi jest dla niego o wiele ważniejsze niż to, że jest markizem Stillworth, a wtedy ona sama będzie go błagała, by ją poślubił. Z całą pewnością powróci do domu nie później niż na przyszłe święta Bożego Narodzenia. - Szukał pan lekarza, nie cyrulika.

- Racja. - Glendenning odgarnął z twarzy swoje przesadnie długie włosy.

Reilly pomyślał, że Christine, jak każda kobieta, uznałaby hrabiego za niewiarygodnie przystojnego mężczyznę. Lecz dla niego Glendenning był paskudny, z tymi ogromnymi owłosionymi kolaniskami, nacierającymi pod stołem na jego nogi, i ze zwyczajem nieustającego drapania się tu i ówdzie. Choć zdawał sobie sprawę, że w tej chwili on także nie wygląda jak z obrazka. Czuł wyrzynający się zarost i wiedział, że włosy wysunęły się z rzemyka, którym związał je z tyłu. Miał jednak nadzieję, że mimo wszystko prezentuje się lepiej niż Glendenning, który pozował na zadumanego bohatera powieści. Reilly nie byłby zaskoczony, gdyby się okazało, że hrabia dosiada czarnego jak węgiel rumaka.

- Racja, lekarza - mruknął lord. - Co wyjaśnia, dlaczego podpisuje się pan dr Stanton, a nie mr Stanton, czyż nie?

Reilly skinął głową.

- Musi pan im wybaczyć, jeśli na początku będą się do pana zwracali panie Stanton, nie zaś doktorze Stanton. Nasz ostatni człowiek nie dbał o to, więc większość zwracała się do niego panie Donnegal, bo takie miał nazwisko.

Reilly jeszcze raz skinął głową.

- Rozumiem, że pana Donnegala nie ma już wśród nas.

- Tak...

- Słyszałem, że to cholera...

Glendenning spojrział na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

- Tak, cholera. Ale nie było tak, jak pan myśli...

- Och, bez obawy - przerwał mu Reilly. - Nie przywiązuję wielkiej wagi do własnego życia. Przekona się pan, że nie będę się bał pacjentów chorych na cholereę.

Reilly bardzo się starał, żeby jego ton nie zdradzał, jak wielka rozsadzała go radość. Doktor Stanton na myśl o walce z epidemią cholery odczuwał, w przeciwieństwie do każdego innego lekarza, wielkie podniecenie. Wszak cholera była najbardziej przerażającą, niebezpieczną chorobą, i jako taka mogła wyrzucić wrażenie nawet na osobie tak krytycznej jak Christine. A gdyby poświęcił własne życie, by uratować kilka nieszczęsnych dusz, na pewno ujrzałaby go w innym świetle.

Na szczęście, w tej właśnie chwili do stołu podeszła Flora, dźwigająca na tacy ogromną górę jedzenia, i lord Glendenning nie musiał odpowiadać na żarliwe zapewnienie Reilly'ego.

- Ach - powiedział hrabia, umieszczając serwetkę na froncie swej białej koszuli. - Dziękuję, kochana.

Reilly poderwał się i odebrał ciężką tacę od brzemiennej dziewczyny, spostrzegając, że stał się obiektem pełnych zdziwienia spojrzeń służącej i jej pana.

- Dziękuję - powiedziała Flora tonem wyrażającym zaskoczenie.

Na jej policzkach wykwitły jaskrawe rumieńce.

- Eee, tak - odezwał się lord Glendenning, zakłopotany rumieńcem Flory. - Sam bym jej pomógł, oczywiście, ale przedwczoraj uraziłem się w palec...

- Będę go musiał obejrzeć - powiedział Reilly, nakładając jajka na talerz.

- Już mi lepiej - zapewnił go hrabia. - Tylko trochę pobolewa.

- Oczywiście - rzekł Reilly tonem pełnym współczucia. A potem, pomyślawszy, że ich znajomość jest zbyt świeża, by pokpiwać sobie z pracodawcy, zmienił temat. - Porozmawiajmy o domku, lordzie...

- Ach, tak. - Glendenning wepchnął sobie do ust górę jajecz-
nicy, po czym przemówił, rozpryskując ją po całym pomiesz-
czeniu. - Burn Cottage. W tej chwili są z nim niewielkie kłopoty...

- Doprawdy? - Pragnę pana zapewnić, że nie jestem kapryśny.
Wystarczy mi dach nad głową. Jeśli dom nie jest wysprzątany...

- Och, nie o to chodzi - zapewnił go hrabia. - Po prostu nie
pozbyłem się poprzedniej lokatorki.

Reilly uniósł brwi.

- Poprzedniej lokatorki?

- Tak. Jest uparta jak osioł. Widzi pan? - Wskazał palcem
zaczernienie pod prawym okiem. - Uderzyła mnie! Wczoraj
wieczorem rąbnęła mnie pięścią prosto w twarz!

Reilly odłożył widelec i pomyślał, że sam chętnie przyłożyłby
hrabiemu.

- Byłem przekonany - powiedział Reilly głosem tak lodowatym
jak woda, do której wskoczył poprzedniego dnia - że domek jest
przeznaczony dla wioskowego lekarza.

- I słusznie - powiedział hrabia, siorbniejszy piwa. - Tak
właśnie jest.

- Więc skoro poprzedniego lekarza nie ma już wśród nas... -
głos Reilly'ego mógłby zmrozić roztopione masło - ...jak to
możliwe, by ktoś mieszkał w domku lekarza?

- Och. - Hrabia wzruszył masywnymi ramionami. - Została
tam jego córka.

- Chce mi pan zakomunikować, sir... - Reilly miał nadzieję,
że go źle zrozumiał - ...że chce pan wyrzucić sierotę na mróz?

- Sierotę? - parsknął Glendenning. - Bogać tam, sierotę.

Reilly znów pomyślał, że z przyjemnością podbiłby hrabiemu
drugie oko. Nie byłoby to nawet trudne. Byli jednego wzrostu
i wagi. Podczas studiów Reilly radził sobie z o wiele wyższymi
kolegami.

A żaden z nich nie nosił spódnicy.

- Niech mnie pan posłucha, Glendenning - powiedział z nie-

smakiem, odkładając serwetkę. - Nie zgodzę się na to, słyszy pan? Nie pozwolę, by z mego powodu wyrzucił pan niewinną dziewczynę na śnieg. Jeśli będę sobie musiał wynająć inne lokum, zapłacę za nie, na Boga... co pana tak rozśmieszyło?

- Pan - odparł hrabia, krztusząc się ze śmiechu. - Nigdy dotąd nie spotkałem kogoś takiego jak pan, Stanton. Sądziłem, że tacy ludzie przeszli do historii wraz z Okrągłym Stołem!

Reilly zmierzył go gniewnym spojrzeniem.

- Dlaczego? Dlatego, że się nie zgadzam z bogatym lordem, pozbawiającym dachu nad głową nieszczęsne sieroty po to, by oddać ich mieszkanie swemu osobistemu lekarzowi, który będzie leczył jego obolały palec?

Teraz Glendenning rzucił serwetkę.

- Posłuchaj pan, Stanton - powiedział. - Nie podoba mi się pański ton. Po pierwsze, naprawdę uraziłem się w kciuk. Omal nie zdarłem sobie paznokcia. Widzi pan?

Reilly spojrzał beznamiętnie na palec, który hrabia podetknął mu pod nos.

- A po drugie, nie wynająłem pana, aby był pan moim osobistym lekarzem. To prawda, że od zeszłego lata cierpię na pewne przypadłości. Ale ściągnąłem tu pana ze względu przede wszystkim na mieszkańców wioski. A po trzecie, co się tyczy owej nieszczęsnej sieroty, której tak zaciekle pan broni, to niech się pan dowie, że po pierwsze, nie jest sierotą, po drugie, ma prawie dwudziestkę i nie jest, jak pan sobie wyobraża, jakąś bezbronną istotą. Doskonale potrafi walczyć o swoje, o czym dobitnie świadczy fakt, że podbiła mi oko.

- Niech pan sobie przyłoży na to oko plaster mięsa - poradził Reilly bezbarwnym tonem. - To zapobiega opuchliznie. A kciuk należy wymoczyć w ciepłej wodzie.

Glendenning ze zdziwieniem spojrzał na skaleczony palec.

- Naprawdę?

- Tak. Dam panu proszek, który należy wsypać do wody. I powinien pan zabandażować palec. A teraz niech mi pan wyjaśni, co miał pan na myśli, mówiąc, że owa dziewczyna nie jest sierotą. Wydawało mi się, że pan Donnegal nie żyje.

Glendenning pokręcił głową, potrząsając kruczoczarnymi lokami.

- Nigdy tego nie powiedziałem. Donnegal żyje i doskonale się ma.

- Żyje i... - Reilly przerwał i spojrzał zdumiony na swego pracodawcę. - Wydawało mi się, że zeszłego lata zabrała go epidemia cholery.

- W pewnym sensie tak - odparł Glendenning, wzruszając ramionami. - Zabrał żonę, spakował dobytek i odpłynął do Indii. Aby poszukiwać... jak to się nazywa? Ach, tak. Genezy azjatyckiej cholery.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Reilly. - I pozostawił córkę samą? Glendenning wzniosł oczy do nieba.

- A pan ciągle swoje. Nie, nie zostawił córki samej. Miała mieszkać z jego bratem w Londynie. A ona, jak zawsze samowolna i niewdzięczna, przy pierwszej okazji zabrała się i wróciła na Skye.

Reilly spojrzał na lorda w osłupieniu.

- Wróciła? Wróciła na Skye? Dlaczego?

- Skąd mam wiedzieć? Nie powiedziała mi. - Hrabia zmarszczył czoło. - Ale wiem z całą pewnością, że teraz, kiedy pan przyjechał, ona musi się wynieść z domku.

Reilly przyglądał się hrabiemu. Jedną z przyczyn, dla których opuścił Londyn, była nadzieja, że nie będzie widywał ludzi w rodzaju Glendenninga... Członków uprzywilejowanej klasy wyższej, którzy tak wiele myśleli o sobie, nie przejmując się losem tych, za których powinni być odpowiedzialni. Ludzi, którzy traktowali jego ambicję, by zostać lekarzem, z niedowierzaniem, a nawet pogardą. Nie mogli zrozumieć, po co ktoś, kto przyszedł

na świat jako markiz, zawraca sobie głowę zdobywaniem wykształcenia i zawodu. Mogliby to pojąć, gdyby był drugim synem, lecz Reilly był pierworodnym.

Jego zapewnienia, że zawód lekarza fascynuje go, spotykały się z całkowitym brakiem zrozumienia. Determinacja, by zdobyć dyplom, stała się przedmiotem kpin w jego środowisku. Poza plecami Reilly'ego mówiono o „szaleństwie Stillwortha”. A gdy osiągnął cel i upierał się, by pacjenci tytułowali go doktorem, a nie lordem Stantonem, obietnicę miała nawet Christine. Najwyraźniej fakt, że Reilly jest markizem, był ważniejszy niż jego status lekarza.

Lecz dla Reilly'ego, który osiągnął tytuł zawodowy dzięki ciężkiej pracy i zdecydowaniu, był on znacznie cenniejszy niż ten, który odziedziczył tylko dlatego, że jego ojciec skrzył sobie kark, spadłszy z grzbietu ulubionego konia.

Lecz wszystko wskazywało na to, że nawet na takim odludziu jak wyspa Skye nie mógł uciec od hipokryzji i samolubstwa klasy, w której przyszedł na świat.

- Nie godzę się na to. Nie pozwolę, by z mego powodu pozbawił pan tę bezbronną kobietę dachu nad głową...

Glendenning wyszczerzył zęby.

- Niech pan odłoży swój miecz, Lancelocie. A może Galahadzie. Mam swoje powody, by usunąć tę damę z Burn Cottage.

- Poza tym żeby zwolniła dom dla mnie? - Reilly nieufnie spojrział na hrabiego. - I jakież to powody?

- Bardzo proste. - Hrabia znów zajął się swoim talerzem. - Chcę, aby zamieszkała u mnie. A teraz - dodał, wzruszając ramionami - będzie musiała.

5

Reilly poderwał się gwałtownie. Jego krzesło upadło na podłogę z hałasem, który sprawił, że towarzysze wczorajszej bibki poruszyli się i jęknęli przez sen.

Reilly nie dbał o to. Pochylił się i, oparłszy pięści po obu stronach talerza hrabiego, wysyczał przez zęby:

- Ty łajdaku. Gdybym miał przy sobie pistolet, przestrzeliłbym ci na wylot ten twój głupi łeb.

Glendenning zdumiał się, ale nie na tyle, by przestać przeżuwać.

- Uspokój się, Stanton - powiedział. - Chcę się z nią ożenić.

- Co? - spytał Reilly, mrugając powiekami.

- Jasne, że tak. Wyobrażasz sobie, że biorę kochanki siłą?

Na takiego właśnie wyglądasz, pomyślał Reilly, ale głośno powiedział:

- Nie masz nic przeciwko sypianiu z żonami twoich przyjaciół, więc czemu miałbym ci wierzyć?

Twarz Glendenninga pociemniała.

- To nie są moi przyjaciele - zaprotestował energicznie, daleko bardziej obruszony implikacją, że mógłby się pospolitować z rybakami, niżli zarzutem cudzołóstwa. - Żartujesz sobie? To moi poddani. I na tym polega różnica. Prawa feudalne i inne takie.

Reilly z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Prawa feudalne? - powtórzył. To było znacznie gorsze niż wszystko, czego wysłuchiwał w Londynie, gorsze nawet od tego, czego nasłuchiwał się w Oxfordzie.

- Tak. - Glendenning machnął nożykiem do masła. - Lordowi przysługuje prawo defloracji wszystkich dziewic w wiosce, i czemu nie? Co nie oznacza, że z niego korzystam... przynajmniej nie w ten sposób. Chodzi mi o to, że nie domagam się tego prawa. One po prostu przystają na to z ochotą. Sam nie wiem dlaczego.

Ale Reilly wiedział. Hrabia bił swoich rywali na głowę. Któż kobieta o zdrowych zmysłach będzie wolała Adama MacAdamsa od Iaina MacLeoda? Glendenning był wielki jak dom i przystojny, jeśli się lubiło ten typ, a kobiety, z przyczyn niezrozumiałych dla Reilly'ego, najwyraźniej lubiły.

Na dodatek z całą pewnością nie przeszkadzało im, że Glendenning jest najbogatszym kawalerem w okolicy.

- A panna Donnegal? - zapytał Reilly. - Skoro kobiety na wyspie są takie chętne, by wskoczyć do twego łóżka, dlaczego musisz ją nakłaniać, by przeniosła się do zamku? Dlaczego nie łasi ci się do stóp jak obecna tu Rora? - Reilly wskazał głową na drzwi kuchni, za którymi zniknęła służąca.

Glendenning zamyślił się, nie przerywając jedzenia.

- Z całą pewnością powinna - odparł. - Ale jest trochę... jak by to powiedzieć, jest uparta.

- Na tyle uparta, by nie wyjść za mąż za hrabiego? - Reilly uniósł się, by przesunąć swoje krzesło, po czym znów na nim usiadł. - Nie sądzę, by w Londynie znalazła się dziewczyna równie uparta. - No, może z wyjątkiem Christine King. Ale ona odrzuciła markiza, a nie hrabiego. I uczyniła tak między innymi dlatego, że Reilly czuł się przede wszystkim nie markizem, lecz lekarzem.

Glendenning skinął głową. Po raz pierwszy, odkąd podano im

posiłek, przestał się napychac. Pochylił się do przodu i wyszeptał konspiracyjnie:

- Wiem. I powiem ci, Stanton, że zaczyna mnie to trochę... niepokoić. - Zniżył głos jeszcze bardziej. - Zaczynam podejrzewać, że dziewczyna mnie nie lubi.

Reilly także zniżył głos do szeptu, choć trzeba dodać, że jego ton był pełen ironii.

- Nie potrafię sobie wyobrazić dlaczego. Przecież tylko wyrzuciłeś ją z domu.

- Och, nie lubiła mnie na długo przedtem - zapewnił go hrabia. - Jak myślisz, dlaczego zniżyłem się do takich podstępów? Możesz mi wierzyć, że nie czerpię z tego najmniejszej przyjemności. Ale dziewczyna musi się przekonać...

- Jaki z ciebie miły i zmysłny facet?

Glendenning zamrugał powiekami, najwyraźniej biorąc jego słowa za dobrą monetę.

- Nie. Jaka jest głupia. Nigdy w życiu nie złapie nikogo lepszego ode mnie. Przynajmniej nie tutaj. Jestem najbogatszym, najprzystojniejszym i najlepiej wykształconym mężczyzną na tej wyspie.

O co nietrudno, pomyślał Reilly, zważywszy na spotkanych dotychczas przedstawicieli tutejszej męskiej populacji.

- I najskromniejszym - dodał głośno.

Wszystko wskazywało na to, że Glendenning rzeczywiście jest całkowicie nieczuły na ironię.

- Tak. Ten wybieg z domkiem był ostatnią deską ratunku, naprawdę. - Hrabia zamilkł na chwilę, przyglądając się pozostawionym na talerzu resztkom jedzenia. Jego wzrok padł na kawałeczek bekonu. Lord poweselał i dodał: - Chyba że...

Reilly uniósł brwi.

- Chyba że?

- Chyba że ty... - Był zbyt przejęty swoim pomysłem, by wyrażać się jasno.

- Chyba że co zrobię? - zapytał Reilly podejrzliwie.

- Najwyraźniej jesteś inteligentnym człowiekiem. Wykształconym. Oxford i cała reszta. Myślę, że na niej powinno to wywrzeć wrażenie.

- Obawiam się - powiedział Reilly ostrożnie, niezadowolony z kierunku, w jakim zmierzała rozmowa - że nie rozumiem.

- No, po prostu przyszło mi do głowy, że gdyby ktoś taki jak ty... wykształcony... przedstawił jej sprawę, może zechciałaby ją rozważyć...

Reilly przyglądał mu się ze zdumieniem. Podejrzewał, że hrabia będzie zmierzał ku czemuś takiemu, ale żeby powiedzieć coś podobnego, ot tak, bez ogródek... nie wierzył własnym uszom.

- Człowieku, postradałeś zmysły? - wybuchnął.

Lord Glendenning zdawał się go nie słyszeć.

- Nie. To doskonałe rozwiązanie! - powiedział, zapalając się do swego pomysłu. - Ona zawsze rozprawia o jegomościach w twoim rodzaju, co to pisują rozprawy o właściwej pielęgnacji zębów i inne takie. Uszanuj to, co jej powiesz.

- Posłuchaj no - rzekł dotknięty do żywego Reilly. - Nigdy w życiu nie napisałem żadnej rozprawy, a tym bardziej nie o właściwej pielęgnacji zębów...

- Po prostu przedstawisz jej problem - ciągnął Glendenning, nie zwracając uwagi na słowa Reilly'ego - w naukowym świetle. To się jej spodoba. Powiedz jej, że powinniśmy się pobrać, bo należymy do tej samej klasy. Słyszałem pogłoski, że jej stryj, u którego powinna była zamieszkać, jest jakimś parem. Nie ma więc powodu...

- Lordzie Glendenning - Reilly przerwał swemu pracodawcy stanowczo. - Jestem lekarzem, a nie swatem. Z całą pewnością nie przyłożę ręki do zniewolenia tej młodej kobiety.

Hrabia najwyraźniej nie grzeszył rozumem. Był zbyt przystojny, by kiedykolwiek robić z niego użytek, żeby zdobyć to, czego pragnął. Reilly znał ten typ aż nadto dobrze. Połowa studentów Oxfordu była taka jak hrabia i na uczelni znalazła się nie po to,

by zaspokoić głód wiedzy, lecz dlatego, że życzyli sobie tego ich ojcowie i dziadkowie.

W przeciwieństwie jednak do znanych mu gogusiów, hrabia miał pewną chytryść, jakiś zwierzęcy zmysł przeżycia.

To właśnie, bo przecież nie wyrachowanie, sprawiło, że Glendenning powiedział:

- Szkoda. Wielka szkoda. Bo miałem nadzieję, że zabiorę ją z tego domku, zanim się zacznie wiosenna powódź. Kiedy mieszkali tu jej rodzice, wszystko było w porządku, ale tej wiosny znajdzie się tu po raz pierwszy sama, i z jej... problemem... nie jestem pewien, czy powinna zostać bez żadnej opieki...

Reilly nie chciał zadać oczywistego pytania. Zdawał sobie sprawę, że hrabia manipuluje. Nie potrafił się jednak opanować.

- Problem? - zapytał z ociąganiem. - O czym mówisz? Ta młoda dama ma jakiś... problem?

- Cóż, nie miałem zamiaru o tym wspominać - odparł Glendenning zakłopotanym tonem. - A w każdym razie nie tobie. To naprawdę nic niepokojącego. Przynajmniej tak mi się wydaje. Tylko że odkąd tutaj wróciła, zachowuje się trochę dziwnie.

- Panna Donnegal? - zapytał Reilly, aby wyjaśnić sprawę do końca.

- Tak. To nic okropnego. Poza tym, że najwyraźniej uciekła spod opieki osoby, która miała się nią zająć, i bez powodu wróciła tutaj. Odkąd tu przyjechała, zachowuje się... dziwnie.

- Bo nie chce cię poślubić?

- To też... ale są jeszcze inne dziwactwa. Nocami włóczy się po cmentarzu i zapisuje coś w swoim zeszycie.

Reilly wytrzeszczył zdumione oczy.

- Zapisuje coś - powtórzył. - W zeszycie. Na cmentarzu. Nocami.

- Tak. Ale to nie wszystko. Chodzi po zmierzchu po wsi, z tym samym zeszytem, tym z cmentarza. Wstępuje do domów i coś pisze. A potem zamyka się w pokoju i nie chce nikogo widzieć. Nie mówi, co tam robi. Pewnie nic złego. Ale ludzie...

Glendenning wzruszył potężnymi ramionami, a potem ciągnął dalej.

- Ludzie gadają. I muszę ci wyznać, że nie byłbym zadowolony, gdyby ta młoda kobieta została sama, kiedy zaczną się roztopy. Tu, na Skye, zimy są łagodne, ale możesz mi wierzyć, że nie jest tak miło, kiedy w górach topnieją śniegi. I jeśli dziwactwa dziewczyny... posuną się dalej... nigdy sobie nie wybaczę, jeśli znajdziemy ją zamarznąłą lub utopioną. Zapewniam cię, że nie chciałbym zawiadamiac o tym jej rodziców...

- Pewnie.

Reilly starał się, by jego głos nie zdradzał zaniepokojenia. Nie chciał okazać, że jest zdenerwowany. Glendenning prawdopodobnie przesadza, aby zmusić go do współpracy.

Ale jeśli choćby cząstka jego opowieści jest prawdziwa, młoda kobieta rzeczywiście może cierpieć na jakieś zaburzenia psychiczne. Dlaczego porzuciła bezpieczne życie wśród kochających ją bliskich krewnych i wróciła na wyspę Skye, by mieszkać samotnie? A wędrowniacy po wiosce, nie wspominając już o cmentarzu w środku nocy?

Serce Reilly'ego galopowało. Czyżby panna Donnegan miała być jego pierwszą pacjentką?

Zastanówmy się. Skoro dziewczyna naprawdę była niezrównoważona, dlaczego Glendenning pragnął ją poślubić?

- Sądzę, że to oczywiste - odparł lord, gdy Reilly postawił mu to pytanie. - Kocham ją.

Po prostu. Dwa słowa, a niosły z sobą tak wiele informacji. Doprawdy wzruszające poświęcenie dla neurotyczki, która najwyraźniej potrzebowała medycznej pomocy Reilly'ego.

A błądzenie po ciemku z pewnością wynikało z demencji.

Niech no tylko opowie o tym Pearsonowi i Shelleyowi! Zzielenieją z zazdrości.

Jednakże nie chciał okazać entuzjazmu. Wszystko wskazywało na to, że Glendenning ma bzika na punkcie tej kobiety.

- Przypuszczam - powiedział Reilly z namysłem - że nie zaszkodzi, jeśli ją zbadam. Aby wyrobić sobie zdanie o naturze jej, hm, rozstroju.

Glendenning z zadowoleniem klasnął swymi ogromnymi dłońmi. Wywołując dźwięk przypominający niezbyt odległy grzmot, który sprawił, że kilku pijanych towarzyszy Reilly'ego jęknęło przez sen.

- Wiedziałem, że będziesz odpowiednim człowiekiem na to stanowisko - powiedział uszczęśliwiony. - Od pierwszego spojrzenia.

Nasz bohater uznał, że nie ma potrzeby wspominać hrabiemu o fakcie, że jego oczy po raz pierwszy spoczęły na Stantonie, gdy wspierał się on twarzą na szynkwasiu miejscowej tawerny.

- Gdzie znajdę trochę ciepłej wody? - zapytał. - Chciałbym się umyć, przebrać i ogolić...

W ten oto sposób godzinę później Reilly znalazł się na grzbiecie kosmatego i nieco narowistego rumaka, przysłanego ze stajni hrabiego specjalnie do osobistego użytku pana doktora, jak zapewnił chłopak, który go sprowadził. Chłopak, o imieniu Rob, nazwany tak na cześć pradawnego króla, miał służyć Reilly'emu za przewodnika po wyspie. Swoją rolę wypełniał bardzo lakonicznie, wskazując Reilly'emu jedynie zamek Glendenning, górujący nad wsią, jeśli owa zbieranina szop ustawionych wzdłuż przystani zasługiwała na to miano.

Reilly uznał, zadzierając głowę, gdy przejeżdżali pod zamkiem Glendenning, że nie sprawia on wrażenia specjalnie przytulnego miejsca. Poranne słońce wymiotło wczorajszą mgłę i Reilly po raz pierwszy mógł się rozejrzeć po okolicy, znajdując ją raczej miłą. Wszystko, począwszy od krytego strzechą dachu piwiarni Pod Udręczonym Zającem, po budynki zamkowe, zasypał śnieg, a w miejscach, w których śnieg zaczął topnieć, utworzył się lód. Gałęzie kilku widocznych drzew skrzyły się w promieniach zimowego słońca. Po drodze do zamku Reilly i jego przewodnik

minęli owce o sierści pokrytej drobnymi kropelkami zamarzniętej wody.

Wziąwszy wszystko razem, Reilly był bardzo zadowolony ze swej decyzji, by przybyć na wyspę Skye. To prawda, że tutejsi ludzie, może z wyjątkiem niepokojącej panny Donnegal, oraz zadziwiającej, lecz bardzo irytującej Brenny, byli prości, co napawało go optymizmem po londyńskich pacjentach, którzy zazwyczaj nie zgadzali się z jego diagnozami, upierając się, że ich choroba jest bardziej dramatyczna lub egzotyczna. Cierpiąc na ropień okołomigdałkowy, obstawali, że to malaria, a mając zwykłą niestrawność, byli przekonani, że to rzadka choroba serca. Nie miał nadziei, by kiedykolwiek miało się to zmienić. Lecz tutaj miał nareszcie szansę udowodnienia swoich medycznych umiejętności.

Chłopak o imieniu Rob prowadził w górę łagodnego zbocza. Nawierzchnia, po której szły konie, była nierówna i skalista, lecz najwyraźniej stanowiła coś w rodzaju drogi, a raczej ścieżki. Ludzi w wiosce było niewiele. Reilly dowiedział się z lektury, że po zarazie, która zabrała prawie jedną trzecią populacji, żyło tam zaledwie około stu osób. Kiedy mijali cmentarz, spostrzegł zniszczoną kartkę przyklejoną do czarnego pnia drzewa, informującą wiernych, że cmentarz jest przepełniony i zabrania się indywidualnych pochówków; zezwala się jedynie na kopanie zbiorowych grobów.

Lecz nawet to ponure przypomnienie okropieństw minionego lata, a nie było ono miłe nawet w Londynie, choć żaden z pacjentów Reilly'ego nie zaraził się cholera, chorobą nękającą zwłaszcza biedne dzielnice, nie zdołało popsuć mu nastroju. Wdychał czyste, ostre, słońca we powietrze, znacznie przyjemniejsze niż przesiąknięte sadzą powietrze Londynu, duszące od dymu pochodzącego z węglowych pieców. Zrozumiał, że istoty ludzkie zostały stworzone przez Boga, by żyć tak jak tutaj, a nie w wielkim mieście, gdzie muszą się tłoczyć jedne nad drugimi. I poczuł przypływ nie-

kłamanego współczucia dla Pearsona i Shelleya, którzy o tej porze niechybnie znajdowali się w drodze do pacjentów i z pewnością utknęli w korku.

- Niech pan patrzy - odezwał się chłopak. - To jest Burn Cottage.

Reilly spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył czarujący, śliczny mały domek, usytuowany na brzegu czegoś, co w lecie musiało być rwącym potokiem, lecz w zimie stanowiło zwyczajną rzeczkę szerokości około sześciu metrów, o wartkim nurcie. Poprzez rzeczkę przerzucony był prosty drewniany most, wystarczająco szeroki, by pomieścić konnego jeźdźca, lecz zbyt wąski, by przepuścić jakikolwiek pojazd. A więc, pomyślał Reilly, to jest ów potok. Doskonałe miejsce na domek.

- Śliczny jak z obrazka - zachwycił się Reilly.

Chłopak ściągnął cugle konia i beznamiętnie spojrział na domek. Kryty słomą dach nie wydawał mu się tak malowniczy jak Reilly'emu, bo pod taką samą strzechą spędził niejedną zimą, szcękając zębami. Do potoku miał równie pogardliwy stosunek.

- Tak - odparł Rob, spinając swego kuca piętami. - Pali się w piecu. - Wskazał głową smużkę dymu, snującą się z jedyne go komina. - Napijemy się czegoś ciepłego.

Kucyk przeszedł przez most, stukając kopytami. Reilly posłusznie ruszył za swym przewodnikiem, myśląc, że Burn Cottage jest ostatnim miejscem, w którym można postradać zmysły. Trudno sobie wyobrazić pogodniejszą okolicę. Natomiast zamek Glendenning, ze swymi prastarymi wieżami i ponurymi ciemnymi murami, doskonale nadawał się na siedzibę obłąkanej kobiety...

Chłopak już zsunął się z siodła i zmierzał do domku energicznym krokiem, pewny, że zostanie dobrze przyjęty. Reilly zsiadł z konia, rozglądając się po dobrze utrzymanym podwórku i po okrytych śniegiem ogródkach, z których jeden z całą pewnością był warzywny, o czym świadczyły suche krzaki pomidorów, drugi służył do uprawy ziół, a w trzecim uprawiano kwiaty. Schłodzone otoczenie

zdawało się mówić, że szaleństwo może przybierać różne formy, a osoba obłąkana skrywa swoje ponure tajemnice w czterech ścianach domostwa. Reilly nigdy dotąd nie zetknął się z furiatką, ale Pearson leczył pewną włoską księżnę, która miała niefortunny zwyczaj zwabiania gołębi na swój strych, gdzie rozdzierała je i pożerała na surowo. Pearson napisał artykuł o owej nieszczęsnej staruszce i odczytał go na spotkaniu medyków, gdzie bardzo dobrze go przyjęto.

Możliwe, myślał Reilly, gdy Rob stukał do drzwi, że uda mi się napisać artykuł o nieszczęsnej pannie Donnegal. Zamiłowanie do studiowania napisów na nagrobkach było niezwykle rzadką nerwicą. Reilly nigdy dotąd nie zetknął się z przypadkiem chorego, spisującego dane zmarłych, a taki symptom z pewnością wywarłby wrażenie na jego kolegach po fachu. Nie sądził jednak, by wzbudził zainteresowanie Christine, która odniosłaby się do czegoś takiego ze zrozumiałym obrzydzeniem...

Wtedy drzwi otwały się i Reilly znalazł się oko w oko z mieszkanką domku. Kobieta, znana w wiosce pod imieniem panny Brenny, spoglądała na niego bardzo przytomnie i niezwykle wrogo.

Dopiero wtedy Reilly zdał sobie sprawę, w jakich znalazł się tarapatach.

Brenna patrzyła na stojącego na progu wysokiego mężczyznę, myśląc, że nie traci on czasu. Mój Boże, przecież dopiero się zjawił na wyspie, a już przybył domagać się swego nowego domu?

Cóż, tacy właśnie byli ci londyńczycy. Całkowicie pozbawieni dobrych manier.

- Robię, co mogę - powiedziała, zdając sobie sprawę, że jej ton brzmi zgryźliwie - ale ponieważ dopiero wczoraj wieczorem dowiedziałam się o pańskim przybyciu, musi mi pan dać dzień lub dwa. Nie miałam czasu, by się spakować, nie wspominając już o szukaniu nowego mieszkania.

Mężczyzna patrzył na nią ze skrajnym zdumieniem... Ktoś z wykształceniem medycznym mógłby nawet stwierdzić, że jest bliski apopleksji. Brenna nie pojmowała dlaczego.

- Z przyjemnością porozmawiam na ten temat przy innej okazji - powiedziała szybko. - Lecz, jak pan widzi, właśnie przyjmuję pacjenta... - Wskazała młodego chłopca, który obejmował ramionami czarno-białego psa, leżącego bezwładnie na kuchennym stole. Pacjentem był oczywiście pies: Lucais, owczarek collie, należący do młodego Hamisha MacGregora, uwielbiał gonić króliki, co często kończyło się kłopotami, a w tym konkret-

nym przypadku utknięciem w jednej z pułapek, jakie Glendenning zastawiał na wilki.

Doktor Stanton nie wiedział tego wszystkiego. Sądził, że pacjentem Brenny jest chłopic.

- Dlatego - ciągnęła Brenna - proszę przyjść kiedy indziej. Do widzenia.

Zamierzała zamknąć drzwi, myśląc, nie bez satysfakcji, że ubrany doktor Stanton onieśmielają w znacznie mniejszym stopniu niż wtedy, gdy jest pozbawiony koszuli...

Coś jednak zatrzymało drzwi, które następnie zaczęły napierać na nią, pomimo że z całych sił popychała je w przeciwną stronę.

- Doktorze Stanton - powiedziała Brenna, zapierając się nogami. - Doprawdy...

Podparła drzwi plecami i dała znak Hamishowi, by jej pomógł. Chłopak podbiegł ochotczo, chętny do udziału w czymś, co zapowiadało doskonałą zabawę, i przyłączył się do pchania ciężkich drewnianych dźwierzy.

Na nic. Reilly wpadł do sieni, jakby ich połączone siły nie stanowiły żadnej przeszkody, i stanął, przyglądając się im dwojgu zdumionym wzrokiem.

W końcu doktor odzyskał mowę.

- Dobry Boże! To pani! Nie byłem pewny - wykrzyknął wzburzony.

Brenna, nie mając pojęcia, o czym Stanton mówi, odwróciła się do niego plecami i podeszła do swego pacjenta, który uniósł kosmaty łeb i przyglądał się przybyszowi, stukając ogonem o blat stołu. Psia łapa, którą przychwyciły szczęki wyjątkowo paskudnych wnyków, była w opłakanym stanie. Brenna właśnie zszywała ranę, gdy przeszkodziło jej stukanie doktora.

- Jak pan chce - powiedziała oschle, ujmując igłę i wracając do przerwanej zajęcia. - Jednakże istnieje zwyczaj, każący zaczekać z wprowadzeniem się do domu, aż poprzedni lokator go opuści...

Hamish, bystrooki, piegowaty jedenastolatek, spoglądał na Reilly'ego Stantona z wielkim zainteresowaniem.

- Kto to? - zapytał.

- Nowy lekarz - odparła Brenna. - Przybył, by zająć moje miejsce. A teraz mocno przytrzymaj Lucaisa, tak żeby się nie ruszał.

- Nie może tego zrobić! - wykrzyknął Hamish, spoglądając gniewnie na doktora Stantona.

Pan doktor, zauważyła Brenna kątem oka, zdjął kapelusz, jakby dopiero teraz przypomniał sobie, że jest dżentelmenem. Staął obok stołu i przyglądał się jej pracy, zapomniawszy języka w gębie.

Hamish miał jednak wiele do powiedzenia.

- Panna Brenna zawsze tu mieszkała - oświadczył wrogim tonem. - Nie może jej pan wyrzucić. Niech pan tylko spróbuje, a... przyłożę panu!

Brenna, jakkolwiek zirytowana zachowaniem doktora Stantona, nie mogła powstrzymać uśmiechu, słysząc pogrożki chłopca. Hamish sięgał doktorowi zaledwie do pasa, lecz wcale go to nie powstrzymywało. Starła się, by chłopiec nie zauważył jej robawienia.

- Ależ - wybąkał wreszcie doktor Stanton, odzyskując mowę - nie mam najmniejszego zamiaru jej stąd wyrzucić. Przyszedłem tutaj, bo lord Glendenning powiedział mi, że domek zamieszkuje panna Donnegal, kobieta, która... Ale... - po zupełnie sensownym początku doktor Stanton stracił wątek. - ...Ale zapomniał wspomnieć, że panna Donnegal to pani.

Brenna spojrzała na niego beznamiętnym wzrokiem.

- Tak - powiedziała. - Wyobrażam sobie, że przeżył pan prawdziwy wstrząs. Jeżeli zechce pan chwilę zaczekać, chętnie to z panem przedyskutuję, lecz teraz, jak już wspomniałam, jestem raczej zajęta. Będziesz tak sterczał w drzwiach jak słup czy podejdiesz wreszcie do stołu, Rob? Robi się zimno.

Rob, który nie słyszał z bystrości, mruknął coś pod nosem

i zatrzasnął drzwi kopniakiem. Brenna wskazała głową ogień w palenisku.

- W czajniku jest herbata - powiedziała, zwracając się do nieszczęsnego chłopaka. - Nalej sobie. Uważaj, bo jest gorąca.

Rob pośpieszył w stronę paleniska, ściągając łapawice. Doktor Stanton rozejrzał się po pomieszczeniu. Planuje, jak rozmieści swoje rzeczy, pomyślała Brenna. Bezczelny nicpoń.

Lecz on odezwał się z galanterią.

- O tej porze dnia światło nie jest zbyt dobre. Poświecę pani lampą.

I ku zdumieniu Brenny zapalił oliwną lampę, która stała na półce nad paleniskiem, i przytrzymał ją nad Lucaisem, spoczywającym na kuchennym stole.

Brenna, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, wymamrotała słowa podziękii i wróciła do zszywania rany.

Zapanowało milczenie. Brenna słyszała, jak Rob hałaśliwie nalewa sobie herbaty, dodaje mleka i wrzuca do kubka sześć kawałków cukru, zmieniając ciecz w ulepek. Słyszała dyszenie Lucaisa, dzięki Bogu, regularne, oraz oddech jego właściciela, nieco szybszy i płytszy niż za zwyczaj, co zdradzało, że chłopiec ma trochę mniejsze zaufanie do jej umiejętności niż pies.

I wtedy na podłodze wylądował na czterech łapach Eric, kot, chcąc sprawdzić, co się dzieje. Następnie rozległ się furkot skrzydeł, gdy Jo, oswojona wrona Brenny, sadowiła się na belce pod sufitem. Pod stołem przysiadła Sorcha, beżowa suka o zaniepokojonym spojrzeniu: Lucais był jej ulubionym towarzyszem zabaw.

Brenna odczuwała bliskość stojącego obok niej mężczyzny. Doktor Stanton nachylił się ku niej, starając się jak najlepiej oświetlić ranę, którą zszywała, tak blisko, że Brenna czuła ciepło jego ciała. Myliła się, sądząc, że doktor mniej ją onieśmiela, gdy jest ubrany, niż wtedy gdy był bez koszuli. W obydwu przypadkach wywierał na Brennie jednakie wrażenie. Jego wysoka męska postać wydawała jej się groźna i niepokojąca...

A przynajmniej powinna się taka wydawać. Och, Brenna czuła zakłopotanie, lecz nie dlatego, że znalazła się sam na sam z takim potężnym mężczyzną. To znaczy niezupełnie sama. Rob i Hamish nie liczyli się jednak ponieważ nie byłiby w stanie odciągnąć Reilly'ego Stanton, gdyby zechciał jej czynić jakieś niestosowne awanse...

Których, niestety, nie czynił.

Niestety? Co się ze mną dzieje? Nie jestem ani na jotę lepsza od tej Maeve, wodzącej wzrokiem za młodym lekarzem, jak jakaś zakochana pensjonarka, pomyślała ze zgrozą. Niepokoił ją nawet zapach mydła do golenia, którego doktor użył tego ranka. Była to ostra, świeża woń, w której po chwili rozpoznała aromat lawendowego mydła pani Murphy. Z pewnością pożyczyla jedną kostkę młodemu lekarzowi. Nie był to zapach szczególnie prowokujący, a jednak, zmieszany z wonią ubrań doktora, które musiały zostać wyprane tuż przed zapakowaniem ich do kufra, wywoływał lekkie łaskotanie wzdłuż ramion Brenny.

Na próżno tłumaczyła sobie, że dzieje się tak dlatego, że od dawna nie przebywała w pobliżu mężczyzny, który regularnie zażywa kąpieli. Kiedy ukończyła zszywanie rany Lucaisa, była rozpalona jak w upalny letni dzień i musiała na chwilę wycofać się do sypialni.

Podbiegła do urny walni i przytknęła do twarzy wilgotny ręcznik. Co się ze mną dzieje? - zastanawiała się zaniepokojona. Zalewała się rumieńcem niczym Flora, ilekroć w drzwiach piwiarni ukazywał się Glendenning.

I dlaczego? Dlatego że mężczyzna - mężczyzna, pachnący jak żaden inny spośród ostatnio spotykanych - stanął nieco za blisko.

Przedziwne! Przecież to tylko lekarz, irytujący młody doktor, którego Iain MacLeod, dziewiętnasty hrabia Glendenning, sprowadził tu, aby uprzykrzyć jej życie. Zapaleniec, tak nazwał go lord Glendenning, i miał całkowitą rację. Bo mężczyzna pachnący tak ładnie mógł przybyć na to odludzie, tylko będąc zapaleńcem.

Na Skye z całą pewnością nie mógł liczyć na chwałę ani na bogactwo.

Tego była całkowicie pewna.

Kiedy wreszcie doprowadziła się do porządku i zabrała kilka rzeczy z przyległego pokoju, jak zawsze starannie go zamykając, młody lekarz był zatopiony w rozmowie z Hamishem, który wyzbył się swojej wrogości na tyle, by niepochlebnie roztrzasać zwyczaje lorda Glendenninga, zastawiającego wnyki na należących do niego terenach.

- Twierdzi, że wilki pożerają zwierzynę płową - mówił Hamish. - Ale ja nigdy nie widziałem tu żadnych wilków. Może lisy, ale na pewno nie wilki.

Doktor Stanton siedział przy stole jadalnym. Jedną dłonią podpierał brodę, a drugą, nieświadomie, głaskał prawe ucho Lucaisa. Słuchał uważnie, kiwając głową.

- Przez niego - ciągnął Hamish - poczciwe psy, w rodzaju Lucaisa, wpadają w pułapki i łamią sobie łapy.

- Nie była złamana - sprostowała Brenna, wchodząc do kuchni. - Kość jest cała.

Na jej widok doktor Stanton podniósł się grzecznie, jak przystało na dżentelmena z Londynu, a Brenna zauważyła, że jego ciemne oczy zalśniły. Szybko odwróciła wzrok, zdenerwowana, bo znów poczuła falę ciepła, chociaż przed chwilą ochłodziła się lodowato zimną wodą.

- Jednakże włożę ją w łubki - ciągnęła, zadowolona, że jej głos brzmi normalnie. Obecność przystojnego doktora Stantona nie sprawia na mnie wrażenia. Żadnego wrażenia, powtarzała w myśli. - Pilnuj, żeby Lucais ich nie zdjął, dobrze, Hamish?

Chłopiec wymamrotał coś niezrozumiałego. Z pewnością dlatego, że podobnie jak Rob, zapchał sobie usta ciastem, które Brenna wyjęła z szafki.

- Muszę przyznać - powiedział Reilly Stanton - że podziwiam

pani wspaniałe umiejętności. - Wskazał łapę psa. - Uczyła się pani od ojca?

- Tak - odparła Brenna. Usiadła, starając się nie okazywać, jak bardzo jest zakłopotana spojrzeniem doktora Stanton. Miała nadzieję, że nie zacznie być dla niej miły. Bo jakże miałyby go nienawidzić, jeżeli będzie dla niej miły?

- Rozumiem - powiedział doktor - że po wyjeździe ojca zajmuje się pani leczeniem tutejszych ludzi?

- Ludzi - odparła Brenna, niewyraźnie, ponieważ trzymała w zębach kawałek drewnianka, bandażując psią łapę - a także ich zwierzęta, jak pan widzi.

- Z pewnością odczuła pani ulgę na wieść o moim przyjeździe.

Brenna spojrzała na niego zdumiona. Do tego wszystkiego taki zarozumiała i arogancka...

- Ma pani mnóstwo pracy - wyjaśnił szybko, w obawie, że jego słowa zostały źle zrozumiane... a najwyraźniej tak się stało. - Spiesząc na każde zawołanie mieszkańców wsi. Zwłaszcza że, jak sądzę, ma pani inne sprawy na głowie.

- Wcale nie - odparła Brenna. Teraz już wyraźnie, bo wyjęła z ust drewnianko i przymocowała je do łapy Lucaisa.

- Pomyślałem sobie... wie pani... że będąc młodą kobietą, może pani... Wszystkie młode damy, które znałem w Londynie, spędzały większość... czasu... na zakupach, przyjęciach i...

Zamilkł, napotkawszy wzrok Brenny. Nie wiedziała, jaki ma wyraz twarzy, lecz musiał być pełen zdumienia, bo doktor szybko dodał:

- Lecz nie sądzę, by na Skye odbywały się jakieś przyjęcia.

- I słusznie - powiedziała Brenna, owijając psią łapę długim bandażem w nadziei, że gruba warstwa materiału odwiedzie Lucaisa od zamiaru wyciągnięcia szwów.

- I nie sądzę - ciągnął doktor Stanton - by pani na nich bywała, nawet gdyby się tu odbywały.

Brenna poczuła, że się rumieni, ale tym razem z całkiem innego

powodu. Jak on śmie? - pomyślała oburzona. Jak śmie, tylko dlatego, że jest wykształcona, podejrzewać ją o brak kobiecości i nieumiejętność cieszenia się z przyjęć? Brała przecież udział w kilkunastu przyjęciach i na wszystkich doskonale się bawiła...

No dobrze, może nie na kilkunastu i może nie bawiła się tak doskonale, ale on przecież i tak nie może tego wiedzieć. I co ją obchodzi, co na jej temat pomyśli sobie ten wysoki londyński karierowicz w pachnących czystością ubraniach? Nie obchodzi ją nic a nic.

Tylko że...

Tylko że nie byłaby skrupulatnym naukowcem, za którego się uważała, gdyby nie odnotowała faktu, że Reilly Stanton jest nadzwyczajnie pociągającym mężczyzną, który nie tylko regularnie się kąpie, ale na dodatek nie wydaje się całkowicie pozbawionym inteligencji. I sądząc po wcześniejszych reakcjach na bliskość doktora, trudno będzie oprzeć się jego atrakcyjności.

Jednakże nie da się uwieść światowym manierom i woni lawendowego mydła. Wystarczy sobie przypomnieć, po co zjawił się w jej domu.

- A więc to lord Glendenning przysłał pana tutaj, doktorze Stanton? - spytała, klepiąc Lucaisa po głowie, aby pokazać, że skończyła go opatrywać. Pacjent wyszczerzył zęby w psim uśmiechu i postukał ogonem w blat stołu na znak, że nie żywi do niej urazy.

- Nie - żarliwie zaprzeczył doktor Stanton.

- Och? - zdziwiła się Brenna i uniosła brwi. - Wydawało mi się, że tak pan powiedział. W takim razie przychodzi pan tu z własnej inicjatywy? Zamierza pan zrobić jakieś pomiary? W czasie deszczu kominek trochę kopci, ale poza tym mogę z całego serca zarekomendować to miejsce.

Z satysfakcją stwierdziła, że udało się jej zdenerwować doktora. Pociemniał na twarzy i wyjąkał:

- Ja nie... nie po to tutaj przyszedłem. - A następnie, kiedy

usiadła, uśmiechając się pogardliwie, dorzucił gwałtownie: - No, dobrze. Przysłał mnie lord Glendenning. Ale nie po to, bym oglądał domek...

- Nie? - zdziwiła się Brenna. - W takim razie...

I wtedy pojęła.

I nagle zalała się rumieńcem po raz trzeci. Lecz tym razem z wściekłości.

- Ach, tak. Już rozumiem! - wykrzyknęła, zrywając się z krzesła tak gwałtownie, że przestraszyła Jo, która zatrzepotała skrzydłami. - Przysłał pana, żeby mnie pan zbadał. Mam rację? - Poznała po zakłopotanym wyrazie twarzy Stantona, że się nie myliła. - Co on panu naopowiadał? Że mam źle w głowie? Nie, niech pan nic nie mówi, wiem. Że mogę sobie zrobić krzywdę.

- Nic takiego nie powiedział - zaprzeczył Stanton z nieszczerym oburzeniem.

- Oczywiście, że tak właśnie powiedział. Przysłał tu pana, by obejrzał pan nieszczęsną, żalowaną pannę Donnegal, mając nadzieję, że zachęci ją pan, by przyjęła jego szlachetną propozycję małżeństwa. - Zaczęła przemierzać pomieszczenie, furkocząc spódnicą za każdym obrotem. Nigdy dotąd nie była tak rozwścieczona. - Ale zapomniał panu powiedzieć, że panna Brenna, którą poznał pan zeszłego wieczoru, i nieszczęsna żalowana panna Donnegal to ta sama osoba, czy nie tak? - Pokręciła głową. - I doznał pan wstrząsu, gdy otworzyłam drzwi, prawda?

Na to pytanie odpowiedział z całą szczerością.

- To nie był wstrząs - przyznał. - Rozczarowanie, że nie jest pani w spodniach.

Jego szczerość, a nie, jak starała się przekonać samą siebie, uśmiech, wytrąciła ją z równowagi. Patrzyła na niego, nie wiedząc, co powiedzieć...

I właśnie w tej chwili, po raz trzeci tego ranka, ktoś zastukał do drzwi Burn Cottage...

To bez wątpienia on - parsknęła dziewczyna. Była naprawdę rozgniewana. Może i nie bywa zbyt często na przyjęciach, pomyślał Reilly, ale po mistrzowsku opanowała sztukę kobiecej wyniosłości.

- Ano sprawdzimy - odparł Reilly. Z ochotą podsycił jej gniew. Nieczęsto zdarzało mu się oglądać ładną dziewczynę tak bardzo rozżłoszczoną. - Tak, ja także sadzę, że to właśnie on.

Jego słowa jeszcze bardziej rozjątrzyły Brennę. Reilly pomyślał, że bez przesady można by powiedzieć, że jej lśniące niebieskie oczy ciskały błyskawice.

Był pełen podziwu. Christine w najgwałtowniejszym przypływie furii - na przykład rozsierdzona niesprawiedliwym traktowaniem dzieci przez ich pracodawców - nie dorastała pannie Brennie Donnegal do pięt. Oburzenie tej ostatniej nie miało sobie równych.

Reilly poczuł, że mu żal Iaina MacLeoda. Kiedy chodziło o tę młodą damę, hrabia zupełnie tracił rezon. Nie miał bowiem najmniejszej wątpliwości, że gdy Brenna Donnegal otworzy drzwi i ujrzy stojącego na progu jej domu lorda Glendenninga, podbije mu drugie oko. Reilly zajął pozycję, z której w razie potrzeby będzie mógł pospieszyć damie na pomoc... a także z której będzie miał dobry punkt widzenia na rozwój wypadków.

Gdy jednak panna Donnegal otworzyła drzwi, na progu stał nie hrabia, lecz jedna z dziewcząt z tawerny, posiniała z zimna.

- Och! - wykrzyknęła Maeve. - Och, panienko!

- Na Boga! - Zdumiona panna Donnegal chwyciła dziewczynę za rękę. Zanim Reilly zdążył zrobić krok w ich stronę, pociągnęła służącą w pobliże paleniska, bezceremonialnie odpychając Roba, Hamisha i bardzo niezadowolonego kocura.

- Przemarzałaś do kości, Maeve - skarciła ją panna Donnegal. - Trzeba mieć źle w głowie, żeby w taką pogodę wyjść z domu w samej tylko chuście.

- To Flora - wyjąkała Maeve, szczękając zębami. - Nadeszła jej pora. Musi pani pędzić do zamku.

Tego już było zbyt wiele. Reilly miał zamiar się usunąć i, wraz z Robem i Hamishem, zająć się ciastem, ale co za dużo, to niezdrowo.

- Do zamku? - spytał, patrząc na dygoczącą z zimna dziewczynę. - A cóż Flora robi w zamku?

- Zawsze idzie do zamku - wyjaśniła panna Brenna - kiedy nadchodzi jej pora.

- Naprawdę? - Reilly uniósł brwi. Odkąd przeszedł przez mostek nad potokiem, spotykały go same niespodzianki. Powinien się był domyślić, że hrabia... łagodnie mówiąc, upiększa fakty. Jednakże trudno mu było dociec, jak bardzo lord Glendenning rozminął się z prawdą.

Wszystko wskazywało na to, że panna Donnegal jest w pełni władz umysłowych, poza tym że posiada niespotykaną u młodych dam zdolność pozwalającą przejrzeć na wylot hrabiego oraz jego byronowskie pozy.

Kiedy drzwi Burn Cottage otworzyła mu ta sama młoda kobieta, która minionej nocy potraktowała go tak szorstko, jego zdumienie było bezgraniczne. Doznał wstrząsu tak wielkiego, że dopiero chwilę później udało mu się powiązać pannę Brennę z panną Donnegal, tą samą, w której durzył się lord Glendenning.

Tą samą, której ojciec był tutejszym lekarzem, dopóki tak bezceremonialnie nie porzucił swego stanowiska.

Tą samą, z powodu której Reilly nie był pewny dachu nad głową.

To panna Donnegal przywróciła do życia przewoźnika. Panna Donnegal popijała whisky prosto z butelki, panna Donnegal nosiła obcisłe spodnie, panna Donnegal zniknęła we mgle, dosiadłszy konia na oklep.

I to ona tak bardzo go nie lubiła.

Co było niesprawiedliwe. Przecież nie wiedział, w co się pakuje, odpowiadając na ogłoszenie, które Iain MacLeod zamieścił w „Timesie”.

A przynajmniej nie całkiem sprawiedliwe.

Jego rozmyślenia przerwał gardłowy głos panny Donnegal.

- Zabierz Lucaisa do domu. Pilnuj, żeby poleżał przez co najmniej jeden dzień. I wracajcie przez most. Chora noga musi być sucha. - Trzeba było dłuższej chwili, by Reilly pojął, że dziewczyna zwraca się nie do niego, lecz do chłopca z owczarkiem collie. - Przyjdź z nim za kilka dni, a gdybyś poczuł dziwny zapach albo gdyby pies cierpiał, przyjdźcie wcześniej.

Chłopiec posłusznie skinął głową.

- Tak, panienko - powiedział. - Chodź, stary. - Pies zeskoczył ze stołu na cztery łapy, tylko trochę oszczędzając zranioną stopę.

Reilly ostrożnie zwrócił się do panny Donnegal.

- Ma pani pojęcie, jak daleko zaszła? Znaczy, Flora.

- Wystarczająco daleko - rzuciła panna Donnegal i zniknęła w sąsiednim pokoju. Do Reilly'ego dobiegł jej głos, gardłowy, lecz pełen dziwnej słodyczy. - O której wyruszyła w stronę zamku, Maeve?

- Trudno powiedzieć. - Maeve odzyskała nieco kolorów, dzięki bliskości kominka i filiżance herbaty, którą panna Donnegal podała jej, zanim przeszła do sąsiedniego pomieszczenia. - Było po śniadaniu, ale jeszcześmy nie pozmywały. Miałyśmy dużo zmywania, bo lord Glendenning przyszedł na śniadanie.

Dobry Boże, pomyślał Reilly. Dziewczyna musiała harować od świtu. A on zgodził się na to, pozwalając, by ten potwór Glendenning obudził ją i zażądał, by im przygotowała to obfite śniadanie. Poczul się winny. Teraz dziecko pojawi się na świecie przed czasem, a jemu przyjdzie żyć ze świadomością, że stało się tak z powodu kilku kiełbasek.

- Ale Flora nie pomagała przy zmywaniu, bo powiedziała, że ma ochotę coś przekąsić... - dodała Maeve takim tonem, jakby nadal nie mogła uwierzyć w to usprawiedliwienie. Zupełnie jakby sądziła, że cała ciąża Flory była wymysłem, służącym tylko do tego, by się wykręcić od zmywania. - A zaraz potem włożyła rękawiczki i powiedziała mi, że mam biec i sprowadzić...

- Tak - odezwał się Reilly pocieszającym tonem. - Tak. Oczywiście. Już tam jadę. Rob, wskakuj na kuca i jedź do gospody po moją torbę z przyrządami lekarskimi, dobrze? Przywieź ją wprost do zamku. Tam się spotkamy.

Rob, którego Reilly nie uważał za orła, gapił się na niego ogłupiałym wzrokiem.

- Słyszałeś mnie, Rob? - Reilly miewał już do czynienia z durnowatymi służącymi, ale ten bił wszelkie rekordy. - Rusz się! Mam tu... - Wsunął dłoń do kieszeni spodni i wyciągnął z niej monetę. - Masz tu gwineę.

Rob nie ruszył się z miejsca, dopóki Reilly nabrał podejrzeń i zapytał:

- O co chodzi?

Rob zerknął na Maeve i odparł nerwowo:

- D...dopraszam się łaski, panie... Ale to nie pana chce Flora. Ona chce panny Brenny.

- Panny Brenny? - powtórzył Reilly z niedowierzaniem.

- Tak, proszę pana - powiedziała Maeve, wytrzeszczając swoje niebieskie oczy. - Panna Brenna przyjmowała wszystkie dzieci Flory. Z pomocą pana Donnagala.

- Wszystkie... - Teraz Reilly wytrzeszczył oczy. No tak, prze-

cięż dziewczyna wspomniała, że Flora za każdym razem idzie do zamku, „gdy nadchodzi jej pora”. Ileż to razy tak tam bywała? - Ile dzieci ma panna Flora?

Maeve szybko policzyła na palcach.

- To chyba będzie jej czwarte.

Czworo dzieci? Czworo? A wszystkie urodzone przez tę małą dziewczynkę, która sama wygląda jak uczennica? Toż to barbarzyństwo. Gorzej niż barbarzyństwo. To...

- Rob! - W sąsiednim pokoju rozległ się głos tej nieustraszonej panny Donnegal. - Idź osiedłać Willow i szybko ją tu sprowadź. Bądź dobrym chłopcem.

Ku zaskoczeniu Reilly'ego, chłopak wepchnął do ust ostatni kęs ciasta i wypadł na dwór. Reilly obejrzał się i zobaczył, że amazonka - bo tak nazywał ją w myślach, jako że określenie „panna Donnegal” wydawało mu się zbyt oficjalne dla owego zjawiska, składającego się z samych płomieni i siły charakteru, a imię „Brenna”... zupełnie do niej nie pasowało - wychodzi z pokoju, który musiał być jej sypialnią.

Pomimo zmieszania stwierdził z zachwytem, że Brenna zmieniała suknię, którą miała na sobie w chwili jego przybycia - doprawdy uroczą szatę ze wspaniałej niebieskiej wełny, której barwa wydobywała złociste lśnienia jej rdzawych włosów, lecz po porażającym stroju z zeszłego wieczoru sprawiła mu lekki zawód - na te same, co wczoraj, spodnie. W ręce trzymała czarną skórzaną torbę, w jakiej lekarze noszą swoje przybory medyczne, i wydawała rozkazy tonem doświadczonego generała.

- Maeve, weź ten płaszcz i wracaj w nim do domu. Nie waż się wystawiać nosa bez czegoś ciepłego. Do wiosny jeszcze daleko. Doktorze Stanton, proszę mi wybaczyć, jestem potrzebna gdzie indziej...

- Wybaczyć pani? - Reilly pokręcił głową. - Nie ma mowy.

Amazonka kierowała się ku drzwiom, przy których stała para wysokich butów. Usłyszawszy jego słowa, przystanęła, odrzuciła

do tyłu swoje zachwycające czerwonozłote włosy, które nosiła rozpuszczone - co nie spodobałoby się Christine i jej podążającym za modą przyjaciółkom - i obejrzała się przez ramię.

- Słucham? - zapytała szorstkim, lecz dziwnie pociągającym kontraltem.

Reilly wcisnął na głowę kapelusz.

- Ja to załatwię - powiedział. Już dawno się nauczył, że aby pozyskać zaufanie innych, najpierw należy przekonać samego siebie. - Nie ma potrzeby, by się pani fatygowała.

- Bym się fatygowała? - Amazonka przerwała rozsznurowywanie bucików i wyprostowała się na całą wysokość. - O czym pan mówi?

- Rozumiem - wyjaśnił Reilly - że po wyjeździe pani ojca to pani przejęła opiekę lekarską nad mieszkańcami wioski. Lecz teraz nie jest to już konieczne. To znaczy, od kiedy ja tu jestem.

Brenna wlepiła w niego oczy. A on w nią, starając się zachować miły wyraz twarzy. Co nie było łatwe, miał bowiem uczucie, że ta... dyskusja prowadzi donikąd. Nie chodziło o to, że szczególnie zależało mu na przyjmowaniu dziecka Flory - w Londynie Reilly bardzo rzadko bywał wzywany do porodu. Do tego, oczywiście, były akuszerki. A gdy wystąpiły jakieś komplikacje, posyłano po chirurga. Lekarze potrzebni byli dopiero po fackie, aby młodej matce przepisać środek przeciwbólowy albo zająć się dzieckiem.

Więc po co się spierał? Dlaczego robił tyle zamieszania o prawo do odebrania porodu nieślubnej latorośli miejscowej dziewczyny zza szynkwasu?

Ponieważ nie wypadało, by uczyniła to owa nie posiadająca licencji, niedokształcona młoda kobieta, nie teraz, gdy na wyspie był on. Jak udowodni sobie - bo tym razem nie myślał o udowodnianiu czegokolwiek Christine, a przynajmniej nie wyłącznie jej - do czego jest zdolny, jeśli nie będzie miał okazji, by się sprawdzić?

Oczywiście, musi postępować ostrożnie. Nie chce przecież

obrazić panny Donnegal, która najwyraźniej cieszyła się wielkim poważaniem tutejszych wieśniaków. Lecz teraz wszyscy muszą się przekonać, że osobą, po którą należy posyłać w razie nagłego wypadku, jest Reilly Stanton, a nie córka poprzedniego medyka.

Także dla jej własnego dobra. Kobieta o powierzchowności Brenny Donnegal nie powinna śpieszyć do chorych, odbierać porodów ani przywracać do życia pijanych przewoźników. To absurdalne, doprawdy! W Londynie wzbudziłaby zachwyt. Zaiste, ona i Christine King mogłyby stać się przyjaciółkami!

A potem, wspomniawszy łątwość, z jaką panna Donnegal przystawiła flaszkę z whisky do ust, pomyślał, że jej przyjaźń z Christine nie byłaby jednak możliwa. Tak czy owak, tylko w zapadłej i odległej dziurze jak Skye ta wyjątkowo piękna kobieta mogła być traktowana jak każda inna...

No, może nie jak każda. Reilly nie spotkał tu innych kobiet w spodniach.

- Doktorze Stanton - powoli powiedziała młoda kobieta - doceniam pański gest, naprawdę doceniam. Lecz zapewniam pana, że jest on całkiem zbyteczny. Przyjęłam na świat wiele dzieci i z całą pewnością nie potrzebuję...

- Zgadzam się z panią - odparł Reilly, świadom tego, że Maeve i Hamish, którzy jeszcze nie opuścili domku, przyglądają się im szeroko rozwartymi oczami. - Lecz jestem tutaj nowym lekarzem. Nie ma najmniejszej potrzeby, by kłopotać się pani porodem panny Flory.

Brenna zmrużyła swoje nadzwyczaj bystre oczy.

- Wezwwała mnie.

To prawda, pomyślał Reilly.

- Jednakże - rzekł, mając nadzieję, że przemawia tonem nie znoszącym sprzeciwu - pojedę tam.

Jeśli nawet jego ton wywarł wrażenie na pannie Donnegal, nie okazała tego w najmniejszym stopniu. Spojrzała na niego ze zdziwieniem i odparła:

- Jak pan uważa. Ale ja także pojedę.
- I dobrze - powiedział, zaciskając zęby.
- I dobrze - powiedziała, także ściskając szczęki.
- I dobrze - powtórzył.
- Ale... - odezwała się Maeve. - Proszę mi wybaczyć, ale jeśli macie jechać, to lepiej się pośpieszcie. Flora nie wyglądała za dobrze, kiedym ją widziała ostatni raz...

Alarm Maeve okazał się przedwczesny. Owszem, Flora miała już skurcze porodowe, ale co dobre dziesięć minut i, pomimo zapewnień Maeve, Reilly'emu wydała się aż nadto żwawa. Siedziała na łóżku w pomieszczeniu za kuchnią i czytała żurnale dla dam. No, może nie czytała, bo nie umiała czytać. Z przyjemnością oglądała ilustracje.

- Niech pani spojrzy na tę tutaj, panno Brenno - powiedziała, gdy obydwójce wpadli do pokoju. - Czyż nie jest ładniutka? Zastanawiam się, czy nie zamówić sobie wykroju.

Reilly, wyczerpany dziką jazdą do zamku, opadł na rozchwieirutane krzesło obok łóżka i usiłował odzyskać oddech. Przemarł do kości. Nie czuł palców ani uszu. Okazało się, że Brenna Donnegal jest niezrównaną amazonką, a jej siwa kłacz, Willow, unika wszelkich nowoczesnych udogodnień, jak mosty czy drogi, i woli bardziej urozmaicone tereny, pocięte wązozami i potokami.

A może niezrównana panna Donnegal chciała się go po prostu pozbyć. Reilly skłaniał się raczej ku tej drugiej możliwości, ponieważ gdy ściągnęła cugle Willow, przejechawszy przez bramę zamku, i spostrzegła, że Reilly wciąż jest tuż za nią, na jej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

- Nieźle pan jeździ... jak na londyńczyka - powiedziała z niechętnym podziwem.

Reilly starał się ukryć zmęczenie, spowodowane bez wątpienia wielką ilością whisky, jaką wypił poprzedniej nocy, oraz zdumienie

na widok opłakanego stanu domostwa hrabiego. Zgodnie z tym, co sugerowała jego nazwa, zamek Glendenning faktycznie był prawdziwym zamczyskiem z najprawdziwszymi wieżami, blankami, a nawet, jak podejrzewał Reilly, z lochem. Wzniesiony z kruszonego kamienia przez dalekiego przodka dzisiejszego lorda, zamek był ciemną i posępną fortecą i Reilly wyobrażał sobie, że jego mieszkańcom nie żyło się w nim zbyt wygodnie. Nic dziwnego, że Brenna Donnegal nie chciała wyjść za hrabiego. Burn Cottage sprawiał wrażenie znacznie przytulniejszej siedziby.

Reilly nie rozumiał, dlaczego Flora wybrała to okropne miejsce, by wydać na świat swoje dziecko. Z pewnością nie ze względu na wygodę. Nędzne pomieszczenie, do którego zostali wprowadzeni przez tłustą i ponurą kucharkę, było wypełnione stertami ziemniaków i cebuli oraz pozbawione kominka. Reilly nigdy przedtem nie oglądał niczego podobnego. Och, słyszał oczywiście o takich pokojach od wykładowców, bywających na uczelni i opowiadających o straszliwych warunkach, w jakich przychodziło im czasem pracować. Nie spodziewał się jednak, że znajdzie podobne pomieszczenie w zamku, stanowiącym własność światłego, wydawałoby się, hrabiego.

Lecz właśnie po to przybył na wyspę. Pomagać biednym i ciemnym. Co więcej, chciał pokazać Christine, że nie będzie dłużej siedział bezczynnie, pozwalając, by pracował na niego jego rozgłos „markiza lekarza”. Pragnął udowodnić swoją wartość lekarza jako takiego, dzięki swoim umiejętnościom, a nie dzięki liczbie parów, figurującej na liście pacjentów.

Nigdy jednak nie wyobrażał sobie, że będzie siedział pośród stert warzyw i słuchał, jak ciężarna kobieta rozprawia o modzie z żurnala.

- Niech pani spojrzy - powiedziała Flora, przewracając stronę. - Buiaste rękawy to ostatni krzyk mody. Jeszcze się takich nie dorobiłam, ale kiedy pobierzemy się z jego lordowską mością, będę miała pełną szafę takich sukien.

- Oczywiście, że tak - powiedziała Brenna. Usiadła na przewróconym do góry dnem koszu na jabłka i, sięgnawszy po inny żurnal, przeglądała go od niechcenia, zupełnie jak Christine, kartkująca „Godey” w swoim salonie.

- Jeśli to będzie chłopiec - ciągnęła pogodnie Flora - na pewno mnie poślubi.

- Mam nadzieję - odparła Brenna.

- Pani Murphy będzie mi musiała mówić „milady” - ciągnęła Flora. - Ale się uśmieję.

- Z całą pewnością - zgodziła się Brenna.

Reilly zaczął się zastanawiać, czy słusznie postąpił, przyjeżdżając do zamku. Stało się jasne, że nieustraszona panna Brenna doskonale poradzi sobie w tej sytuacji. To prawda, że nie posiadała dyplomu lekarskiego, lecz któraż akuszerka go miała? Czemu nie miałyby pozwolić jej na to małe zwycięstwo? Dzięki temu mógł w końcu pozyskać jej aprobatę, a aprobata kobiety takiej jak Brenna Donnegal mogłaby mu bardzo pomóc w oswojaniu mieszkańców wyspy...

Może powinienem, pomyślał, pójść i poszukać hrabiego? Musi znajdować się gdzieś w tym potwornym zamczysku. I z pewnością ma whisky. Whisky, która sprawi, że Reilly odzyska czucie w stopach i dłoniach. A i tak będzie musiał porozmawiać z lordem Glendenningiem, aby mu wyjaśnić, że Brenna Donnegal, jakakolwiek by była, jest całkowicie zdrowa na umyśle i bynajmniej nie stanowi zagrożenia dla siebie samej ani dla innych ludzi. Zapyta również hrabiego, czy będzie mógł sobie wynająć pokój w tawernie, aby panna Donnegal miała czas znaleźć inne mieszkanie.

Uznawszy, że lepiej będzie zanotować, co powie hrabiemu, Reilly wydobył swój pamiętnik, pióro i kałamarz. Nie było łatwo pisać na kolanie, ale jakoś sobie poradził.

75 lutego 1847 roku

Przy porodzie miejscowej dziewczyny z gospody. Może powi-

nieniem udzielić jej ojcowskiej rady: hrabia nie kupi krowy, skoro może mieć mleko za darmo, lub coś w tym stylu.

Burn Cottage jest uroczy, malowniczy, rodem z Gainsborougha. Christine podobałaby się rustykalna strzecha. Jest jeden problem: obecnie zajęty przez amazonkę.*

W chwili gdy zapisał te słowa, Flora nagle usiadła i wydała przeszywający wrzask.

Reilly z zadowoleniem stwierdził, że nie on jeden przestraszył się tego wybuchu. Brenna błyskawicznie upuściła żurnal i zerwała się z kosza na jabłka.

- Co ci jest, Floro? - spytała, kładąc dłoń na ramieniu dziewczyny. - Co się stało?

Twarz Hory, normalnie zupełnie ładna, teraz nie wyglądała ładnie. Wykrzywił ją grymas bólu.

- Coś nie jest w porządku, panno Brenno - oświadczyła.

Usłyszawszy tę wypowiedź, Brenna odrzuciła koce, przykrywające dolną część ciała dziewczyny, która opadłszy na poduszkę zaczęła lamentować zadziwiająco mocnym u tak niewielkiej dziewczyny głosem.

W drzwiach stanęła kucharka z garnkiem gorącej wody.

- O co tyle wrzasku? - spytała. - Drzesz się, jakbyś chciała obudzić zmarłego.

Reilly, zapomniawszy o swoim pamiętniku i piórze, podbiegł i odebrał od niej garnek.

- Będziemy potrzebować znacznie więcej wody - powiedział. - I trochę czystych prześcieradeł i ręczników.

- Prześcieradeł? - zdumiała się kucharka. - I ręczników? Wyobraża pan sobie, młody człowieku, że będę marnowała porządne prześcieradła i ręczniki jego lordowskiej mości dla tego śmiecia...

* Gainsborough Thomas, jeden z najwybitniejszych ang. portrecistów i pejzażystów XVIII wieku (przyp. tłum.).

Flora znowu wrzasnęła. Reilly, który nie uważał się za brutalnego, powiedział:

- Jeśli nie zrobi pani tak, jak przykazałem, będę zmuszony zastosować przemoc fizyczną, madame.

Kobieta naprawdę się wystraszyła.

- Zobaczę, co się da zrobić - odparła i szybko wyszła z pokoju.

Reilly poczuł gwałtowną niechęć do kucharki hrabiego Glendenninga oraz do samego hrabiego Glendenninga, jak również do wszystkich mężczyzn w ogóle.

- Nie wiem, co robić - wyszeptała panna Donnegal, z zakłopotanym wyrazem twarzy, pociągając Reilly'ego za rękaw. - Nie obróciło się jeszcze.

- Co się nie obróciło? - zapytał Reilly mało inteligentnie.

Brenna obdarzyła go pogardliwym spojrzeniem.

- Dziecko. A niby co? Trzeba je... obrócić.

- Dobrze. - Reilly starał się zachować spokój. - Robiła to pani przedtem? To znaczy, odwracała pani dziecko w macicy?

- Tak. To znaczy, nie. Nie ludzkie dziecko. Jagnię, kilka razy. Reilly poweselał.

- Świetnie. A więc zrobi to pani teraz.

Brenna spojrzała na niego.

- To nie takie proste. Za mało miejsca. Dzieci Flory są zawsze ogromne, a ona jest bardzo mała. Chyba nie dam rady.

- Cóż - powiedział Reilly. - Ja nie mogę tego zrobić.

Spojrzała na niego z urazą.

- Myślałam, że studiował pan w Paryżu - wyszczała. - U najtęższych umysłów.

- W tej sytuacji nie pomogą najtęższe umysły - wyszczał w odpowiedzi. - Potrzebujemy kogoś o drobnych dłoniach. - Odstawił parujący garnek i wyciągnął ku niej rękę. - Proszę spojrzeć na te łapska. Myśli pani, że się nadadzą do tej roboty?

Brenna przyłożyła dłoń do jego ręki, jakby je przymierzając. Jej palce były o połowę cieńsze i znacznie krótsze od jego palców.

Reilly spojrział na ich złożone dłonie i poczuł się jakoś dziwnie. Nie potrafiłby powiedzieć, co właściwie czuje. Wiedział tylko tyle, że widok ich palców, jej tak szczupłych i kobiecych, przy jego własnych, wprawiał go w zaniepokojenie. Na dodatek stwierdził, że błękitne tęczęwki panny Donnegal ciemnieją ku zewnątrz, przechodząc w niemal czarne obwódki, co spowodowało, że wrzaski w tle stały się dla niego prawie niesłyszalne.

Na szczęście panna Donnegal jednym spojrzeniem oceniła różnicę wymiarów ich dłoni i zakląła soczyście. Co podziałało jak kubeł zimnej wody, gasząc wszelkie ciepłe uczucia, jakie zaczynał ku niej żywić. Natychmiast cofnął rękę.

- W takim razie - powiedział - do dzieła. - Ujął Brennę za ramiona i zwrócił ku pacjentce. - Uwaga na pępownię. Nie może się oplatać wokół szyi maleństwa.

- Postaram się zapamiętać - mruknęła.

Reilly usiadł u wezłowania Flory i wziął ją za rękę.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Nie ma powodu do niepokoju. Panna Donnegal panuje nad sytuacją.

Flora łypnęła na niego podejrzliwie.

- Więc co pan robi, w takim razie?

- Ja? - odparł Reilly z uśmiechem. - Jestem tu, by wam dodawać odwagi. Słyszałem, jak rozmawiałyście o modzie, a ponieważ właśnie przyjechałem z Londynu, muszę was ostrzec, że te żurnale są troszkę przestarzałe. Bufiaste rękawy nie są już ostatnim krzykiem mody. Teraz...

8

Znowu dziewczynka? - Lord Glendenning nie podniósł się z krzesła, które przysunął jak najbliżej kominka. - Wielka szkoda.

Reilly miał ochotę chwycić hrabiego za kaptur jego dziwaczного okrycia i popchnąć go przez całą komnatę. Wiedział jednak z doświadczenia, że w stosunku do gburów w rodzaju hrabiego siła fizyczna nie na wiele się zdaje.

- Mało brakowało. Matka lub dziecko. Tylko dzięki umiejętnościom panny Donnegal przeżyły obydwie - powiedział.

Glendenning rzucił okiem na Brennę Donnegal, stojącą ze skrzyżowanymi na piersi ramionami w pobliżu kominka.

- Chyba już nie myśli, że się z nią ożenie, co? - zapytał.

- Owszem - odparła Brenna ze spokojem, którego Reilly jej zazdrościł. - Myśli. Czeka na ciebie na dole. Chce ci pokazać twoją córkę.

- Ba! - Glendenning wstał i podszedł do kredensu, w którym przechowywał karafkę whisky i kilka szklanek. - Córki. Mam ich już cztery, sama wiesz.

- Wiem - przytaknęła Brenna.

Glendenning, zwrócony do nich plecami, rąbnął pięścią w blat kredensu, aż zadźwięczały kryształowe szklanki. Psy, spoczy-

wające na podłodze w rozmaitych pozach, uniosły łby i spojrzały na swego pana.

Następnie, bez słowa, hrabia odwrócił się, a jego wielka peleryna zawirowała, i wyszedł z komnaty.

Reilly odprowadził go wzrokiem, a potem spojrzał na Brennę.

- Jak to się stało, na Boga, że wytrzymała pani z nim tyle lat i nie wbiła sztyletu w jego serce? - zapytał na pół serio.

Brenna się roześmiała. Odkąd ją spotkał, Reilly słyszał jej śmiech tylko raz. I był to sarkastyczny chichot, którego powodem był właśnie on. Słyszając jej szczerzy śmiech w tym posępnym miejscu, doznał wstrząsu.

A może, po prostu, zaczął się stawać równie zbzikowany jak reszta mieszkańców tej zapomnianej przez Boga miejscowości?

Weźmy na przykład taką Florę. Reilly wiedział teraz, dlaczego uparła się, by urodzić swoje dziecko właśnie w zamku: z tego samego powodu, co poprzednie troje dzieci. Dziewczyna miała nadzieję, że jeśli zdarzy się jej urodzić syna, hrabia uzna dziecko i ożeni się z nią.

Jak wynikało z tego, co powiedziała mu Brenna w drodze do komnaty hrabiego, któremu chcieli przekazać nowinę o narodzinach następnej córki, było to zupełnie nieprawdopodobne, ale Flora się nie poddawała. Nadzieja trzymała ją przy życiu i pozwalała przetrwać każdą kolejną ciążę.

Albo tutejszy lord. Iain MacLeod twierdził, że jest po uszy zakochany w Brennie Donnegal, a jednak wykorzystywał każdą okazję sypiania z dziewczynami z gospody. Reilly uznał, że nigdy dotąd nie spotkał równie zakłamanego i obmierzłego typu jak hrabia. Lord Glendenning był wcieleniem tego wszystkiego, czym Reilly stać się nie chciał.

- Och, nie jest taki zły - odparła Brenna ku jego zdumieniu, gdy jej powiedział, jak ocenia postępowanie hrabiego.

- Nie jest taki zły? - powtórzył, mrugając powiekami. Jej sweter był poplamiony wodami płodowymi, a na czole widniała

smuga krwi, lecz mimo wszystko wyglądała zaskakująco ładnie. Głównie z powodu tych jej spodni, pomyślał Reilly. Starał się nie pamiętać o fascynująco ciemnych obwódkach wokół niebieskich tęczówek. - Sądzę, że Glendenning ma rację: pani jest niezrównoważona psychicznie, panno Donnegal.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Przyznaję, że może sprawiać wrażenie chama i szubrawca, ale znam lorda Glendenninga całe moje życie i mogę autorytatywnie stwierdzić, że pod tą powłoką kryje się stosunkowo dobre serce. Nie takie... - Jej uśmiech zgasł, a zastąpił go grymas smutku. - ...jak u niektórych bogatych i mających pozycję mężczyzn, których znałam.

Reilly uniósł brwi.

- Znała ich pani wielu? - zapytał. Jego ton musiał zdradzić niedowierzanie, bo przeszła go morderczym spojrzeniem.

- Byłam w Londynie, doktorze Stanton - odparła cierpko. - Nie jestem nieobytą wieśniaczką. Znałam mężczyzn, którzy posługiwali się tytułami dla osiągnięcia sukcesu, a potem kryli się za nimi przed wszelką krytyką. Na przykład członkowie Królewskiej Akademii Medycznej. Większość z nich nie interesuje się nauką ani jej zastosowaniami, lecz myśli wyłącznie o tym, jak ją wykorzystać dla własnej chwały. Wystarczy posadzić jednego z nich u wezglowia chorego dziecka, którego matka nie ma czym zapłacić za leczenie, a dziecko niechybnie skona. - Jej niebieskie oczy zabłyśły. - Połowa z nich wyobraża sobie, że ponieważ są parami, nie muszą się kłopotać praktyką lekarską, że skoro noszą tytuł sir Taki-to-a-taki lub lord Jakiśtam, wystarczy im to za wszelkie umiejętności. Jest prawie niemożliwe, by mężczyzna nie będący parem zdobył dyplom, ale to nie oznacza, że ci, którzy go zdobyli, nadają się do praktykowania zawodu lekarza.

Reilly słuchał tego wywodu ze zdumieniem. Miał bardzo podobne odczucia, zwłaszcza dotyczące utytułowanych parów w jego zawodzie, toteż doznał prawdziwego szoku.

Następnie uświadomił sobie kilka spraw. Z tonu panny Donnegal wynikało, że nie uważa Reilly'ego za jednego spośród członków owej uprzywilejowanej elity, której etykę - lub raczej brak etyki - krytykowała z taką pogardą. Ponieważ nie przyznał się jej, że w rzeczywistości jest nie doktorem Stantonem, lecz lordem Stillworth.

Uznał, że na razie lepiej to zachować dla siebie.

- Ale lord Glendenning - ciągnęła Brenna nieco pogodniejszym tonem - pomimo wszystkich swoich wad, jest inny. Świadomie nigdy by nikogo nie skrzywdził. On naprawdę troszczy się o Florę. Na swój sposób.

Reilly pokręcił głową. Z całą pewnością nie spodziewał się usłyszeć obrony postępowania hrabiego Glendenninga, wygłoszonej przez pannę Brennę Donnegal, która nie tylko miała wszelkie powody, by nim pogardzać, lecz również była najbardziej niezależną z wszystkich napotkanych przez Reilly'ego kobiet - a miał on okazję poznać wiele spośród tych nienawidzących mężczyzn istot, jako że właśnie one garnęły się do pełnienia dobroczynnych funkcji, do których zawsze namawiała go Christine. Wysłuchiwanie tego, jak bardzo podli są przedstawiciele jego płci, stało się dla Reilly'ego męczące. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że trafiali się nikczemni łajdacy, oraz z tego, że przepisy, odmawiające kompetentnym kobietom prawa do pracy zawodowej, były, oczywiście, niedorzeczne...

Lecz nie był również zupełnie przekonany, czy w niektórych przypadkach nie były one uzasadnione.

- No cóż - usłyszał swój głos. - Nie mogę powiedzieć, że pochwalam sposób, w jaki się o nią troszczy, co polega na tym, że co roku robi jej dzidziusia. Chciałbym wiedzieć, kto karmi te dzieciaki.

- Oczywiście, że lord Glendenning - odparła panna Donnegal. - Florze nie można powierzyć opieki nad nimi. Nie ma wystarczająco rozwiniętych uczuć macierzyńskich, jakkolwiek kocha je i często

odwiedza. Jestem zdania, że z pomocą zaufanej opiekunki do dziecka radziłaby sobie lepiej. Ale jego lordowska mość woli powierzać swoje potomstwo żeńskiemu klasztorowi w Lochalsh, gdzie jego córki otrzymują znacznie lepszą edukację, niż otrzymałyby, pozostając tutaj. I o wiele lepsze jedzenie. Zakonnice dbają o to w zamian za hojną darowiznę od hrabiego.

- No, cóż - mruknął Reilly, marszcząc brwi. - Dobrze i to. Myślę, że to lepsze niż dorastanie tutaj.

Rozejrzał się wokół wielkiego holu, w którym stali, i wzdygnął mimo woli. W pomieszczeniu panował chłód. Wszystko wskazywało na to, że tak samo jest w całym zamku. Umeblowanie było skąpe i przypadkowo ustawione, z wyjątkiem fotela hrabiego, który ustawiono w najcieplejszym miejscu.

- Zawsze myślałam - powiedziała Brenna, wzruszając ramionami - że kilkoro dzieci wniosłoby nieco radości do tego starego, posępnego zamczyska.

Reilly przyjrzał jej się podejrzliwie.

- Czy mam rozumieć, że opór wobec zalotów lorda Glendenninga jest jedynie przekorą?

- Na Boga, nie! Nie chcę go poślubić. A z tego, co wiem, on upiera się przy tym tylko dlatego, że...

Przerwała. A kiedy odezwała się znowu, Reilly odniósł dziwne wrażenie, że mówi mu nie to, co zamierzała.

- Jestem tutaj, na wyspie, jedyną kobietą, której nie posiadł. A wie, że w inny sposób mnie nie dostanie.

Słyszając te słowa, Reilly unióś brwi. Lecz wszakże panna Donnegal była jedną z najbardziej otwartych kobiet, jakie spotkał w życiu. Daremnie usiłował sobie wyobrazić Christine, odbierającą poród dziewczki z gospody. Znacznie bardziej prawdopodobne wydało mu się, że Christine dostarczyłaby nieszczęsnej dziewczynie lekturę, traktującą o grzechu cudzołóstwa, choć niewątpliwie uznałaby lorda Glendenninga za fascynującą postać. Reilly nieomal słyszał jej okrzyki: „Tak bardzo pozbawiony wszelkiej afekcji! I taki męski!”

Teraz, z dala od Christine i od jej świata, Reilly musiał przyznać, że jego ukochana nie zawsze właściwie oceniała ludzkie charaktery.

- Coś panu pokażę - powiedziała nagle Brenna.
- Z chęcią to obejrzę - odparł Reilly skwapliwie.

Lecz panna Donnegal nie pokazała mu, jak się łudził, interesującego znaku szczególnego czy myszki, usytuowanych na jej ciele, lecz małe drzwi w ścianie komnaty, które wychodziły na nadzwyczaj strome i kręte schody.

Jednakże ta wyprawa nie była kompletnie stracona, bo idąc za panną Donnegal, Reilly miał doskonały widok na jej biodra i pośladki, obciśnięte spodniami i kołyszące się, podczas gdy wspinała się po schodach.

A potem pchnęła inne drzwi i Reilly wstrzymał oddech... i to nie tylko z powodu zimna. Ponieważ znaleźli się na zamkowych blankach, trzydzieści metrów ponad ziemią, a dookoła widać było sinoniebieski ocean z białymi grzywami fal. Nad głową mieli błękitne, niczym jajo rudzika, bezchmurne niebo. Pola, które wiosną porośnięte były wrzosami, wspinały się po stokach wzgórz, które następnie przechodziły w urwiste góry o pokrytych śniegiem szczytach.

Reilly nigdy w życiu nie oglądał równie malowniczej panoramy. Alpy Szwajcarskie, dokąd często towarzyszył matce, kiedy udawała się na kurację, nie umywały się do tutejszej okolicy.

- Ładnie, prawda? - Brenna odgarnęła z twarzy pasmo czerwonozłotych włosów, które rozwiewał wiatr. - Przychodzę tu przy każdej okazji. Widać stąd całą okolicę. O, tam, na dole, to gospoda. A tam, cmentarz. Dalej, w głębi, Burn Cottage. Potok połyskuje w słońcu.

Reilly starał się patrzeć we wskazanym kierunku. Naprawdę się starał. Lecz dostrzegał coś znacznie bardziej godnego zachwytu niż szczegóły krajobrazu. Brenna Donnegal warta była oglądania w każdym świetle, lecz jaskrawe słońce najlepiej uwydatniało jej liczne powaby, rozświetlając rude włosy i gładką, kremową cerę.

Reilly dostrzegł, że nie tylko jej tęczęwki są obwiedzione czernią, lecz także powieki, jej rzęsy miały bowiem barwę hebanu; zdziwiający fakt, zważywszy na to, że włosy i brwi były kasztanowe.

Reilly nie był zdolny do spoglądania na roztaczający się w dole pejzaż. Po cóż miałyby to czynić, skoro tuż przed nosem miał taką doskonałość?

- Trudno uwierzyć, ale te małe białe plamki to owce - wyjaśniała. - Chyba stado Hamisha. Myślę, że wkrótce pozna pan jego rodziców. Bardzo mili ludzie. Prości, ale życzliwi. Hamish jest trochę dziki, ale pilnuje go Lucais...

- Była pani świetna - powiedział Reilly, nie zdając sobie sprawy, że wypowiada te słowa na głos.

- Słucham? - spytała zdziwiona.

- Tam, na dole - odparł. Żałował, że się odezwał, chętnie cofnąłby tę pochwałę. Nie pochlebiaj jej, strofował samego siebie. Podejrzewał bowiem, że wszelkie pochwały z jego strony zostaną źle odebrane przez nieufną pannę Donnegal.

Za późno. Już go usłyszała i patrzyła na niego swymi wielkimi, mądrymi oczami, w których pojawił się wyraz sceptycyzmu...

- Chodzi mi o Florę - dodał pośpiesznie, mając nadzieję, że poprawi sytuację. - Wykonała pani wspaniałą robotę. Biorąc pod uwagę okoliczności.

Zamrugała powiekami. Podejrzliwość zniknęła z jej oczu, które, jak miał możliwość stwierdzić, były dokładnie tej samej barwy co niebo nad ich głowami.

- Dziękuję - powiedziała. - Dziękuję. Te słowa, wypowiedziane przez tak wykształconego mężczyznę, wiele dla mnie znaczą.

Uśmiechnął się. Lepszy sarkazm niż podejrzliwość.

- Jestem lekarzem - odparł. - Nie akuszerem. Dotychczas uczestniczyłem tylko w jednym porodzie. Moim własnym.

- W takim razie, dlaczego, na Boga, uparł się pan, by być przy tym?

Zastanawiał się, czy ma jej powiedzieć prawdę, że zależy mu

na tym, aby zaakceptowała go tutejsza społeczność. Lecz byłoby to równoznaczne z wyznaniem pannie Donnegal, że zależy mu na tym, aby ją usunąć z tejże społeczności... przynajmniej w sensie medycznym. Wiedział jednak, że w ten sposób nie wzbudzi w niej przyjaznych uczuć.

A było dla niego ważne, by żywiła dla niego sympatię. Chciał bowiem zyskać zaufanie jej pacjentów, aby z kolei oddali się pod jego opiekę.

Wyobrażał sobie przynajmniej, że taka jest przyczyna, dla której tak bardzo zależy mu na tym, by panna Donnegal go polubiła.

Zdecydował się na odpowiedź wymijającą.

- Chciałem zobaczyć zamek.

Spojrzała na niego spod ściągniętych brwi.

- Jest pan bardzo dziwnym człowiekiem, doktorze Stanton.

- Zabawne - odparł ze śmiechem - że mówi mi to kobieta, nosząca spodnie i spędzająca przesadnie wiele czasu na cmentarzu.

Brenna nie podzielała jego wesołości. Przyjrzała mu się, mrużąc oczy przed słońcem.

- Kto panu to powiedział? - spytała bezbarwnym głosem - O cmentarzu.

Reilly wzruszył ramionami. Nie przypuszczał, by wyznając prawdę, nadużył zaufania swego pracodawcy. To raczej hrabia nadużył jego zaufania, nie mówiąc mu całej prawdy.

- Lord Glendenning - odparł. - Powołał się na to, by udowodnić mi, że jest pani psychicznie nie zrównoważona, co miało być powodem, by nie zostawiać pani bez opieki w Burn Cottage...

Odwróciła się gwałtownie i ruszyła ku drzwiom. Reilly, zaskoczony jej niespodziewaną reakcją na swoje słowa, musiał iść bardzo szybko, by jej dotrzymać kroku.

- Hola! - krzyknął, dogoniwszy ją, zanim weszła na schody. - Dokąd to? - zapytał, chwytając ją za ramię.

- Zabić go - warknęła, wyrывая się z zaskakującą u kobiety siłą. - Puszczaj!

O Boże! Reilly oczywiście słyszał o temperamencie rudowłosych kobiet, ale teraz mógł tego *zaznać* bezpośrednio na sobie.

- Niech pani zaczeka - powiedział, blokując jej przejście. - Chyba nie chce pani zamordować człowieka w dniu narodzin jego córeczki? To nie byłoby miłe, prawda?

Brenna wyrwała mu się i odgarnęła włosy z twarzy.

- Doktorze Stanton - powiedziała spokojnie. - Proszę mi zejść z drogi.

- Nie powinna pani tak bardzo brać sobie do serca tych plotek - odparł Reilly, starając się mówić pogodnym tonem. - Ludzie mogą pomyśleć, że jest w nich ziarenko prawdy. - Zupełnie jak ja w tej chwili, dodał w duchu.

Ale Brenna się nie uśmiechnęła.

Spróbował inaczej.

- Ma pani szczęście, że żyjemy w dziewiętnastym wieku. W przeciwnym razie za takie rzeczy zostałaby pani spalona na stosie jako czarownica. Za włóczenie się nocą po cmentarzu.

Na próżno.

- Ile panu zapłacił? - spytała.

Zakłopotany Reilly pokręcił głową. Tutejsi wyspiarze doprawdy zachowują się dziwnie - i przeskakują z tematu na temat częściej niż wszyscy dotychczas znani mi ludzie, pomyślał.

- Kto ile mi zapłacił? - zapytał oszołomiony. - I za co?

- Lord Glendenning. - Lazurkowe oczy wpatrywały się w jego twarz. - Ile zapłacił panu za przyjazd tutaj? Bo ja chętnie podwoję sumę.

Reilly był tak zaskoczony, że bez słowa się w nią wpatrywał.

- Pytam serio. - Chyba tak było. Jej twarz wyrażała wielką powagę. - Niezależnie od tego, jak wielkie ma pan długi w Londynie, chętnie je spłace, byle tylko pan stąd wyjechał.

Długi? Na miłość boską, o czym ta dziewczyna mówi? Może Glendenning ma jednak rację? Może ona rzeczywiście ma źle w głowie.

- Najuprzejmiej dziękuję za tę propozycję - powiedział ostrożnie - lecz nie mam w Londynie żadnych długów.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Musi pan mieć. W przeciwnym razie po co by pan tutaj przyjeżdżał? Lord Glendenning z pewnością zaoferował panu...

- Płaca za stanowisko tutejszego lekarza jest, jak pani zapewne wie, nieistotna. - Reilly spojrział na nią. Doprawdy, sytuacja stawała się coraz dziwniejsza. Jeśli się nie mylił, ta młoda dama usiłowała go przekupić, aby opuścił wyspę. I, nie zdając sobie sprawy, że jest jednym z owych parów, których tak bardzo nienawidziła, myślała, że pieniądze zrobią swoje. - Zapewniam panią - powiedział, uśmiechając się szeroko - że moje motywacje, by przyjąć to stanowisko, nie były natury finansowej.

Jej brwi zmarszczyły się jeszcze bardziej.

- Więc dlaczego? - spytała. Jej ochrypły głos zdradzał zaniepokojenie. - Dlaczego, na miłość boską, miałby pan wyjechać z Londynu i wybrać sobie właśnie to miejsce? Istnieją setki o wiele bardziej korzystnych stanowisk dla lekarza pańskiego kalibru. Dlaczego właśnie tutaj?

- Cóż, to proste - powiedział, wzruszając ramionami. - Przyjechałem tu ze względu na haggis.

A kiedy spojrzała na niego zniecierpliwiona, dodał:

- No dobrze, już dobrze. Powiem pani, dlaczego zdecydowałem się na Skye. Ponieważ było to miejsce najbardziej oddalone od Londynu, ale wciąż jeszcze w Wielkiej Brytanii.

- A cóż takiego znajduje się w Londynie - spytała - że tak bardzo chciał pan stamtąd uciec?

Jej przenikliwość nie zaskoczyła Reilly'ego. Na tyle zdążył ją już poznać.

- Cóż, skoro już musi pani wiedzieć - powiedział - moja była narzeczona.

Nie miał żadnych szczególnych oczekiwań co do jej reakcji, lecz z całą pewnością nie spodziewał się wybuchu śmiechu.

- Nie - wykrztusiła. - To niemożliwe.

Zasmucony Reilly tylko zacisnął zęby. Wzmianki o haggis nie uznała za zabawną, a to wyznanie tak bardzo ją rozśmieszyło.

- To znaczy, nie tyle przed nią uciekłem - wyjaśnił - co raczej chciałem jej udowodnić, że się myliła. Oskarżyła mnie o to, że jestem nicponiem, więc pomyślałem sobie...

- Więc pomyślał pan sobie, że przyjeżdżając do Lyming udowodni jej pan, że nie jest pan nicponiem? - Pokiwała głową, nie przestając się uśmiechać. - Rozumiem. Przepraszam, że się roześmiałam. Tylko że powiedziałam lordowi Glendenningowi, że musiał pan mieć jakiś powód, aby przyjechać tutaj, tak daleko od miejsca dotychczasowej praktyki, która, jak rozumiem, przebiegała zadowolająco. Myślałam, że lord pana przekupił. Ale on mi powiedział, że kierowała panem... chęć pracowania z pożytkiem.

Uśmiechnął się z przymusem. Nie bardzo przekonująco, ale lepiej uśmiechnąć się blado, niż pozostać posepnym.

- A pani? - zapytał. - Dlaczego powróciła pani na wyspę, wiedząc, że rodzice wyjechali i będzie tu pani mieszkała samotnie? Przechyliła głowę.

- Słyszysz pan? - zapytała. - Wydaje mi się, że hrabia nas woła.

Reilly nie słyszał nic poza poszumem wiatru i sporadycznymi krzykami mew, kołyszających się na falach.

- Nie słyszę - odparł. - A teraz niech mi pani powie prawdę. Nie sądzę bowiem, że pani rodzice byliby zadowoleni, gdyby się dowiedzieli, że mieszka tu pani zupełnie sama.

- Musimy wracać - powiedziała. I ruszyła za nim po schodach.

Reilly nie wiedział, które z nich było bardziej zdumione, gdy chwycił ją za rękę.

- Panno Donnegal - usłyszał swój głos. - Dlaczego unika pani odpowiedzi na moje pytanie?

Jej dłoń była ciepła i pełna życia. Wydawało mu się, czy pod palcami wyczuł pulsowanie? Czy było możliwe, że jego bliskość robi na pannie Donnegal takie samo wrażenie jak jej bliskość na nim?

Jeśli nawet, to nikt by tego nie poznał po brzmieniu jej głosu, które było jak zwykle gardłowe i autorytatywne.

- Doktorze Stanton - powiedziała - zechce pan wypuścić moją dłoń.

- Owszem - odparł - gdy odpowie pani na moje pytanie.

Dziwne, jego puls także był przyspieszony. Panna Brenna Donnegal niewątpliwie prezentowała niezwykle typ urody, lecz z pewnością nie należała do najpiękniejszych kobiet, jakie widział Reilly. Na przykład Christine, ze swymi jasnymi włosami i filigranową figurą, była znacznie piękniejsza, w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, niżli panna Donnegal.

Co więc sprawiało, że jego serce biło tak mocno?

- Rzecz jasna, rozumiem, że wraz ze stanowiskiem miał pan otrzymać mieszkanie - powiedziała Brenna, usiłując wyrwać dłoń z jego ręki. - Ale do zeszłego wieczoru nie miałam zielonego pojęcia, że ma pan tu zawitać, więc...

Była to oczywista próba zmiany tematu rozmowy.

- Panno Donnegal - powiedział - pragnę się dowiedzieć...

- Opuszczenie domku - ciągnęła, wciąż mu się wyrwijając - zajmie mi trochę czasu. Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko...

- Panno Donnegal - powtórzył.

- To nie potrwa długo - zapewniła go. Zupełnie jakby nie słyszała, o co ją pytał. Podjęła decyzję i za wszelką cenę chciała dokończyć swoją wypowiedź. Usiłowania Reilly'ego na nic się nie zdały. - Tylko do lata. Gdyby zczekał pan do tego czasu, byłabym panu nieskończenie wdzięczna. Wiem, że proszę o wiele, lecz naprawdę muszę pozostać na wyspie, w Burn Cottage, aż do...

Nagle zamilkła, ponieważ uniósł dłoń i stanowczym gestem przyłożył palec do jej warg.

- Ciii - powiedział Reilly tonem, jak miał nadzieję, kojącym. - Rozumiem. Proszę się nie spieszyć. Znajdę sobie inne lokum.

Spojrzała, zezując na palec Reilly'ego, przyciśnięty do jej

ciepłych, dziwnie rozedrganych ust. Przyszło mu do głowy, że nie miałyby nic przeciwko temu, by poczuć te usta na innych częściach swego ciała. Była to bardzo podniecająca myśl.

- Doktorze Stanton - odezwała się Brenna.

- Dość - powiedział, przyciskając palec jeszcze mocniej. - Powiedziałem już pani, z przyjemnością...

Uniosła rękę i, mocno chwyciwszy palec Reilly'ego, oderwała go od swoich warg.

Sekundę później boleśnie wykręciła mu nadgarstek. Wstrząśnięty, wypuścił jej dłoń.

- Panno Donnegal! - wykrzyknął.

Przytknęła te swoje ciepłe, wibrujące wargi do jego ucha i wyszeptła:

- Niech pan nie robi tego nigdy więcej.

A potem wypuściła jego rękę.

Reilly wyprostował się i roztarł obolały nadgarstek. Na Boga! Lord Glendenning miał rację: To rzeczywiście wariatka!

Na szczęście, albo może na nieszczęście, Reilly nie potrafił się zdecydować, za nimi otwarły się drzwi, w których pojawił się lord Glendenning. Na ich widok odetchnął z ulgą.

- Ach - powiedział. - Tu jesteście. Zastanawiałem się, dokąd poszliście. Ale powinienem się być domyślić. Brenna przychodzi tu zawsze, gdy tylko nadarzy się okazja.

Wypowiedział te słowa tonem pełnym uczucia i spojrzał na Brennę Donnegal płomiennym wzrokiem. Reilly zastanawiał się, czy Iain MacLeod miał kiedykolwiek okazję zapoznać się z bolesnym chwytem, jakim Brenna wykręciła mu nadgarstek, i jeśli tak, jak to możliwe, by nadal obdarzał ją takim ogłupiałym spojrzeniem.

- Jeśli uważasz, milordzie, że Florze nic nie dolega - spieszenie powiedziała panna Donnegal - pojedę już.

Lord Glendenning wyraźnie się stropił.

- Wydaje mi się, że Flora czuje się dobrze, ale nie musisz

odjeżdżać, Brenno. Kucharka szykuje lancz, zimne mięsa i takie tam. Pomyślałem sobie, że ty i doktor...

- Nie - odparła Brenna. - Nie mogę zostać. Ale jestem pewna, że doktor Stanton zostanie z przyjemnością.

Reilly natychmiast zaczął wymyślać jakieś usprawiedliwienia, ale doszedł do wniosku, że nie ma dokąd pójść ani dokąd się udać na lancz, ani nic do roboty, jako że nie ma pacjentów, z wyjątkiem Flory i jej maleństwa.

- Doskonale! - wykrzyknął lord Glendenning, klepiąc go po plecach. - A po lanczu pojedziemy do wsi, żeby obejrzeć pański szpitalik.

Reilly posłał Brennie złowrogie spojrzenie, ale ona szybko odwróciła się do niego plecami.

- W takim razie zjrzę ostatni raz do Flory i już mnie nie ma - powiedziała na odchodnym.

I zniknęła za drzwiami, w których przed chwilą pojawił się hrabia. Reilly zaczął się zastanawiać, czy nie jest jeszcze większym głupcem niż Glendenning. Dał się przecież nabrać na jej sztuczki bezradnej istoty i zapewnił ją, że może pozostać w domku - jego domku - tak długo, jak jej się spodoba. Wiedząc, że nie jest ani trochę bezradna. Brenna Donnegal doskonale umiała o sobie zadbać.

I Reilly Stanton pomyślał, że to jemu przydałaby się jakaś pomoc.

Po raz drugi w ciągu ostatniej doby Reilly Stanton został gwałtownie wyrwany z głębokiego snu, i to bardzo brutalnie.

I, jak po chwili zdał sobie sprawę, potrząsany tą samą ręką.

- Hej, Stanton - powiedział hrabia niecierpliwie. - Nie mamy na to całej nocy.

Reilly wyrzął spod sterty koców, pod którymi się zakopał. Zmrużył oczy przed światłem świecy. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje.

A potem nagle sobie przypomniał. Zatrzymał się w zamku Glendenning, ponieważ nie pozwolił hrabiemu wyrzucić Brenny Donnegal z Burn Cottage, a we wsi nie było pokoi do wynajęcia.

Szpitalik, z którym Reilly wiązał pewne nadzieje, nie nadawał się do zamieszkania. Był zbyt zawilgocony i brudny. Wymagał gruntownego wysprzątania, kilku warstw farby oraz wizyty tutejszego kominiarza.

Jednakże nawet przesiąknięty wonią solanki szpitalik byłby lepszy od miejsca, w którym wylądował, przyjmując zaproszenie hrabiego. Pokój, który mu przydzielono, był wprawdzie duży, lecz bardzo zimny. Ogień na palenisku niewiele zdziałał i chcąc napisać listy do matki i sióstr, Reilly zasiadł przy ogromnym

biurku w rogu pomieszczenia, nie zdejmując kapelusza, szalika oraz rękawiczek, zupełnie jakby odgrywał w sztuce rolę biednego sekretarza.

Christine byłaby zdumiona, widząc jego determinację. Niezdecydowany? On? Nigdy w życiu!

Jednakże co miał do wyboru? Ten pokój albo dzielenie komnaty z hrabią, który przesiadywał tam ze swoimi cholernymi, cuchnącymi psami, polerując swój cholerny miecz. Nie, Reilly miał do roboty lepsze rzeczy, niż siedzieć i patrzeć, jak hrabia się drapie i podziwia własne odbicie w rodzinnej pamiętce.

Listy nie były napisane starannie - Reilly stwierdził, że niełatwo pisało się w rękawiczkach, nawet takich z odciętymi koniuszkami na palce - ale zostały ukończone i ułożone w schludny stosik, gdzie czekały na wysłanie. W jednym z nich, adresowanym do Pearsona i Shelleya, Reilly opowiadał o swoich dotychczasowych przygodach na wyspie Skye, nie pomijając detali w rodzaju spodni panny Brenny Donnegal.

Lecz to, że spędził wieczór, nie robiąc nic innego poza napisaniem kilku listów, nie oznaczało, że Reilly nie był zmęczony... Być może wszystkiemu winne było słone powietrze. A może wilgoć, panująca w murach zamku. Cokolwiek zawiniło, Reilly zwał się na masywne łożo i usnął. Toteż kiedy po kilku godzinach został w środku nocy obudzony przez swego gospodarza, był bardzo niezadowolony.

- Odchrzań się - warknął, wrywając koc z mięsistych łap hrabiego. W sennym odurzeniu zapomniał, że Glendenning jest jego pracodawcą, a ten z kolei nie miał pojęcia, że tak brutalnie budzi ósmego markiza Stillworth.

Lecz lord Glendenning, ubrany, i to w liczne warstwy odzieży, wskazujące na to, że zamierza wyjść na dwór - chociaż w zamku było niemal równie zimno jak na zewnątrz - wcale się nie obraził, tylko powiedział:

- Rusz swój leniwy zewłok, Stanton. Jeśli chcesz zobaczyć na własne oczy, że panna Donnegal jest obłąkana.

To załatwiło sprawę. Reilly wprawdzie nie wyskoczył z łóża, lecz przestał się wczołgiwać pod przykrycie.

- Słucham? - powiedział ochrypłym od snu głosem.

- Słyszałeś. - Glendenning sięgnął po bryczesy Reilly'ego, leżące na krześle obok łóża. - Włóż je i weź płaszcz. Mamy dziś pełnię, co oznacza, że Brenna przyjdzie na cmentarz wyprawiać te swoje dziwactwa. Sam zobaczysz.

Glendenning rzucił bryczesy na łóżko i odwrócił się, zabierając świecę.

- Nie ma źle w głowie - mruknął pod nosem, idąc w stronę żarzącego się paleniska. - Dobrze sobie!

Reilly wiedział, że ta uwaga odnosi się do jego poczynionych w czasie lanczu zapewnień, że pannie Brennie Donnegal nie dolega nic oprócz pewnej naturalnej przekory... którego to zapewnienia hrabia wysłuchał ze sceptycyzmem. Po czym oskarżył doktora o to, że on także uległ czarowi dziewczyny.

- Już taka jest - oświadczył, celując w Reilly'ego palcem ponad porcją wołowiny. - Przyciąga człowieka do siebie. Ale w głowie nie ma po kolei. Na pewno.

Reilly odłożył widelec i rzekł nieco zniecierpliwionym tonem:

- To, że dziewczyna nie chce cię poślubić, Glendenning, nie oznacza jeszcze, że nie ma piątej klepki.

Na co lord wymamrotał znad swego piwa:

- Jeszcze się przekonasz. Pokażę ci. Zobaczysz na własne oczy.

Reilly tylko pokręcił głową. Było oczywiste, że ktoś w Lyming ma źle w głowie, lecz Reilly był gotów pójść o zakład, że tym kimś nie była Brenna Donnegal.

I obecność tego kogoś w sypialni Reilly'ego o drugiej w nocy, oświadczającego, że mają wyruszyć na cmentarz, tylko potwierdzała te podejrzenia. Jednakże lord Glendenning był jego gospodarzem i pracodawcą i, poza tym jednym dziwactwem, zdawał się stosunkowo zdrowy na umyśle. Reilly westchnął, wyszedł z ciepłego legowiska i szybko się ubrał.

Pół godziny później, kucając za murem kościoła, przemarznięty na kość, z całego serca żałował, że opuścił Londyn, gdzie nikt go nie zmuszał do przesiadywania nocą na cmentarzu, i miał poważne wątpliwości, czy właściwie ocenił zdrowie psychiczne hrabiego. Glendenning wywłókł go na dwór w środku najzimniejszej nocy w ciągu roku, a mimo to sam nie sprawiał wrażenia zmarzniętego, chociaż, zamiast spodni, miał na sobie kilt i, tak samo jak Reilly, siedział na stercie śniegu. Gdyby nie to, że od czasu do czasu popijał z flaszki, którą wyjmował zza pazuchy - flaszki, którą zaproponował Reilly'emu i z której Reilly zdrowo sobie pociągnął, lecz zawarta w niej whisky nie bardzo go ogrzała - miałyby poważne wątpliwości co do tego, czy hrabia jest istotą ludzką.

Bo Glendenning nie dygotał. Hrabia nie sprawiał wrażenia zmęczonego. Siedział spokojnie, wpatrując się w groby i w ich długie cienie, padające na śnieg w księżycowej poświacie. Czyżby hrabia, zastanawiał się Reilly, był jednym z krwio pijących widm, o których opowiadał mu Pearson? Ponoć miały być niewrażliwe na temperaturę otoczenia. Czyżby Glendenning przyprowadził go tutaj, aby wyssać z niego życiodajną krew?

Niemożliwe. Mógł przecież wychłęptać krew Reilly'ego w o wiele bardziej sprzyjających warunkach, w zamku. Co więcej, wampiry, przynajmniej wedle słów Pearsona, który opowiadał o nich Reilly'emu, nie napychały sobie ust strawą, jak to bez opamiętania czynił hrabia, będąc bardziej wybrednymi w wyborze pożywienia.

Więc Glendenning nie był wampirem. Ale to nie oznaczało, że nie był szalony, tak samo zresztą jak Reilly, który mu towarzyszył. Do diabła, co oni tu w ogóle robią? Reilly nie należał do ludzi przesądnych i nie spodziewał się, że zobaczy na cmentarzu coś szczególnego, ale to wszystko było... trochę niesamowite. Może z powodu niezwyklej ciszy, którą od czasu do czasu przerywało pohukiwanie sowy. Reilly był przekonany, że jeśli istniały takie istoty jak wampiry, to jeden z nich mieszkał na tym cmentarzu.

Bo czyż nie przyciągały ich śmierć i zaraza? A tego w Lyming z pewnością było w bród...

A może to Brenna Donnegal jest wampirem? - zastanawiał się Reilly. Czy to właśnie chciał mu udowodnić Glendenning? Niemożliwe. Bo czyż wampiry nie spalały się w promieniach słońca? A Brenna Donnegal nie dalej jak minionego ranka stała na zamkowych blankach tuż obok niego. Trzeba przyznać, że jaśniała, a jej rude włosy zdawały się płonąć w promieniach słońca...

Nagle Glendenning przeraził Reilly'ego, kładąc mu niespodziewanie dłoń na ramieniu.

- Słuchaj - powiedział.

Reilly, bez reszty zatopiony we wspomnieniach, dotyczących włosów Brenny Donnegal, zupełnie zapomniał, gdzie się znajduje. Strząsnął z siebie rękę hrabiego i wysyczał:

- Jeśli zrobisz to jeszcze raz, stary, zabieram się stąd.

- Ciii - wyszeptał Glendenning. - Słyszysz to?

Reilly nasłuchiwał przez chwilę.

- Chodzi ci o tę sowę?

- Och. Wydawało mi się...

Reilly zacisnął zęby.

- To tylko sowa.

Reilly był teraz całkowicie pewny, że to hrabia wymaga opieki lekarskiej. Wokoło nie było nic, nic a nic, poza zimnem, szczypiącym morderczym mrozem i dymem o zapachu drewna, pochodzącym z paleniska w domu pastora. Och, jakże Reilly zazdrościł pastorowi! Chociaż podejrzewał, że tutaj, w Szkocji, nazywano go inaczej niż w Anglii. Prawdopodobnie duszpasterzem. Teraz, chociaż Reilly nie był szczególnie religijny, nie miałby nic przeciwko byciu pastorem, śpiącym w ciepłym łóżku, być może z wtuloną w niego pulchną żoną oraz z rychłą perspektywą gorącego śniadania. A jakie były perspektywy Reilly'ego? Żadne. Kucharka w zamku Glendenning okazała się w jednakiej mierze pozbawiona talentu kulinarnego co i serca.

Reilly popadł w przygnębienie, przekonany, że przyjeżdżając z Londynu do Lyming, popełnił największą życiową pomyłkę, i wyobrażał sobie, jak zareaguje Christine, gdy w przyszłym tygodniu wejdzie do salonu jej rodziców i powie: „Przykro mi. Miałaś rację. Zawód lekarza jest do niczego. Jeśli zechcesz zostać lady Stillworth, jedźmy do Stillworth Park i do końca naszych dni bądźmy lordem i lady Stillworth”, gdy Glendenning nagle szturchnął go łokciem.

Reilly spojrział w kierunku wskazanym mu przez nie bardzo czysty palec hrabiego. To, co dostrzegł, sprawiło, że krew ścięta mu się w żyłach - o co nie było trudno, zważywszy na to, że i tak był bliski zamarznięcia. Dostrzegł bowiem zakapturzoną postać, szybko poruszającą się pomiędzy grobami. Serce Reilly'ego stanęło na chwilę, ponieważ wydało mu się, że owa postać trzyma w dłoni kosę.

Mój Boże, pomyślał. Śmierć! Spoglądam śmierci w oczy!

Lecz gdy zjawa się przybliżyła, Reilly zrozumiał, że się pomylił, a to, co wziął za kosę, okazało się latarnią. Mimo to postać mogłaby z łatwością ująć za jednego z wampirów Pearsona... gdyby nie pies.

Ponieważ obok zakapturzonej postaci dreptał pies, którego Reilly rozpoznał. Był to kundel, którego widział w Bura Cottage. Nie collie ze zranioną łapą, lecz pies Brenny Donnegal... Sorcha, chyba tak się wabił.

Niepomiernie zdumiony, powiedział:

- Ale...

Glendenning uciszył go, szepcząc:

- Patrz.

Reilly patrzył. I to, co zobaczył, napełniło go jeszcze większym zdumieniem. Ponieważ zakapturzoną zjawa zbliżyła się do grobu i, uniósłszy latarnię, przystanęła, odczytując napis na drewnianej tablicy.

- Co, do diabła? - mruknął Reilly.

- A nie mówiłem? - odezwał się Glendenning tonem tak triumfalnym, na jaki pozwalał mu szept. - Nie mówiłem? Ona ma fioła. Kompletnego fioła.

Ma rację, pomyślał Reilly (albo mój żart o czarownicy nie bardzo rozminął się z prawdą). Lecz Brenna Donnegal nie sprawiła na nim wrażenia osoby zajmującej się okultyzmem. Wprost przeciwnie. Brenna Donnegal wydawała się mocno stąpać po ziemi i zajmować się sprawami praktycznymi. Cóż, u diabła, robiła na cmentarzu w samym środku nocy?

I co on tutaj robił?

Tego już za wiele, pomyślał Reilly, i zaczął się podnosić.

- Stój. - Hrabia chwycił go za brzeg peleryny. - Dokąd się wybierasz?

- Mam dość tego szaleństwa - odparł Reilly, strzepując śnieg ze spodni.

Lecz nie było mu dane odejść. Glendenning brutalnie pociągnął go z powrotem na śnieg.

- Zwariowałeś? - zapytał hrabia, *sotto voce*. - Ona nie może się dowiedzieć, że tutaj jesteśmy!

Nie bardzo zadowolony ze sposobu, w jaki Glendenning go powstrzymał - zdawało mu się, że wielkie, mięsiste paluchy hrabiego rozdarły jego pelerynę, a było to jedyne takie okrycie, które Reilly przywiózł z Londynu - warknął:

- Niby dlaczego?

Glendenning spojrzął zza muru w kierunku grobów.

- Ponieważ najwyraźniej jest opętana. Jeżeli wyrwiemy ją z transu, w jakim się znajduje, może się na zawsze pogрузić w otchłani szaleństwa. - Pokręcił głową, potrząsając długimi lokami. - Cóż z ciebie za lekarz? Na niczym się nie znasz.

Reilly spojrzął na swego pracodawcę z najwyższym zdumieniem.

- Otchłań szaleństwa? - powtórzył jak echo. - Otchłań szaleństwa? Cóż za bzdury! Puść mnie, ty ignorancie! Pójdę do niej i zapytam, co to wszystko znaczy, choćbym miał z niej wytrząść prawdę...

- Nic ci nie powie - upierał się Glendenning, przytrzymując Reilly'ego za ramiona. - Wierz mi. Już próbowałem. Powie ci, żebyś pilnował własnego nosa.

- To raczej nie brzmi jak odpowiedź osoby opętanej - odparł Reilly stanowczo.

- Nieważne. Mówię ci, że gdy nadchodzi pełnia, coś w nią wstępuje. Już trzeci raz widzę ją tutaj i za każdym razem jest tak samo. Chodzi pomiędzy grobami, oglądając napisy na tablicach, potem zapisuje coś w zeszycie, a wreszcie idzie do wsi i znowu coś pisze. Czasami schyla się i podnosi garście ziemi, wkłada je do kieszeni i zabiera do domu...

Dobry Boże! Ziemia? O co tu chodzi? Jakaś geologiczna obsesja? Co się dzieje z tą kobietą?

Kucająca w kręgu światła, rzuconym przez jej latarnię, i bazgrząca coś ołówkiem w zeszycie, który wyciągnęła z przepaścistych kieszeni peleryny, Brenna Donnegal rzeczywiście nie sprawiała wrażenia osoby w pełni władz umysłowych. Bo to była Brenna Donnegal. Reilly widział jej kasztanowe włosy, lśniące w księżycowej poświacie, a gdy się podniosła, dostrzegł spodnie. W sekundę później zeszyt zniknął, a dziewczyna zaczęła się rozglądać w koło, prawdopodobnie szukając psa.

Który, jak poniewczasie zorientował się Reilly, wyczuł ich obecność i machał przyjaźnie ogonem.

- Idź sobie - syknął hrabia. - Odejdź. Wyoś się!

Pies nie zwracał na hrabiego najmniejszej uwagi. Podskoczył, wsparł przednie łapy na ramionach Reilly'ego i polizał go w twarz.

- Zjeżdżaj - wysyczał Glendenning, chowając się za murem. - Już cię tu nie ma! Won!

Pies wyszczerzył zęby. Zostawił ich dopiero wtedy, gdy pod stopą jego pani trzasnęła gałązka i stało się oczywiste, że Brenna Donnegal wychodzi z cmentarza. Sorcha szybko się obejrzała i bezszelestnie pomknęła za oddalającą się postacią.

Glendenning odetchnął z ulgą.

- No - powiedział głośno, gdy suka i jej właścicielka zniknęły z pola widzenia. - Mówiłem ci. Teraz będzie się włóczyć po wsi, a potem wróci do domu. Jest kompletnie pomyłona.

Reilly wstał. Tym razem Glendenning go nie powstrzymał.

- Jestem przekonany - oświadczył Reilly, strzepując śnieg z peleryny - że jej zachowanie da się racjonalnie wyjaśnić.

Musi się wyjaśnić. Po prostu musi.

- Pewnie - odparł Glendenning. On także wstał, przy czym jego stawy głośno zatrzeszczały. - Jest opętana.

- Nie bądź idiotą - powiedział Reilly. Podszedł do niskiego kamiennego muru, za którym kucali, i lekko go przesadził.

- Bo jeśli nie jest opętana... - Glendenning szedł za nim powoli, co skłoniło Reilly'ego do podejrzeń, że hrabiemu nie było na śniegu zbyt wygodnie. - ...to co tu wyrabia?

Reilly szedł przez cmentarz, aż dotarł do grobu, przed którym poprzednio przyklękła Brenna. Nagrobna płyta była drewniana, widniało na niej z pół tuzina nazwisk. Wszystkie pochowane w grobie osoby zmarły tego samego dnia: 4 sierpnia 1846 roku.

- Znałeś kogoś z tych ludzi? - zapytał Reilly, wskazując hrabiemu nagrobek.

Glendenning chrząknął z namysłem.

- Jednego albo dwóch - odparł. - Przeważnie dzieci. Ale ona zabierała głównie dzieci i starców. Mam na myśli cholere. Pod koniec mieliśmy tutaj tak wielu zmarłych, że zaczęliśmy ich chować jednego nad drugim, po pięć, sześć osób w jednym grobie. Nie było wyboru, chyba że zakopalibyśmy ich w nie poświęconej ziemi, a nikt tego nie chciał. Nie mieli nawet trumien, nieszczęśnicy. Stolarz także odszedł, więc zawijaliśmy ich w prześcieradła, na których skonali. Jedyne, co mogliśmy byli zrobić w tym pośpiechu, to pochować ich tak głęboko, żeby psy się nie dokopały. A musieliśmy się spieszyć, żeby zdażyć, nim ciała zaczną się rozkładać...

- Dobry Boże - westchnął Reilly.

Wiedział o tym, oczywiście. Słyszał, że w Londynie nie było

lepiej. Nie bywał w dzielnicach najbardziej dotkniętych zaraza... nie bywał tam nikt z jego znajomych.

A jeśli już ktoś był zmuszony, to zawsze z przytkniętą do nosa jedwabną chusteczką, aby nie wdychać miazmatów, które rozsiewała ta straszliwa, przywieziona z za morza choroba.

Jednakże słyszał o zbiorowych grobach, o wozach pełnych trupów, o całych rodzinach, które odeszły...

Nigdy dotąd nie oglądał jednak świadectwa tych okropieństw.

Z przykrością wspomniął słowa Brenny, oskarżającej członków Królewskiej Akademii Medycznej o to, że nie interesowali się leczeniem ludzi, a dbali wyłącznie o własną karierę. Miała rację, pomyślał. Żaden z jego kolegów - ani on sam - nie zatroszczyli się o najbiedniejsze dzielnice Londynu, pustoszone przez zarazę. Nie byłoby tak, gdyby choroba zaatakowała kogoś z ich pacjentów. Dla Reilly'ego i jego kolegów cholera zawsze była chorobą, która zdarzała się innym, nie im.

- My - powiedział Reilly i zamilkł, by odchrząknąć. - Co masz na myśli, mówiąc „my”? Ty także pomagałeś w pochówkach?

Trudno mu było uwierzyć, że hrabia - a zwłaszcza ten hrabia - zniżył się, by robić coś tak... służebnego.

- Tak - zabrzmiała zaskakująca odpowiedź Glendenninga. - Wszyscyśmy pomagali. Każdy przyłożył ręki. Nawet matka Brenny, pani Donnegal, brała w tym udział, a to bardzo drobna kobieta.

Dobry Boże. Lord Glendenning, jak przekonywała go Brenna, był zupełnie inny niż pozostali parowie, jakich znała. Był także zupełnie niepodobny do arystokratów znanych Reilly'emu, co teraz sam musiał przyznać, choć niechętnie. Lord Glendenning, jak się okazało, dbał o swoich ludzi znacznie bardziej niż większość członków z Izby Lordów, których praca polegała przecież na trosce o dobro ludzi.

Reilly pokręcił głową. Przed nim widniały inne, wiele innych,

tablic nagrobnych. Jak wielu mieszkańców Lyming zostało złożonych do tych przypadkowych grobów? Okropność.

Jednakże nie usprawiedliwiało to dziwnego zachowania, którego świadkiem stał się tej nocy.

- Więc co o tym myślisz? - zapytał Glendenning.

Wyrwany z zadumy Reilly spojrzął na hrabiego.

- O czym?

- O zachowaniu dziewczyny. - Nawet w świetle księżyca Reilly widział, że hrabia jest zniecierpliwiony. - Co oznacza to spisywanie nazwisk zmarłych? I zbieranie ziemi we wsi?

Na te pytania Reilly miał tylko jedną odpowiedź.

- Nie wiem.

Glendenning spojrzął na niego rozgniewanym wzrokiem.

- Co znaczy „nie wiem”? Sądziłem, że to jasne. Kobieta jest obłąkana.

Reilly skupił myśli. Zważywszy na jego zmęczenie, ilość alkoholu, jaką wypił, oraz ostry mróz, nie było to łatwe. Ale się starał.

I nie spodobało mu się to, co wymyślił.

Nie chodziło tylko o to, że ta kobieta stała w środku nocy nad grobem i zapisywała nazwiska zmarłych. Ani o to, że się włóczyła po wsi, także w ciągu nocy, zbierając próbki gleby. Niepokoiło go coś innego. A było to coś, co odkrył w wioskowym szpitaliku: brak wyposażenia medycznego.

Nie, nie zapasu leków. Znajdowało się tam mnóstwo bandaży, maści i smarowideł.

Lecz w miejscu, gdzie poprzednio najwyraźniej stał mikroskop, teraz pozostał tylko zakurzony blat, a szkiełka do preparatów, które się zachowały, były potłuczone. Z półek zniknęły niektóre fiołki z chemikaliami.

A co najdziwniejsze, brakowało kart chorych.

Co się z tym wszystkim stało?

Złodzieje? Możliwe. Lecz nie było widać żadnych śladów

włamania, a Glendenning przysięgał, że ma jedyny klucz do drzwi szpitalika. I po co złodziejom karty chorych?

Będzie musiał zakładać je od nowa.

O nowy mikroskop nie będzie trudno, przynajmniej Reilly'emu. Wystarczy go zamówić i obciążyć kosztami bank. Szkiełka mikroskopowe i chemikalia także.

Interesowało go, dlaczego zostały zabrane. W jakim celu? Dlaczego podejrzewał, że w nieuczciwym?

Ponieważ był całkowicie pewien, kto je zabrał. I bał się myśleć, tak, bał się, po co.

Kobiety nie miały powodu, najmniejszego powodu, by babrać się w takich rzeczach.

- Wspomniałeś coś - zwrócił się do hrabiego - że panna Donnegan zamyka jeden pokój w domku.

- Tak - odparł Glendenning. - Na całej wyspie nie ma drzwi zamykanych na klucz poza drzwiami szpitalika oraz drzwiami do gabinetu jej ojca, jak go nazywa. Dlaczego?

- Nie wiadomo - odparł Reilly z namysłem.

Glendenning nie należał do najbystrzejszych, ale nie był także głupi. Chwytał Reilly'ego za ramiona i zwrócił twarzą ku sobie.

- Powiedz mi, Stanton - odezwał się swoim głębokim głosem, który dudnił jak daleki grzmot. - Nie możesz przede mną nic ukrywać. Cokolwiek to jest. Poznaję po twoim milczeniu, że coś podejrzewasz... Coś nie jest w porządku... Czy ona... czy naprawdę jest stracona? O to chodzi?

Reilly spojrzał na hrabiego kamiennym wzrokiem.

- Puść mnie - powiedział beznamiętnie.

Glendenning cofnął ręce i odszedł kilka kroków. Potem zawrócił i Reilly dostrzegł w księżycowej poświacie, że hrabia jest rozścieczony.

- Lepiej powiedz mi wszystko, i to natychmiast! Wiesz coś, wiesz więcej, niż mi mówisz! Lepiej wygarnij całą prawdę albo za chwilę będziesz pluł własnymi zębami, przyjacielu.

Reilly potrafił znieść wiele. Zniósł porzucenie przez ukochaną, uważając go za nicponia i łobuza, który odziedziczył tytuł, ale nie chce go używać. Zdobył się na to, by pozostawić dotychczasowe życie i zacząć wszystko od nowa, w zabitej dechami dziurze, po to, żeby udowodnić swojej ukochanej, że się myliła, że on wcale nie jest nicponiem ani łobuzem i że jeśli ona naprawdę go kocha, nie będzie dla niej miało znaczenia, czy ludzie zwracają się do niej per pani Stanton czy lady Stillworth. Skoczył do lodowatej wody, aby wyłowić tonącego przewoźnika i pomagał w odbieraniu porodu bękartu miejscowej dziewczuchy z gospody. Pozwolił nawet, by go w środku nocy obudził ogłupiały z miłości hrabia.

Ale jednego nie potrafił znieść. By mu grożono.

- Tylko spróbuj - warknął, zaciskając pięści. - Tylko spróbuj, Glendenning.

Hrabia zupełnie stracił rezon. Spojrzał na zaciśnięte pięści Reilly'ego i powiedział:

- Daj spokój, Stanton. Po co to wszystko? Nie miałem nic złego na myśli. Nie musisz się tak stawiać...

Reilly zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko, opuścił pięści. Lecz nie mógł nic poradzić na przyspieszone bicie serca ani na to, że włos zjeżył mu się na karku.

- Przepraszam - wybąkał.

- Nie. - Glendenning patrzył na niego trwożliwie, jak na rozwścieczonego psa. - Nie, to ja przepraszam, w porządku. - A potem, kiedy tak stali naprzeciw siebie, dysząc w obłoczkach pary, dodał cicho: - Więc powiedz mi. Zniosę prawdę. Co to jest? Opętanie? Guślarstwo?

Dokładnie w chwili, gdy Glendenning wypowiedział słowo „guślarstwo”, nad ich głowami odezwała się sowa. Reilly lekko się wzdrygnął.

- Nic z tych rzeczy - odparł, ciaśniej otulając się peleryną. Glendenning się przygarbił.

- A więc tak - powiedział posępnie. - Cóż, chyba zawsze to

podejrzewałem. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Wszystkie inne kobiety... cóż, teraz przynajmniej rozumiem.

Reilly spojrział na niego pytającym wzrokiem i Glendenning dodał:

- Och, nie pogrywaj sobie ze mną. Jest zwariowana jak Szalony Kapelusznik i doskonale o tym wiesz. Nie ma sensu bawić się w delikatność.

Lecz Reilly wcale nie usiłował być delikatny. Przynajmniej nie w sposób świadomy. Myślał o Pearsonie i jego hrabinie oraz o tym, jak podniecająco byłoby mieć swoją własną wariatkę, o której mógłby mu napisać. Głupiec. Oto kim był. Głupcem i niedojdą. Cóż on wiedział na temat szaleństwa? Co w ogóle wiedział? Był dokładnie taki sam jak mężczyźni, o których Brenna wyrażała się tak pogardliwie, owi parowie z Królewskiej Akademii Medycznej. Utytułowani ignoranci, starający się przydać sobie znaczenia...

Jego ponure rozmyślenia przerwał głęboki głos Glendenninga.

- Co mamy robić w takim razie? Czy coś jej grozi?

- Nie powiedziałbym tego - westchnął Reilly. - Chyba że... cóż, przypuszczam, że to zależy od tego, co znajdziemy w tym pokoju.

- W jakim pokoju? - zdziwił się hrabia.

- W tym z zamkniętymi na klucz drzwiami. W jej domku.

- Nigdy się tam nie dostaniesz - parsknął hrabia. - Pilnuje go, jakby przechowywała tam wysadzaną drogimi kamieniami koronę.

Reilly się zastanowił.

- Co z jej krewnymi? Tymi, do których wysłali ją rodzice?

- Aha - powiedział Glendenning. - Stryj, który jest albo nie jest parem. Co ma z nim być?

- Myślę - wymamrotał Reilly - że lepiej będzie, gdy do niego napiszę...

- Co to da? Najwyżej zaciągnie ją z powrotem do Londynu.

- Bo tam jest jej miejsce - oświadczył Reilly. - Ktoś musi jej

pilnować. Najwyraźniej ona coś knuje. Coś, do czego nie chce nikomu się przyznać, a więc może to być dla niej niebezpieczne...

- Mówiłem ci już - żałośnie wyjęczał Glendenning. - Zaopiekuję się nią. Nie ma potrzeby pisać do jej stryja. Po prostu ją przekonasz, że według twojej lekarskiej opinii nie powinna mieszkać sama, a ja dokonam reszty...

- Jeśli ona rzeczywiście jest obłąkana - powiedział Reilly z niesmakiem - nie możesz jej poślubić, Glendenning.

- Dlaczego? Zabrania tego jakieś prawo?

- Bardzo możliwe. Ale nawet jeśli tak nie jest, czy naprawdę pragniesz, by kobieta, która czai się nocą pośród grobów, stała się matką twoich dzieci?

- Mój ojciec zawsze się upierał - odparł Glendenning, dumnie unosząc głowę - że moja matka jest niespełna rozumu, a ze mną jest wszystko w porządku.

Co do tego, pomyślał Reilly, można by mieć pewne wątpliwości.

- Nie wątpię - powiedział. - Dziś rano pójdę zobaczyć się z panną Donnagai i dowiem się, czy ma jakieś prawdopodobne wytłumaczenie dla swojej nocnej wyprawy.

Twarz hrabiego pojaśniała.

- Świetnie - oświadczył, bardzo zadowolony.

A potem, widząc, że Reilly nie odnosi się z entuzjazmem do tego pomysłu, objął go ramieniem i powiedział życzliwie:

- Nie chmurz się tak, Stanton. Wszystko obróci się na dobre. Ja zyskam żonę, której pragnę, a ty domek, który ci się należy, i wszyscy będziemy szczęśliwi.

Reilly bardzo w to wątpił.

10

Brenna Donnegal wygładziła spódnicę ze złocistego atłasu i spojrzała spod rzęs na stojącego przed nią młodego człowieka.

- Sama nie wiem... - zaczęła, udając niezdecydowanie.

- Proszę, panno Donnegal. - Młodzieniec był całkiem przystojny w tym swoim aksamitnym surducie i bryczesach. - Obiecała mi pani ostatni taniec.

- Hmm... - Brenna miała ochotę zatańczyć z młodym dżentelmenem, lecz wiedziała, że nie należy mu tego okazywać. Młodzi mężczyźni powinni trwać w niepewności co do prawdziwej natury uczuć, jakie dama żywi w stosunku do nich. Każdy to wiedział. Niepewność własnej sytuacji nie pozwalała im stracić zainteresowania.

- Cóż - zaczęła Brenna zalotnym tonem - przypuszczam...

Lecz przerwał jej inny młody dżentelmen, jeszcze przystojniejszy od poprzedniego, o szerokich w barach, roześmianych oczach i miękkich brązowych włosach, które związał z tyłu rzemyczkiem.

- Powiedziała pani, że ten ostatni taniec będzie mój - odezwał się. I wyciągnął do niej rękę.

Brenna ujęła jego dłoń, wstała i pozwoliła, by doktor Stanton - ponieważ był to właśnie Reilly Stanton, a tylko on miał takie

roziskrzone wesołością oczy, tak niedbale uczesane włosy, a jednak wyglądał tak nieprawdopodobnie przystojnie - poprowadził ją na parkiet.

Dopiero w chwili gdy znajdująca się w rogu sali balowej orkiestra zaczęła grać walca, Brenna zdała sobie sprawę z tego, że nie zawiruje w tańcu. Wpadła w panikę. Nie umiała tańczyć walca. Była najwyższą dziewczyną w klasie, więc nauczyciel tańca zawsze ją zmuszał, by odgrywała rolę „dżentelmena”, toteż nie miała pojęcia, jak ma dać się prowadzić. Kilka prób odtańczenia walca z mężczyzną skończyło się katastrofą w rodzaju posiniaczonych kolan, podeptanych palców lub gorzkich słów, a czasem tym wszystkim naraz.

Spojrzała w przyjazne brązowe oczy Reilly'ego Stanton'a i dostrzegła w nich poczucie humoru. Powiem mu, zadecydowała. Wygląda na takiego, który mnie zrozumie.

Ale jego ramię już otoczyło jej kibić i Brenna poczuła jego szczupłe, silne ciało tuż przy swoim. Co tam, pomyślała, to nie takie złe.

I wtedy owiała ją woń lawendowego mydła, zapach tak czysty i przyjemny, że Brenna zamknęła oczy, aby lepiej się nim rozkoszować. Och, myślała, nie spodziewałam się, że mężczyzna może tak ładnie pachnieć.

Muzyka zabrzmiała głośniej i Reilly Stanton zrobił krok do przodu, a Brenna, niewiele myśląc, uczyniła to samo.

Bang! Ich kolana zderzyły się boleśnie pomimo dzielącej je grubej warstwy, na którą składały się jej spódnica i halki...

Brenna otworzyła oczy i przez chwilę leżała nieruchomo, wpatrując się w dobrze znane belki sufitu jej sypialni.

Dobry Boże, pomyślała. To tylko sen. Nic więcej.

A raczej koszmar. Od czasu gdy poprzednim razem znalazła się na sali balowej, minęły dwa miesiące. Było to owego wieczoru, kiedy skłamała, że przyszedł do niej list od ciotki, informujący ją o chorobie wuja.

- Muszę - powiedziała ze smutkiem swojej gospodyni, pani Bartlett - natychmiast wracać do Londynu...

I, złapawszy najbliższy dyliżans, pojechała do Edynburga, a stamtąd z powrotem na wyspę Skye.

Tylko Mary znała prawdę. A ona, która uważała to wszystko za zapierającą dech w piersiach przygodę, nigdy by Brenny nie zdradziła. Pracowicie przedadresowywała wszystkie listy, nadchodzące dla Brenny do domu pani Bartlett w Bath, ukrywając w ten sposób prawdę przed jej rodzicami. Lepszej przyjaciółki Brenna nie mogłaby sobie wymarzyć, co było dziwne, zważywszy na to, że poznała ją w najbardziej nienawistnym z wszystkich możliwych miejsc na ziemi, to jest w Londyńskiej Pensji dla Panien, prowadzonej przez pannę Laver. Brenna nie dbała o naukę przedmiotów, które panna Laver uważała za niezbędne w edukacji nowoczesnej młodej damy, to jest tańca i malarstwa, choć pozostawała w niezłych stosunkach z dziewczętami. Dziewczętami doprawdy słodkimi, dla których jedynym celem było złapanie bogatego oraz, co mniej ważne, przystojnego męża. Mary, jako jedyna spośród nich, wykazywała oryginalność oraz zamiłowanie do psikusów, co sprawiło, że tak dobrze się z sobą zgadzały. Brenna nie pasowała ani do tej szkoły, ani do sal balowych w Londynie, dokąd, po ukończeniu edukacji, siłą ciągnęli ją pełni dobrych chęci stryjostwo.

Toteż obecnie sala balowa była ostatnim miejscem, w którym można było spotkać Brennę Donnegal. I bardzo jej to odpowiadało.

Więc dlaczego, na Boga, śni jej się sala balowa? Dlaczego perspektywa odtańczenia walca - walca z Reillym Stantonem - spędza jej sen z oczu, kiedy na jawie dzieje się tyle ważnych, bardziej niepokojących rzeczy?

Wtedy dotarł do niej dźwięk, który we śnie uznała za spowodowany zderzeniem jej kolana z kolaniem tutejszego nowego lekarza, i Brenna zdała sobie sprawę, że ktoś dobija się do drzwi jej domku.

Przeturlała się na bok i spojrzała na zegarek, stojący na nocnym

stoliku. Ósma rano. Ósma rano, a ktoś wali do jej drzwi. Opadła na poduszki. Co jest z tymi ludźmi? Czyżby nie słyszeli? Przecież mają teraz nowego lekarza. Po co, na Boga, stukają do jej drzwi?

Myśląc z niechęcią o opuszczeniu ciepłego łóżka, zawołała zachrypłym od snu głosem:

- Chwileczkę!

Osoba za drzwiami najwyraźniej jej nie usłyszała, ponieważ dobijała się do drzwi jeszcze głośniejsze, na skutek czego Sorcha, która leżała pomiędzy Brenna a zaspanym Erikiem, poderwała się i zaczęła ujadać.

Brenna jęknęła i sięgnęła po szal. Dlaczego? - myślała. Dlaczego ja, a nie ów młody, zdolny doktor Stanton? Przecież wszyscy na pewno usłyszeli już o jego przybyciu. Lyming było maleńką wioską. To niesprawiedliwe. On, w przeciwieństwie do niej, nie był całą noc na nogach. On, z całą pewnością, spędził noc w ciepłym i wygodnym łóżku w którymś z gościnnych pokoi na zamku Glendenning. A potem, wspomniawszy swój ostatni pobyt w zaniku, poprawiła się w myśli: może i wygodnym, ale na pewno nie ciepłym. Ciepło było ostatnią rzeczą, jakiej można się było spodziewać w zamku Glendenning...

Ów ktoś stukał coraz głośniejsze.

- Idę - powiedziała Brenna, owijając się szalem. Wstała i dygocząc z zimna, wsunęła stopy do wytartych kapci, które trzymała pod łóżkiem. Przez cały ten czas walenie do drzwi przybierało na sile.

- Mój Boże - wymamrotała. - Pewnie coś bardzo pilnego.

Zataczając się, ruszyła do drzwi, a podniecona Sorcha kręciła jej się pod nogami, jeszcze bardziej utrudniając drogę. Stukanie nie ustawało.

- Proszę przestać... - zaczęła się zmagać z drewnianą zasuwą, na którą co noc zamykała drzwi. - Dosyć... - udało jej się unieść ciężką zapadkę - ...już tego.

Otworzyła drzwi. Ku wielkiemu zdziwieniu ujrzała nie któregoś

z wieśniaków, lecz stojącego na śniegu Reilly'ego Stanton, który sprawiał wrażenie równie niewyspanego jak ona.

- To pan! - wykrzyknęła, rumieniąc się na wspomnienie swego idiotycznego snu. - Co pan tu...

Lecz zanim skończyła, wyminął ją bez pardonu i wszedł do domu.

- Dość tych gier. - Reilly Stanton okręcił się wkoło i ruszył ku drzwiom pokoju, który ojciec Brenny nazywał swoim gabineciem. - Nie spałem calutką noc, zastanawiając się nad tym. Ale wciąż nie widzę żadnego sensownego powodu, dla którego włóczy się pani po nocy, spisując nazwiska z nagrobków, a potem zbiera próbki ziemi sprzed domów wieśniaków. Glendenning sądzi, że jest pani obłąkana, a ja jestem skłonny mu uwierzyć. Tylko... tylko że, do diabła, nie mogę.

Brenna zamknęła drzwi i spoglądała na niego z wysoko uniesionymi brwiami.

- Dzień dobry panu, panie Stanton - powiedziała.

- Mówiłem, żeby pani sobie ze mnie nie kpiła, panno Donnegal - warknął Reilly. - Może to dla pani zabawne, lecz zapewniam panią, że mnie nie bawi przesiadywanie nocą na cmentarzu i odmrażanie sobie... - Spojrzał na nią z niechęcią. - Odmrażanie sobie stóp.

- Ja pana nie zmuszam do przesiadywania na cmentarzu - odparła Brenna. - Dlaczego pan na mnie wrzeszczy?

- Wrzeszczę, bo jak pani doskonale wie, Glendenning stracił głowę do tego stopnia, że myśli wyłącznie o pani. Zaciągnął mnie na cmentarz i kazał patrzeć na to pani przedstawienie. - Reilly przemierzał pomieszczenie w tę i z powrotem, nie zdając sobie sprawy z tego, że nad jego głową, z belki na belkę, przeskakuje wrona Brenny.

- Przesiedziałem całą noc, usiłując przekonać samego siebie, że on ma rację, uważając panią za obłąkaną, ponieważ to jedyne sensowne wytłumaczenie. Tylko że... - zamilkł nagle i odwrócił

się twarzą ku niej. - Tylko że pani nie jest obłąkana. Wariatka nie odebrałaby wczoraj porodu. Nie dbam o to, co mówią inni. Więc skoro nie jest pani szalona, panno Donnegal, to co, do diabła, robiła pani wczoraj w nocy?

Brenna przechyliła głowę, tak że jej czerwonozłote włosy, których nie miała jeszcze okazji wyszczotkowac, spłynęły na jedną stronę.

- Zechce się pan napić herbaty, panie Stanton?

- Herbaty?! - wykrztusił. - Powiedziała pani, herbaty? Czy napiję się herbaty? Czy na pewno dobrze panią usłyszałem?

Reilly Stanton, którego Brenna uznała za mężczyznę niezwykle opanowanego, był bliski wybuchu. Na środku jego czoła pulsowała żyła, której nigdy dotychczas nie spostrzegła, a zazwyczaj łagodne brązowe oczy ciskały błyskawice.

- Czy się nie mylę, panno Donnegal? Herbaty? Zadałem pani w pełni uzasadnione pytanie, a pani mnie zbywa, pytając, czy napiłbym się herbaty?

Brenna odeszła od drzwi. Ciągnęło od nich lodowate powietrze. Zbliżyła się do paleniska, które przez noc niemal całkowicie wygasło.

- Z pewnością pan przemarzł - powiedziała, sięgając po żelazny pogrzebacz i rozgarniając nim żar. - Myślę, że herbata będzie bardzo na miejscu.

- Czekam na wyjaśnienie - powiedział Reilly zniecierpliwionym tonem.

- Wziąwszy pod uwagę fakt, że nie mam pojęcia, o co panu chodzi, nie powinien pan oczekiwać wyjaśnienia. Więc może się pan napić herbaty.

Reilly Stanton wysunął spod stołu krzesło i usiadł na nim z niezadowoloną miną.

- Po co ja tu w ogóle przyjechałem? - myślał na głos.

Brenna nie była pewna, czy chodzi mu o jej domek, czy o Lyming.

- Jadł pan śniadanie? - spytała ze współczuciem. - Jestem pewna, że znajdę jajko lub dwa...

- Nie chcę jajek. - Reilly walnął pięścią w stół. - Chcę się dowiedzieć, co pani wyczynia. Usiłuje pani przekonać hrabiego, że brak pani piątej klepki? Jeśli tak, na nic się to nie zda. I tak jest gotów ożenić się z panią.

Brenna rozpałała ogień i postawiła czajnik na płycie.

- Tylko dlatego - rzuciła przez ramię, podchodząc do drzwi spiżarni - że jestem jedyną kobietą...

- ...na wyspie, której nie miał - skończył za nią Reilly. - Tak, tak, poznałem już pani zdanie na ten temat. Ale czy pani naprawdę sądzi, że postępuje rozsądnie? Nie chcę pani straszyć, ale włożenie się wśród grobów osób zmarłych na cholera jest niebezpieczne. Sama pani wie, że powietrze wokół nich może być zaraźliwe.

- Niech pan nie będzie śmieszny - powiedziała, zamykając stopą drzwi od spiżarni, z której wyniosła bochenek chleba, garnuszek z masłem i słoik dżemu.

- Nie jestem. Nie chcę pani obrazić, panno Donnegal, ale bez względu na to, co sobie pani myśli, otrzymałem lepszą edukację medyczną od pani i zapewniam, że pani postępowanie jest niebezpieczne nie tylko dla niej samej, ale i dla wszystkich mieszkańców tej wioski.

Brenna poczuła, że się rumieni. Dlaczego ten człowiek tak bardzo ją denerwował? Do dziś czuła się zawstydzona na myśl o tym, jak wykręciła mu palec, który przytknął do jej warg. Ale nie mogła się opanować. To dziwne, że zwykły dotyk tak bardzo ją rozwścieczył.

Ale tak właśnie było. Tym razem postanowiła, że nie da się ponieść furii.

- Wiem, że uważa się pan za wielkiego znawcę w dziedzinie medycyny - powiedziała, stawiając produkty na stole. - Zdaję sobie sprawę, że przybył tu pan aż z Londynu, aby zadziwić nas

swoją wiedzą i, jak przystało prostej wieśniaczce, powinnam być panu wdzięczna za te światłe pouczenia. Lecz nie zgadzam się z pańską teorią, jakoby moja bytność na cmentarzu mogła się przyczynić do powrotu zarazy. Nie podzielałam bowiem opinii pańskich kolegów, że cholera powodują miazmaty, jak to jest w przypadku tyfusu czy szkarlatyny.

Reilly zdawał się jej nie słuchać. W irytujący sposób rozglądał się po pomieszczeniu.

- To nie w porządku - przemówił w końcu.

- Wiem, że nie powinnam podważać opinii środowiska medycznego - powiedziała, krojąc chleb. - Ale uważam...

- Nie o to mi chodzi - przerwał jej, zniecierpliwiony, że nie nadała za tokiem jego myśli. - Nie powinna tu pani mieszkać sama. To nie w porządku.

Brenna rozejrzała się wokół siebie.

- To prawda, że nie korzystam z pokoju rodziców ani z pokoju, w którym mieszkali moi bracia, ale nie ma pan prawa oskarżać mnie o zagarnięcie zbyt dużo miejsca...

- Dobrze pani wie, o co mi chodzi, panno Donnegal - powiedział, spoglądając na nią gniewnym wzrokiem. - Młoda kobieta, taka jak pani, nie powinna mieszkać sama. Ani bez przyzwoitki widywać się z mężczyznami. Nie sądzę, by rodzice pani pochwaliли jej zachowanie, gdyby o nim wiedzieli.

Brenna także nie sądziła, by je pochwalił. Ale z drugiej strony, zawsze najważniejsza dla nich była praca, więc lubiła sobie wyobrazić, że gdy się dowiedzą, czym się zajmowała, zrozumieją, że robiła to, aby potwierdzić swoją teorię...

- Hrabia wspominał, że ma pani stryja - ciągnął Reilly Stanton. - I że rodzice, wyjeżdżając do Indii, powierzyli panią jego opiece...

Brenna zaczęła podejrzewać, że nowy lekarz ma zamiar wtrącać się do jej pracy na rozmaite sposoby. Uznała, że drobny wykręt będzie nie od rzeczy.

- Tak - oparła, smarując chleb masłem. - W istocie.
- I jak stryj zareagował na to, że wróciła pani na wyspę?
- Nie był zadowolony. Ale nie mogę do niego wrócić.
- Niby dlaczego? - spytał Reilly. Wziął kromkę chleba, którą mu podała, i sięgnął po dżem.

- Nie rozumie pan. Naprawdę nie mogę.
- Dlaczego? - powtórzył i oddał jej posmarowaną dżemem kromkę. - Proszę. I niech mi pani nie próbuje wmówić, że uciekła pani, bo panią bił. Nie jestem aż tak łatwowierny, na jakiego wyglądam. Dobrze wiem, że każdy mężczyzna, który podniósłby na panią rękę, gorzko by tego pożałował.

Brenna wpatrywała się w kromkę chleba. Było jej głupio, bo miała zamiar skalać dobre imię stryja, opowiadając doktorowi właśnie takie kłamstwa.

- Dlaczego mi pani po prostu nie powie, co sprowadziło ją z powrotem na wyspę? - ciągnął doktor Stanton. - Nie sądzi pani, że to poprawiłoby sytuację?

- Po co? - zachnęła się. - Żeby stał się pan jeszcze bardziej protekcyjnalny?

- Protekcyjnalny? No, no. Przemawiam do pani jak człowiek rozsądnie myślący. Uważa pani, że traktuję ją protekcyjnalnie?

- Nie ma pan żadnego prawa - odparła, mierząc go gniewnym wzrokiem - by wtykać nos w moje sprawy.

- I tu się pani myli. Kiedy pani sprawy zachodzą na moje, mam do tego wszelkie prawo. Woda się gotuje.

Woda w czajniku bulgotała.

Brenna, nie przestając marszczyć czoła, wstała i sięgnęła po czajnik. Doprawdy, doktor jest najbardziej irytującym człowiekiem z wszystkich, jakich dotychczas spotkałam, myślała. Zjawia się tu po bezsennej nocy, nieogolony, z zaczerwienionymi powiekami i ośmiela się krytykować jej postępowanie. Tylko dlatego, że się o nią niepokoi. Była jednak pewna, że nie wynikało to z zawiści na tle zawodowym. Nie miał jej za złe, że cieszy się poważaniem

wśród miejscowych ludzi ani tego, że zajmuje jego domek. On najwyraźniej chciał jej pomóc.

I, z tego co wiedziała o londyńskich lekarzach, było to doprawdy niezwykle.

- Chce pan cukru? - spytała nie bardzo uprzejmie, nalawszy mu filiżankę herbaty.

- Tylko mleko, jeśli je pani ma.

- Pewnie. - Nalała mu trochę i podała filiżankę. - To dla pana.

- Dziękuję. - Upił trochę, nie zastanawiając się nad smakiem naparu. - Wobec tego, że nie chce pani postąpić rozsądnie i wrócić do swoich krewnych, będziemy musieli skoncentrować nasze wysiłki na wyszukaniu jakiejś miłej wdowy, która zamieszkałaby tu z panią.

Na te słowa Brenna ze zdumienia rozlała mleko, które miała zamiar dodać do swojej herbaty.

- Słucham?

- Sądzę, że wdowa byłaby odpowiednią przyzwoitką - powiedział doktor Stanton. - Początkowo brałem pod uwagę którąś z dziewcząt z gospody pani Murphy, ale jak pani wie, nie są one... cóż, nie cieszą się zbyt dobrą reputacją. Więc pomyślałem sobie, że odpowiednia byłaby wdowa, albo i dwie wdowy, które zamieszkałyby z panią, aby nie była tu pani całkiem sama.

Brenna uznała, że doktor posunął się za daleko.

- Wdowa?! - zawołała. - Na przyzwoitkę? Doktorze Stanton, to bez... to znaczy, ja nie potrzebuję przyzwoitki. Doskonale radzę sobie sama...

- Właśnie to pani udowodniła. A poza tym nie mogę się oprzeć wrażeniu, że hrabia Glendenning żywi do pani nie bardzo szlachetne uczucia. Już raz miała pani okazję podbić mu oko. Nie chciałbym, by się to powtórzyło...

- To prawda - powiedziała Brenna, czując się tak, jakby stała na skarpie, która powoli osuwa się spod jej stóp - lecz obecność przyzwoitki na nic tu się nie zda...

- Uważam, że się przyda. - spojrział na nią kpiącym wzrokiem. - Niech się pani nie dąsa, panno Donnegal. Należy postąpić tak, jak pani radzę.

- Nie ma mowy - odparła. - Nie zgadzam się.

- To dla pani dobra, panno Donnegal. Skoro tutejsi mieszkańcy nie potrafią zadbać o dobro jednego z nich, muszę to uczynić ja...

Brenna wybuchnęła śmiechem, choć, prawdę powiedziawszy, wcale nie uważała sytuacji za zabawną.

- Pan? - Pokręciła głową. - Przecież przyjechał tu pan zaledwie przedwczoraj. Nie ma pan zielonego pojęcia o tym, co jest dla mnie najlepsze.

Reilly Stanton zlekceważył jej słowa.

- Nie może pani postępować tak jak dotychczas - mówił spokojnie. - To niewłaściwe. I niebezpieczne. Domek jest odcięty od wsi przez potok. Może się pani stać coś złego. Ma pani przynajmniej jakąś posługaczkę? Kogoś, kto zrobi pranie?

- Owszem, tak - wyjąkała Brenna. - Mam... ale to nie pański interes.

- Kto przynosi wodę?

- Sama sobie noszę - najeżyła się Brenna. - Z...

- Z potoku, oczywiście. A drewno na opał?

- Zbieram w...

- Zbiera pani. Cóż, może wieśniacy z Lyming to akceptują. Ale ja - nie.

Jego ciemne oczy zaślnęły gniewem. Reilly Stanton miał bardzo stanowczą minę. Brenna zastanawiała się, co ją w tym mężczyźnie tak pociągało, że aż pojawił się w jej snach. Był przystojny, miał poczucie humoru i dbał o higienę osobistą, ale poza tym niczym się nie różnił od znanych jej mężczyzn.

No, może tą swoją bezsensowną rycerskością...

- Będzie tak, jak powiedziałam - oświadczyła Brenna. - Niech pan sobie nie wyobraża, doktorze Stanton, że otrzymawszy stanowisko mego ojca, może mi pan ojcować. Nie jest pan moim

ojcem, więc nie będzie mi pan dyktował, jak mam żyć, ani pouczał mnie, jak mam prowadzić moje badania...

- Wiedziałem - powiedział, zrywając się z krzesła i wymierzając w nią palec. - Wiedziałem, po co włóczy się pani nocą po cmentarzu. Prowadzi pani badania.

Brenna poczuła, że jej policzki stają się jeszcze czerwiejsze.

- Wcale nie - odparła wyniośle. - Nie to chciałam powiedzieć. Miałam na myśli, że...

- I gleba. - Był tak uszczęśliwiony, jakby znalazł kurę, niosącą złote jaja. - Próbkki gruntu. Jasne. Powinienem był się wcześniej domyślić. - Reilly Stanton znów się zaczął przechadzać, a nad jego głową Jo przeskakiwała z belki na belkę. - Kiedy Glendenning zaprowadził mnie do szpitalika, zauważyłem, że brakuje mikroskopu. Hrabia sądzi, że zabrał go któryś z wieśniaków. Ciężkie czasy, i takie tam. Ale to nie wieśniacy. To pani. Pani go zabrała. I zamknęła w tamtym pokoju. Glendenning jest przekonany, że odprawia tam pani jakieś satanistyczne rytuały. Pytanie, po co pani to robiła. Po co te próbkki? Nie rozumiem.

Przestał się przechadzać i przystanął, spoglądając na Brennę. Był tak wysoki i tak szeroki w barach, że sprawiał wrażenie groźnego. Wyobrażał sobie, że Brenna potrzebuje przywoitki, która broniłaby jej przed lordem Glendenningiem. Tymczasem należało jej bronić właśnie przed doktorem Stantonem. To z nim, a nie z lordem Glendenningiem, tańczyła we śnie walca.

- Próbkki gruntu - wymamrotał, spoglądając na nią zaintrygowany. - Gleba. Odpadki. - Pstryknął palcami. - Miazmaty. Wyziewy z gnijących odpadków. O to chodzi. Usiłuje pani znaleźć źródło zeszłorocznej zarazy, tak?

Patrzyła na niego zdumiona. Skąd on to wie? Jak na to wpadł i powiązał fakty w całość, znając ją zaledwie czterdzieści osiem godzin, podczas gdy miejscowi ludzie nie mieli o niczym pojęcia?

Cóż, w końcu był licencjonowanym członkiem Królewskiej Akademii Medycznej.

Jednakże nie chciała przyjąć do wiadomości, że się domyślił prawdy. Pozbierała się szybko i powiedziała:

- Niech pan nie będzie głupi.
- Na Boga! - Reilly opuścił rękę. - Niech mnie pani nie zwodzi.
- Nie wiem, o czym pan mówi. - Odwróciła się plecami do niego. - Nie prowadzę żadnych badań.
- Lekarstwo. Albo szczepionka. Jak przeciwko ospie...

Brenna tylko parsknęła.

- Nie zdaje sobie pani sprawy, jak bardzo ryzykuje? - W tonie Reilly'ego nie było teraz cienia wesołości. A jego ciemne oczy nie migotały. Spoglądał na nią z troską. - Z cholera nie ma żartów, panno Donnegal. Nie powinna się pani w tym babrać.

- Ma pan ochotę na jajko?

- Nie, dziękuję. I niech pani nie zmienia tematu. Nie ma pani pojęcia, w co się pakuje.

Brenna zwróciła się twarzą ku niemu.

- Niby jak? - zapytała. - Skoro się tym zajmuję, ale nie powiedziałam wcale, że tak jest, jakże mogłabym nie wiedzieć, w co się pakuję? Uważam, że przeżywszy epidemię, nadaję się do tego o wiele lepiej niż na przykład pan.

- Nie o to mi cho...

- Nie? Więc o co? O to, że jestem kobietą?

Reilly przestał przemierzać kuchnię.

- Tego nie powiedziałem.

- Ale to miał pan na myśli.

- Cóż, sama pani przyzna, że to trochę...

- Trochę co?

- Nnno... Trochę dziwne.

Roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać.

- Och! Coś panią rozbawiło?

- Owszem - odparła. - Pan.

- Ja? - zdumiał się. - Niby dlaczego?

- Porzucił pan lukratywną praktykę w Londynie i przybył do Lyming. I to ma nie być dziwne?

- Już pani wyjaśniłem - powiedział sztywno - sprawiły to szczególne okoliczności...

- Przykro mi to mówić, ale jeśli ma pan na myśli swoją narzeczoną, to uważam, że sprawa jest jeszcze dziwniejsza. Rzuciła pana, prawda? Więc po co, na Boga, chce pan ją odzyskać?

- Odzyskać ją... - Reilly pokręcił głową. - O czym pani mówi?

- Sam pan powiedział wczoraj na zamku. Przybył pan do Lyming, żeby jej udowodnić, że nie jest nicponiem, za którego pana uważa. Według mnie jest to dziwniejsze, niż postępowanie córki, która chce udowodnić środowisku lekarskiemu, że teoria jej ojca, dotycząca tej konkretnej choroby, jest słuszna.

Reilly wpatrywał się w nią. Nie mógł od niej oderwać wzroku. Trochę ją to rozpraszało, zważywszy na to, że zdała sobie sprawę ze swego stroju. A przyodziana była jedynie w nocną koszulę, parę znoszonych kapci oraz nadgryziony przez mole szal. Lecz młody doktor zdawał się tego nie zauważać. Nie spuszczał oczu z jej twarzy.

- Jaka teoria? - zapytał. - O czym pani mówi?

Dlaczego, dlaczego się wygadałam? - łajała w myślach samą siebie.

- Niby czemu miałabym panu powiedzieć? - spytała na głos. - Aby mógł pan opublikować pracę pod swoim nazwiskiem i zgarnąć cały splendor? Nie mam zamiaru. A teraz, panie Stanton, najlepiej będzie, jak pan stąd wyjdzie. - Podeszła do drzwi, otworzyła je na oścież, wpuszczając do domu mroźne powietrze. - Przyjemnego poranka.

Reilly Stanton zmierzył ją gniewnym spojrzeniem. Żyłła na jego czole znowu zaczęła pulsować. Brenna zdawała sobie sprawę, że jest na nią wściekły, lecz nie miała pojęcia dlaczego. Nic mu do tego, jak ona załatwia swoje sprawy, ani do tego, czego te sprawy dotyczą.

- Pójdę już - powiedział w końcu. Brenna spostrzegła, że doktor zaciska szczękę. - Ale to nie koniec. Jeszcze porozmawiamy na ten temat, panno Donnegal. Nie będę stał bezczynnie, przyglądając się, jak pani naraża swoje życie - oraz życie mieszkańców wyspy - aby udowodnić jakąś idiotyczną teorię pani ojca...

- Precz! - krzyknęła Brenna, rozsierdzona jak nigdy dotychczas. - Niech się pan natychmiast wynosi!

- Z przyjemnością - odparł Reilly Stanton. Po czym nasadził kapelusz na głowę i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Lecz Brenna nie mogła pozwolić, aby miał ostatnie słowo.

- Teoria mojego ojca - wrzasnęła za nim - nie jest idiotyczna! I ja to udowodnię. Jeszcze się pan przekona!

Lecz doktor Stanton niczym nie okazał, że usłyszał jej głos. Co według Brenny i tak nie miało znaczenia. Lekceważyła nowego lekarza i odpowiadało jej to, że on także ją lekceważy.

Zatrząskując za nim drzwi, miała nadzieję, że w przyszłości będzie się trzymał z dala od niej i nie pojawi się więcej także w jej snach.

11

Przykro mi, madame - powiedział Reilly już po raz dziesiąty owego dnia - lecz nie leczę zwierząt.

Kobieta, żona Adama MacAdamsa, której powierzchowność rzeczywiście zgadzała się z tym, jak opisał ją hrabia, przygryzła wydatną dolną wargę i rzekła:

- Ale ona nie niesie się już od dawna, a zawsze była najlepsza. Regularna jak w zegarku. Jedno jajko na dzień, albo i więcej.

Reilly spojrział na tłustego brązowego ptaka na stole do badań.

- Jestem pewien, że jeśli ma apetyt, wkrótce wyzdrowieje.

- Ale właśnie o to chodzi - powiedziała pani Mac Adams, a jej obfita pierś zafalowała. - W tym rzecz, proszę pana! Ona nie ma apetytu. Och, panie doktorze, niech pan ją zbada, dobrze?

Reilly spojrział ze smutkiem na swoją pacjentkę. Nie miał pojęcia o sprawach agrarnych. To chyba kura, pomyślał. Kura jest samicą drobiu, kogut samcem. A może to kurczak? Nie był pewien.

W ciągu minionych kilku tygodni wzywano go do licznych zwierząt, jak: owce, konie, krowy, a pewnego pamiętnego popołudnia nawet do jeża. Na razie miał tylko jednego dwunożnego pacjenta, a i ten prawie się nie liczył, ponieważ był nim lord Glendenning, cierpiący na wrastanie paznokci u stóp. Reilly,

pomimo że przeniósł się do szpitalika, specjalnie aby uniknąć towarzystwa hrabiego, stał się dokładnie tym, czym, jak mu Iain MacLeod solennie obiecywał, miał się nie stać: jego osobistym lekarzem.

Co wcale nie oznaczało, że mieszkańcy wioski Lyming byli nadzwyczajnie zdrowi. Wprost przeciwnie. Byli bardzo chorowici. Żaden z nich jednak nie chciał powierzyć swych przypadłości nowemu lekarzowi. A tylko nieliczni zaufali mu na tyle, by leczyć u niego swój żywy inwentarz. Zwracano się do niego tylko wtedy, gdy...

- Panna Brenna powiedziała, że mam ją karmić ciepłą mieszanką - poinformowała go pani MacAdams. - Ale mieszanka jest taka droga. Czy może mi pan doradzić coś innego?

...potrzebna była druga opinia, a raczej inna opinia.

- Jeśli panna Donnegal uważa, że ciepła mieszanka jest odpowiednia - powiedział Reilly, oddając kurę kobiecie - to znaczy, że ciepła mieszanka jest w porządku. Panna Donnegal zna się na drobiu znacznie lepiej niż ja.

Pani MacAdams pokręciła głową, wkładając do kosza swoją kiedyś najlepszą nioskę.

- No dobrze - powiedziała. - Skoro pan tak mówi, doktorze. Tylko że miarkuję sobie, to wielkie marnotrawstwo. Mieszanka dla kur.

- Trudna sprawa - zgodził się z nią, wyprowadzając ją z pokoju badań do poczekalni, gdzie - jak stwierdził niepocieszony - nie czekał żaden pacjent. - Doprawdy trudna sprawa.

Otworzył drzwi przed swoją pacjentką i jej właścicielką i poczuł na twarzy powiew ciepłego wiatru. Nadeszła wiosna i na drzewach pojawiły się młodziutkie listeczki, a na zboczach wzgórz pasły się barany, to znaczy Reilly, obeznany z owcami nie lepiej niż z drobiem, sądził, że to właśnie barany. Tak czy siak, nadeszła pora, kiedy na świat przychodziły młode, co oznaczało, że wszyscy mężczyźni, poza tymi, którzy wypłynęli z sieciami na zatokę, są

na wzgórzach, wypatrując jagniąt, które, jak to się tutaj mówiło, „uwięzły w matce”. Odkąd zaczęła się wiosna, Reilly ani razu nie widział Brenny Donnegal, której drobne dłonie, tak zręczne w zapuszczaniu się w drogi rodne, były teraz na wagę złota.

Podczas gdy mężczyźni zajmowali się doglądaniem stad, kobiety, korzystając z ciepłej pory roku, trudniły się sprzedażą domowych wyrobów na targu, tuż obok szpitalika Reilly'ego. Wioska Lyming była tak mała, że niemal nigdy nie pojawiali się tutaj ludzie spoza niej, a wszyscy tutejsi mieszkańcy mieli na targu swoje własne stragany. Reilly'emu bardzo podobały się produkty oferowane przez tutejsze kobiety. Były tam przepyszne paszteciki z mięsem, które sprzedawała pani MacGregor, pory i rzodkiewki od pani Murdoch, bochenki słodkiego chleba pani Conall oraz niebiańsko pachnące mydełka, wyrabiane przez szacowną panią Murphy.

Nawet nieszczęsna Flora prowadziła stoisko, choć miała do zaoferowania jedynie kufle piwa po pensie za jeden. Jednakże Reilly odwiedzał jej stolik kilka razy dziennie. Mając zajęcie przy klientach, mówił sobie, nie będzie miała czasu rozmyślać o hrabim, co stało się jej zwyczajem po tym, jak ostatnio odmówił uczynienia z niej kobiety godnej szacunku.

Reilly umieścił na drzwiach kartkę z napisem „Wracam za pięć minut”, co było zresztą zupełnie zbędne wobec faktu, że tylko niewielu mieszkańców Lyming umiało czytać, i podszedłszy do stoiska Flory, zauważył, że znów ją wzięło. Dziewczyna spoglądała rozmarzonym wzrokiem na zamek, który trwał w niepewnej równowadze na stromej skale, wysoko ponad głowami mieszkańców wioski. Flora oprzytomniała, dopiero gdy Reilly odchrząknął.

- Och, doktor Stanton - powiedziała ponuro. - To pan. Witam pana.

- Miłe powitanie dla najlepszego klienta - odparł Reilly z wymuszoną serdecznością. - Pintę piwa, Floro. I proszę, by tym razem było bez piany.

Flora westchnęła i wzięła się do pracy, obsługując szpunt na

swojej becze, a raczej na becze pani Murphy, ponieważ stragan z piwem zawdzięczano uprzejmości właścicielki gospody Pod Udręczonym Zającem.

- Przepraszam - powiedziała Flora tym samym, pełnym przygnębienia, tonem. - Ale nie mogę przestać o nim myśleć. To chyba musi być miłość.

- No, panno Floro - odrzekł Reilly, starając się, by jego głos zabrzmiał radośnie - przecież pani wie, że on ani w połowie nie jest pani godny.

- Wiem - westchnęła Flora i jej chude ramiona przygarbiły się pod znośnym szalem. - W zeszłym tygodniu Tom Feeney prosił, żebym za niego wyszła.

- To doskonale, Floro - powiedział Reilly szczerze zachwycony. - Tom jest miłym chłopcem. Czemu go odrzuciłaś?

Flora pokręciła głową, potrząsając jasnymi lokami.

- Nie byłoby w porządku względem Toma, gdybym go poślubiła, kochając innego. A poza tym jego matka mnie nie cierpi.

Reilly, który znał panią Feeney, dobrze rozumiał obiekcje dziewczyny. Położył monetę na jej otwartej dłoni, wziął kufel i powiedział:

- Niech się pani nie martwi, panno Floro, nadarzy się jeszcze niejeden starający. Do takiej ładnej dziewczyny będą się zlatywać jak muchy do miodu.

Flora spojrzała na niego zażawionymi oczyma.

- Tak - odparła - ale nie ten, którego chcę ja.

Zabrzmiało to tak posepnie, że Reilly zupełnie nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Więc zamiast cokolwiek mówić, cmoknął ją w policzek, wsunął w dłoń jeszcze jedną monetę i odszedł, rzekomo, by sprawdzić, jak idzie sprzedaż pasztecików z mięsem, a w istocie po to, by uciec od zatroskanego dziewczęcia.

Pomimo kiepskiego nastroju Flory Reilly uznał, wdychając przepojone solą powietrze i słuchając trajkotania kobiet oraz krzyków mew, krążących nad ich głowami, że, przybywając na

wyspę Skye, powziął słuszną decyzję. Choć, nie licząc kury pani MacAdams, miał tylko jednego pacjenta.

W Londynie nigdy nie czuł się tak lekko jak w Lyming. Może było to zasługą tutejszego ostrego morskiego powietrza, nie zanieczyszczonego duszącym dymem z kominów. A może zawdzięczał to pożywnym daniom z kuchni pani Murphy i jej przepysznyemu piwu. Może wreszcie, i to było najbardziej prawdopodobne, sprawiali to dobrzy, uczciwi ludzie, zamieszkujący tę małą rybacką osadę. Skromni i nie roszcący sobie najmniejszych intelektualnych pretensji. W Lyming rybak był rybakiem, ryba była rybą, każdy znał swoje miejsce i, z wyjątkiem Flory, nie aspirował do czegoś lepszego.

Reilly zaczynał czuć, że tutaj, nareszcie, może być doktorem Stantonem, a nie „lekarzem markizem”. Gdyby tylko miał jeszcze jednego czy dwóch pacjentów!

Jednakże, pomimo rozczarowania, Reilly nie był znudzony, spędzając beczynne godziny; przeciwnie: czuł przypływ animuszu.

Oczywiście, mogło to być wynikiem wiosennego ocieplania się klimatu, a nie tego, że znalazł się w miejscu, gdzie nie tylko zupełnie nie pasował, ale gdzie nikomu nie był potrzebny. Barany nie były jedynymi stworzeniami, których oczy iskrzyły się w wiosennym słońcu. Reilly dostrzegał podobne migotanie w oczach wielu mieszkańców wioski, nie wyłączając samego lorda.

Ów zacny par właśnie wjechał do wsi, przybierając teatralne pozy i, rozganiając na prawo i lewo kury, psy oraz dzieci, szarżował przez plac targowy na swoim czarnym ogierze. Zoczywszy Reilly'ego, gwałtownie wstrzymał konia, ściągając cugle, po czym zsunął się z grzbietu wierzchowca i pomachał przed nosem Reilly'ego arkuszem papieru.

- Oto - powiedział bardzo z siebie zadowolony - odpowiedź na nasze kłopoty.

Reilly spojrzął z niechęcią na rozradowanego arystokratę. Jego doskonały nastrój został gwałtownie rozwiany. I to nie tylko z powodu rumaka, który tupał nerwowo tuż obok niego.

- Jakie kłopoty? - zapytał, choć świetnie wiedział, jak zabrzmie odpowiedź. Christine miała nieszczęsną skłonność do poezji Tennysona, a jeden z utworów tego poety okazał się zabójczo prawdziwy w przypadku lorda Glendenninga... wiersz o tym, że wiosną kaprys młodzieńca zamienia się w rozmyślanie o miłości. Kiedy słońce stopiło śniegi, namiętność lorda Glendenninga do panny Brenny Donnegal sięgnęła zenitu i hrabiemu nie dawał spokoju pomysł, by zawlec ją do ołtarza, pomimo że Reilly namawiał go, by dał sobie z tym spokój.

- Dotyczące Brenny, oczywiście - odparł zaskoczony hrabia. - Stuben właśnie przywiózł listy i zgadnij, co było w dzisiejszej poczcie?

Reilly zapytał z nadzieją, czy nie nadszedł mikroskop, którego oczekiwał, na co Iain MacLeod skrzywił się z niesmakiem.

- Nie żaden cholerny mikroskop - odparł. - List do panny Donnegal od przyjaciółeczki, która ją kryje. I wyszło szydło z worka...

Tknięty nagłym przecuciem, Reilly wyrwał papier z rąk hrabiego i obejrzał dokładnie.

- Na Boga! - wykrzyknął zgorzony, odczytawszy adres. - Toż to prywatny list do panny Donnegal!

Hrabia odebrał mu kartkę. Zaniepokojony niespodziewanym ruchem wierzchowiec parsknął.

- Wiem - powiedział lord. - I posłuchaj, co w nim pisze...

Reilly znów wydarł mu list.

- Nie będę tego słuchał. Oszalałeś?! Nie możesz otwierać prywatnej korespondencji. Czy panna Donnegal orientuje się, że czytujesz jej listy?

- Nie wiem - odparł hrabia z zakłopotaniem. - Przypuszczam, że tak. Wszystkie listy dostaje otwarte, więc musi się domyślać, że ktoś je czyta. Ale nigdy się nie skarżyła. No, może raz czy dwa razy.

Reilly nie wierzył własnym uszom.

- To karygodne! - wykrzyknął. - Kiedy wreszcie dasz spokój tej kobiecie? - Spostrzegłszy, że jego podniesiony głos zwrócił

uwagę wieśniaków i jeszcze bardziej zdenerwował narowistego konia, opanował się i wyszczał: - Zabraniam ci grzebać w prywatnej korespondencji panny Donnegal. Rozumiesz, Glendenning?

Hrabia tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ty mi zabraniasz? - powiedziała, chichocząc. - Och, to paradne. Jestem twoim pracodawcą, Stanton. Zapomniałeś? Choć po sposobie, w jaki mi rozkazuje, nikt by się tego nie domyślił.

Słyszac te, zgodne z prawdą, słowa, Reilly się skrzywił. Nadal utrzymywał w tajemnicy fakt, że jest ósmym markizem Stillworth, głównie dlatego, że na wyspie nie miało to najmniejszego znaczenia. Jednakże, prawdę powiedziawszy, jeszcze większy wpływ na jego decyzję, by przemilczeć sprawę, miała niechęć panny Brenny Donnegal do arystokratów, wykonujących zawód lekarza.

A zresztą nic by nie wskórał, wyjawiając swój sekret lordowi Glendenningowi, tytuł hrabiowski bowiem jest wyższy w hierarchii od tytułu markiza... nawet wtedy, gdy nosi go gbur, spędzający cały czas na wymyślaniu intryg, by zdobyć rękę córki miejscowego lekarza.

- Tak czy siak - odparł Reilly surowym tonem - nie masz prawa myszkować w korespondencji tej młodej damy. To w bardzo złym tonie, Glendenning. I zupełnie nie w stylu zakochanego.

Słyszac te słowa, hrabia się zasępił.

- Ale posłuchaj - powiedział - w liście jest o tym...

Reilly uniósł dłoń.

- Nie będę go czytał. Wybij to sobie z głowy.

- Ale...

- Przepraszam - przerwał im jakiś cienki głos.

Reilly się obejrzał i poznał chłopca, którego spotkał podczas wizyty w Burn Cottage. Hamish MacGregor stał obok, mnać w rękach kapelusza. Przy jego nodze siedział pies. Hamish wpatrywał się w hrabiego przesywającym wzrokiem.

- O co chodzi, Hamish? - zapytał Reilly. Od owego pierwszego spotkania widywał chłopca jeszcze kilka razy, ponieważ Hamish

nabrał dziwnego zwyczaju przesiadywania w pobliżu szpitalika, kiedy tylko nie doglądał owiec wraz Lucaisem. Było to po części winą Reilly'ego, który nie otrzymał wprawdzie zamówionego mikroskopu, lecz dostał od swoich sióstr dużą przesyłkę z francuskimi cukierkami, których większość rozdał miejscowym dzieciakom, przechodzącym obok jego gabinetu w drodze do szkoły. Hamish, mający szczególne zamiłowanie do słodczy, przyłgnął do Reilly'ego i wciąż za nim łąził, ku niezadowoleniu młodego lekarza.

- Chodzi o te sidła - mówił Hamish, wciąż zwracając się do hrabiego.

Hrabia spojrział na chłopca ze zniecierpliwieniem. Po wypadku Lucaisa Hamish rozpoczął prawdziwą krucjatę przeciw lordowi i jego pułapkom na wilki. Lucais dawno wyzdrowiał, ale jego właściciel wciąż miał za złe człowiekowi, który spowodował wypadek.

- Znowu - mruknął hrabia. - Posłuchaj, Hamish, już ci mówiłem, dopóki wilki zagrażają moim jeleniom, będę nastawiał te potrzaski. Jednakże Hamish nie ustępował.

- Chciałbym wiedzieć, ile wilków schwytał pan w te swoje pułapki oraz jak wiele niewinnych psów wpadło w nie zamiast wilków.

- Już ci mówiłem - odparł lord Glendenning. - Jak dotąd ani jednego... ale to nie oznacza, że ich tu nie ma. A teraz zmykaj, dobrze? Doktor Stanton i ja mamy z sobą do pogadania... - To mówiąc, lord Glendenning popuścił cugli swemu rumakowi i sięgnął po list, który Reilly wciąż trzymał w rękach.

- Gdybyś przeczytał ten list, Stanton - powiedział hrabia, gdy Reilly odsunął papier poza zasięg jego ręki - dowiedziałbyś się, że jej wuj...

- Lordzie Glendenning! - krzyknął Hamish, uskakując przed kopytami ogromnego wierzchowca, by nie dać się stratować, kiedy koń, poirytowany nagłymi ruchami hrabiego, zaczął niespokojnie tańczyć w miejscu. - Odpowiedział mi pan tylko na część pytania. Nadal nie wiem, ile psów złapało się w te sidła zamiast wilków?

Glendenning, siłujący się z Reillym, aby odzyskać list, wrzasnął:

- Żaden pies, oprócz twego kundla, nie jest aż tak głupi, by wpaść w pułapkę zastawioną na wilka...

W tej właśnie chwili Flora, przyciągana do hrabiego tą samą siłą, którą księżyc przyciąga wody, zbliżyła się do niego.

- Milordzie - powiedziała tonem, w którym nie było ani śladu nieutulonego żalu, z jakim przed chwilą uskarżała się Reilly'emu - napije się pan piwa? Zaraz je panu podam.

Glendenning spojrział na nią z uśmiechem, który złamałby serce każdej dziewczyny, a cóż dopiero otumanionej miłością dziewczki, która urodziła mu już czwórkę dzieci.

- Oczywiście, najstodsza - odparł. - Umieram z pragnienia.

Flora, zachwycona perspektywą przypodobania się obiektowi swych uczuć, popędziła ku beczce, aby natoczyć piwa hrabiemu. Na nieszczęście, ogier lorda Glendenninga, który nie zaliczał się do najspokojniejszych, przestraszył się gwałtownych ruchów Flory i stanął dęba.

Gdyby hrabia mocno trzymał wodze, nic by się nie stało. Lecz lord Glendenning popuścił cugli, aby odebrać Reilly'emu list, więc koń poderwał przednie kopyta i mocno kopnął w głowę Hamisha MacGregora.

Reilly, będący świadkiem zdarzenia, krzyknął ostrzegawczo, lecz Hamish nie zdążył zareagować. Osunął się na ziemię, bezwładny jak jedna z wilgotnych ścierek Flory.

Koń Glendenninga nie przestawał tupać i parskać tuż obok nieprzytomnego chłopca. Reilly wrzasnął na hrabiego, by okiełznał swego wierzchowca, a następnie, gdy Glendenning ściągnął wodze, rzucił się pod kopyta i uklęknął przy rannym.

Niełatwo było przeprowadzić niezbędne badania. Prawie wszyscy obecni na placu targowym zbiegli się, wykrzykując dobre rady. Przerażony Lucais ujądał zaciekle tuż nad uchem Reilly'ego. A hrabia, który w końcu zdał sobie sprawę z tego, co się stało, zaczął się oskarżać.

- To moja wina - powtarzał wciąż od nowa.

- Nie, mój ukochany. - Flora nie mogła pozwolić na to, by mężczyzna, będący światłem jej życia, przyznał się do błędu. - Wszystkiemu winien pies. Zaszczekał i spłoszył biednego Tornoda...

- Moje dziecko! - Pani MacGregor, matka Hamisha, która stała przy swoim straganie z pasztecikami, widziała całe zdarzenie. Trzeba było powstrzymać nieszczęsną kobietę, która podbiegła, by paść na syna... Nikt jednak nie był w stanie uciszyć jej zawodzenia: - Moja dziecina! Mój pierworodny!

Pobieżne badanie, wykonane w tych jakże niesprzyjających warunkach, nie przyniosło optymistycznych rezultatów. Diagnoza została postawiona zbyt szybko... i nie przypadła Reilly'emu do gustu.

- Zechciejcie, proszę - wrzasnął na hrabiego oraz na zgromadzone wokół kobiety - cofnąć się i zrobić mi trochę miejsca!

Lord Glendenning wreszcie się na coś przydał i, rozpostarłszy swe długie ramiona, odepchnął do tyłu tłoczące się kobiety, nie wyłączając matki Hamisha.

- Pozwólcie doktorowi pracować - powiedział hrabia łagodnym tonem, bez wątpienia takim samym, pomyślał gorzko Reilly, jakim zwiabł Florę w swe plugawe objęcia. - Doktor Stanton zna się na rzeczy. W końcu przybył tutaj z samego Londynu. W rękach doktora Stantona chłopak jest bezpieczny.

Reilly wcale nie był tego taki pewny. Jego wątpliwości musiały się odmalować na twarzy, ponieważ po chwili rozległy się pomruki.

- Ktoś musi sprowadzić pannę Brennę.

A potem:

- Tak, panna Brenna będzie wiedziała, co robić.

- Leć po nią, Una. Leć po pannę Brennę.

- Widziałam ją rano na łące, pomagała przy jagniętach Barra...

Ta ostatnia uwaga sprawiła, że wokół chłopca stało się luźniej, bo wszystkie co bardziej ręce kobiety pomknęły na poszukiwanie Brenny Donnegal. Reilly nie czuł urazy o to, że okazały tak mało

wiary w jego umiejętności. Wyglądało na to, że nie będzie mógł pomóc chłopakowi... że nikt nie jest w stanie mu pomóc.

- Przynieście mi jakąś deskę - polecił kobietom, które lord Glendenning utrzymywał w pewnej odległości od Hamisha. - Coś, co posłuży mi za nosze, aby przenieść chłopca do szpitalika...

Posłuchał go tylko lord Glendenning. Podeszedł do stoiska Flory, zrzucił z niego beczkę i kufle, po czym jednym szybkim ruchem zerwał nieheblowany blat z kozłów i pokazał go Reilly'emu.

- Nada się - stwierdził Reilly. - Połóż go obok chłopca...

Reilly ostrożnie umieścił Hamisha na blacie. Pamiętając, że jego własny ojciec umarł, skręciwszy sobie kark po upadku z konia, Reilly podejrzewał, że chłopiec mógł doznać podobnego urazu, więc chciał mu oszczędzić zbędnego szarpania.

- Dobrze - powiedział, a musiał natężyć głos, by przekrzyczeć ujadającego Lucaisa. - A teraz go podnieśmy...

I tak oto dziewiętnasty hrabia Glendenning oraz ósmy markiz Stillworth przenieśli nieprzytomnego pastuszka do wiejskiego szpitalika, odprowadzani przez zawodzące kobiety i szczekającego psa.

Tam Reilly i Glendenning przełożyli chłopca z prowizorycznych noszy na stół do badań. Kakofonia lamentujących widzów stała się dla doktora nie do zniesienia, więc poinformował matkę rannego chłopca, że ma się opanować, w przeciwnym bowiem wypadku zostanie siłą wyprowadzona z pomieszczenia.

Jego słowa tak przestraszyły kobiecinę, że umilkła na kilka dobrych minut i Reilly mógł przeprowadzić dalsze badania jej syna.

Jednakże to, co wywnioskował z oględzin, nie było obiecujące. Glendenning, który przysiadł tuż obok i podawał mu to młoteczek do badania odruchów, to znów zapałkę, spoglądał na doktora wzrokiem pełnym nadziei. Reilly tylko pokręcił głową.

Następnie z wielką łagodnością przemówił do pani MacGregor.

- Pani syn odniósł bardzo poważne obrażenia, madame - powiedział, wyprowadzając ją do małej poczekalni, gdzie tłoczyło się kilkanaście kobiet, niespokojnie oczekujących diagnozy lekarza.

- Ale... - odezwała się Flora. - Przecież go widziałam, nawet nie krwawił...

- Tak - odparł Reilly. - To prawda. Ale jestem pewien, że u Hamisha nastąpił wewnętrzny wylew. W głowie. Wewnątrz czaszki. Co jest bardzo groźne.

Kobiety spojrzały po sobie. Nigdy dotąd nie słyszały o czymś takim jak wewnętrzne krwawienie. Reilly podejrzewał, że w życiu tutejszych mieszkańców nagłe wypadki ograniczały się do przebicia skóry haczykiem do łowienia ryb, oparzeń, porodów oraz sporadycznych epidemii cholery.

Jego podejrzenia potwierdziła pani MacGregor, która spytała:

- Więc pan powiada, że to coś poważnego?

Reilly skinął głową.

- Bardzo poważnego.

- Czy on... - Pani MacGregor przygryzła dolną wargę. - Czy on umrze?

- Umrze - powiedział Reilly. Czuł się podle i żałował, że zamiast nieokrzesanego hrabiego nie ma przy nim Pearsona lub choćby Shelleya, którzy pomogliby mu wyjaśnić kobiecie, jak poważny jest stan jej syna. - Jeśli krwawienie nie zostanie zatrzymane.

- W takim razie niech pan powstrzyma krwawienie - natychmiast odezwała się pani Murphy, praktyczna kobieta interesu.

- To nie jest takie łatwe, jak mogłoby się wydawać - krzywiąc się, odparł Reilly. - To bardzo niebezpieczna i ryzykowna operacja - wyjaśniał pobladłym z wrażenia słuchaczkom. - Musiałbym chłopcu wywiercić dziurę w głowie...

Pani MacGregor uznała tę chwilę za odpowiednią, by zemdleć.

W czasie spowodowanego tym wydarzeniem chaosu drzwi gwałtownie się rozwarły i Reilly usłyszał głos, który jak zawsze zadziwił go głębokim i ochrypłym brzmieniem.

- Co się tu dzieje? Moje panie, bardzo proszę, opanujcie się!

Pani Murphy szybko przedstawiła Brennie Donnegal, jaka jest sytuacja.

- Hamish został uderzony w głowę - oświadczyła, wachlując nieprzytomną Bessie MacGregor. - I doktor Stanton powiada, że jedynym sposobem, by go wyratować, jest wywiercenie mu dziury w czaszce, żeby zatrzymać krwotok.

- Niech pani mu nie pozwala, panno Brenno! - wykrzyknęła jedna z kobiet. - Niech pani nie pozwoli, żeby to zrobił Hamishowi!

Reilly poczuł na sobie spojrzenie Brenny, zanim podniósł na nią oczy. Zdziwiająca była siła wzroku tej kobiety oraz jego działanie. Reilly nie mógł patrzeć w jej niebieskie oczy, obramowane gęstymi kruczoczarnymi rzęsami, i poczuł, że popełnił wielki błąd, stając się jej wrogiem.

Nie bardzo wiedział, jak do tego doszło. W czasie kilku tygodni, które minęły od ich bardzo niemiłej kłótni w Burn Cottage, prawie się do siebie nie odzywali. I był to wybór Brenny, nie jego. Reilly wciąż troszczył się o dobro tej kobiety, tak bardzo samotnej i tak bardzo zdecydowanej, by taką nadal pozostać. Nie potrafił nawet wzbudzić w sobie niechęci do Brenny, choć, jak dobrze wiedział, miał wszelkie powody, by jej nie lubić, widząc, że jej obecność na wyspie rujnuje jego szansę na prowadzenie praktyki lekarskiej.

Wprost przeciwnie, do panny Donnegal Reilly żywił mieszane uczucia szacunku zabarwionego irytacją, ponieważ, choć była kobietą, zdającą się wiedzieć, czego chce, jednocześnie nie umiała się przyznać do tego, że może nie mieć racji.

Patrząc na nią poprzez zatłoczoną poczekalnię, stwierdził, że jest równie śliczna jak zawsze i, dzięki Bogu, nadal nosi swoje przyciągające uwagę spodnie...

Tylko że teraz nie wyglądały one tak pociągająco jak dawniej, ponieważ pokrywało je coś, co Reilly uznał za owcze łożysko.

- Mogę z panem zamienić słówko na osobności, doktorze? - spytała Brenna, odrzucając na plecy pasmo swych długich rudych loków.

- Oczywiście - odparł i odstąpił na bok, by ją przepuścić przez wąskie drzwi do gabinetu. Kiedy się zbliżyła, spostrzegł, że jej

sweter również jest poplamiony wodami płodowymi i Bóg raczy wiedzieć czym jeszcze.

Zobaczył także, że jej policzki pod ślicznymi oczami powleka bladość. Czas, gdy na świat przychodziły jagnięta, nie był łaskawy dla panny Brenny Donnegal.

Nad pacjentem pochylał się zatroskany hrabia. Na widok Brenny jego męska twarz ściągnęła się.

- Och, Brenno - przemówił tonem, wskazującym na to, że jest bliski łez. - Spójrz, co się stało. Tornod mu to zrobił. A ja go nie dopilnowałem...

Brenna położyła hrabiemu dłoń na ramieniu, ale nawet na niego nie spojrzała. Przyglądała się rozłożonemu na stole chłopcu.

- To był wypadek, milordzie - powiedziała. - Czy mógłbyś nas na chwilę zostawić?

I Iain MacLeod, wielki, mocarny rycerz, potulnie uczynił to, czego sobie życzyła.

Brenna odgarnęła włosy z czoła Hamisha - a był on jeszcze jaskrawiej rudy niż ona sama - i przyglądała się chłopcu, zawsze tak bardzo żywemu i hałaśliwemu, który teraz leżał nieruchomy i blady.

- Prawie nie ma odruchów - szybko powiedział Reilly, czując, że lapidarność będzie najlepszym sposobem podania prawdy. - Oddech płytki i nieregularny. A co gorsza, jedna ze źrenic nie reaguje na światło. Co oznacza, jeśli dobrze pamiętam, że prawdopodobnie na mózg uciska skrzep.

- Mój Boże - westchnęła Brenna.

- Trepanacja jest jedynym sposobem na uratowanie mu życia - ciągnął Reilly. - Ale nawet... sam nie wiem.

Brenna przeniosła wzrok z chłopca na Reilly'ego. Jej niebieskie oczy wyrażały ból, żal, troskę.

- Co?

- Trepanacja. Technika, którą Amerykanie stosują, by leczyć tych, którzy przeżyli oskalpowanie przez Indian. W czaszce wierci się otwór, aby wydostać spod niej krew...

- Otwór. - Brenna spojrzała na twarz chłopca. - W czaszce.

- Usuwa się przyczynę nacisku na mózg - powiedział Reilly z westchnieniem i przeczesał palcami włosy. - Nie wiem, co innego moglibyśmy zrobić. Jest całkownie pewne, że bez operacji umrze... ale równie dobrze może umrzeć, jeśli nawet ją przeprowadzę. Ma pani jakieś tego typu doświadczenia?

Spojrzała na niego gniewnym wzrokiem. Jej zadziorna pewność siebie zniknęła.

- Czy wierciłam otwory w ludzkich czaszkach? Nigdy - odparła. - Nawet nie słyszałam o czymś takim. - A potem znów spojrzała na chłopca. - Pan wie, jak to się robi? Tę... trepanację?

- Ummm - odparł Reilly z zakłopotaniem i znów przeczesał dłonią włosy. - Widziałem raz, jak ją przeprowadzali. Na trupie.

- Widział pan - powtórzyła.

Reilly skinął głową.

- Na trupie - powiedziała, jakby to wyjaśniało kwestię.

Reilly jeszcze raz skinął głową. Tak właśnie było. Ale wypowiedziane ustami Brenny zabrzmiało jakoś dziwnie.

Przyglądała mu się z uwagą.

- Jeżeli przeprowadzi pan nieudaną operację - odezwała się wreszcie - obwinia pana. Jego rodzice. Jeśli Hamish umrze.

- Wiem - powiedział Reilly.

- Zresztą, nie tylko MacGregorowie - poinformowała go Brenna. - Cała wioska będzie od pana stroniła.

A to nowina! - pomyślał. To znaczy, nie. Wieśniacy nie unikali go. Wprost przeciwnie. Byli niewiarygodnie gościnni. Począwszy od jego kumpli od popijawy Pod Udręczonym Zającem, po ich spracowane żony.

Tylko że nie przychodzili do niego po poradę medyczną.

I jeśli Hamish umrze, a wieśniacy pomyślą, że stało się tak, bo Reilly sfuszował operację, już nigdy do niego nie przyjdą.

Uczucie przykrości, którego doznał na tę myśl, uświadomiło mu, jak bardzo przywiązał się do tej wyspy i jej osobliwych mieszkańców.

- Jeżeli zrobi pan to - ciągnęła Brenna - po to, by wyrzucić wrażenie na tej swojej narzeczonej...

- Na miłość boską - warknął Reilly. - Niech mi pani zaufa, dobrze? Wyobraża sobie pani, że przeprowadzę niebezpieczną, ryzykowną operację na dziecku tylko po to, by zrobić wrażenie na kobiecie? Na pewno nie. Ale co mi pani może doradzić w tej sytuacji, panno Donnegal? Jeśli nie spróbuję, chłopiec na pewno umrze. A jeśli spróbuję, cóż, Hamish i tak może nie przeżyć.

Przyjrzała mu się uważnie modrymi, przenikliwymi oczyma.

- Bez operacji chłopiec nie ma najmniejszej szansy na przeżycie - powiedziała spokojnie. - Sądzę, że warto zaryzykować. Przygotujmy się do operacji. Pójdę do nich i powiem, że będę panu asystowała. Dzięki temu... część winy spadnie na mnie.

Reilly poczuł nagły przypływ wdzięczności. Najwidoczniej gdy chodziło o pannę Brennę Donnegal, jego emocje były zmienne jak kolor morskiej wody. Jeszcze przed chwilą, kiedy zapytała go, czy zamierza przeprowadzić operację ze względu na Christine, czuł do niej wyłącznie antypatię. Jak gdyby w ciągu minionych tygodni choć raz pomyślał o Christine...

Wychodząc z gabinetu przyjąć, aby przekazać wiadomość, Brenna położyła dłoń na ramieniu Reilly'ego. Spojrzał na nią, zdziwiony tym gestem.

- W takim razie do dzieła - powiedziała z nikłym uśmiechem.

Były to te same słowa, które on wypowiedział, kiedy okazało się, że dziecko Flory jest ułożone pośladkowo. I Reilly zrozumiał, co wtedy musiała czuć Brenna.

Ogromne przerażenie.

12

W tamtych czasach była to dla nich jedynie popołudniowa rozrywka. Żaden z nich nie miał właściwie zamiaru doskonalić swoich umiejętności chirurgicznych. Reilly znalazł ulotkę zapowiadającą wykład i zaproponował, by na niego poszli, bo wszystko, co dotyczyło Indian, było takie podniecające, a przebieg operacji miał demonstrować lekarz, praktykujący w tym niecywilizowanym kraju. Spodziewali się niezłej zabawy, zwłaszcza jeśli doktor będzie miał na głowie kapelusz i będzie mówił z amerykańskim zaśpiewem.

Okazało się, że lekarz rzeczywiście nosi kapelusz, ale ku rozczarowaniu Pearsona i Shelleya nie było to kowbojskie nakrycie głowy, lecz szacowny cylinder. A nosowy zaśpiew nie był wystarczająco zabawny, by uchronić obydwu młodzieńców przed zaśnięciem w wygodnych krzesłach z tyłu audytorium.

Lecz Reilly z jakiejś przyczyny nie zasnął. Co więcej - i nigdy by się do tego przyznał Pearsonowi i Shelleyowi, gdy po wykładzie obudził ich z drzemki - przeniósł się do pierwszego rzędu i zafascynowany przyglądał się pokazowi. Mężczyzna demonstrował, w jaki sposób przepływ krwi po oskalpowanej czaszce pozwala na to, by tam, gdzie była naga kość, mogła odrosnąć skóra. Amerykański lekarz wyjaśnił, że ta technika jest

także przydatna w usuwaniu zakrzepów. A potrzebne były jedynie proste szydło, młotek i pewna ręka.

Wszystko to Reilly miał w swoim szpitaliku. Wciąż jednak nie wiedział, czy przeprowadzać operację. To prawda, Hamish od-
dychał teraz bardziej regularnie, lecz jego lewa źrenica nadal nie
reagowała na bodziec świetlny.

Chłopiec mógł przeżyć. Tak, mógł przeżyć.

Mógł przeżyć i być idiotą.

Jeżeli takie życie zasługiwało na miano życia.

Reilly oparł się o barierkę na przystani i zaciągnął szczypiącym
dymem cygara. Zakaszłał. Paskudny nałóg to palenie. W przeci-
wieństwie do Shelleya i Pearsona, Reilly nigdy się nie uzależnił.
Pudełko cygar, które przysłali mu jako żart - wskazujący na to,
że aby zabić odór ryb, którym w wiosce Lyming przesiąkało
wszystko, co się w niej znalazło, musi się nauczyć palić - pozostało
nie otwarte aż do dzisiejszego wieczoru.

Ale teraz Reilly rzeczywiście musiał zapalić.

A właściwie potrzebny mu był drink i o to wcale nie było
trudno. Bo choć w oknach gospody Pod Udęczonej Zajęcem
nie paliło się światło, mógł się tam zakraść i samodzielnie nalać
sobie whisky. Drzwi na pewno ustąpiłyby pod jego ręką. W Lyming
nikt nie zaprzętał sobie głowy zamykaniem drzwi na klucz,
z wyjątkiem Brenny Donnegal, która zamykała drzwi swego
tajemniczego pokoju, oraz samego Reilly'ego, który zamykał
szpitalik, gdzie przechowywał niebezpieczne leki i chemikalia.

Lecz wszedłszy do tawerny, mógł wpaść na Samuela MacGre-
gora, który zalał się do nieprzytomności na wieść o tym, że jego
syn przeżył tę niebezpieczną operację. MacGregor postawił wódkę
wszystkim mieszkańcom osady i poczekalnia ambulatorium nagle
się opróżniła - zostały w niej tylko kobiety, dodające ducha Bessie
MacGregor, która nie chciała odejść od syna, dopóki się nie obudzi.

Jednak Bessie nie wiedziała, i Reilly nie miał serca jej tego
powiedzieć, że jej syn może się już nigdy nie obudzić. Reilly czuł,

że im dłużej chłopiec leży śmiertelnie nieruchomy, nie zdając sobie sprawy z tego, że jego matka jest przy nim i głaszcze jego dłoń, a w nogach wąskiego łóżka siedzi wierny pies, tym mniejsze ma szanse, by się obudzić.

Lecz Reilly nikomu o tym nie wspomniał. Nie było też potrzeby, by wspomniał o tym jedynej osobie w pomieszczeniu, która to wiedziała i która, jako jedyna, nie tańczyła z radości na wieść o tym, że chłopiec przeżył operację.

Jednakże Brenna przybrała pogodny wyraz twarzy i dzielnie zniosła rodzinną uroczystość. To ona wyjaśniła, że stan Hamisha nadal jest bardzo poważny... co było jak rzucanie grochem o ścianę, i trafiło jedynie do pani MacGregor. Matka chłopca w końcu pojęła, że sytuacja nie jest zbyt różowa.

I to właśnie widoku jej zatrwożonej twarzy Reilly nie mógł dłużej znosić, więc wyszedł, by w samotności odetchnąć świeżym powietrzem.

Nie rozczarował się. Na wyspie Skye było go w bród. Reilly stanął na nabrzeżu, tym samym, na którym sześć tygodni temu klęczał, przykładając ucho do piersi przewoźnika, Stubena, nasłuchując bicia serca, które po prostu stanęło.

Dziś było znacznie cieplej niż owego dnia. Można się było swobodnie obejść bez peleryny.

Lecz od tamtej pory zmieniła się jedynie pogoda, pomyślał z goryczą.

Nie udało mu się jako lekarzowi zdobyć zaufania tutejszej społeczności. Och, miał szpitalik, to prawda, i panował tam wzorowy porządek. Lecz do wypadku Hamisha nie zrobił nic, poza asystowaniem przy odbieraniu jednego porodu oraz przepisaniem ciepłej mieszanki dla jednej kury.

Nic więcej nie działał.

Nie licząc dzisiejszej operacji, która być może spowoduje stały uraz mózgu u dziecka, które prawdopodobnie i tak by umarło.

To wszystko moja wina, myślał. Nie powinienem był wyjeżdżać

z Londynu. Tam nigdy nie wzywano mnie do zabiegów poważniejszych niż usunięcie brodawki. Brenna miała chyba rację, takim jak ja parom, którzy tylko liznęli sztuki leczenia, nie powinno się przyznawać dyplomów lekarza. Może trzeba było poprzestać na tytule „lekarz markiz”, a Christine na pewno nie zerwałaby zaręczyn. Moja skłonność do alkoholu, wyrażająca się tym, że wypijałem jedną szklaneczkę whisky dziennie, drażniła ją w znacznie mniejszym stopniu niż fakt, że nie pozwalałem moim pacjentom, by zwracali się do mnie „milordzie”...

I dlatego właśnie, zdał sobie sprawę, nie mógłbym się z nią ożenić.

Ta myśl napełniła go zdumieniem. Mój Boże, co też przychodzi mi do głowy? Ostatnio zdarzało mu się popadać w dziwną zadumę. Czasami, budząc się na swojej pryczy, wsłuchiwał się w głosy rybaków, wypływających w morze na małych stateczkach, za którymi podążały setki mew, odczuwał niezrozumiałe zadowolenie.

Zadowolenie. Na skutek wsłuchiwania się w gadaninę grupki wychudzonych rybaków. Dziwne.

A teraz ten pomysł, że nie mógłby poślubić Christine! Przecież ją kochał. Dla niej był gotów na wszystko.

Czy aby na pewno? - odezwał się jakiś głos w jego głowie. Czy zrezygnowałbyś z leczenia? Przecież tego właśnie chciała. Żebyś zaniechał leczenia i zaszł się w Stillworth Park, by spędzić tam resztę życia, wysłuchując skarg dzierżawców...

Tak, powiedział sam do siebie, zaciskając pięści na barierce nadbrzeża. Tak, gotów był nawet na to, byle tylko odzyskać Christine.

W takim razie dlaczego, gdy Brenna spytała go, czy gotów jest na przeprowadzenie trepanacji, by zaimponować Christine, odpowiedział jej... zaraz, co jej właściwie powiedział?

A co dziwniejsze, powiedział to, co rzeczywiście czuł. Codzienne kłopoty, problemy, życie mieszkańców tej zapadłej dziury spłoty się nierozzerwalnie z jego życiem. Nie potrafił sprecyzować, kiedy zaszła w nim ta przemiana, kiedy poczuł chęć pomagania tutejszym ludziom nie po to, by udowodnić londyńczykom, że „szaleństwo

Stillwortha" popłaca, lecz dlatego, że naprawdę chce pomóc mieszkańcom Lyming.

Możliwe, że stało się to w chwili, gdy zobaczył, jak koń hrabiego trafia kopytem w głowę Hamisha.

Jednakże teraz wyrzucał sobie własną arogancję. Jak mógł sądzić, że nadaje się na lekarza? Od jego wiedzy i umiejętności zależało ludzkie życie, a on miał nadzieję, że może kiedyś uda mu się „coś zmienić”.

Coś zmienić. Och, i udało mu się. Wprowadził bardzo istotną zmianę w życie Hamisha. Uczynił z chłopca roślinę, oto, co zrobił.

Wraca do domu. Jutro zacznie się pakować. Przy odrobinie szczęścia znajdzie się w Londynie akurat na wyścigi w Ascot...

- Rozmyśla pan o niej?

Obejrzał się zaskoczony. Nie usłyszał lekkich kroków na splekanych, przegniłych deskach pomostu. Zagłuszył je szum fal.

- Są jakieś zmiany?

- Nie.

Brenna Donnegal wciąż miała na sobie strój, w którym zajmowała się jagniętami. Każda inna kobieta na jej miejscu wymknęłaby się do domu, aby się umyć i przebrać, lecz Brenna z uporem tkwiła u wezłowania Hamisha aż do wczesnych godzin rannych. Brennie Donnegal z całą pewnością nie można było zarzucić próżności. Zupełnie nie troszczyła się o swój wygląd... ani o to, czym pachnie. A w tej chwili wydzielala woń eteru, którym uspiła chłopca, oraz, nieco słabiej, zatrącała owcą.

Zapachy te wcale nie były przykre, stwierdził Reilly. Tylko że nie oczekiwałby ich po kobiecie.

I wtedy przyszło mu do głowy, że skoro zaczął uważać woń owcy za przyjemną, to wcale nie musi natychmiast wracać do Londynu.

Brenna wsparła łokcie na barierce i spojrzała w kierunku Lochalsh, które o tej porze było niewidoczne z powodu nieprzeniknionej ciemności. Na niebie nie było księżyca, choć, jak pomyślał Reilly, gwiazdy nigdy nie wydawały się równie jasne i liczne.

W Londynie nigdy nie widywał ich w takiej obfitości. Jedynie na Skye wystarczyło podnieść głowę, by poczuć się tak, jakby wszechświat znajdował się w zasięgu ręki.

Na Skye nie brakowało świeżego powietrza. A co do spokoju, pomyślał, cóż, to zupełnie inna sprawa.

Lecz, co dziwne, wcale nie miał za złe Brennie, że przyszła do niego na przystań. Cieszył się z jej obecności. Panna Donnegal była jedyną osobą, która rozumiała, co w tej chwili odczuwał.

Albo wyobrażała sobie, że rozumie.

- Jeśli pan chce, napiszę do niej.

Reilly spojrział na nią zdziwiony. W ciemności była ledwie widoczna, choć stała oddalona zaledwie o kilkanaście centymetrów.

- Do kogo?

- Do pańskiej narzeczonej. - Oparła brodę na dłoniach. - I opowiem jej o wszystkim. O pańskiej męskiej bitwie o życie miejscowego pastuszka. Wtedy nie będzie wyglądało, że pan się przechwala. Bo chyba o tym pan rozmyśla, paląc to cuchnące świństwo?

Reilly rzucił okiem na swoje kosztowne cygaro.

- Niezupełnie - odparł. I upuścił cygaro do wody, gdzie jego rozżarzony koniuszek szybko zniknął w falach.

- Nie? W takim razie przepraszam za podejrzenie.

Zamilkła. Reilly nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Chyba powinienem, myślał, poinformować ją, że wyjeżdżam. Zaczął się zastanawiać, jak Brenna na to zareaguje. Pewnie będzie zadowolona, że się mniej pozbywa. Nikt nie będzie kwestionował jej prawa do zajmowania domku.

- Ja... - zaczął, lecz ona odezwała się w tej samej chwili. - Proszę, niech pani mówi - powiedział.

- Nie - odparła. - Pan pierwszy.

- Nie - upierał się. - Damy mają pierwszeństwo.

Brenna westchnęła głęboko, przygotowując się do wypowiedzi.

- Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego. Biorąc pod

uwagę, że dotychczas nie przeprowadzał pan operacji... Chcę pana przeprosić.

Nie spodziewał się tego. Przeprasza go? Za co?

I właśnie o to ją spytał.

- Wie pan za co - odpowiedziała, zwrócona profilem do Reilly'ego. - Za to, co powiedziałam. O pańskiej narzeczonej. I za... cóż, orientuje się pan, że nie zachęcałam wieśniaków, by panu zaufali. A powinnam była. To pan jest wykwalifikowanym lekarzem, nie ja. Chcę, żeby pan wiedział, że teraz będę. To znaczy, będę ich do pana przysyłać.

- Teraz! - wykrzyknął oburzony - kiedy udało mi się kogoś zabić? Dzięki za okruchy z pani stołu, panno Donnegal. Jestem pewien, że teraz wieśniacy zaufają moim medycznym umiejętnościom. Zlecą się z całej wyspy Skye, aby się leczyć u wielkorękiego doktora Stantona.

- Nie wie pan, czy Hamish nie wyzdrowieje - powiedziała łagodnie.

I znów oparła dłoń na jego ramieniu. Była bardzo ciepła. Reilly czuł jej ciepło poprzez wełnę surduta.

Spojrzał na jej palce, odcinające się na tle ciemnej tkaniny. Przypomniał sobie wyraz jej twarzy podczas operacji. Od czasu wizyty w domku wiedział, że Brennę i chłopca łączyły więzi przyjaźni. Poznał to po sposobie, w jaki patrzyła na Hamisha, pomimo surowego tonu, jakim do niego przemawiała. Zresztą w taki sam sposób odzywała się do wszystkich mieszkańców wyspy.

Lecz podczas operacji na jej twarzy nie było ani śladu czułości. Brenna stała się precyzyjną, beznamietną asystentką. Służyła mu pomocą nawet w najbardziej krytycznym stadium operacji, to jest kiedy przewiercał kości czaszki. Każda inna kobieta - oraz większość mężczyzn - pobladałaby na widok szydła, wbijanego w głowę chłopca, i zwróciła kolację.

Ale nie Brenna Donnegal. Była tak spokojna, jakby w ogóle nie znała Hamisha... tak spokojna, jakby omawiała stan pogody

za oknem, a nie zajmowała się ścieraniem krwi, wypływającej z czaszki chłopca.

Jednak, pomimo że jej zachowanie było tak bardzo niekobiece, Reilly ani na chwilę nie tracił poczucia, że osoba, z którą tak blisko współpracuje, jest kobietą. A teraz, spoglądając na ciepłą dłoń Brenny, spoczywającą na jego ramieniu, zdał sobie sprawę, że minął czas jakiś... że minęło sporo czasu... odkąd ostatni raz czuł dotyk kobiecej ręki.

W każdej innej sytuacji dotyk panny Brenny Donnegal wywarłby na nim wielkie wrażenie. Jednak teraz stać go było jedynie na posępne rozmyślanie o perspektywach czekających chłopca, który znajdował się kilkadziesiąt metrów od niego.

- Co będzie pani robiła - zapytał z goryczą - pozbawiona swoich licznych pacjentów? Powróci pani do badań?

Wymówiwszy te słowa, natychmiast ich pożałował. Było już jednak za późno.

Poczuł, że się od niego oddala... zarówno fizycznie, bo cofnęła dłoń, jak i psychicznie, co ilustrowały jej wypowiedziane lodowatym tonem słowa.

- Tak. Sądzę, że tak.

Idiota, beształ w myślach samego siebie. Ale ciągnął dalej.

- Do tych swoich tajemniczych badań, o których nie chce pani z nikim rozmawiać?

- Właśnie - odparła tonem jeszcze bardziej lodowatym.

Co robisz? - strofował sam siebie. Dlaczego reagujesz tak brutalnie? Przecież ona stara się być dla ciebie miła.

Powiedz jej, nie milkł głos w jego głowie. Powiedz jej, że wracasz do Londynu...

- Będę wdzięczny - powiedział z wysiłkiem - jeśli ich pani do mnie przyśle. To znaczy, pacjentów.

W oddali, na horyzoncie, pojawił się wąski pasek czerwieni. Rysy Brenny stały się wyraźniejsze. Przyglądała mu się z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

- To wolę - odparła.

Po fackie przyszło mu do głowy, że mógł jej wtedy powiedzieć wiele różnych rzeczy. Mógł się jej, na przykład, przyznać, jak bardzo podziwia jej odporność na widok krwi.

Albo jak wiele znaczą dla niego jej miłe słowa.

Albo jak bardzo ceni sobie jej pomoc, którą okazała mu w rozmowie z MacGregorami i potem, podczas operacji Hamisha.

Mógł choćby spojrzeć głęboko w jej błękitne oczy, a nawet wziąć ją za rękę i powiedzieć, że potem umazana owczym łożyskiem oraz pachnąca eterem, wydaje mu się nadzwyczaj pociągającą kobietą i że od czasu gdy ją poznał, wciąż o niej myśli... mimo że jest najbardziej upartą i przekorną osobą z wszystkich, jakie dotychczas napotkał.

Lecz gdy w końcu się odezwał, powiedział coś zupełnie innego.

- Tylko proszę kierować do mnie wyłącznie dwunożnych pacjentów. Nie mam talentu do leczenia czworonogów.

W słabym świetle wschodzącego słońca dojrzał uśmiech Brenny. Uśmiechała się blado. Ale jednak był to uśmiech i Reilly powitał go z wdzięcznością. Cieszył się, że nie powiedział jej tego wszystkiego, co mógł powiedzieć.

Właśnie w tej chwili gwałtownie otworzyły się drzwi szpitalika i pani MacGregor zawołała Reilly'ego.

- Tu jestem, proszę pani - odpowiedział Reilly.

Po czym, z walącym sercem, szybko podążył ku bardzo przejętej kobiecie.

- Och, doktorze Stanton! - zawołała, gdy znalazł się przy niej. - Mogę mu dać wody?

Reilly przyjrzał się jej.

- Wody? - powtórzył. - Nie widzę powodu...

- Na razie poprosił tylko o to, a ja nie chcę robić nic, zanim nie spytam pana.

- Poprosił o wodę? Odzyskał przytomność?

- Och, tak - odparła pani MacGregor, zdziwiona podnieceniem lekarza. - Przed chwilą się obudził. Słaby jak kociak, ale się złości,

że ogolił mu pan głowę. Powiada, że przez calutkie lato będzie się musiał przegrzewać pod kapeluszem...

Reilly zwrócił się do Brenny.

- Słyszała pani?

Jej twarz rozjaśniał uśmiech, dziwnie kontrastujący z lśniącoymi w oczach łzami.

- Hamish nie lubi chodzić w kapeluszu - powiedziała zdławionym ze wzruszenia głosem.

Reilly nie namyślał się ani chwili. Bo i po cóż? Jego reakcja była całkowicie naturalna. Na miłość boską, tak samo zachowałby się, gdyby na miejscu Brenny stała któraś z jego siostr albo matka czy babcia. Objął talię panny Donnegal, uniósł ją w górę i obrócił w koło, a ona odrzuciła głowę do tyłu i głośno się roześmiała.

Określił ją tak najwyżej ze trzy albo cztery razy. I postawił na ziemi, gdy tylko zawołała, że maści jej się w głowie.

A więc dłaczego, kiedy, ciągle się śmiejąc, spojrzeli na lorda Glendenninga, który się właśnie pojawił, nadchodząc z zamku, by zapytać o zdrowie pacjenta, miał on taki groźny wyraz twarzy?

Hrabia nie miał najmniejszego powodu, by się tak nachmurzyć. Podejrzewał ich bezpodstawnie. Oni tylko ucieszyli się z dobrej nowiny.

Choć gdyby Reilly był zupełnie szczerzy, musiałby przyznać, że miło mu było czuć biust Brenny przyciśnięty do jego piersi.

- Dobre wieści, Glendenning - powiedział, nie mogąc powstrzymać szerokiego uśmiechu. Tym razem hrabia dosiadał innego konia; miał dosyć wyczucia, by pozostawić czarnego ogiera w stajni. - Chłopiec wyzdrowieje.

- W istocie, dobre wieści - mruknął hrabia bez cienia wesołości.

Brenna najwyraźniej nie dostrzegła lordowskiej dezaprobaty.

- Idę go zobaczyć - powiedziała podnieconym tonem. I, nie tracąc czasu, pospieszyła do szpitalika. Za nią skwapliwie ruszyła pani MacGregor.

Reilly, jednocześnie wyczerpany, odczuwający ulgę i uradowany, wciąż się uśmiechał, nie zważając na niezadowolenie swego pracodawcy.

- Mało brakowało, Glendenning - powiedział, poklepując klacz hrabiego. - Ale wygląda na to, że nie będziesz musiał zastrzelić ogiera.

Hrabia zmarszczył brwi.

- To znaczy, że podziałało? - zapytał. - To wiercenie dziury w głowie?

- Podziałało - odparł Reilly, czując dreszcz zadowolenia.

Glendenning był zdumiony. Najwyraźniej tylko udawał, że darzy swego pracownika zaufaniem.

- Cóż - powiedział. - To dobrze.

- Dobrze? - Reilly nie czuł się równie szczęśliwy od dnia... kiedy Christine zgodziła się go poślubić.

Tylko że teraz było jeszcze lepiej. O wiele lepiej. W końcu czegoś dokonał. Zrobił coś dobrego. Dokonał cudu. Uratował ludzkie życie. Nie ma co, istne „szaleństwo Stillworha!”

- Mało powiedziane, chłopie! - wykrzyknął, zapominając, że zwraca się do hrabiego. - A co więcej, Brenna obiecała, że będzie namawiać wieśniaków, by leczyli się u mnie. - Reilly nie potrafił powściągnąć radości. - Odda mi swoich pacjentów. Tak powiedziała. Chodźmy zobaczyć, jak sobie radzi Hamish...

- Chwileczkę - rzucił hrabia, gdy Reilly skierował się do szpitalika.

Reilly przystanął.

- Milordzie?

- Mówisz jej teraz po imieniu? - chciał upewnić się lord Glendenning.

- Słucham? - zapytał zdziwiony Reilly.

- Jesteście na ty? - Tym razem hrabia wypowiadał się z większą starannością. - Przed chwilą powiedziałeś o niej „Brenna”.

Reilly nie miał cierpliwości na takie głupstwa. Nie teraz, kiedy dokonał cudu.

- Tak - odparł. - Tak samo jak wszyscy w tej nieszczęsnej dziurze.

- Nie wszyscy - poprawił go hrabia. - Tylko ja mówię

O niej „Brenna”. Wszyscy inni zwracają się do niej „panno Brenno”.

Reilly poczuł, że opuszczają go resztki radości. A zamiast niej pojawia się irytacja.

- Cóż - powiedział, starając się, by jego głos brzmiał pogodnie - jeśli Brenna nie ma nic przeciwko temu, nie widzę powodu, by...

- Właśnie - odparł lord Glendenning opryskliwym tonem. - Widzę, że nie ma nic przeciwko temu. Nic, a nic.

Reilly pokręcił głową. Ten człowiek bywał czasem nie do zniesienia. Co hrabia sugeruje? Że Brenna Donnegal żywi do niego, Reilly'ego, jakieś cieplejsze uczucia? Jakże się myli! Przecież ta dziewczyna zaledwie przed chwilą przestała go nienawidzić. Czy hrabia tego nie dostrzegą?

- Sądziłem - powiedział Reilly z oburzeniem - że będzie pan bardziej zadowolony, milordzie. To pański wierzchowiec omal nie zabił dziecka.

- Zdaję sobie z tego sprawę - sztywno odparł Glendenning - I gdyby tak się stało, nie darowałbym sobie do końca życia.

- Powinien mi pan być dozgonnie wdzięczny za uratowanie chłopca, lordzie Glendenning. I pragnę pana zapewnić, że z panną Donnegal łączy mnie jedynie wzajemny szacunek. Szacunek, jaki żywią do siebie koledzy po fachu.

- Koledzy? - parsknął hrabia. - Tak się do siebie zwracacie? I za każdym razem, kiedy przeprowadziłeś udaną operację, obłapiałeś swoich kolegów i obracałeś w koło?

Reilly zacisnął zęby.

- Jeżeli chce mnie pan obrażać, sir, lepiej będzie, gdy się pożegnamy

Miał wielką ochotę rąbnąć pięścią w twarz tego nieznośnego jegomościa. Ale w ten sposób popsułby stosunki ze swoim pracodawcą, więc powściągnął gniew. Teraz, kiedy sprawy zaczęły się tak dobrze układać, nie chciał, by go zwolniono.

Odwrócił się i skierował do szpitalika. Glendenning zatrzymał go. Nie pięścią, lecz słowem.

- Zaczekaj - powiedział.

Reilly wywnioskował z jego tonu, że hrabia żałuje swego wybuchu. I nie omylił się.

- Przez całą noc siedziałem jak na szpilkach - ciągnął lord, prowadząc swego konia. - Zastanawiałem się, czy chłopiec przeżyje. A potem przyjeżdżam tutaj i widzę ją w twoich objęciach... tego już było za wiele. - Hrabia położył ciężką dłoń na ramieniu Reilly'ego. - Przecież wiem, że nie zrobiłbyś czegoś takiego. To znaczy, nie sprzątnąłbyś mi jej sprzed nosa.

Reilly milczał. Cóż mógł mu odpowiedzieć? Że kiedy ją trzymał w ramionach przez te kilka krótkich sekund, po raz pierwszy od miesięcy poczuł, że żyje? Że bicie jej serca tuż przy jego sercu obudziło uczucia, które już dawno w nim zamarły? Że jej śmiech, kiedy obracał ją w koło, pobudził pulsowanie jego krwi?

Nie mógł tego powiedzieć. Więc trzymał język za zębami i zastanawiał się, co się z nim dzieje.

- Trzeba to uczcić - mówił hrabia, przywiązując klacz do pobliskiego słupa. - Przyjdź do zamku na kolację. Nie dzisiaj. W niedzielę. Niedzielną wieczór będzie najodpowiedniejszy na uroczystą kolację. Co ty na to?

Reilly drgnął. Ledwie słuchał hrabiego. Przyszło mu do głowy, że miedziana poświata na wschodniej stronie nieba przypomina mu barwę włosów panny Brenny Donnegal.

- Stanton? - Hrabia przyglądał mu się z niepokojem. - Źle się poczułeś?

- Nic mi nie jest - szybko zapewnił go Reilly.

- Świetnie. W takim razie jesteśmy umówieni. Kolacja. W niedzielę wieczorem.

- Tak. Przyjdę.

Był zbyt przejęty, by się zastanawiać, co się kryje za nagłą wielkodusznością hrabiego. Wkroczył do pokoju bardzo zadowolony, że wreszcie odnalazł swoje miejsce na świecie.

13

Iain Olaghair MacLeod, dziewiętnasty hrabia Glendinning, ma zaszczyt zaprosić pannę Brennę Donnegal na przyjęcie w niedzielę, 2 kwietnia 1847 roku.

Uprasza się o odpowiedź.

Brenna wpatrywała się w zaproszenie. Jasne, odpowiedź będzie, ale jaka? Bo właśnie trwał niedzielny wieczór drugiego kwietnia, a tajemniczy kartonik dopiero co pojawił się, wsunięty pod jej drzwi, w które ktoś niecierpliwie walił.

Kiedy otworzyła, by zobaczyć, kto zostawił owo zaproszenie, spostrzegła Roba, zmykającego w stronę potoku. Zawołała go, ale on udawał, że jej nie słyszy - bez wątplenia zgodnie z instrukcjami swego pana, który wolał nie poznać jej odpowiedzi.

Zamknęła drzwi i, marszcząc czoło, znów spojrzała na kartonik. Przyjęcie! W zamku Glendinninga! Nigdy przedtem nie wydawano tam przyjęć.

Przyszło jej do głowy, że dziwne będzie owo przyjęcie, w czasie którego goście, o ile hrabia zaprosił jeszcze kogoś prócz niej, będą strząsać z nóg szczury. Hrabia bowiem niefortunnie wybrał porę,

gdy lochy zamku zalewała woda, zmuszając gryzonie do ucieczki na wyższe piętra budowli.

Zmięła kartonik i wrzuciła w ogień. Lord Glendenning nie daje za wygraną, dumiała. Szkoda, że nie wydaje mi się równie pociągający, jak ja jemu, bo byłoby przyjemnie mieć tak wytrwałego wielbiciela, gdybym mu potrafiła odpłacić podobnym afektem.

Wróciła do pracy, lecz bez zbytniego entuzjazmu, ponieważ nie robiła postępów, jakie sobie wymarzyła. Nagle znów rozległo się stukanie do drzwi.

Niedziela nigdy nie była dniem odpoczynku dla medycznie uzdolnionych umysłów członków rodziny Donnegal, ponieważ tego dnia wieśniacy z Lyming nie udawali się do pracy w polu i nie wypływali na połów ryb. Całutki dzień spędzali w domu, co pod wieczór doprowadzało do napięć, które kończyły się rękoczynami. Brenna przypominała sobie, że leczenie najciekawszych przypadków, będących wynikiem pijaństwa po (a czasem także w czasie) mszy - jak wyłupione oczy i rozkwaszone nosy - zdarzało się jej ojcu właśnie w niedzielę...

Przytomnie zamknęła za sobą drzwi pracowni ojca, lecz nie przekreśliła klucza w zamku. Miała nadzieję, że dzięki najnowszej decyzji, by kierować wszystkie nagłe przypadki do doktora Stanton, będzie mogła za chwilę powrócić do pracy.

Lecz otworzywszy drzwi domku, nie ujrzała pobladłej dziewczyny, która przybiegła, z płaczem błagając, aby panna Brenna szybko przysłała do ich domu, bo mamusia znów sprąta tatusia po twarzy, tylko doktora Reilly'ego Stanton, ubranego w bardzo wytworny czarny strój wizytowy.

Na widok brązowej sukni domowej Brenny zrobił wielkie oczy.

- Och - powiedział, zбитy z tropu. - Nie jest pani gotowa? Cóż, zaczekam.

I, jakby to była rzecz najnaturalniejsza w świecie, wszedł do kuchni i z kapeluszem w ręce zasiadł przy jadalnym stole.

Brenna, nie zdejmując dłoni z klamki, spojrzała na niego ze

zdumieniem. Nie widziała Reilly'ego Stantona od wczoraj, gdy poszła odwiedzić Hamisha, który przychodził do zdrowia pod okiem doktora, lecz nie było to przecież tak dawno, by mogła całkowicie zapomnieć o planowanym przedsięwzięciu...

Zwłaszcza o takim, które wymagało, co stwierdziła, wyjrzawszy na dwór, konia i powozu.

- Przepraszam - powiedziała, zbierając myśli - ale czy mamy jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

Głaszczący Sorchę Reilly spojrzał na Brennę.

- Tak mi się zdaje - odparł zdziwiony. - Lord Glendenning zaprosił nas na przyjęcie.

- Na przyjęcie? - Pokręciła głową. - Pana także zaprosił?

Reilly uniósł brwi.

- Otóż właśnie. Sądziłem, że będzie pani zadowolona. Nie przypuszczam, by w mojej obecności pozwolił sobie na, eee... miłosne awanse...

- Zgadzam się z panem - odparła Brenna, zamykając drzwi. - Tylko nie mogę się pozbyć wrażenia... tak, to do niego całkiem niepodobne. Szczerze mówiąc, sama nie wiem, co o tym myśleć.

- Co o tym myśleć? - Reilly wyprostował nogi i oparł obcasy na krześle po przeciwnej stronie stołu. - To darmowy posiłek i słyszałem pogłoski, że ma być niezły. Hrabia dał wolne tej swojej okropnej kucharce i sprowadził do zamku panią Murphy, która ma przygotować coś specjalnego. Spodziewam się, że w menu znajdą się: jej słynna potrawka z królika, wędzone ostrygi, kapłony, karp w sosie z homara...

- Najwyraźniej jest pan wcale dobrze poinformowany - prze-rwała mu Brenna ze zdziwieniem.

Reilly wzruszył ramionami.

- Cóż, mieszkając w sąsiedztwie gospody Pod Udęczoneym Zającem, słyszę to i owo. A poza tym nęci mnie perspektywa spędzenia wieczoru poza domem. Pani MacGregor posiedzi przy Hamishu, który, jak z pewnością pani wczoraj zauważyła, czuje

się coraz lepiej. Myślę, że mogę go bez obawy powierzyć na kilka godzin opiece matki. Kiedy nie obawia się, że synowi zagraża śmierć, jest zupełnie rozsądna, a ponieważ chłopiec tak szybko przychodzi do zdrowia... - Reilly uśmiechnął się szeroko - lekarz może sobie pozwolić na wyjście.

Na blat stołu wskoczył kot Erie i z zaciekawieniem spoglądał na gościa. Reilly Stanton uniósł rękę, która nie była zajęta głośnianiem Sorchy, i podrapał go pod brodą.

- Myślę że powinna się pani przebrać - powiedział. - To znaczy, uważam, że ten strój jest czarujący, ale... - Zmarszczył wymownie nos. - Co pani powie o tej niebieskiej sukni, którą miała pani na sobie w dniu, w którym poznałem Hamisha?

Brenna westchnęła.

- Prawdę mówiąc - zaczęła naburmuszona - to wszystko wydaje mi się dość dziwne. Zaproszenie dostałam przed chwilą i wcale nie miałam zamiaru wychodzić...

- Dlaczego? - zapytał Reilly, szczerze zaskoczony.

- Dlaczego? - Brenna uniosła dłonie. - Staram się za wszelką cenę unikać hrabiego Glendenninga, doktorze Stanton. Chciał, aby pan przyznał, że nie nadaję się do samodzielnego życia. Bóg raczy wiedzieć, co on knuje...

- Przypuszczam, że ma zamiar podziękować nam za uratowanie mu skóry. Dobrze wie, że gdyby chłopiec umarł przez jego nieostrożność, znieawidzono by go we wsi. - Erie zaczął głośno mruzczyć. - Myślę, że za jego zaproszeniem nie kryje się nic więcej. A teraz niech się pani pospieszy. Musiałem zostawić pożyczony od lorda faeton po przeciwnej stronie potoku, bo mostek okazał się zbyt wąski.

Brenna przygryzła dolną wargę. Było to w stylu lorda Glendenninga! Nie wysłał jej zaproszenia zawczasu, bo wiedział, że by mu odmówiła. Pożyczając powóz doktorowi Stantonowi i przysyłając go, by ją zabrał z domu, miał nadzieję, że w ten sposób zmusi ją do przybycia.

Z drugiej strony, Reilly Stanton miał rację co do jednego: uratowali lorda Glendenninga - to znaczy, uczynił to Reilly, lecz ona mu w tym pomogła - przed okrzyknięciem go dzieciobójcą. Wprawdzie chłopca omal nie zabił koń, lecz był to koń hrabiego.

Czyż wobec tego nie było całkiem naturalne, że jego lordowska mość chciał im podziękować?

- Nno, nie wiem... - powiedziała Brenna z ociąganiem.

- Dość tych bzdur! - zawołał Reilly. Zsunął nogi z krzesła i wykonał ruch, jakby chciał się poderwać, ruch, który spłoszył Sorchę i Erica. - Jeżeli pani nie ma ochoty, po prostu przekażę Glendenningowi pani przeprosiny. Ale straci pani smakowite dania...

- Zaraz będę gotowa - powiedziała Brenna, która już od dłuższego czasu nie miała okazji skosztować słynnej potrawy z królika. - Proszę mi dać pięć minut, dobrze?

Reilly z zadowoleniem opadł na oparcie krzesła i obydwaj zwierzaki nastawiły łebki, by je głaskał.

Brenna weszła do sypialni i otworzyła szafę. Minęło sporo czasu, odkąd starała się ładnie wyglądać. Odczuwała dziwne podniecenie na myśl, że Reilly Stanton ujrzy ją taką, jaka była w tym jej śnie...

Wcale mi szczególnie nie zależy, myślała, wyjmując z szafy suknię, która, jak miała nadzieję, nie była zbyt wygnieciona, co Reilly Stanton sobie o mnie pomyśli. Tylko że...

Tylko że kiedy ją widział ostatni raz, nie wyglądała najlepiej. Wprost przeciwnie. Zanim odwiedziła Hamisha, spędziła wiele godzin na wyciąganiu płodów z macic licznych owiec. To zajęcie nie mogło czekać. Rankiem, po operacji Hamisha, prosto ze szpitalika wróciła na pastwiska, gdzie niemal bez przerwy przebywała do dzisiaj. Ten wieczór po raz pierwszy od kilku dni spędziła w domu. Skorzystała z okazji, by w spokoju wziąć długą kąpiel, używając prawie cały kawałek mydła od pani Murphy, by zmyć z siebie silny owczy odór, którym przesiąkły jej skóra i włosy.

I pomyśleć, że Reilly Stanton chwycił ją w objęcia i kilkakrotnie obrócił - zupełnie jakby była lekka jak piórko, a przecież dobrze wiedziała, że to nieprawda - w chwili, gdy cuchnęła owcą! Na to wspomnienie zawsze się wzdrygała.

Ale nie dzisiejszego wieczoru. Dzisiaj pokaże mu, że nie tylko może wyglądać jak dama, lecz także ładnie pachnieć. I, zdjawszy brązową suknię, o której wyraził się tak lekceważąco, zabrała się do pracy.

Na jej pojawienie się w drzwiach sypialni Reilly musiał poczekać ponad pięć minut, prawdę powiedziawszy, dłużej niż kwadrans. Ale po sposobie, w jaki zerwał się na jej widok, poznała, że tego nie żałował.

- Na Boga - powiedział, a jego ciemne roześmiane oczy załśniły z zachwytu. - Świetnie się pani domyła, jeśli mogę to w ten sposób ująć.

Brenna poczuła, że się rumieni. I niby czemu nie? Zdawała sobie sprawę, że w sukni z błękitnego jedwabiu prezentuje się zupełnie nieźle. Niebieski kolor podkreślał barwę jej oczu, śnieżnobiała apaszka wydobywała kremową karnację nagich ramion, a włosy, poskręcane w długie loki, lśniły czystością.

Nie poskapiła także perfum. O, nie. Teraz nie było w niej nic z gumna.

I Reilly Stanton, co stwierdziła, gdy skwapliwie podał jej ramię, także to zauważył.

- Czy możemy wyruszyć, madame? - zapytał z galanterią, która była mniej kpiąca, niżby tego pragnął.

- Możemy... - zaczęła, wdzięcznie skinąwszy głową.

I wtedy przypomniała sobie o drzwiach do pracowni ojca. Nie zamknęła ich na klucz.

Drgnęła, rzuciła Reilly'emu Stantonowi spojrzenie, którego znaczenia, miała nadzieję, nie mógł pojąć, i podbiegłszy do drzwi, otworzyła je na oścież.

Pokój wyglądał zupełnie tak samo jak w chwili, gdy go opuściła.

Mikroskop stał na swoim miejscu, wykresy na ścianach i na biurku pozostały nienaruszone. Z westchnieniem ulgi zdmuchnęła lampę i wyszła z gabinetu, starannie zamykając drzwi na klucz.

- Aha - powiedział Reilly Stanton. - Laboratorium. Tak, koniecznie trzeba je zamykać na klucz, panno Frankenstein. Nie chcemy, aby potwór się teraz wydostał, prawda?

Rzuciła mu gniewne spojrzenie, otulając się czarnym koronkowym szalem, zbyt lekkim na tak wczesną wiosnę. Lecz nie chciała, by cieplejsze nakrycie popsuło efekt osiągnięty dzięki starannie udrapowanej apasce.

- Cicho. - Stać ją było jedynie na taką przebiegłą odpowiedź.

Choć raz był jej posłuszny. W czasie jazdy do zamku Glendenning prawie się nie odezwał. Głównie dlatego, że miał trudności z powożeniem po drodze, która, na skutek roztopów, stała się błotnista. Brenna, która miała nadzieję, że wystarczy włożyć ładną suknię, by doktor Stanton zapomniał o powodzie ich wzajemnej wrogości, wyrzucała sobie w myśli własną naiwność...

Gdyby tajemnica, kryjąca się za drzwiami gabinetu, należała tylko do niej, chętnie - przynajmniej tak sobie wyobrażała - by się nią podzieliła. Tak, z całą pewnością tak by uczyniła, zwłaszcza po tym, co Reilly Stanton zrobił dla Hamisha.

Ale to nie była jej prywatna tajemnica. Dlatego musiała ją utrzymać, aby nie zawieść zaufania kogoś bardzo drogiego...

W końcu dojechali do zamku i nawet Brenna, która nie bardzo poważała hrabiego, musiała przyznać, że jest pod wrażeniem jego wysiłków, by uczynić to miejsce jak najprzyjemniejszym. Wzdłuż stromego podjazdu do bramy z opuszczaną kratą umieszczono pochodnie, których wesołe płomienie znały drogę.

Przejechawszy przez bramę, zostali powitani nie przez ponurego i mało rozgarniętego Raonulla, lecz przez jego lordowską mość we własnej osobie. Hrabia sprawiał wrażenie tak uradowanego, że Brenna nie potrafiła odpędzić beztłosnej myśli, że zaczął sączyć szampana, nie czekając na nich.

- Doktor Stanton! - zawołał lord Glendenning.

Brenna dostrzegła w świetle pochodni, że przywdział na tę okazję swój najświetniejszy strój wizytowy. Na ramieniu miał udrapowany pled w kratę, przypięty ciężką - i najwyraźniej bardzo starą - spinką, a w pasie przewiązany był krótkim kiltem. Srebrne klamry u jego wypucowanych butów lśniły, a ciemne włosy zostały szesane do tyłu.

- I panna Donnegan! - dodał z wyraźną ulgą. - Jakże pięknie dzisiaj wyglądasz! Jestem uszczęśliwiony, że zechciałaś wziąć udział w naszej skromnej uroczystości.

Brenna spojrzała na niego równie chętnym wzrokiem, jak na zagradzającego drogę jadowitego węża.

- Dziękuję za zaproszenie, lordzie Glendenning - powiedziała. - Ja...

Lecz jej słowa zamarły na wargach, gdy lord Glendenning podał jej ramię i powiódł ich nie w stronę wielkiej komnaty, gdzie zazwyczaj jadał posiłki, lecz do salonu, gdzie, jak Brenna wiedziała, żadna ludzka istota nie miała wstępu od... w każdym razie za jej życia.

- Co tam ukrywasz? - zapytała, wchodząc przez ogromne drzwi, które hrabia przed nią otworzył.

W sekundę później już wiedziała.

Powinna się była spodziewać, oczywiście. Powinna się była domyślić, że to fortel.

Bo w salonie, przy kominku, na bardzo niewygodnych krzesłach w stylu Ludwika XV, siedzieli pastor i jego żona.

14

Oczywiście, doszły do nas pogłoski na temat pani powrotu na wyspę, panno Donnegal - powiedział wielebny Marshall, nakładając na talerz porcję pieczonych ostryg.

- Ale ponieważ nie widywaliśmy pani w kościele... - pani Marshall delikatnie otarła wargi serwetką.

- ...Uznaliśmy te pogłoski za fałszywe.

Reilly zaobserwował, że wielebny i jego małżonka mają skłonność do tego, by na zmianę dokończyć swoje wypowiedzi. Spojrzał na duchownego, potem na jego żonę, a następnie znowu na niego. Napięcie przy stole sięgnęło zenitu. Atmosfera stała się tak ciężka, że jak w owym powiedzeniu, można by ją kroić nożem - a w tym przypadku mieczem, który Iain MacLeod odziedziczył po swych odległych przodkach.

Reilly nie miał za złe Brennie, że się rozgniewała. Wprost przeciwnie, podziwiał ją za to, że tak długo trzymała nerwy na wodzy. Uznał, że wielebny Marshall i jego połowica stanowią raczej uciążliwą parę. Spotkał ich już kilka razy, gdy pani Marshall czyniła wysiłki, aby dać mu odczuć, że jest mile widziany. Przede wszystkim przedstawiając mu swoje liczne, uczone w piśmie córki, z których żadna, co stwierdził z ulgą, nie była obecna na

dzisiejszym przyjęciu. Jako że najstarsza z nich nie miała nawet szesnastu lat, jeszcze nie „bywały”...

Nie przeszkadzało to wcale ich matce paradować w ich towarzystwie przed nosem nowego lekarza, gdy tylko wracały ze szkoły do domu, co miało miejsce w niedziele, gdy przyływały promem z pensji w Lochalsh, aby wziąć udział w mszy odprawianej przez ich ojca.

Reilly zmusił się, by uczestniczyć w mszach - nie pod wpływem potrzeby jednoczenia się z Bogiem, co wołał czynić na łonie natury niż w jakiegokolwiek budowli wzniesionej przez człowieka, lecz po to, by poznać członków kongregacji i, na co miał nadzieję, pozyskać ich zaufanie. Nigdy jednak nie zauważył w kościele Brenny i teraz zrozumiał, dlaczego starannie unikała Marshallów z powodów, które, w miarę rozwoju sytuacji, stawały się coraz bardziej oczywiste.

- I powiada pani - ciągnął wielebny Marshall, dobierając sobie marchewki w galarecie - że jej rodzice wiedzą o tym, iż samotnie zamieszkuje pani domek, i że to pochwalają?

Brenna panowała nad sobą, ale to wcale nie oznaczało, że jest zadowolona z przebiegu rozmowy. Spojrzenia, które przez cały wieczór rzucała hrabiemu, były tak lodowate, że mogłyby zmrozić doskonałe piwo pani Murphy. Lord Glendenning wcale się tym nie przejmował, swobodnie odgrywając rolę gospodarza, z wyjątkiem chwil, gdy zdarzało mu się energicznie tupnąć, po czym rozglądał się zakłopotany. Po jednym z takich zdarzeń Reilly dyskretnie przesunął się na miejsce, w którym poprzednio stał hrabia, i spojrzał na podłogę, lecz nie spostrzegł nic podejrzanego, poza małą dziurką w zaprawie murarskiej pomiędzy kamieniami muru, w której, jak przypuszczał, czasami pojawiał się pyszczek i wąsiki.

- Tak - odparła Brenna. - Moi rodzice wiedzą, że podczas ich nieobecności mieszkam samotnie w domku. Tak było zaplanowane.

Wielebny odchrząknął. Czynił to w odstępach mniej więcej

pięciominutowych, i Reilly uznał ten zwyczaj za, łagodnie mówiąc, irytujący oraz zastanawiał się, czy nie przepisać mu jakichś pastylek do ssania.

- Pani droga matka powiedziała mi coś zupełnie innego, panno Donnegal - nie dawał za wygraną pastor. - Zanim ona i pani ojciec opuścili naszą skromną wioskę, dla przygód na Dalekim Wschodzie, pani Donnegal powiedziała mi, że udaje się pani do stryja w Kilcairn, by wraz z nim zamieszkać w Londynie...

- ...na cały sezon - skończyła za niego pani Marshall.

Brenna prawie nie tknęła potrawki z królika, z wielką stratą dla niej, ponieważ danie było wyśmienite.

- Nastąpiła - odparła, rozgniatając mięso widelcem - zmiana planów.

- Muszę dodać, że bardzo istotna zmiana. - Pan Marshall miał jeszcze jeden zwyczaj, który Reilly uznał za bardziej denerwujący niż częste odchrząkanie, mianowicie, gdy był czymś przejęty, mówił „brrr”. - Brrr. Bardzo istotna zmiana.

- Nie mogę uwierzyć, panno Donnegal - odezwała się pani Marshall - że matka pani godzi się na to, by mieszkała pani samotnie w tym domku na uboczu. Zwłaszcza teraz...

- ...kiedy grozi nam powódź - dokończył za nią wielebny Marshall.

- Chyba nie wyobrażają sobie państwo, że pozostałabym tam bez wyraźnej aprobaty rodziców - odparła Brenna, szeroko otwierając niewinne oczy. Bardzo przydatny okazał się kolor jej sukni, który idealnie pasował do błękitu tęczówek, podkreślając ich wielkość i złudną niewinność. Reilly doznał wstrząsu, gdy wyszła z sypialni, wyglądając zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Co prawda w spodniach i swetrze prezentowała się nie mniej pięknie niż w wyjściowej sukni. Chodziło o to, że ta właśnie suknia uwydatniała pewne atrybuty Brenny, których sweter nie wydobywał. Gdybyż jeszcze nie skrywała owych atrybutów pod tą dziwną apaszką! Zauważał je wyłącznie wtedy, gdy zwracała się do niego pod określonym kątem.

- Doprawdy - powiedział wielebny Marshall - sam nie wiem, co o tym sądzić. Jak zawsze, chcę wierzyć, że moi parafianie mnie nie okłamują, ale w pani przypadku, panno Donnegal...

- ...pani reputacja pracuje na pani niekorzyść - powiedziała pani Marshall i znów przytknęła serwetkę do ust. - Z powodu dziwnych wyskoków zawsze cieszyła się pani złą sławą.

Reilly słuchał z zainteresowaniem. Był wprawdzie zakłopotany, patrząc, jak wielebny i jego małżonka oczerniają dziewczynę. Podejrzewał, że Glendenning gorzko pożałuje swojej intrygi.

Lecz to, co się działo na jego oczach, było niezwykle zabawne.

- Wyskoków? - powtórzył z zachwytem. - I jakież to były wyskoki?

Brenna przeszła go wzrokiem. Ku jej najwyższemu niezadowoleniu zajmowała miejsce po lewicy lorda Glendenninga, podczas gdy pani Marshall zasiadała po jego prawicy. Wielebny siedział obok Brenny, a Reilly miał zaszczyt siedzieć po prawej ręce żony pastora. Hrabia, prezydujący u szczytu stołu, był jedyną osobą, mogącą wszystkich swobodnie obserwować.

Toteż spostrzegł złowrogie spojrzenie, które Brenna posłała przez stół Reilly'emu, i najwyraźniej sprawiło mu to wielką przyjemność.

- Och, tak, pani Marshall - powiedział hrabia. - Posłuchajmy o jej wyskokach.

Pani Marshall nie dała się prosić.

- Cóż, od czego by zacząć? Pamiętam, że bezlitośnie znęcała się nad swymi młodszymi braćmi. Zmuszała ich do zjedzenia wszystkich placków owocowych ze spiżarni matki...

- Bardzo przepraszam - przerwała jej Brenna. - To był naukowy eksperyment medyczny.

- Bardzo naukowy - zgodziła się pani Marshall. - Chciała określić stopień trawienia pewnych jagód i uznała, że najlepiej to zrobić...

- ... badając wymiociny dzieci - zakończył wielebny z obrzy-

dzeniem. - Całkowicie niedopuszczalne zachowanie. Powiedziałem o tym jej ojcu, ale on nie dopatrył się w tym niczego nieodpowiedniego.

- ...skoro chłopcy byli dość głupi, by jeść, aż zrobi im się niedobrze, zasłużyli sobie na to. Ale to jeszcze nic - oświadczyła pani Marshall. - Pamiętacie, jak ścięła sobie włosy i ukryła się na promie Stubena? - Pani Marshall pokręciła głową. - Chciała się zatrudnić jako chłopak do wszystkiego. I udałoby jej się, gdyby nie...

- ...gdyby nie to, że ojciec ją wysledził i położył temu kres.

- Potrzebowałam pieniędzy - powiedziała Brenna.

- Brrr. Bo chciała pani kupić...

- ...własny mikroskop - dokończyła pani Marshall. - Zupełnie nieodpowiedni przyrząd dla młodej panienki. Przecież mogła sobie pani zszpecić te piękne oczy! Muszę panią zapewnić, że żadna z moich córek nigdy nie wyraziła chęci posiadania czegoś równie nieodpowiedniego. Oszczędzają wzrok, by móc haftować.

Reilly był zachwycony tymi opowiastkami. Oczywiście spodziewał się, że w dzieciństwie Brenna była aniołkiem - wystarczyło spojrzeć na wyraz jej twarzy.

Zachwyciła go natura tych, tak zwanych, wyskoków dziewczyny, ponieważ wskazywały one na jej badawczy, wysoce analityczny umysł. Każdy z nich musiał być zawczasu dobrze przemyślany. Każdy wymagał zebrania informacji i miał doprowadzić eksperymentatorkę do określonego celu...

Reilly'emu bardzo to odpowiadało.

I wtedy hrabia pochylił się do przodu i rzekł:

- Ale zapomniała pani o jej największym wyskoku.

Pastor i jego żona wymienili spojrzenia. Nawet Reilly pochylił się nad stołem.

- Co pan ma na myśli, milordzie?

- Coś, co nadal robi, mój dobry człowieku - odparł hrabia. - Nadal! Nawet teraz, kiedy tu z nią siedzimy przy jednym stole.

Brenna odłożyła swoją serwetkę.

- Milordzie - powiedziała ostrzegawczym tonem.

Lecz było za późno. Lord Glendenning już wyjmował arkusz papieru ze skórzanej sakiewki, którą nosił u pasa.

Arkusik, który Reilly'emu wydał się dziwnie znajomy.

I nagle sobie przypomniał. Na Boga! Ów zmięty kawałek papieru stał się przyczyną wszystkich nieszczęść. To z jego powodu nieszczęsny Hamish MacGregor miał teraz dziurę w czaszce. List! List do Brenny, który Glendenning skradł z pocztowego worka Stubena!

- Daj spokój, Glendenning - powiedział Reilly, podnosząc się z krzesła.

Za późno. Lord Glendenning już zaczął czytać.

Moja najdroższa Brenno. Obawiam się, że stało się najgorsze. Mój ojciec wczoraj wieczorem spotkał w operze Twego stryja! Oczywiście, papa zapytał go, jak się czuje. Kiedy Twój stryj odparł, że nigdy nie czuł się lepiej, papa wyraził zdziwienie, bo przecież przed zaledwie trzema miesiącami posłużyłaś się chorobą stryja jako pretekstem, by nagle opuścić nasz dom. Na co Twój stryj oczywiście odparł: „Jeżeli jest pan Reginaldem Bartlettem, to moja bratanica Brenna mieszka w pańskim domu w Bath. Nie dalej jak wczoraj dostałem od niej liścik, w którym wspomina, że w pijalni widziała księcia Walii”, na co papa, oczywiście, odpowiedział, że nie widział Cię od wielu tygodni...

W tym momencie Brenna Donnegal wstała z krzesła i drżącym z wściekłości głosem powiedziała:

- Jeżeli miał pan zamiar, lordzie Glendenning, upokarzać mnie i dręczyć w obecności tych ludzi, to muszę pana zapewnić, że pański zamiar się powiodł.

Lord Glendenning uniósł wzrok znad listu i spojrzał na nią niezwykle zdziwiony.

- Poczekaj - powiedział. - Ja tylko chciałem...

- Nie mam pojęcia, co pan chciał - odparła Brenna z godnością. - Żegnam pana i niech się pan nie waży do mnie odzywać. - Po czym zwróciła się do pani Marshall. - I choć nie chcę pani niepokoić, madame, sądzę, że powinna pani wiedzieć, że na kredensie, tuż za panią, siedzi szczur.

To rzekłszy - i przy akompaniamencie wrzasków pani Marshall, która obejrzała się i rzeczywiście spostrzegła gryzonia - Brenna Donnegal opuściła jadalnię.

Reilly, znajdujący się najbliżej rozhisteryzowanej kobiety, nie mógł uczynić tego, na co miał największą ochotę, to jest wybiec z salonu za Brenna. Musiał zająć się żoną pastora, która padła zemdlona, zanim ucichło echo jej krzyków.

Minęła dłuższa chwila, nim Reilly'emu udało się ocucić poczciwą damę. Kiedy stanęła na nogi, zdecydowała, że należy jak najszybciej opuścić zamek pomimo faktu, że jeszcze nie podano madero. Gospodarz wybiegł na poszukiwanie urażonej dziewczyny, więc nie było powodu, by zostawać dłużej.

Reilly odprowadził wielebnego i jego żonę do powozu i życzył im dobrej nocy. Wielebnemu ani pani Marshall nie spodobała się rozsądna porada medyczna, jakiej udzielił, gdy ta ostatnia poskarżyła się na palpitanie serca, których dostaje za każdym razem, gdy po zamknięciu oczu widzi wąsaty pyszczek - poradził jej bowiem, by nie zamykała oczu.

Patrząc, jak ich oddalający się powóz staje się coraz mniejszy, Reilly znów poczuł podziw dla panny Donnegal. Wspomnienie listu, odczytanego na głos przez lorda Glendenninga, zostanie w umysłach wielebnego i jego małżonki zatarte przez widok szczura, którego Brenna tak niedbale im wskazała.

Reilly powrócił do salonu, rozmyślając o liście, i znalazł go tam, gdzie porzucił go hrabia, zanim wybiegł za Brenna. Ponieważ poszukiwania lorda Glendenninga i dziewczyny nie przyniosły rezultatu, Reilly usiadł na zwolnionym przez hrabiego krześle -

dbając o to, żeby jego stopy na wszelki wypadek znalazły się wysoko ponad podłogą, w razie gdyby któryś z kuzynów znanego mu już szczura zapuścił się tu w poszukiwaniu okruchów - i przeczytał resztę owej wstrząsającej korespondencji. Nie uważał swego postępowania za szczególnie niegodne, ponieważ większość listu została mu już odczytana.

...na co papa oczywiście odpowiedział, że nie widział Cię od wielu tygodni, informowała panna Mary swoim pensjonarskim charakterem pisma. Twój stryj był wściekły, bo, jak powiedziała, powierzył Cię opiece mego ojca i, wedle słów papy, zachował się bardzo grubiańsko, krytykując jego całkowity brak odpowiedzialności i grożąc, że jeśli stanie Ci się coś złego, obciąży mego ojca odpowiedzialnością prawną...

Na szczęście - Reilly ze zdziwieniem odczytał to słowo, ponieważ na skutek lektury listu zaczął mieć złe przeczucia.

Na szczęście moja siostra Sarah podsłuchiwała ich rozmowę i natychmiast poinformowała Twego stryja, że pomiędzy Tobą a mną nastąpiły nieporozumienia - tak! - i nie chcąc go martwić, nic mu o tym nie napisałaś, ale nadal przebywasz w Bath i zatrzymałaś się u Elizabeth Sexton, co Twemu stryjowi mogłoby się nie spodobać, ponieważ jej ojciec jest raczej pospolity (jest adwokatem). Mam nadzieję, że udało jej się naprawić sytuację, ale musisz teraz napisać do Twego stryja i potwierdzić wersję Sarah. Rozmawiałam z Elizabeth i jest gotowa nam pomóc...

List był dłuższy, znacznie dłuższy, ale opowiadał o kapeluszach i o młodych oficerach, więc Reilly nie miał cierpliwości, by go dokończyć. Złożył arkusik i wsunął go do kieszeni surduta. Przy

najbliższej okazji dostarczy go do rąk adresatki. Na razie zajął się popijaniem hrabiowskiej madery, zastanawiając się, co ten człowiek chciał uzyskać, urządzając dzisiejsze przedstawienie.

Po chwili hrabia powrócił do jadalni i Reilly miał okazję go o to zapytać.

- Och, nawet mi o tym nie przypominaj - odparł lord Glendenning, opadając na krzesło, które niedawno zajmowała Brenna. Podczas gdy Reilly zatopiony był w lekturze, służba uprzątnęła naczynia. Na stole została tylko madera, a na kredensie rzucające się w oczy szczurze bobki. Reilly zdał sobie sprawę, że zamek jest obleżony przez te gryzonie.

- Myślałem... sam nie wiem, co myślałem - ponuro wyznał hrabia. - Wiem tylko tyle, że mój pierwotny plan - żebyś zamieszkał w domku i ją z niego usunął - wziął w łeb. A potem mój drugi plan, żebyś stwierdził, że ma źle w głowie... też się nie powiódł. Więc pomyślałem sobie, że może, gdy porozmawia z nią pastor...

- Padnie w twoje ramiona z wdzięczności za to, że pomogłeś jej powrócić na ścieżkę cnoty? - Reilly spoglądał na hrabiego z pełnym wyrozumiałości rozbawieniem. - Prawdziwy osioł z ciebie.

- Wiem o tym - przyznał ponuro hrabia. - Ale sam wiesz, że plan nie był taki zły.

- Nieprawda. Pomysł był od początku do końca pozbawiony sensu i jestem zachwycony, że dane mi było obserwować, jak wali się na twoją głupią głowę.

- Ejże! Nie musisz mnie obrażać.

- Przepraszam - odparł Reilly, wstając. - Gdzie ona jest?

- Nie wiem. - Glendenning pochylił się nad stołem i oparł głowę na rękach. - Musi być w zamku. Raonull mówi, że nie widział, by wyszła.

- Bardzo dobrze. - Reilly spostrzegł szpiczasty pyszczek, wyglądający spod kredensu. Szczur, którego spłoszyły wrzaski pani

Marshall, najwyraźniej powrócił. - Zostawię cię teraz z twoimi poddanymi.

Glendenning nie zapytał go, co ma na myśli. Nawet nie podniósł głowy. Reilly wyszedł, myśląc o tym, że hrabia zasłużył sobie na wszystko, co go spotkało, nawet na to, by szczur wlaźł mu do nogawki. Tylko że w tym przypadku szczur wlaźłby pod kilt, ponieważ lord Glendenning nie przepadał za noszeniem spodni.

Nie było prawdopodobne, by Brenna schroniła się w swoim ulubionym miejscu, na szczycie murów obronnych, ponieważ, co Reilly stwierdził, żegnając Marshallów, nocne powietrze stało się lodowato zimne. Brenna zaś miała na sobie tylko suknię, szal z czarnej koronki i tę dziwną apaszkę. A poza tym nie była głupia: Glendenning tam właśnie zacząłby jej szukać.

Rozmyślając nad tym, jak dziewczyna ma zamiar zatuszować sprawę, bo Marshallowie, znający jej stryja, mogliby jej napytać niemałych kłopotów, Reilly wędrował po zamkowych korytarzach, zaglądając do komnat i wołając Brennę po imieniu.

Nie był w stanie sobie wyobrazić, jak Glendenning wytrzymuje w tym wilgotnym mauzoleum. Panował tu przenikliwy chłód i cuchnęło pleśnią, a na dodatek zamek zamieszkiwały szczury! Chociaż jadalnia, w której Reilly nie był nigdy dotąd, bo hrabia wolał jadać w wielkiej komnacie, prezentowała się zupełnie nieźle. Salon, w którym siedzieli przed kolacją, także był nie najgorszy. Zaglądając do niszczonej sali balowej, pomyślał, że w zamku Glendenning znajduje się kilka pomieszczeń, którym przy odrobinie starań dałoby się przywrócić dawną świetność.

Choćby owa sala balowa. Reilly stwierdził, oglądając pomieszczenie w świetle kandelabru, który uniósł wysoko nad głową, że podłoga wciąż nadaje się do użytku. Pozwalając, by marnowała się taka posadzka, Glendenning musiał być jeszcze większym głupcem, niż Reilly sądził dotychczas. I kiedy już miał wyjść z sali balowej i szukać nadal, kątem oka spostrzegł ciemny, znajomy kształt. Bliższe oględziny udowodniły, że faktycznie był to fortepian.

Reilly, który od czasu wyjazdu z Londynu nie miał okazji grać na tym instrumencie, ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że bardzo mu tego brakowało. Postukał w klawisze i przekonał się, że fortepian wcale nie jest straszliwie rozstrojony. Postawił kandelabr na instrumencie, zasiadł na stoczonej przez korniki ławeczce, strzelił knykciami i począł wywodzić prostą melodię.

Zupełnie nieźle. Dobry stary instrument, o silnym i czystym dźwięku. Od dawna nie czyszczony, ale wystarczy porządne odkurzenie. Reilly spróbował zagrać coś bardziej skomplikowanego. Ach, tak, środkowe C ma tendencję do opóźniania, ale poza tym...

Akustyka sali była zadziwiająca. Pograżył się w sonacie, zupełnie się zatracając w muzyce...

- Bardzo ładnie.

Przestał grać i zdumiony, spostrzegł Brennę Donnegal. Stała obok, wspierając łokieć na instrumencie, a brodę na dłoni.

- Och - powiedziała, spoglądając na niego oczyma o barwie morza w chmurny dzień. - Niech pan nie przerywa z mojego powodu.

- Chyba mnie trochę poniosło, prawda? - zapytał zawstydzony.

- Wcale nie. Grał pan pięknie. Beethovena, prawda?

- Tak. Dawno nie słuchałem prawdziwej muzyki.

- Rozumiem, że gra na dudach nie zasługuje według pana na miano prawdziwej muzyki? - spytała, przyglądając mu się z żartobliwym wyrazem twarzy.

Reilly poczuł, że się rumieni.

- Dudy są w porządku - odparł. - To znaczy, nie mam nic przeciwko dudom.

- Ale będąc mieszkańcem Londynu, oczywiście woli pan tamtejszą muzykę.

Tamtejszą. Londyńską. Czy już zawsze tak będzie? Góral przeciwko londyńczykowi, nieustająca walka o moralną i kulturalną wyższość? Czy on, londyńczyk, już nigdy nie dopasuje się do tego przeklętego miejsca?

Wskazał jej klawiaturę. Mała zmiana tematu będzie nie od rzeczy.

- Gra pani?

Zmarszczyła nosek.

- Skłaniam się raczej ku nauce.

- No tak - odparł. - Oczywiście. Co ilustruje historyjka o wymiotach.

Stwierdził, że się nie zarumieniła.

- Właśnie.

- To wcale nie jest trudne - powiedział Reilly. - Granie. Proszę usiąść, a pokażę pani.

Rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

- Dziękuję, postoję.

- Och, niech pani nie będzie niemądra - powiedział. - Nie mam zamiaru pani kompromitować.

- Pewnie, że nie. Omal zapomniałam, że jest pan prawie żonaty.

- Ja? - zdumiał się.

A potem mu się przypomniało. Christine. Zdawałoby się, że nie myślał o niej od wieków.

- No tak, oczywiście - powiedział. - Tak, chyba tak. Prawie żonaty. Cóż, w każdym razie, prawie zaręczony.

Nie widział powodu, by wspominać Brennie Donnegal o subtelnej zmianie, jaka zaszła w jego uczuciach do Christine od owego poranka po operacji Hamisha, o tym, że Christine, która nigdy nie popierała jego zamiarów zostania przede wszystkim lekarzem, ostatnio coraz mniej go zajmowała.

- Więc proszę usiąść - powiedział, przesuając się, by zrobić jej miejsce.

Posłuchała go z nieodgadnionym uśmieszkiem, choć na wąskiej ławeczce ledwie się obydwójce pomieścili, zwłaszcza że jej spódnica oraz halki zajmowały sporo miejsca.

- Świetnie - ucieszył się Reilly. - A więc to jest środkowe C - powiedział, przyciskając odpowiedni klawisz. - Trochę się opóźnia, ale tak czy owak, jest to klawisz, od którego zaczynam. Coraz

wyżej, począwszy od środkowego C - przebiegł palcami po klawiszach - mamy oktawę. W przeciwną stronę mamy inną oktawę. Czy to jasne?

- Chyba tak - odparła. - Czy Marshallowie wyjechali?

- Tak. Już jakiś czas temu. Ich wyjście było doprawdy dramatyczne. Jak przewidziała pani, że pojawi się szczur?

- To była improwizacja - odpowiedziała Brenna. - Wiosną zawsze jest ich tu pełno. Uciekają z lochów, które zalewa woda, pochodząca ze śniegu topniejącego w górach.

- Jak miło. Myślę, że dzięki szczurowi Marshallowie zapomną o tym, że mieszka pani samotnie w domku na uboczu. Przynajmniej na razie. - Przebiegł palcami po klawiszach. - A więc rozumie pani, jak to jest ze środkowym C?

- Rozumiem - odparła z powagą.

- Kiedy się to wie, można zagrać naprawdę wszystko. Czego chciałyby się pani nauczyć?

Brenna wzruszyła ramionami. Gdy to uczyniła, nie mógł nie zauważyć, że tiulowa chusteczka na jej ramionach przesunęła się, odsłaniając sporą część dekoltu.

- Chyba tego, co pan grał przed chwilą - powiedziała.

- Ach, tego? Wesoły kawałek, prawda? Tak, bardzo dobry na początek. Proszę mi podać rękę.

Posłuchała go, a on, spoglądając na nie, przypomniał sobie, jak kiedyś porównywał jej palce ze swoimi. Poczul się podobnie jak wtedy. Jakieś nieznane uczucie rozgrzało go od stóp po czubek głowy, zupełnie jak whisky w gospodzie pani Murphy. Nie miał pojęcia, co jest w tej dziewczynie, że jej dotyk wywołuje u niego takie dziwne fizyczne reakcje. Nie była najpiękniejsza z wszystkich, jakie dotychczas poznał, ani najbardziej doskonała. Pewne znaczenie, jak sądził, miała tu jej przekora. No, i jeszcze te spodnie...

- Proszę trzymać rękę, o tak - powiedział, układając jej palce na odpowiednich klawiszach. - Nie tak bezwładnie. Wyżej. - Połaskotał jej dłoń. - Trzeba zrobić daszek. O tak. A teraz druga ręka.

Kiedy ułożył jej palce na klawiszach, spojrzął na nie i całkiem zapomniał, jak gra się tę sonatę i w ogóle wszystkie inne sonaty.

Brenna czekała, trzymając ręce w pogotowiu. Reilly czuł woń jej perfum. Lekką i czystą, nie dusząco kwiatową jak perfumy innych kobiet. Kiedy zwróciła ku niemu głowę, jej miękkie włosy musnęły policzek Reilly'ego. Wdzięczny ruch jej szyi znów zwrócił jego uwagę na dekolt, którego szpic trafiał dokładnie w wąskie zagłębienie pomiędzy krągłymi, wysoko osadzonymi piersiami.

- Więc? - spytała, unosząc brwi. Jej twarz znajdowała się tuż przy jego twarzy.

- Ja... - Co się ze mną dzieje? - pomyślał. Nigdy w życiu nie był tak skrępowany w obecności kobiety. A zwłaszcza kobiety, która w krótkim czasie ich znajomości sprawiała mu prawie same kłopoty...

Coś tu było nie w porządku. Bardzo nie w porządku. Był nadmiernie przejęty jej bliskością i jej ciepłem. Kształt jej miękkich, wilgotnych, czerwonych ust nęcił go, zapraszając, by przycisnąć do nich swoje wargi, a jej wzrok spoczywał na nim nieruchomy i uporczywy...

Zanim się spostrzegł, otoczył ją lewym ramieniem, dłoń spoczęła na jej cienkiej talii, a on pochylił się naprzód, zahipnotyzowany widokiem tych zachęcających ust...

Nagle odwróciła głowę, wyprostowała plecy i zaczęła wprawnie przebiegać palcami klawiaturę.

- Hej, okrętowe szczury - bez cienia nieśmiałości wyśpiewała głębokim kontraltem strofę sprośnej szanty. - Nie spotka mnie tu nikt. Wesołe panienki pod wiatr, ich sutenerzy z wiatrem, ty, plugawe morze.

Zbity z tropu Reilly zdał sobie sprawę, że panna Brenna Donnegal gra na fortepianie z biegłością równą jego własnej, a, sądząc po lekkości, z jaką jej palce pomykały po klawiszach, może nawet z jeszcze większą. Uśmiechnęła się do niego chytrze ponad

odsłoniętym ramieniem, udowadniając, że zna klawiaturę tak dobrze, iż nie musi na nią spoglądać.

Była to ostatnia piosenka, jaką Reilly spodziewałby się usłyszeć z ust kobiety, mieniającej się córką dżentelmena.

- Hej, okrętowe szczury - śpiewała dalej, a następna zwrotka zdawała się gorsza od poprzedniej (co było tradycyjne dla szant) - Nie dla mnie morski wilk. Odważ się splunąć mi w twarz, a ja oplwam ciebie, ty, pługawe morze.

Reilly nie miał pojęcia, co ona wyprawia. Przecież wiedziała, był tego pewien, że chciał ją pocałować. Fakt, że wiedziała o tym i celowo uniknęła jego pocałunku, irytował go jeszcze bardziej niż to, że umiała grać na fortepianie, chociaż udawała, że nie potrafi.

A nawet odczuwał coś więcej niż irytację. Było mu przykro. Podobał jej się. Wiedział, że jej się podoba. Wyznała mu to owego ranka, gdy stali razem na pomoście w przystani.

Więc dlaczego odwróciła głowę, w chwili gdy chciał ją pocałować, i dlaczego wyśpiewywała piosenkę o prostytutkach i ich alfonsach, piosenkę, o której znajomość nawet jej nie podejrzewał.

W każdym razie nie miał zamiaru pozwolić jej, by go tak odtrąciła.

Stanowczym ruchem otoczył jej talię również prawym ramieniem, zamykając ją w objęciach, pochylił się i przycisnął wargi do jej ust, mając szczerą nadzieję, że w ten sposób na zawsze uciszy jej opinię na temat morza.

15

Stwierdzenie, że Brenna była zaskoczona, gdy Reilly Stanton ją pocałował, i to nad wyraz zdecydowanie, byłoby niedomówieniem. Kiedy wpatrywał się w nią tak intensywnie, podejrzewała, że ma zamiar to uczynić.

I wstyd powiedzieć, na samą myśl, że jego wargi znajdą się blisko jej ust, poczuła pulsowanie krwi w uszach. Nie nosiła gorsetu, ponieważ nie miała służącej, która by go zasznurowała, ale nagle zabrakło jej tchu, zupełnie jakby fiszbiny zbyt ją ścisnęły.

Nie mogę tracić tchu i cierpieć na zawroty głowy tylko dlatego, że mężczyzna spogląda na mnie tak, jakby mnie chciał pocałować, strofowała samą siebie. Powinam być raczej wściekła, rozgniewana na samą myśl o tym, że ośmiela się mieć takie niegodziwe zamiary.

Ale wtedy poczuła obejmujące ją ramię i...

Zrobiło się tak, jakby po miesiącu ulewy nagle wyrzało słońce. Jej skóra zaczęła wibrować, a przynajmniej tak się Brennie wydawało, i nagle uświadomiła sobie posiadanie części ciała, którymi nigdy dotąd nie zawracała sobie głowy. Na przykład uszy. Nie miała pojęcia, dlaczego Reilly Stanton, otaczając ją ramieniem,

sprawił, że zdała sobie sprawę z posiadania płatków usznych, ale tak właśnie się stało. Nagle stały się ciężkie i łaskotliwe...

I kłopot polegał na tym, że odczuwała tak nie tylko płatki uszu.

Lord Glendenning obejmował ją setki razy. Lord Glendenning nawet ją całował. Lecz jej ciało nigdy tak nie reagowało. Kiedy Reilly Stanton objął jej talię, serce Brenny zaczęło łomotać tak głośno, że zlekęła się, iż Reilly je usłyszy i rozpozna jej słabość.

Ponieważ, musiała to teraz przyznać, czuła do Reilly'ego Stantona słabość, wielką słabość, i to nie tylko dlatego, że miał najdelikatniejsze dłonie, które z takim znanstwem pielęgnowały małego Hamisha, kiedy był nieprzytomny, dłonie, które z taką pewnością i zwinnością układały jej palce na klawiaturze fortepianu.

Reilly Stanton ze swym miłym uśmiechem i z poczuciem humoru, z silnymi dłońmi i łagodnymi ciemnymi oczyma był najbardziej pociągającym z wszystkich znanych jej mężczyzn i pragnęła, by ją pocałował, i to tym najgorszym z pocałunków...

Owo silne pragnienie okropnie ją przeraziło.

Dlatego zaczęła wyśpiewywać najdziwaczniejszą piosenkę. W ten sposób chciała nie dopuścić, by ją pocałował - ponieważ gdyby do tego doszło, odpowiedziałyby pocałunkiem i, czego była pewna ponad wszelką wątpliwość, nie potrafiłaby go zakończyć - oraz usłyszałyby dudnienie jej serca.

Tylko że jej wybieg na nic się nie zdał. Reilly pocałował ją mimo wszystko. A był to pocałunek, jakiego najbardziej pragnęła i jakiego najbardziej się obawiała.

Jego wargi, podobnie jak dłonie, były nieskończenie delikatne i wyrabiały z nią rzeczy, sprawiające, że uczucie w płatkach usznych - i innych miejscach - stawało się jeszcze trudniejsze do zniesienia. Zdecydowana nie dać się ponieść temu pocałunkowi mocno zacisnęła usta.

Ale wystarczyło jedno czy dwa muśnięcia języka, a jej wola

osłabła. Brenna zaczęła topnieć na całym ciele. Gdyby nie podtrzymywały jej silne ramiona Reilly'ego, z pewnością osunęłyby się na ławeczkę, a następnie na podłogę. Otwierała się dla Reilly'ego jak blask poranka dla wschodzącego słońca. I to było niesprawiedliwe! Niesprawiedliwe, że tak się przez niego czuła!

Niesprawiedliwe, ale cudowne. W jego pocałunku wszystko było cudowne, począwszy od słodyczy ust Reilly'ego Stantona, które smakowały jak wino, poprzez sposób, w jaki jego silne ręce obejmowały ją w talii, po skórę jego dłoni, tak gorącą, że paliła ją przez jedwab sukni. Jak mogła oprzeć się czemuś równie rozkoszному jak pocałunki Reilly'ego Stantona? Brenna była przekonana, że nie oparłaby się im żadna kobieta.

I niby dlaczego ona miałaby im się opierać? Zwłaszcza że całując go, czuła, że czyni słusznie. Nawet jego język, wsuwający się tak śmiało pomiędzy jej wargi, zdawał się znajomy jak coś, za czym od dawna tęskniła... chociaż nigdy przedtem nie zaznała dotyku męskiego języka. Wiedziała tylko tyle, że tak ma być.

Może właśnie dlatego odwróciła się w stronę Reilly'ego i zarzuciła mu ręce na szyję, chwytając go za włosy na karku, włosy, które jak zwykle wysunęły się ze ściągającego je rzemyka. Może właśnie dlatego nie miała najmniejszych obiekcji - zupełnie jakby była dziewczyną obyczajów jeszcze lżejszych niż Flora - gdy poczuła, że jedna z obejmujących ją rąk Reilly'ego podpełza wyżej, aż spoczęła ponad wypukłością lewej piersi Brenny.

Ale to także wydawało się w porządku. Ponieważ jej piersi należały do tych części ciała, które stawały się większe i jakieś łaskotliwe, gdy dotykał ich Reilly. Zupełnie jakby chciała, by ich dotknął.

Na Boga, naprawdę stawała się lubieżna. I to nią wstrząsnęło, ponieważ zawsze uważała się za osobę zdyscyplinowaną, prawdziwego mózgowca. A tu, z wielkim zaskoczeniem, odkrywała, że choć dotychczas kierowała się wyłącznie rozumem, potrafi być posłuszna czemuś zupełnie innemu.

I miała pewność, że tym czymś jest jej serce.

- Brenno... - Reilly przerwał pocałunek, by wyszeptać jej imię. - Brenno...

Po cóż on traci czas na gadanie? - zastanawiała się poirytowana. Nie ma o czym mówić. Już się narozmawiali. Teraz nadszedł czas pocałunków.

Więc chwyciła jego twarz w dłonie i dała do zrozumienia, co sądzi na ten temat.

Jego reakcja była bardziej niż zadowolająca. Jęknął i mocniej objął talię Brenny. A dłoń, którą umieścił był nad jej piersią, uczyniła coś zupełnie nieoczekiwanego... ale nadzwyczaj przyjemnego. Spoczęła wprost na piersi, zdecydowanie ją chwytając.

Brenna nigdy dotąd nie pozwoliła, by jakiś mężczyzna dotknął jej w to miejsce. Co nie oznacza, że wielu próbowało. Wszyscy mężczyźni, z wyjątkiem lorda Glendenninga, zbyt się jej bali, by pozwolić sobie na taką zuchwałość.

Ale teraz stało się dla niej zupełnie jasne, dlaczego Flora, pomimo że hrabia tak źle ją traktował, nie potrafiła się trzymać z dala od niego. Jeżeli Flora czuła się podobnie jak ona za każdym razem, gdy lord Glendenning jej dotykał, nic dziwnego, że nie potrafiła mu odmówić. Przyjemność była zbyt wielka...

I wtedy, gdy rozmyślała nad tym, że nie ma nic bardziej zachwycającego niż pocałunki Reilly'ego Stanton, dłoń na jej piersi poczyniła sobie jeszcze śmieiej - o ile to w ogóle było możliwe. Bo oto te zwinne palce zagłębiły się w dekolcie, nie zważając na apaszkę. Sekundę później Brenna wiedziała, jak to jest, kiedy się czuje męską dłoń na nagim ciele.

Sensacja owa wywołała ciche westchnienie rozkoszy, które wydarło się gdzieś z głębi jej gardła...

Usłyszawszy to westchnienie, Reilly Stanton dał się ponieść czemuś, co najwyraźniej z trudem trzymał na wodzy. Nagle zapragnął przycisnąć jej ciało do ławeczki i obsypać pocałunkami szyję Brenny.

Jednakże problem polegał na tym, że na ławeczce nie było już miejsca.

Reilly poradził więc sobie inaczej. Po prostu uniósł Brennę i oparł jej plecy o fortepian. Jednak nie wziął pod uwagę faktu, że gdy ją tak umieści, jej siedzenie spocznie na klawiaturze, powodując głośny i nieharmonijny odgłos w zazwyczaj cichej sali balowej...

I sprawi, że Brenna szybko otrząśnie się z namiętnego oszołomienia.

Co ja wyprawiam? - myślała gorączkowo. Co ja najlepszego robię, pozwalając, by Reilly Stanton uwodził mnie w nadszarpniętej zębem czasu sali balowej lorda Glendenninga? Czyżbym postradała rozum?

Najwyraźniej tak. Żądza przyprawiła ją o utratę zmysłów.

Na szczęście się opamiętała. Jednym, pełnym oburzenia ruchem odepchnęła Reilly'ego Stantona.

Nie jej wina, że zaskoczony spadł z ławeczki, lądując na podłodze niczym kłoda.

Spojrzał na nią dotknięty, rozżłoszczony i zaskoczony zarazem.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał nieswoim głosem. Głosem, który wspinał się i opadał o kilka oktaw, a jednocześnie drżał.

Podobnie jak jej ręce, którymi wpychała piersi pod suknię, skąd wydobyły je te nazbyt zwinne palce.

- Dobrze wiesz dlaczego - odparła. Ze zdziwieniem stwierdziła, że jej głos także drży. Odchrząknęła, lecz na nic się to nie zdało. Wszystkiemu winne były wargi. Nadal odczuwała w nich mrowienie, wszędzie tam, gdzie dotknęły ich jego usta.

- Jeśli się nie mylę - powiedział, wciąż z podłogi, lecz już mniej zakłopotany, a bardziej rozgniewany - wyglądało na to, że było ci przyjemnie.

Poczuła, że się rumieni. Nie mogła się tego wyprzeć. Było jej przyjemnie i uważała, że nie powinno go to dziwić. Brodawki jej piersi nadal były twarde jak dwa bliźniacze korki, i nie miało to

nie wspólnego z panującym w zamku chłodem. Skrzyżowała ramiona, by ukryć ten fakt, jeśli nie ukryła go tkanina sukni.

- Pewnie, że było mi przyjemnie - wyszeptła. - Właśnie o to chodzi.

- Dlaczego szepczesz?

- Oszalałeś? Przecież w każdej chwili może wejść lord Glendenning. Nie możesz... nie możemy... tego robić. Nie pod jego dachem. Mój Boże, gdyby się o tym dowiedział, zabiłby cię!

Reilly wzruszył ramionami i zaczął się zbierać z podłogi.

- Niech no tylko spróbuje - powiedział, otrzepując bryczesy z kurzu.

- Spróbuje? Myślisz, że obnosi się z tym mieczem tylko dla ozdoby?

- Szczerze? Tak właśnie myślałam.

- Całkiem nieźle się nim posługuje.

Reilly tylko się skrzywił.

- Naprawdę - dodała Brenna łagodniejszym tonem. - Nie możemy. Co z twoją narzeczoną?

- Z kim? - zapytał, spoglądając na nią ze zdziwieniem. Gdyby go w tej chwili zapytała: Co z twoją ulubioną łąsiczką? - byłby nie mniej zaskoczony.

- Z twoją narzeczoną - powtórzyła Brenna. Jej głos był teraz mniej łagodny. Mój Boże, pomyślała, a sądziłam, że te pocałunki mnie zamąciły w głowie. On zapomniał nawet o swojej przyszłej żonie! - Chyba ją pamiętasz? Powiedziałeś mi, że to z jej powodu przyjechałeś na Skye.

- Tak - przyznał Reilly. - Ale, jak zapewne sobie przypominasz, powiedziałem również, że zerwała zaręczyny.

- Ale - Brenna nie dawała za wygraną - przyjechałeś tu, aby jej udowodnić, że nie jesteś... jak to nazwała? Ach, tak. Nicponiem. Przykro mi, ale coś mi się wydaje, że to, co właśnie robiliśmy, plasuje nas w kategorii nicponi.

- Nicponi? - powtórzył zdumiony.

- Oczywiście. To nie był dobry pomysł. - Im dalej się od niej znajdował, tym mocniej w to wierzyła. Nie było najmniejszego powodu, by tak postępowali. Zwłaszcza że Reilly wróci do Londynu, gdy tylko udowodni własną wartość. - Chodzi mi o to - mówiła Brenna z goryczą - że z naszego postępowania nie wyniknie nic dobrego.

- Nic dobrego - powtórzył i spojrzał na nią rozgniewany. Jego ciemne oczy, zazwyczaj takie pogodne, teraz były pełne złości. - No tak, masz rację - powiedział zmienionym głosem. - Oprócz mojej narzeczonej, nie wspominając już o lordzie Glendenningu, jest jeszcze ten twój wielki eksperyment.

- Jaki eksperyment? - spytała, mrugając powiekami.

- Ten, który prowadzisz. Przecież po to wróciłaś na wyspę. Jest dla ciebie polem doświadczalnym. Dzięki niej będziesz mogła udowodnić swoją teorię.

- Jaką teorię? - zdumiała się, nadal go nie rozumiejąc.

- Dotyczącą cholery - odparł. - Na miłość boską, Brenno, nie próbuj zaprzeczać! Widziałem na własne oczy.

- Na własne oczy... - Pokręciła głową. - Ależ, doktorze Stanton, nie wiem, o czym pan...

- Na Boga, przed chwilą trzymałem rękę na twojej piersi. Zwracaj się do mnie po imieniu. - Przeczesał dłonią włosy. - Widziałem mapy. Wykresy. Próbkę gruntu. Cały ten kram. Więc przestań odgrywać niewiniątko. Wiem, do czego zmierzasz.

Nagle pojęła. Wiedziała, co zrobił.

- Ale kiedy... - wy dyszała.

- Gdy poszłaś się przebrać - powiedział wrogim tonem. - Zapomniałaś zamknąć drzwi na klucz. Więc wszedłem do środka. I zobaczyłem.

Poczuła się tak, jakby ktoś oblał ją zimną wodą.

- Wszedł pan - wymamrotała, a jej wargi były teraz odprężone. - Wszedł pan do... pracowni?

- Tak. Wszedłem tam. - Spojrzał na wyraz jej twarzy i dodał: -

Och, nie przejmuj się. Nie byłem w stanie odczytać twoich bazgrołów. Nie wykradnę ci informacji, nawet gdybym tego chciał. A wierz mi, wcale tego nie pragnę.

Brenna nie wierzyła. Była tak wstrząśnięta, jakby jej wymierzył policzek. Wszedł do jej pracowni. Do prywatnego gabinetu ojca. Oprócz ojca i niej samej nikt inny nie przekroczył progu tego pomieszczenia. A on, Reilly Stanton, był tam i... i...

- Nic mnie to nie obchodzi, Brenno - powiedział. - Ale jeśli ryzykujesz własną reputację, wracając na wyspę wbrew życzeniom rodziny, zakradasz się na cmentarz po zapadnięciu ciemności, żeby nikt cię nie zauważył, spędzasz całe godziny zamknięta w małym pokoiku, robiąc analizy próbek gruntu, żeby potwierdzić jakąś wariacką teorię twego ojca...

Do oczu Brenny napłynęły piekące łzy. Co się ze mną dzieje? - pomyślała zaskoczona. Przecież się nie rozpłaczę tylko dlatego, że Reilly ubrał w słowa coś, o czym doskonale wiedziałam. Śmieszne. Wręcz niedorzeczne.

- Nie ma pan o niczym pojęcia - powiedziała zaczepnie. - No, może o trepanacji i innych takich, ale co pan wie o tej chorobie i o sposobach, w jaki się rozprzestrzenia?

- Wiem, że ostatni człowiek, usiłujący przeforsować teorię w rodzaju twojej, został wyśmiany. Usunięty z grona kolegów, a do tamtej pory był szanowany w medycznym środowisku. Jego pracę na temat tyfusu uznano za...

Głos Reilly'ego zamarł. Brenna ukradkiem otarła oczy. Miała nadzieję, że z jej twarzy zniknęły wszystkie ślady przykrości, jaka ją spotkała.

- Na Boga - wymamrotał Reilly. - Ten człowiek... Lekarz, który starał się udowodnić, że cholera i tyfus nie są spowodowane miazmatami. To był... twój ojciec.

Nabrała powietrza w płuca. Nie było to łatwe, bo miała ściśnięte gardło, ale jakoś jej się udało.

- Tak - oświadczyła z całą godnością, na jaką stać ją było w tej chwili.

- Dlatego wyjechał z kraju - powiedział zawstydzony Reilly.

- Nie, nie dlatego - odparła Brenna z oburzeniem. - Nie dbał o to, co o nim mówią. Wiedział, że ma rację. Wyjechał prowadzić badania w Indiach, bo wierzył, że cholera pochodzi właśnie stamtąd. - Roześmiała się gorzko. - Przynajmniej tak mi powiedział. Ale jeśli chce pan poznać prawdę, doktorze Stanton, myślę, że wyjechał z powodu niesmaku. Poczł obrzydzenie do całego środowiska medycznego. Do was, pompatycznych zarozumiałców...

Reilly nie protestował przeciwko tym inwektywom. Powiedział tylko:

- Nigdy nie byłem na wykładzie twojego ojca. Nigdy nie słyszałem, na czym dokładnie opiera się jego teoria...

- Jeszcze pan usłyszysz - powiedziała Brenna. - Po prostu została przedstawiona za wcześnie, zanim ojciec znalazł dowody na jej poparcie. Wydawało mu się, że odkrył coś niesłychanie ważnego, coś, o czym środowisko medyczne i cały świat powinny się natychmiast dowiedzieć. Ale nie miał dowodów. Albo raczej miał ich za mało, by zadowolić twardogłowych biurokratów, którzy rządzą środowiskiem medycznym.

Teraz, kiedy udało mi się powrócić na Skye, dostarczę mu wszelkich koniecznych dowodów na poparcie jego teorii i wszyscy ci ludzie, którzy się z niego śmiali, będą musieli przyznać, że w czasie w którym mogli zapobiec rozprzestrzenianiu się choroby, pozwolili jej zataczać coraz szersze kręgi, a wszystko z powodu ich głupiej dumy...

- Doprawdy, Brenno, nie możesz myśleć, że ktokolwiek celowo odrzuciłby teorię, która, jak twierdzisz, może zapobiec rozprzestrzenianiu się straszliwej choroby...

- Tak? W sytuacji gdy setki lekarzy musiałyby przyznać, że przez cały czas byli w błędzie? Sądzę, doktorze Stanton, że ludzie w pańskim zawodzie - zresztą w każdym zawodzie - zrobią

wszystko, aby tylko nie wyjść na głupców. A właśnie głupcami czyni ich teoria mego ojca. Przerazili się jej, więc ją odrzucili. Dlatego tu jestem, doktorze Stanton. Aby im pokazać, że się mylili. Aby to udowodnić światu. Aby teoria mojego ojca nadal żyła.

Reilly pokręcił głową. Trudno mu było śledzić tok jej wypowiedzi.

- Ale, Brenno - mówił nieskładnie. - Cholera. To znaczy, chodzi mi o to, że gdyby wiedział, twój ojciec nie chciałby, żebyś grzebała się w takiej groźnej i niewyjaśnionej choro...

- Pewnie, że nie - przerwała mu niecierpliwie. - Ale ktoś musi to zrobić, prawda? Więc dlaczego nie ja? Bo jestem kobietą? Doktorze Stanton, chyba już w czasie naszego pierwszego spotkania udowodniłam, że kobiety są równie zdolne jak mężczyźni do leczenia chorych. Możemy także prowadzić badania nad tępieniem zakaźnej choroby. Zgodzi się pan?

Brenna nigdy się nie dowiedziała, czy Reilly się z tym zgadzał. Bo właśnie wtedy dał się słyszeć odgłos kroków, a sekundę później w drzwiach sali balowej stanął lord Glendenning.

- Brenna?! - zawołał. A potem jego wzrok przywykł do słabego światła stojącego na fortepianie kandelabru. - Ach, tu jesteś. Ze Stantonem, jak widzę.

Brenna spojrzała na hrabiego, a potem na Reilly'ego.

- Tak - odparła.

- Przypuszczam - powiedział hrabia posępnym tonem - że wciąż jesteś na mnie zła.

Brenna wzruszyła ramionami. Doprawdy, wydarzenia tego wieczoru stanowiły dla niej ciężką próbę.

- Nie mam ochoty przebywać w towarzystwie jego lordowskiej mości - odparła.

- Tak też sądziłem. Wobec tego przypuszczam, że Stanton odwiezie cię do domu.

- Potrafię sama wrócić do domu. Więc jeśli panowie wybaczą...

- Nie!

Obydwaj mężczyźni zgodnie zagroździ jej drogę.

- Odwożę panią - szybko powiedział Reilly. - Faetonem.

- To mój faeton - zaprotestował Glendenning. - Pojedziesz ze mną.

Brenna spoglądała to na jednego, to na drugiego. Nie wiedziała, którym z nich bardziej w tej chwili gardziła. Lordem Glendenningiem za to, że ją skompromitował w obecności pastora i jego żony, czy Reillym Stantonem za to, że...

Właściwie nie bardzo wiedziała, za co jest zła na Reilly'ego Stantona. Wiedziała tylko tyle, że przez niego po raz pierwszy w życiu poczuła się niepewna siebie i swoich celów. A przecież owe cele były godne podziwu i warte zachodu. Może dziewczęta w jej wieku nie zwracały sobie głowy zaspokajaniem ciekawości, dążeniem do wiedzy i zbieraniem dowodów, potwierdzających naukową teorię.

Z drugiej strony, dzięki pocałunkom Reilly'ego Stantona zaczęła dostrzegać, że tajemnice serca mogą być równie zajmujące jak tajemnice nauki.

Zaczęła również podejrzewać, że rozwiązywanie tych ostatnich może być nie mniej satysfakcjonujące.

Jednakże pozostawało faktem, że wciąż miała zadanie do wykonania - niezwykle istotne zadanie - i nie mogła pozwolić, aby przeszkodziło jej w tym uczucie do Reilly'ego Stantona lub cokolwiek innego.

Toteż odparła tonem nieco opryskliwym:

- Możecie mnie odwieźć obydwaj, panowie.

I, ku jej wielkiemu strapieniu, tak się stało.

16

Już niedaleko - zapewniło go dziecko.

Reilly Stanton skinął głową. Słuchał go w roztargnieniu. Całą uwagę skupił na rozmyślaniu o Brennie Donnegal.

Niestety, ostatnio zdarzało mu się to bardzo często. Brenna Donnegal była stale obecna w jego myślach. Albo dlatego że, jak mu to obiecała, przysyłała mu swoich pacjentów, albo dlatego że Reilly spostrzegał coś, co mu o niej przypomniało; a zdarzało się to nad wyraz często.

Co więcej, przypominało mu o niej bardzo wiele rzeczy. I to nie tylko takie, które rzeczywiście się z nią wiązały, jak bąble, czyraki, wszystko, co wymagało maści, ropiejące rany.

Także skowronki, krążące na niebie, pierwiosnek, wyrastający pomiędzy kamieni. Skąd u mnie taki rzewny sentymentalizm? - zastanawiał się. I to w stosunku do kobiety, której nie lubił, pomimo że odczuwał do niej całkiem niewytłumaczalny pociąg fizyczny.

Kiedy zupa, którą postawił na ogniu, zaczynała bulgotać albo gdy znajdował przyczepione do skarpetek rzepy, także myślał o Brennie Donnegal. Wyobrażał sobie jej twarz, spoglądając wieczorami w ogień na kominku oraz wtedy, gdy budził się

rankiem i widział światło słoneczne, wpadające przez okno do pokoju.

Prawdę powiedziawszy, bezustannie myślał o Brennie Donnegal.

Ale, tłumaczył sobie, w zaistniałych okolicznościach jest to całkowicie naturalne. Czyż nie doszedł w końcu do wniosku, że Christine była dla niego nieodpowiednia? W jego sercu powstała pustka, wymagająca wypełnienia.

Zdawał sobie sprawę, że powróciwszy do Londynu, szybko zapełniłby tę pustkę. Miasto, w przeciwieństwie do tej przeklętej skalistej wysepki, pełne było atrakcyjnych i wolnych młodych kobiet. A teraz, gdy już nie dbał o to, co o nim myśli Christine, mógłby śmiało wrócić do domu.

Więc dlaczego nie zbierał się do wyjazdu?

Znał odpowiedź na to pytanie... ale wcale mu się nie podobała. Dobrze wiedział, dlaczego nie opuścił Skye, i nie miało to nic wspólnego z Christine.

Nie miało również związku z Brenna Donnegal. A przynajmniej nie była ona główną przyczyną pozostawania na wyspie. Chodziło o tę wioskę. To miejsce go urzekło. Lubił rozmawiać z dziećmi, przechodzącymi pod oknami, zachwycał go bezkres nieba ponad głową, którego nie zasłaniały żadne dachy czy kominy, przepadał za czystą, ostrą wonią słonego powietrza, tak odmiennego od londyńskiego smogu... Na myśl o powrocie do Londynu, kiedy już nawykł do uroków tutejszego życia, odczuwał głęboką niechęć.

Lecz w końcu będzie musiał stąd wyjechać. Nie może przecież spędzić reszty życia na Skye. Na Boga, wszakże jest markizem Stillworth! Jego poddani mają do niego większe prawo niż mieszkańcy wysepki.

Choć farmerzy w Stillworth Park nie potrzebowali go tak jak wieśniacy z Lyming.

Tylko że oni, powtarzał sobie, mają Brennę. Pod jej opieką radzili sobie zupełnie dobrze, zanim na wyspie powstała moja noga. Kiedy odjadę, będą sobie radzili nie gorzej.

Powtarzał sobie, ale trudno mu było w to uwierzyć.

Powinienem być zadowolony, myślał, że mnie nie spoliczkowała. A miała do tego wszelkie prawo. Tamtego wieczoru, w zamku Glendenninga zachował się bardzo zuchwale. Wciąż nie rozumiał, co go wtedy naszło. Coś podobnego nie zdarzyło mu się nigdy przedtem.

Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że Brenna Donnegal go pociągała. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że była godną pożądaną kobietą. Nie usprawiedliwiało to jednak jego zupełnie niezrozumiałego zachowania po przyjęciu u lorda Glendenninga. Postąpił wbrew wszelkim dobrym obyczajom, zupełnie jak... Pearson. Lub, co gorsza, jak Shelley. Żaden z nich nie miałby nic przeciwko rozpustnemu dokazywaniu z kobietą przypartą do fortepianu.

Reilly dotychczas nigdy tak się nie zachował. Panna Brenna Donnegal, pomimo całej pewności siebie, była niewinną młodą damą, a on tak niecznie ją wykorzystał. Nie miała nikogo, kto by ją chronił przed szaleńcami w jego rodzaju, którzy polowali na bezbronne ofiary.

A on, znając jej sytuację, przyciskał ją do siebie z brutalnością godną... tak, brutalnością godną lorda Glendenninga.

Doprawdy, niewybaczalne. Czyżby życie z dała od cywilizacji zmieniło go w dzikusa takiego jak Iain MacLeod? I co będzie dalej? Czy zacznie nosić kilt i zapładniać dziewczyny z gospody?

- To zaraz za tym zakrętem - powiedziało dziecko, chyba chłopiec, oglądając się przez ramię. Reilly nigdy przedtem go nie widział, a wydawało mu się, że rozdając dzieciakom cukierki, musiał poznać najmłodsze pokolenie wieśniaków z Lyming. Jednakże to dziecko widocznie nie uczęszczało do szkoły. Tutejszy nauczyciel, surowy, lecz sprawiedliwy, z pewnością przysłałby ją, czy jego, do odswzawienia.

- Tak - powiedział Reilly, by zapewnić dziecko, że wciąż bierze udział w tej grze. Jeśli to była gra. Chłopak, a może dziewczyna, nie wyjaśnił, po co Reilly jest właściwie potrzebny.

Kilkakrotnie padło słowo „mama” i Reilly miał szczerą nadzieję, że nie został wezwany do nagłego porodu. Nadal wolał, by z takimi przypadkami zwracano się do Brenny Donnegal.

Uznał jednak, że nie może być grymaśny. Prawdziwy cud, że po tym, jak ją potraktował, w ogóle przysyłała mu jakichś pacjentów. To, że wtargnął do jej pracowni, uraziło ją znacznie bardziej niż to, że wsunął jej rękę za dekolt.

Na plus liczyło mu się to, że oddał jej ów przeklęty list, który przechwycił Glendenning. Podał arkusik Brennie w drodze do Burn Cottage, przy pierwszej okazji, kiedy hrabia na nich nie patrzył.

Ale wcale mu to nie pomogło. Nie powinien był się przyznawać do tego, że wszedł do pracowni. Tylko że poczuł się taki urażony, taki zraniony, kiedy spojrzała na niego swoimi wielkimi niebieskimi oczami i stwierdziła, że z tego, co zrobili, nie wyniknie nic dobrego.

Jeszcze teraz, kiedy o tym pomyślał, odczuwał gniew. A niby co miałyby wyniknąć?

Chociaż, gdy spojrzeć na sprawę jej oczyma... Jakie właściwie były jego intencje? Brenna Donnegal nie była kobietą, którą mężczyzna mógłby uczynić swoją kochanką, nawet gdyby lekarzowi w wiosce wielkości Lyming, w przeciwieństwie do reszty mieszkańców, uchodziło posiadanie kochanki. A ślub nie wchodził w rachubę. Przecież dopiero co umknął przed tymi kajdanami, za co wciąż jeszcze co noc dziękował losowi.

Jednakże, po tym żarliwym pocałunku... jego zapatrywania na sprawę małżeństwa zaczęły się zmieniać. Małżeństwo z kobietą, która całowała z takim entuzjazmem jak Brenna Donnegal i nie skarżyła się na odrastający zarost, mogłoby być zupełnie inne niż związek z kobietą w rodzaju panny Christine King...

Zalety takiego związku nie przyszły jednak do głowy Brennie Donnegal. Najwyraźniej była tak bardzo pochłonięta badaniami nad cholera, że nie miała czasu na nic innego. A już na pewno nie na sprawy, którymi zajmowały się dziewczyny w jej wieku,

jak suknie, przyjęcia i adoratorzy. Adoratorzy. Ha! Z pewnością nie dbała o ich zdobywanie. Był święcie przekonany, że został pierwszym, którego usta wtargnęły w te rejony, a w każdym razie z takim sukcesem.

A gdy się to stało, reakcja Brenny była bardzo obiecująca. Biorąc pod uwagę jej stosunek do arystokracji, a przynajmniej do tej części, która parała się medycyną, nie można się było spodziewać, że radośnie powita wieść o jego pochodzeniu. Co ja sobie w ogóle wyobrażałem? - myślał. Że ósmy markiz Stillworth poślubi na pół dziką dziewczynę, którą poznał na Hebrydach? Tylko tego brakowało. Nietrudno zgadnąć, co powiedziałyby jego matka, gdyby przywiózł Brennę do Londynu i przedstawił ją jako nową lady Stillworth; choć jej niebieskie oczy przyćmiłyby najwspanialsze rodowe szafiry. Doprawdy, z szafirowym naszyjnikiem na długiej białej szyi wyglądałaby jak istna królowa Bodicea... Jednakże siostry Reilly'ego na pewno miałyby obiekcje co do nieokiełznanej grzywy rudych włosów Brenny, nie wspominając o jej skłonności do popijania whisky wprost z butelki. A co do Pearsona i Shelleya... byłiby nieskończenie elokwentni, roztrząsając, jak bardzo niestosowną kobietę wybrał sobie na żonę markiz Stillworth.

Ale i tak... Ale i tak nie miałyby nic przeciwko posiadaniu takiej żony. Kiedy nie rozprawiała o wariackich pomysłach, dotyczących udowodnienia przeklętej teorii jej ojca na temat przeklętej cholery oraz jej przekłętogo rozprzestrzeniania się, Brenna była nad wyraz rozsądną, inteligentną, wesołą i śliczną dziewczyną. A całowanie jej owego wieczoru w zamku Glendenninga było nieporównywalnym przeżyciem. Reilly nie był nowicjuszem w dziedzinie całowania, choć trzeba przyznać, że większość jego partnerek miała w tym względzie znacznie bogatsze doświadczenie niż panna Brenna Donnegal.

Lecz cóż znaczyło doświadczenie, gdy w grę wchodziły takie emocje - czyste i niewinne? Reilly odczuwał ich fale, oblewające

Brennę, gdy ją całował. Określenie tego mianem miłości byłoby z jego strony zarozumiałstwem.

Miał jednak pewność, że nie był Brennie obojętny. Czyżby to było, zastanawiał się, tylko pożądanie? Bo Brenna Donnegal niewątpliwie była bardzo zmysłową dziewczyną. Że też on musiał trafić właśnie na nią.

Teraz nie miało to już znaczenia. Jakkolwiek by nazwać to, co między nimi się rozegrało, teraz nie miało już znaczenia. A wszystkiemu zawiniło głupie wyznanie Reilly'ego. Jego wtargnięcie do sanktuarium, do miejsca, gdzie prowadziła wszystkie swoje badania, mające potwierdzić niedorzeczną teorię ojca, uznała za niewybaczalny grzech. Jakby Reilly naprawdę chciał wykraść przeklętą teorię starego. A przecież członkowie Królewskiej Akademii wysmialiby go bezlitośnie.

Nie potrafił się wtedy powstrzymać. Kiedy zdał sobie sprawę, że nie zamknęła drzwi na klucz, wkradł się do gabinetu, wiedząc, że Brenna była bardzo zajęta w przeciwnej części domku.

Doznał głębokiego rozczarowania na widok czasopism oraz kilku map Lyming, na których znajdowały się jakieś tajemnicze oznakowania i napisy. Żadnego potwora. Ani nawet opium. Jedyne bazgroły naukowca; najprawdopodobniej szalonego, których Reilly i tak nie był w stanie rozszyfrować.

Jednakże nie powinien się przyznawać, że to widział. Bo teraz Brenna nawet się do niego nie odzywała.

Chociaż może to i lepiej. Ponieważ, skoro zwykłe pocałunki obudziły w Reillym taką namiętność, że się zupełnie zapomniał - a był przekonany, że gdyby Brenna go nie powstrzymała, usiłowałby ją tam, na fortepianie, pozbawić dziewictwa - będzie bezpieczniejszy, trzymając się od niej z daleka.

- Tędy - odezwał się głos, należący do małego stworzenia o trudnej do określenia płci.

Reilly, dosiadający konia, którego użyczył mu lord Glendenning - spokojnego zwierzęcia, nawykłego do pokonywania urwis-

tych zboczy, na które Reilly, wzywany do pacjentów, musiał niemal codziennie wjeżdżać - pochylił głowę przed pnączami, zwisającymi z występów skalnych, wśród których najwyraźniej posadowiony był dom.

A oto i on. Jeśli słowo „dom” było odpowiednim określeniem. W jarze, pomiędzy dwiema masywnymi skałami, stała wałaca się szopa, kryta dachem zrobionym, jeśli Reilly się nie mylił, z płaskich odłamków skalnych, uszczelnionych torfem. Jej mieszkańcy byli tu dobrze chronieni przed atakiem. I to nie tylko z powodu położenia szopy. Nawet z daleka dolatywał smród tak przytłaczający, że odegnałby nawet najbardziej zacieklego Huna. Odór odpadków, zmieszany z wonią whisky. Milutkie, prawda? Ojciec dziecka z pewnością miał tu gorzelnię.

Prawdziwy cud, że szopa nie wyleciała w powietrze.

- Ale chyba tu nie mieszkacie? - wyrwało się Reilly'emu. Miał nadzieję, że w odpowiedzi usłyszy: „Nie, proszę pana, trzymamy tu świnie”, ponieważ na błotnistym podwórku pochrząkiwało ich kilka.

Ale dziecko odrzekło:

- Mieszkamy - i obdarzyło go spojrzeniem, mówiąc: „głupi przybysz z nizin”.

Ze ściśniętym sercem podązał za dzieckiem, które przeskakiwało ze skały na skałę, wołając:

- Mamo! Mamo! Doktor przyjechał!

Nic nie wskazywało na to, by jakaś „mama” lub w ogóle ktokolwiek usłyszała pokrzykiwanie dziecka. Z grubo ciosanego komina, umieszczonego pośrodku kamiennego dachu, ulatywał dym, więc ktoś musiał być w domu. Reilly rozejrzał się i stwierdził, że pogoda, która rankiem zapowiadała się nieźle, teraz zaczęła się psuć. Pochłódniało, a niebo zasnuły chmury. Westchnął i zsunął się z grzbietu kłaczy. Nie zdążył nawet odwiązać torby z instrumentami medycznymi, którą na czas jazdy przytroczył do siodła, gdy na jego kark spadła pierwsza kropla deszczu.

- No tak - mruknął do konia, który spokojnie skubał chwasty, wyrastające spomiędzy skał. - Pięknie.

Przewodnik Reilly'ego zniknął we wnętrzu szopy. Reilly pośpiesznie ruszył za nim, zastanawiając się, czy dach zrobiony z torfu i kamieni zdoła zapewnić wystarczającą ochronę przed tutejszym deszczem, który w niczym nie przypominał londyńskiego. Deszcz na wyspie Skye był bardziej mokry i o wiele zimniejszy od wszystkich deszczów, jakich Reilly kiedykolwiek doświadczył. Reilly przypuszczał, że było tak z powodu czystości nieba ponad wyspą, którego nie zasnuwały gryzący dym i niezdrowe wyziewy.

Jednakże fakt, że deszcz jest czysty, stanowił niewielką pociechę, gdy o rondo kapelusza bębniły rześiste krople.

- Halo?! - zawołał, zbliżywszy się do wejścia, które zamiast drzwi zasłaniał zniszczony koc. Ponieważ nie było w co zastukać, Reilly zawołał jeszcze raz: - Halo, jest tam kto? - To ja, doktor Stanton...

Usłyszawszy pomrukiwanie, które wziął za słowo „wejść”, Reilly uniósł postrzępiony koc i wszedł do środka.

Potrzebował dłuższej chwili, by jego wzrok przywykł do panującego w szopie półmroku. Wreszcie dostrzegł kogoś, wyglądającego na starą kobietę, dookoła której zebrało się z pół tuzina cicho popłakujących dzieci w różnych stadiach niedoubrania. W izbie cuchnęło przypaloną owsianką. Najmłodsze dzieci, na których przyodzianie nie stać było rodziców, były goluteńkie i bez pieluszek, co wyjaśniało przyczynę innych woni.

- A więc - odezwał się Reilly, nie bez żalu wspominając wygodne domostwa, należące do jego pacjentów w Mayfair, z ich krytymi zieloną skórą fotelami, na których zasiadał, by sączyć sherry. - Co pani dolega, madame? A może choruje któreś z dzieci?

Jego przewodniczka - Reilly uznał, że musi być dziewczynką, bo miała znacznie dłuższe włosy niż te spośród dzieci, które niezaprzeczalnie były płci męskiej - odsunęła się od paleniska i podeszła do koca, który przysłaniał wejście. Uniosła go i do

wnętrza nory wpadło trochę bladego światła. Reilly spostrzegł, że kobieta, do której garnęły się popłakujące dzieci, ma rozciętą i opuchniętą wargę oraz podobnie uszkodzony łuk brwiowy nad lewym okiem.

Już miał zakląć szpetnie, ale powstrzymał się ze względu na obecność dzieci i powiedział tylko:

- No tak. Widzę - a potem zwrócił się do dziewczynki przy wejściu. - Odsuń koc, dziewczynko. Macie tu gdzieś czystą wodę? I coś, żeby jej zaczerpnąć?

Dziewczynka poważnie skinęła głową.

- Dobrze - powiedział Reilly. - Mogłabyś wysłać któreś z twojego rodzeństwa, aby mi trochę przyniosło?

Dziewczynka posłusznie skinęła głową.

- Słyszałaś go, Dorcas. Weź wiadro.

Jedno z mniej obszarpanych dzieci, które kryło się za matką, wybiegło z rudery, zabierając z sobą bardzo brudne wiadro oraz dwoje rodzeństwa.

Reilly pomyślał, że na nic się nie zda proszenie o szmaty, którymi mógłby przemyć rany kobiety. Gdyby w domu znajdowały się jakieś, użyto by ich zamiast pieluszek. Reilly umieścił swoją torbę na czymś, co służyło za stół jadalny - o ile kilka zapleśniałych skórek chleba stanowiło wystarczającą wskazówkę - i wyłowił z niej gąbki, które tam przechowywał.

- No, dobrze - powiedział, kucając obok kobiety. - Zobaczmy, co tutaj mamy.

Teraz, kiedy jego oczy nawykły do półmroku, zobaczył, że kobieta nie była taka stara, jak mu się z początku wydawało. Uznał, że mogła być w jego wieku, a może nawet trochę młodsza. Spojrzała na niego przeproszającym wzrokiem.

- Mówiłam jej, żeby pana nie sprowadzała - powiedziała nie bardzo wyraźnie. Brakowało jej kilku zębów, choć nie wyglądało na to, że straciła je ostatnio.

- Bardzo dobrze się stało, że do mnie przyszła - odparł Reilly.

Delikatnie otarł krew z wargi kobiety, mając nadzieję, że zobaczy, jak głębokie jest rozcięcie. - Wydawało mi się, że poznałem już wszystkich mieszkańców Lyming, ale widzę, że się myliłem. Nie spotkałem pani nigdy przedtem, prawda?

Kobieta pokręciła głową, utrudniając mu obmywanie rany.

- Nie możemy zapłacić - powiedziała nerwowo. - Nie możemy panu zapłacić.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją Reilly. - Proszę się nie ruszać... Obawiam się, że trzeba będzie założyć kilka szwów. Łuk brwiowy jest paskudnie rozcięty. Jak to się stało?

- Nie słyszał pan? Nie możemy zapłacić.

- A ja odpowiedziałem, że wszystko w porządku. Proszę wodzić wzrokiem za moim palcem. Nie ruszać głową. Tylko oczami. - Reilly podniósł palec wskazujący tuż przed twarz kobiety i patrzył, jak podąża za nim wzrokiem. - Dobrze. A teraz, pani..., obawiam się, że nie dosłyszałem pani nazwiska.

- Mackafee.

Reilly uniósł brwi. Już kiedyś słyszał to nazwisko. Nie był pewny gdzie. Ależ, tak. Adam MacAdams tak zwracał się do kogoś w barze, kiedy Reilly spędzał tam swoją pierwszą noc w Lyming. Tylko że to nie było nazwisko tego faceta. MacAdams przezywał go tak żartem, ponieważ rybak nie wypłynął tamtego dnia w morze, twierdząc, że jest chory. Reilly zauważył, że tym nazwiskiem określano osoby leniwe lub niezdarne.

Teraz zrozumiał dlaczego.

- No, zrobione - powiedział opatrzywszy, jak najlepiej umiał, obrażenia kobiety. Jej pociechy, które powróciły z wodą, stały dookoła, śledząc każdy ruch doktora, zupełnie jak dzieci w londyńskim ogrodzie zoologicznym, wpatrujące się w tygrysa.

I, prawdę powiedziawszy, Reilly czuł się jak tygrys. Warunki, w jakich żyła ta kobieta i jej dzieci, były opłakane. Z tego co zdążył spostrzec, nie tylko brakowało im ubrań i stawy. Dach przeciekał, a w pobliżu nie było ani śladu wygódki. Na dodatek

stan kobiety wskazywał wyraźnie, że jej stadko znowu się powiększy.

Ale nie to było najgorsze. Najgorsze było to, że choć pani Mackafee powiedziała mu, że potłukła się, upadając, Reilly dobrze widział, że zawiniły tu kułaki jej męża.

Nie wspomniał jednak ani słowem o swoich podejrzeniach. Powiedział o nich dopiero przed odejściem, kiedy instruował małą Dorcas i jej siostrę, jak mają się zajmować matką.

- Tę maść trzeba nakładać dwa razy dziennie i rany muszą być utrzymane w czystości, rozumiecie? Jeśli jej stan się pogorszy, natychmiast mnie zawołajcie... - Następnie pochylił się i ściszoneym głosem zwrócił do swojej przewodniczki, która miała na imię Shannon: - Muszę wiedzieć, jak to się stało. To wasz ojciec?

Na co dziewczynka odparła, spuszczać oczy:

- Tak.

- No właśnie - powiedział Reilly, kładąc dłoń na jej szpiczastym ramieniu. - Dobrze zrobiłaś, że po mnie przyszłaś, Shannon. A teraz popatrz. Wiesz, co to jest?

Dziewczynka spojrzała na złotego suwerena, którego Reilly wsunął do jej brudnej rączki.

- Tak - szepnęła.

- Dobrze. Chcę, żebyś wzięła ze sobą kilku braci. Dorcas zostanie z mamą. A wy pójdziecie do pani Murphy. Właścicielki piwiarni koło przystani...

Dziewczynka skwapliwie skinęła głową.

- Wiem. Oddaje nam swój czerstwy chleb.

- Doskonale. Dasz monetę pani Murphy i powiesz, że przysłała cię doktor Stanton. A ona ci da trochę chleba, jajek, mięsa i innych rzeczy do koszyka, żebyście mieli dzisiaj smaczną kolację. Dobry pomysł, prawda?

Dziewczynka zacisnęła palce na monecie, która zniknęła w brudnej piąstce.

- Bardzo dobry - przytaknęła żarliwie.

- Świetnie. - Reilly wyprostował się i wyrżał na dwór, gdzie wciąż padał deszcz. - Gdzie znajduję waszego ojca, Shannon? - zapytał cicho.

Dziewczynka poinformowała, że ojciec jest tam, gdzie spędza większość czasu, to jest w gorzelnii, która mieści się w parowie, poniżej ich domku. Reilly uznał, że Shannon wyraża się o szopie z przesadnym optymizmem.

Podziękował dziewczynce, życzył matce powrotu do zdrowia, włożył kapelusz i wyszedł na deszcz...

Ale zamiast wsiąść na konia, ruszył w dół parowu, którym teraz sączyła się stróżka błotnistej wody, minął szopę i spostrzegł zadaszenie, wzniesione z patyków, torfu i kawałków skały.

W tej to wiacie, przy amatorskiej i niezbyt higienicznej destylarni, mozolił się duży, kościsty mężczyzna.

Choć może słowo „mozolił się” nie było najodpowiedniejszym określeniem dla czynności, którą wykonywał pan Mackafee w chwili, gdy nadszedł Reilly. Technicznie rzecz ujmując, pracował, próbując wykonany przez siebie produkt.

Produkt, którym nie miał ochoty się dzielić, ponieważ, spostrzegłszy Reilly'ego, powiedział tylko: „Zjeżdżaj stąd” i to nie bardzo wyraźnie, ponieważ wyglądało na to, że kosztuje swój wyrób już od dawna.

- Pan Mackafee, prawda? - spytał Reilly, moknąc w ulewie.
- Możliwe - zabrzmiała lakoniczna odpowiedź.

Ale to wystarczyło Reilly'emu, który spokojnie przeszedł przez błoto, mówiąc:

- Nazywam się Stanton. Jestem tu nowym lekarzem. Właśnie widziałem pańską żonę, którą nieźle pan obił.
- I co z tego? To moja stara i mogę ją bić, kiedy zechcę.
- Właśnie takiej odpowiedzi się spodziewałem - odparł Reilly, nagle poweselawszy.

A następnie z całych sił rąbnął pięścią w głupawo wykrzywione usta Mackaffego.

- Widzisz? - zapytał, kiedy Mackafee upadł na ziemię, ładując tyłkiem w kałuży, przyłożył dłoń do krwawiących warg i zaklął soczyście. - Widzisz, jak to jest? Oberwiesz więcej, mój dobry człowieku, jeśli dojdą mnie słuchy, że znowu podniosłeś rękę na żonę. Zrozumiano?

- Zrozumiano - wyseplenił Mackafee. - Jeszcze mi za to zapłacisz! Zobaczysz! - Lecz ponieważ zabrzmiało to jak „Jesce mi za to zapłacisz. Zobaczysz”, Reilly nie poczuł się specjalnie zagrożony.

Później przyszło mu do głowy, że gdyby przyłożył mu w nos, byłoby to dla Mackafeego równie bolesne, a znacznie mniej dla samego Reilly'ego. Ale w tej chwili był zupełnie zadowolony z obrotu sprawy. Przynajmniej do czasu, gdy wrócił po swego konia, gdzie zastał Brennę Donnegal z bardzo zdziwioną miną.

Ujrzał ją po raz pierwszy od owego wieczoru w zamku Glendenninga, kiedy to zachował się tak bardzo niezręcznie. No, niezupełnie. Widywał ją we wsi, gdy przychodziła zajrzeć do Hamisha, który czuł się już na tyle dobrze, że tydzień temu Reilly pozwolił, by rodzice zabrali go do domu. Jednakże przy tych okazjach schodziła Reilly'emu z drogi, unikając wszelkiej z nim rozmowy.

Teraz jednak nie miała wyboru. Reilly obiecywał sobie, że gdy nadarzy mu się okazja, by porozmawiać z panną Brenna Donnegal, zachowa się, jak przystało dobrze urodzonemu i dobrze wychowanemu dżentelmenowi.

Nie przyszło mu tylko do głowy, że gdy się na nią natknie, będzie miał okrwawione knykcie.

- Pan... - Po wyrazie jej twarzy odgadł, że widziała całe zdarzenie. - Co pan... - Nie spodziewał się, że jego umiejętności bokserskie wprawiły ją w taki zachwyt, że aż oniemiała. - Nie może pan...

- Owszem, mogę. - Reilly podszedł bliżej, wziął ją stanowczo za ramię i pociągnął w stronę szopy. - Więc proszę być grzeczną dziewczynką i...

- Ale pan... - Brenna nie przestawała się oglądać na Mackafeego, który klęczał, zakrywając usta rękoma, wciąż przeklinając,

niezupełnie zrozumiałe, na skutek braku w uzębieniu. - Nie może pan...

- Istnieją pewne sprawy, których pani jako kobieta po prostu nie jest w stanie...

Słyszając te słowa, Brenna natychmiast wyrwała się i syknęła:

- Niech pan się nie waży...

Reilly zorientował się, że przyjął nieodpowiednią taktykę. Przez cały czas układał sobie, co jej powie, kiedy ją znowu spotka. Przygotował sobie bardzo gładką przemowę na temat tego, jak dwoje ludzi, zmuszonych przez okoliczności, może zrobić i powiedzieć rzeczy, których potem zdarza się im żałować, lecz to wcale nie oznacza, że nie mogą pozostać przyjaciółmi...

A teraz, kiedy ona znalazła się tuż obok i wyglądała tak ładnie z zarumienionymi policzkami i lśniącymi niebieskimi oczyma, jego starannie przygotowane przemówienie zupełnie wyleciało mu z głowy. Przyjaciele. Ba! Wcale nie chciał, by Brenna Donnegal była jego przyjaciółką.

A w każdym razie nie taką, której nie wolno mu będzie całować.

Więc aby jak najszybciej zabrać ją z tego okropnego miejsca i znaleźć się gdzieś, gdzie jest ciepło i sucho, by przedyskutować całą sprawę, otoczył Brennę w pół jednym ramieniem, drugą rękę wsunął pod jej pośladki i zarzucił ją sobie na ramię. Idąc w kierunku swego wierzchowca, spostrzegł, że tuż obok stoi klacz Brenny. Uznał, że pomimo znacznego wzrostu dziewczyna wcale nie jest ciężka.

Za to bardzo gadatliwa.

- Co pan wyrabia? - pytała, rozwścieczona. - Proszę mnie postawić na ziemi! Oszalał pan? Nigdy w życiu...

- Cicho - powiedział Reilly, stwierdzając, że pięści, którymi okłada go po plecach, są jak na kobietę bardzo silne. - Chciałem się stąd wycofać z godnością, a pani wszystko popsuła.

- Z godnością? - Nawet zwisając głową w dół, wypowiedziała te słowa ze wzgardą godną królowej. - Na Boga, pan go po prostu zbił. I to ma być godność?

- Już powiedziałem... - odparł Reilly, starannie wybierając drogę pośród błota. - To coś, czego kobieta nie jest w stanie zrozumieć. Prywatna sprawa pomiędzy mną a panem Mackafee.

Brenna wyrzekła słowo, które przypравиło Reilly'ego o najskrajniejsze zdumienie. Doprawdy, nie należała do osób, które skrywają swoje uczucia - dzięki czemu ich wspólne życie w Stillworth Park, jeżeli kiedykolwiek uda mu się ją tam ściągnąć, mogłoby się stać bardzo urozmaicone.

- Uderzył go pan, bo się pan zorientował, że Mackafee bije żonę, i to pana rozwścieczyło - powiedziała szorstko. - Ale traktując go tak, jak on traktuje żonę, niczego pan nie zmieni. Kiedy wreszcie wytrzeźwieje, będzie w jeszcze gorszym humorze i odbije to sobie właśnie na niej.

- Nie - powiedział Reilly z wielką pewnością siebie. - Nie zrobi tego.

- Owszem, zrobi, Reilly.

Usłyszawszy, że Brenna po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu, poczuł dziwne ciepło w okolicy serca.

- Nie robi - powtórzył. - A poza tym, przyłożywszy temu gałganowi, od razu poczułem się lepiej, co oznacza, że postąpiłem słusznie.

- Jest pan beznadziejny - stwierdziła Brenna. - Proszę mnie puścić.

Ponieważ byli już przy koniach, Reilly doszedł do wniosku, że Brenna nie zawróci, by pobiec do Mackafeego i zaoferować mu pomoc, więc uczynił to, czego sobie życzyła, stawiając ją na ziemi, ostrożniej, niż na to zasługiwała, zważywszy na sposób, w jaki zepsuła jego odejście.

Lecz ona nie była pod wrażeniem delikatności, z jaką Reilly potraktował jej osobę, i gdy ją oswobodził, zachowała się raczej brutalnie.

- Niech... pan... nie... robi... tego... nigdy... więcej! - powiedziała, a każdej sylabie towarzyszyło wcale silne pchnięcie.

W ten sposób przyparła go do ciepłego ciała jego klaczy, która uniosła łeb sponad trawy, by przyjrzeć się im z zainteresowaniem.

- Nie doszłoby do tego - powiedział Reilly - gdyby nie przyjechała tu pani, by mnie sprawdzić.

- Ja nie... - Zaciśnęła wargi. Reilly zauważył, że na skutek deszczu jej włosy po raz pierwszy nie były rozwiane, lecz przylegały do twarzy. Znowu miała na sobie znane mu spodnie oraz obszerny i najwyraźniej bardzo stary płaszcz nieprzemakalny, który pasował na nią jak, nie przymierzając, namiot.

Lecz to nie miało najmniejszego znaczenia. Brenna Donnegal mogłaby włożyć worek na kartofle i wyglądałaby pięknie.

- Wcale pana nie sprawdzałam - zaczęła jeszcze raz, rozgniewana. - Pani Murphy powiedziała mi, że widziała Shannon, idącą do szpitalika, więc pomyślałam... wiedziałam, że nie poznał pan Mackafeech, więc pomyślałam, że będzie lepiej...

- Sprawdzić, jak sobie poradzę - zakończył za nią Reilly.

- No dobrze. Skoro tak to pan ujmuje. I dobrze się stało. Pan nie może rozumieć człowieka takiego jak Harold Mackafee...

- Miałbym zrozumieć brutala, który bije żonę i nie dba o to, by jego dzieci były odpowiednio ubrane i odżywione? O, nie. Ma pani rację, to niemożliwe. - Reilly podszedł do Willow, klaczy Brenny, i nastawił rękę.

- Rodzina Mackafeech od pokoleń przynosi wstyd mieszkańcom Lyming. Harold Mackafee, tak samo jak jego ojciec i dziad, pędzi bimber, ale nigdy nie sprzedaje swojej whisky, ponieważ wszystko wypija sam. Kłusuje na ziemiach lorda Glendenninga i hrabia mu na to pozwala, bo w przeciwnym wypadku dzieci Harolda nie miałyby co jeść. Kościół i mieszkańcy wioski usiłują pomóc, zanosząc im żywność i odzież, ale poza tym nie da się nic zrobić. Harold Mackafee nie zmieni się, choćby go sprać nie wiem ile razy. To, co pan tutaj zrobił, Reilly, może sprawiło, że poczuł się pan lepiej, ale nie zdało się na nic więcej. I dlaczego trzyma pan rękę w taki sposób?

- Żeby pani pomóc wsiąść na konia - odparł z godnością.

Brenna wzniosła oczy do nieba i, rezygnując z pomocy, samodzielnie dosiadła swojej klaczy. Znalazłszy się w siodle, ujęła dłoń Reilly'ego i odwróciła wierzchem do góry, by obejrzeć zakrwawione knykie.

Cmoknęła z dezaprobatą i wypuściła mokrą od deszczu rękę.

- Mój ojciec - powiedziała poważnie - zawsze bił Harolda Mackafeego w brzuch. Twierdził, że w ten sposób oszczędza knykie.

Zaskoczony Reilly zaczął coś mówić, ale mu przerwała.

- Jeśli pan chce, opatrę ranę - zaproponowała.

To rzekłszy, zawróciła konia i odjechała szybkim kłusem, nawet się nie obejrzawszy, czy Reilly za nią podąża.

Ale on, oczywiście, podążył. Bo czyż mógł postąpić inaczej?

17

Co ja wyprawiam?

Chyba zwariowałam, myślała.

Proponując, że zabandażuje okrwawione knykcie Reilly'ego Stantona, musiała postradać rozum.

Po incydencie w sali balowej lorda Glendenninga postanowiła trzymać się możliwie najdalej od pana doktora. Miała przecież swoją pracę, a poza tym nie było najmniejszego powodu, by się spotykać ze Stantonem, w każdym razie nie sam na sam.

W tym stadium swoich badań nie mogła pozwolić na to, by coś ją odciągało od eksperymentowania. A zwłaszcza na to, by niezwykle przystojny młody lekarz z Londynu wyrabiał z nią takie - och takie! - rzeczy...

Dobrze wiedziała, że Stanton wróci do Londynu, gdy tylko udowodni sobie - i swojej narzeczonej - że jest pełnym poświęcenia, błyskotliwym lekarzem.

Dlatego lepiej go unikać.

I aż dotąd doskonale się jej to udawało. Dopóki Reilly tkwił w szpitalu, a ona nie opuszczała Burn Cottage, nie mieli szansy na spotkanie, zwłaszcza że ona, oczywiście, nie uczęszczała do kościoła, nie chcąc się narażać na jeszcze jeden wykład wielebnego

Marshalla i jego żony. Dzięki lordowi Glendenningowi wiedzieli oni nie tylko o tym, że Brenna mieszka w Burn Cottage sama i bez przyzwoitki, lecz także o tym, że kilka miesięcy temu okłamała całą swoją rodzinę. Wielebny Marshall był człowiekiem, który mógł napisać do jej rodziców i donieść im, co zamierza ich córka...

Dlatego właśnie owe dziesięć szylingów, które zapłaciła Stubenowi za to, by zatrzymywał wszystkie listy pastora i pokazywał jej przed wywiezieniem ich do Lochalsh, uznała za udaną inwestycję: znalazła i zabrała zdradzieckie pismo, po czym uroczyście spaliła je w swoim kominku. Wielebny mógł się teraz zastanawiać, dlaczego nie otrzymał odpowiedzi, lecz z pewnością był zbyt urażony tym lekceważeniem, aby napisać jeszcze raz.

Gdybyż sprawa z Reillym Stantonem dała się załatwić równie łatwo! Bo choć rozsądek podpowiadał jej, że należy o doktorze zapomnieć, z przerażeniem stwierdzała, że wciąż powraca myślami do owego pocałunku. Trudno jej było wyrzucić doktora z pamięci. Często, zamiast w pełni oddać się pracy, wspominała oczy Reilly'ego Stantona lub, co gorsza, jego dłonie...

Te same dłonie, nad którymi teraz się pochylała, starannie je obmywając. Rana na knykciach była głęboka i, jak się domyślała, bolesna. Z takimi obrażeniami doktor nie będzie mógł przez jakiś czas przeprowadzać żadnych poważniejszych operacji.

A szkoda, ponieważ Reilly Stanton był według niej doskonałym chirurgiem.

Był także najbardziej współczującym z wszystkich znanych jej mężczyzn, no, może z wyjątkiem jej ojca. Toteż dowiedziawszy się od pani Murphy o wizycie Shannon w szpitaliku, doskonale wiedziała, co zastanie u Mackafech...

I tak się stało. Shannon Mackafee ścisnęła w garści złotą gwineę, co stanowiło sumę większą od tego, co jej rodzina widziała w ciągu dziesięciu lat. Harold Mackafee leżał rozciągnięty na ziemi. A Reilly Stanton miał krwawiące knykcie.

- Muszę założyć szwy - powiedziała, pochylając się nad raną.
- Na Boga, nie - zaprotestował radośnie. - Nie chce pani chyba zeszpecić mojej gładkiej skóry brzydką blizną?

- Jeśli zostawimy ranę nie zszytą, blizna będzie jeszcze większa - odparła Brenna, marszcząc brwi.

- Nie, dziękuję - powiedział. - Mam jak najlepsze zdanie na temat pani umiejętności medycznych, lecz co się tyczy talentu do typowych prac domowych... - Uniósł wymownie brwi. - Cóż, powiedzmy, że wolę zaryzykować infekcję, zostawiając ranę otwartą.

Brenna się nachmurzyła.

- Co pan ma na myśli? Przecież widział pan, jak zakładałam szwy Lucaisowi. Nawet mnie pan pochwalił.

- Tak, ale Lucais jest psem. Pamięta pani?

Brenna wciąż się dąsała. O co mi chodzi? - myślała. Przecież wcale nie chcę zszywać mu tej głupiej ręki. Im szybciej się go pozbędę, tym lepiej.

Więc dlaczego drażyła sprawę?

- A co pan ma przeciwko mojemu talentowi do prac domowych? - dopytywała się. - Przecież domek utrzymuję w porządku.

Reilly rozejrzał się po pomieszczeniu ze swego miejsca przy z gruba ciosanym, lecz nienagannie czystym stole. Na palenisku płonął ogień, a na płycie gotowała się woda na herbatę. Krople deszczu bębniące o małe szybki okienne podkreślały miłą atmosferę domowego ciepła.

- Chyba tak - odparł wymijająco. - Ale za każdym razem, gdy tu jestem, słyszę jakieś dziwne szelesty. - To rzekłszy, spojrział na belki krokwi.

Brenna również uniosła głowę.

- Och, to tylko Jo - powiedziała i szybko zamilkła, zdając sobie sprawę z tego, że jej słowa musiały mu się wydać śmieszne.

Lecz już było za późno, bo Reilly natychmiast jej odpowiedział:

- Otóż właśnie. Tylko Jo. Informuję panią, że pod dachem znajduje się ptak, a pani odpowiada, że to tylko Jo.

Na te słowa Brenna lekko się skrzywiła. Sięgnęła po miskę z mydlinami, którymi przed chwilą przemyła ranę Reilly'ego, i postawiła ją do zlewu.

- Jo jest jednym z ulubieńców mego brata - wyjaśniła, nie bardzo wiedząc, po co to robi. - Kiedy wyjeżdżaliśmy do Londynu, oddał ją Hamishowi. Ale nie chciała u niego zostać. Więc po moim powrocie na wyspę... przywykłam do niej.

- To niehigieniczne - powiedział Reilly Stanton. - Bardzo niehigieniczne.

Brenna nie wiedziała, czy doktor mówi serio, czy tylko żartuje. I tak było prawie zawsze. Dlatego właśnie tak jej się podobał.

Zanurzyła miskę w lodowatej wodzie.

- Jest przyuczona do życia w domu, czego nie można powiedzieć o niektórych ludziach z Lyming. Dlatego trzymanie jej tutaj wcale nie jest niehigieniczne.

- Ilu ma pani braci? - spytał Reilly niespodziewanie.

- Czterech - odparła podejrzliwym tonem. Właściwie dlaczego miałaby być podejrzliwa? Po powrocie od Mackaffeech Reilly nie tknął jej nawet palcem i ani razu nie podjął tematu, który tak ją zaprzętał. Nie powiedział ani słowa o tym, co się wydarzyło, gdy ostatni raz znaleźli się sam na sam w sali balowej Glendenninga.

Być może, myślała, ten pocałunek nie znaczył dla niego tyle co dla mnie. Ile razy w życiu się całowałam? Zaledwie kilka, wyłącznie z lordem Glendenningiem i nigdy z przyjemnością. Reilly Stanton był zaręczony, prawdopodobnie całował się z dziesiątkami dziewcząt albo przynajmniej z jedną, ale za to dziesiątki razy. Nasz pocałunek w sali balowej wcale nie musiał mu się wydać nadzwyczajny.

Lecz jakoś nie mogła w to uwierzyć. Pamiętała, jaki był wyraz jego twarzy w chwili, gdy go odepchnęła. Malował się na niej prawdziwy żal, a oczy płonęły żądzą.

- Czterech braci - powtórzył Reilly. - Rozumiem, że wszyscy młodszy od pani?

Skinęła głową, skupiając uwagę na mydlinach.

- Najstarszy ma teraz siedemnaście lat. Najmłodszy siedem.
 - Siedemnastolatek powinien pojechać do szkół, nie do Indii.
- Brenna wzruszyła ramionami.

- Wolał do Indii.
- Bardzo nierozważnie - skwitował Reilly.
- To była okazja nadarzająca się raz w życiu - odparła opryskliwym tonem.

- Niechże się pani tak nie złości! Nie krytykuję pani szanownych rodziców. Bardzo ich pani broni. I co będzie dalej?

Postawiła wymytą miskę na półeczce.

- Z moimi braćmi? - Obejrzała się zdziwiona. - Co ma być? Wróć za rok lub dwa. I Robbie będzie mógł pójść do szkoły.

Reilly wywrócił swymi wyrazistymi ciemnymi oczami.

- Nie z pani ukochanymi braćmi, Brenno. Chodzi mi o nas.
- Och. - Jej serce zabiło tak mocno, że musiała się oprzeć o zlew. Miała nadzieję, że Reilly nie zauważył, jak drżącej palce. I nie zwrócił uwagi na rozdygotany głos.

- Nie sądzę, by było coś do zrobienia w tym względzie. Poza... poza nie wchodzeniem sobie w drogę.

Reilly tylko chrząknął z niesmakiem, co zabrzmiało jak skrzypnięcie krzesła. Brenna, odwrócona plecami do Reilly'ego, nie była pewna, co usłyszała.

- Niby dlaczego? - zapytał. - Dlaczego mamy sobie nie wchodzić w drogę? Nie widzę powodu.

Brenna przyjrzała się swoim dłoniom. Nie były to delikatne rączki damy, kształtne, owszem, lecz o połamanych paznokciach i spękanej skórze od zbyt częstego moczenia w zimnej wodzie.

- Niech pan nie będzie śmieszny - powiedziała, zadowolona, że wreszcie udało jej się zapanować nad głosem. - Sam pan powiedział, że jest pan prawie zaręczony.

- Byłem - poprawił ją Reilly. - Byłem zaręczony. Już nie jestem.

Brenna pokręciła głową.

- Miał pan złamane serce. Szuka pan jakiejś rozrywki. Nie mam zamiaru...

- Na miłość boską, Brenno! - przerwał jej Reilly. - Co pani wygaduje? Niechże mnie pani wysłucha. Podoba mi się pani, nawet bardzo, ale tylko wtedy, gdy nie robi z siebie oślicy, tak jak teraz. I wydaje mi się, że ja podobam się pani. A w każdym razie bardziej niż lord Glendenning, który, z tego co widzę, jest moim jedynym rywalem. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie miałbym spróbować. Przecież pani i ja mamy z sobą wiele wspólnego. Jestem lekarzem, a pani jest córką lekarza. Obydwoje chcielibyśmy, aby na świecie nie było pomorów i aby nie stawiano pułapek na wilki... no, wie pani, takie tam sprawy. Nie sądzę, byśmy do siebie kompletnie nie pasowali.

- Ale nie pasujemy. - Odwróciła się ku niemu, mając nadzieję, że Reilly nie dostrzeże, jak jej serce dziko galopuje pod swetrem. Kiedy zaczął mówić, nie wierzyła własnym uszom. Podobam się mu... nawet bardzo, tak powiedział. Nie miała pretensji o tę część wypowiedzi, która dotyczyła oślicy. Podobam mu się! - powtarzała w myśli.

Ale zaraz potem zaczęła mieć wątpliwości. Bo cóż to znaczy? To nic nie zmienia. Reilly nadal był londyńczykiem - co było widoczne na pierwszy rzut oka - i zamierzał wrócić do Londynu. Oczywiście, gdyby mu to zarzuciła, zaprzeczyłby, ale ona wiedziała, że mieszkańcy nizin zawsze wracają do swego łatwego życia na południu. I nawet gdyby ją o to poprosił, nie pojechałaby z nim. Miała tu swoją pracę, bardzo ważną pracę. Nie mogła pozwolić, by coś ją od niej odciągało.

I nie mogła sobie pozwolić na takie rozmowy, na to, by zalecał się do niej tutejszy nowy lekarz. Bo, chociaż Reilly Stanton spędził na wyspie ponad cztery miesiące, Brenna wciąż uważała go za nowego na wyspie.

Chciała mu to wszystko wyjaśnić, przekrzykując szum w uszach. Podobam mu się! Podobam!

- Mieszkając tu samodzielnie, jestem w niełatwej sytuacji - powiedziała. - Radzę sobie tylko dlatego, że tutejsi wieśniacy znają mnie od dziecka i... cóż, w pewien sposób są ode mnie uzależnieni. Jestem dla nich nie kobietą, lecz Brenna Donnegal, córką doktora Donnegala. Ale proszę mi wierzyć, że gdy zacznę przyjmować zalotników, ludzie będą gadać.

Reilly siedział, opierając jedną nogę na krześle. Teraz postawił ją na podłodze, umieścił obydwie łokcie na blacie stołu i pochylił się do przodu.

- Właśnie dlatego - powiedział powoli i spokojnie -jakiś czas temu, o ile sobie pani przypomina, sugerowałem, żeby zamieszkała tu z panią jakąś wdowa albo ktoś...

- To niemożliwe - przerwała mu Brenna. - Nie mogę pozwolić, aby kręciła się tutaj pani Murphy lub pani Marshall. Prowadzę badania...

Zniecierpliwiony Reilly wyrzucił ręce w górę, po czym opadł na oparcie krzesła.

- Znowu to samo - powiedział z niesmakiem.

- Niech mnie pan posłucha, Reilly - powiedziała z desperacją. - Nie zna pan tutejszych ludzi. Wydaje się panu, że ich pan poznał, ale tak nie jest. Nie można ich zrozumieć, nie przeżywszy tego co oni. W zeszłym roku cholera zaatakowała wyspę i zabrała do grobu jedną trzecią ludności. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo są przesądni i przestraszeni. Cholera to nie szkarlatyna. To choroba, jakiej nigdy przedtem nie widzieli. Jak pan myśli, dlaczego chodzę na cmentarz nocą? Dlaczego zbieram próbki gruntu, kiedy wszyscy już śpią? Nikt nie chce, by mu przypomniano o tej straszliwej chorobie. Wszyscy chcą wierzyć, że odeszła na zawsze. Ale ona nie odeszła, Reilly. Kiedy tylko zrobi się ciepło, choroba wróci, a ja chcę być na to przygotowana...

Reilly gwałtownie zerwał się z krzesła.

- W porządku - powiedział. - Rozumiem.

Brenna zacisnęła szczęki. Widziała, że jest rozczarowany, ale

na jego twarzy malowało się coś więcej. Podejrzewała, że to gniew. Widząc, że Reilly wciąż jej nie rozumie, westchnęła głęboko.

- Powiedział mi pan, że tego, jak postąpił pan z Mackafeem, kobieta nie jest w stanie zrozumieć. Teraz widzę, że pan, będąc mężczyzną, nie potrafi zrozumieć tego, że na świecie istnieją kobiety, które mają do zaoferowania ludzkości coś więcej niż gromadkę dzieci. Przyszło to panu kiedykolwiek do głowy?

Reilly uniósł brwi.

- Gdybym była mężczyzną - ciągnęła Brenna, teraz już bliska łez - i powiedziała panu, że moje badania są dla mnie ważniejsze niż... niż zaloty albo zakładanie rodziny, odniósłby się pan do tego z podziwem. Ludzie mówiliby: „Jest taki oddany sprawie. Jest niezmordowany w swoich wysiłkach, aby wykorzenić tę straszliwą chorobę”. Gdybym była mężczyzną...

- Och, dosyć tego - przerwał jej Reilly. - Gdyby była pani mężczyzną, nie zakochałbym się w pani, więc, jeśli chce pani wiedzieć, cały ten wywód jest nie na miejscu.

A następnie, całkiem nieoczekiwanie, przeszedł przez pokój trzema długimi krokami, chwycił ją za ramiona i gwałtownie przyciągnął do siebie. Zanim się zorientowała w sytuacji, jego wargi znalazły się na jej ustach i Reilly znów ją całował, jak gdyby nadal byli w sali balowej lorda Glendenninga.

Brenna poczuła się całkiem zbita z tropu. Pocałunkiem oraz niedbałym sposobem, w jaki Reilly przed chwilą wyznał jej miłość. Nie tylko mu się podobała. Był w niej zakochany.

I, co zaskakujące, nonszalancja, z jaką ją o tym poinformował, zrobiła na Brennie większe wrażenie niż namiętne zapewnienia lorda Glendenninga. Reilly Stanton był w niej zakochany. I całował ją, całował ją tak, jakby nigdy nie miał skończyć. Ją, ubraną w spodnie i rozczochraną, ponieważ wilgotne od deszczu włosy poskręcały się dziko, ją, kobietę o spierzchniętych od zmywania w zimnej wodzie dłoniach...

Nagle Reilly uniósł głowę.

- Cóż to za miauczenie? - zapytał.

Brenna nasłuchiwała przez chwilę... lecz słyszała tylko miłosne wyznanie Reilly'ego, rozbrzmiewające w jej głowie ciągle od nowa.

- Och - powiedziała wreszcie. - Ja także słyszę.

I faktycznie usłyszała. Ponad bębnienie deszczu o szyby okienne i monotony szum potoku wznosiło się jakieś piskliwe zawodzenie.

Brenna rozpoznała swoje imię.

- To Hamish. - Wywinęła się z objęć Reilly'ego i pobiegła po płaszczy nieprzemakalny, który ociekał z wody, powieszony na haku wbitym w drzwi domku. - Hamish.

- Hamish? - Reilly był równie zdumiony jak Brenna. Pokręcił głową jak pies otrzepujący wodę z uszu. - Cóż, u diabła, Hamish robi tu w taką pogodę? Powiedziałem chłopakowi...

Lecz Brenna nie usłyszała reszty. Gwałtownie otworzyła drzwi i wypadła na deszcz. Ulewa nie zelżała ani na jotę, obfita i rześista. Opady, wraz z wodą pochodzącą z topniejącego w górach śniegu, sprawiły, że niewielki zazwyczaj potok zmienił się w rwącą rzekę o nurcie tak silnym, że mógłby porwać młode jagnię, gdyby nieostrożnie zapuściło się na brzeg.

I właśnie tak się stało. Poprzez zasłoną deszczu Brenna dostrzegła Hamisha, biegnącego wzdłuż potoku i nadaremnie usiłującego wyłowić zakrzywionym kijem pasterskim małe stworzenie. Przez cały czas chłopiec ochryple wykrzykiwał imię Brenny.

- Boże, dopomóż - westchnęła Brenna. Hamish solennie obiecał, że po niedawnej operacji przez najbliższe kilka tygodni nie będzie się ruszał z domu... której to obietnicy, z powodu miłości do swego stada, najwyraźniej nie potrafił dotrzymać.

- Trzymaj się! - krzyknęła Brenna, biegnąc w stronę chłopca. - Zaraz tam będę!

Lecz chociaż bardzo chciała pomóc Hamishowi i uratować bezradne zwierzątko, wciąż wspominała niedawne zdarzenie. Kocha mnie, powtarzała w myślach, pędząc w stronę kładki. Najśladczy Boże, on mnie kocha.

Teraz mogła się do tego przyznać, od czasu owej trepanacji Hamisha nie widziała świata poza Reillym Stantonem. A potem ją pocałował... i zaślepienie zmieniło się w uwielbienie. Z wszystkich sił trzymała się od niego z daleka, aby nie wyznać mu, co do niego czuła.

Powstrzymywały ją przed tym dwie rzeczy: po pierwsze, przekonanie, że światowiec w rodzaju Reilly'ego Stantonona nie może żywić do niej uczuć podobnych jak ona do niego. Wszak była dla niego tylko córką wioskowego lekarza, kuriozum w spodniach i wysokich butach, osobą, która posiadała znajomość kilku lekarskich chwytów, i kobietą, która miała nieszczęście zwrócić na siebie uwagę miejscowego lorda.

Ale żeby mógł się w niej zakochać... nie. Na to nie miała nadziei, nawet w najśmielszych marzeniach.

Ale teraz, gdy jej wyznał swą miłość... radość Brenny przyćmiewała inna troska: Reilly nie pozostanie na wyspie. Nawet gdyby to, co niewiarygodne, miało się zdarzyć - a właśnie się zdarzyło - i Reilly Stanton ją pokochał, i tak nie pozostanie na Skye.

A ona nie opuści wyspy.

- Brenno.

Zadyszany Reilly dogonił ją na kładce. Miał na sobie pelerynę; kapelusz i torba z wyposażeniem medycznym zostały w domku.

- Doprawdy - powiedział, znalazłszy się wystarczająco blisko, by nie musieli do siebie krzyczeć. - Widzę, że ani przez chwilę nie możemy być sami. Wciąż cię ktoś wzywa.

Następnie, widząc nadbiegającego Hamisha, przeniósł uwagę na swego byłego pacjenta.

- Chyba ci powiedziałem, młodzieńcze, że przez najbliższe tygodnie masz nie opuszczać domu - skarcił chłopca z na pół żartobliwą surowością.

- Wiem - przyznał zadyszany Hamish. - Ale ktoś musi doglądać jagniąt. I niech pan tylko spojrzy, jaki mamy bigos. Lucais pognał za jagnięciem i też został porwany.

Chłopiec, który z ogoloną głową i w za dużym kapeluszu wydawał się teraz mniejszy i delikatniejszy, wskazał na potok.

Brenna, oparta o poręcz kładki, wpatrzyła się we wzburzoną wodę. I nagle je dostrzegła, objijające się o głazy. Małeńkie, szare ciało, walczące zaciekle, by utrzymać głowę ponad powierzchnią wody. A za nim czarno-biała błyskawica, mknąca ku niemu z szybkością unoszonego przez wiatr piórka.

Lucais.

- O Boże - westchnęła Brenna.

- Wskoczył do wody za jagnięciem - zawodził Hamish.

- I poniósł go prąd. - Reilly już zrzucił pelerynę. - Nie bój się. Złapię go.

- Pan złapie Lucaisa - powiedział Hamish, biegnąc za młodym doktorem. - A ja wyłowię jagnię.

I chłopiec zaczął zdejmować kurtkę.

- Nie! - krzyknęła Brenna, pędząc za Hamishem. - Nie ty. Zostań na brzegu.

Hamish spojrzał na Brennę, jakby postradała rozum.

- Ale on nie da sobie rady z psem i z jagnięciem - wyjaśnił chłopiec cierpliwie, jakby przemawiał do półgłówka. - Ma tylko dwie ręce.

Brenna już zaczęła zsuwać się z brzegu.

- Ja chwycę jagnię! - zawołała, przekrzykując ryk wody. - Ty łap Lucaisa!

Reilly, który już był po uda w wodzie, odkrzyknął, by nie była głupia. Dokładnie mówiąc, nazwał ją matołkiem o kurzym mózdzku, i to mało romantycznym tonem. Za późno. Brenna weszła do lodowato zimnej wody i usiłowała schwytać poturbowane jagnię, które się do niej zbliżało.

Pomimo że przerażone i wyczerpane wysiłkiem utrzymywania głowy ponad wodą, głupie stworzenie wcale nie było uszczęśliwione, że Brenna chce je ratować. Usiłowało umknąć jej i zyskało tyle, że zalała je woda. Brenna, bojąc się, że małe ciało przemknie

między jej nogami i uderzy w kładkę, zanurzyła pod wodę ramiona i górną część ciała, macając w poszukiwaniu wełnistego stworzenia.

Schwyciła je w ostatniej chwili. Sekundę później wyprostowała się, trzymając w ramionach wrywające się - choć słabo - jagnię.

- Mam je! - krzyknęła do Reilly'ego, który, jak stwierdziła, także miał kłopoty. Lucais był równie przerażony jak przed chwilą jagnię, lecz cięższy od niego o jakieś dobre dwadzieścia kilogramów. Pies, może dlatego, że nie znał doktora zbyt dobrze, a może po prostu dlatego, że był ogłupiały z zimna i ze zmęczenia, walczył z Reillym, usiłując o własnych siłach wydostać się na brzeg, aż wreszcie wyrwał się z uchwytu i zniknąwszy pod wodą dwa lub trzy razy, poddał się i bezwładnie wypłynął na powierzchnię ze szklistym spojrzeniem...

Woda unosiła go, dopóki Reilly nie schwycił Lucaisa za ogon, nim pies wpadł na drewnianą podpórkę kładki.

Zwierzę uniosło głowę i spojrzało na Reilly'ego, jakby pytając: „I po co to wszystko?” Lecz nabrało rozumu na tyle, by już się mu nie wrywać, a nawet przebierało w wodzie łapami, gdy wyczerpany Reilly wynosił je na brzeg...

Wyszędłszy, upadł z psem w objęciach. A Hamish radośnie zatańczył wokół nich.

- Mam nadzieję - powiedział Reilly, zwracając się do Brenny, kiedy odzyskał oddech - że w twoim domu znajdzie się trochę whisky.

18

Brenna miała w domu whisky. I to bardzo dużo.

Energicznie postawiła butelkę przed Reillym...

I wybiegła z kuchni, mamrocząc coś o suchym ubraniu na zmianę.

Cóż, nie szkodzi, pomyślał podnosząc butelkę do ust palcami, które, jak zauważył z klinicznym zainteresowaniem, drżały z zimna. Dobre maniery nie były mocną stroną mieszkańców Skye. Nawet Hamish, dla którego ryzykowali zdrowie, ratując jego diabelnego psa i niewypowiedzianie głupie jagnię, właściwie im za to nie podziękował. Nie, tylko wyrwał jagnię z objęć Brenny i natychmiast - wciąż ociekające wodą - wepchnął sobie za pazuchę, by je ogrzać. Następnie gwizdnął na Lucaisa - który, po krótkiej chwili odpoczynku, otrząsnął się z wody i wstał - zabrał zwierzęta i odszedł. Nalegania Brenny, by wstąpił do domku, żeby trochę przeschnąć i napić się herbaty dla rozgrzewki, były jak rzucanie grochem o ścianę. Chłopiec, pies i jagnię bezzwłocznie zniknęli.

Reilly wiedział, że szybki odwrót chłopca spowodowany był strachem przed burą za to, że wyszedł z domu przy tak nie-sprzyjającej pogodzie, chociaż jego rana jeszcze nie całkiem się wygoiła.

Ale żeby nawet nie podziękować?

Cóż, widocznie takie były tutejsze zwyczaje. Może Hamish uważał, że jego wdzięczność rozumie się sama przez się. Lecz co sobie myślała Brenna, pozostawiając go ociekającego wodą, nie zaoferowawszy mu nawet ręcznika, kiedy zniknęła w swoim pokoju, aby się przebrać... W jej zachowaniu nie było nic oczywistego.

A niech tam! Po ślubie będzie miał wiele czasu, by ją nauczyć gościnności.

Uznał bowiem, że się pobiorą. Właściwie nie wiedział, kiedy w jego głowie zrodziło się to postanowienie, lecz stało się to mniej więcej wtedy, gdy zobaczył Brennę Donnegal, jak bez cienia strachu - i bez skargi - wkroczyła do lodowato zimnej wody potoku po to, by ratować na wpół żywe jagnię. Nigdy w życiu nie widział, by kobieta w taki sposób ryzykowała własne bezpieczeństwo. Było to coś ponad jego pojmowanie. Matka Reilly'ego, jego siostry - nawet Christine, która często przyznawała się do miłości dla wszystkich stworzeń bożych - nigdy by czegoś takiego nie uczyniły. Brenna Donnegal z pewnością była kobietą, jakiej nie spotka nigdy więcej, dlatego gotów był zrobić wszystko, by mu się nie wymknęła.

Nie wiedział tylko, jak poruszy ten temat w rozmowie z samą zainteresowaną. Była ona całkowicie przeciwna wszystkiemu, co mogłoby ją odciągnąć od jej naukowych badań. Po rozmowie, którą odbyli, zanim zaczął ją całować, odniósł wrażenie, że małżeństwo traktuje jak zawadę.

Będzie musiał na nią wpłynąć, by zmieniła zapatrywania.

Po chwili Brenna wróciła i cisnęła w niego jakimś ubraniem.

- Trzymaj - powiedziała. Reilly zauważył, że sama jeszcze się nie przebrała. - Mojego ojca. Powinny pasować. Jesteście chyba podobnego wzrostu.

Reilly spojrział na ubranie, którym w niego rzuciła. Zaiste, urocza gospodyni! Ale przecież jego wygodę stawiała na pierwszym planie! Najpierw whisky. Teraz to.

- Dziękuję - zaczął, ale Brenna znowu zniknęła w swoim pokoju, gdzie, jak miał nadzieję, przebierze się w coś bardziej kobiecego niż spodnie... które Reilly szczerze podziwiał, lecz podejrzewał, że nie stanowiły one stroju, jaki chciałby opisać swoim dzieciom, gdy go zapytają, co miała na sobie mama, kiedy papa jej się oświadczył.

Reilly przyjrzał się rzeczom. Jak na lekarza, ojciec Brenny ubierał się bardzo modnie. Bryczesy były z cienkiej wełny i miały barwę ciemnej zieleni. Koszula uszyta została z dobrego płótna, a kamizelka doskonale skrojona. Ładny komplet, jak na wiejskiego lekarza.

Reilly wstał z wysiłkiem i zaczął ściągać przemoczone buty, następnie mokre spodnie, rozmyślając o tym, że odkąd przybył do tego dziwnego, zazwyczaj nudnego, lecz czasami nadmiernie zabawnego miejsca, zdarzyło mu się wyłowić wcale pokaźną liczbę topielców. Miał szczerą nadzieję, że ofiary, które uratował tym razem, będą wiodły bardziej pożyteczny żywot niż Stuben, który nadal kroczył przez życie w pijackim zamroczeniu. W przypadku Lucaisa mógł się tego spodziewać: Reilly nie widział ciężiej pracującego i szczęśliwszego psa niż on.

Lecz co się tyczyło jagnięcia, można było mieć wątpliwości. Reilly czuł, że powinien odkupić je od MacGregorów, ponieważ, zobaczywszy, jak jego ukochana - bo bez względu na to, co mówiła Brenna, teraz nazywał ją swoją ukochaną - tak bardzo starała się je wyratować, nie mógł przecież dopuścić, by małeństwo zostało skonsumowane z okazji zbliżającej się Wielkanocy.

Przebrawszy się w suche spodnie, Reilly wyjrzał przez okno. Niebo za małymi szybkami stawało się coraz ciemniejsze i to nie tylko z powodu deszczu, który nie ustawał. Zapadał zmierzch. O tej porze zamykałyby drzwi szpitalika, zastanawiając się, co pani Murphy poda na kolację. Miał nadzieję, że Brenna przygotuje coś równie apetycznego, choć, prawdę powiedziawszy, nie bardzo na to liczył. Nie należało oczekiwać, że kobieta o naukowych skłonnościach ma również talent kulinarny.

Kiedy o tym rozmyślał, Brenna wyszła z pokoju, ubrana w suknię, której nigdy dotąd nie oglądał. Była to waziotka, obcisła szata z ciemnoniebieskiego aksamitu, zapięta, niestety, po samą szyję. Brenna uczesała włosy w kok na czubku głowy i umocowała go czymś, co od czasu do czasu odbijało światło ognia i lśniło. Efekt ten dał mu pewne wyobrażenie, jak będzie się prezentowała w rodowych brylantach Stillworth. Uznał, że diadem będzie dla niej bardzo odpowiedni.

Brenna przebrała się o wiele szybciej niż on. Reilly właśnie ściągał przez głowę mokrą koszulę, dzięki czemu Brenna spostrzegła pamiątkę, którą zostawił mu Lucais.

- O mój Boże! - wykrzyknęła i zasłoniła usta dłonią. - Co się stało?

Reilly odrzucił koszulę i spojrzał na ślady pazurów psa.

- To Lucais - powiedział, wzruszając ramionami. - Nie bardzo chciałem, bym go wyratował.

- O Boże. - Brenna podbiegła do Reilly'ego, lecz nie dlatego, że - jak sobie z przykrością zdał sprawę - widok jego piersi obudził w niej pożądanie. Nie, śpieszyła ku niemu, chcąc oczyścić rany.

Żałosne. Oto, jakie jest jego życie. Po prostu żałosne.

- Niech no zobaczą - powiedziała, dotykając zadrapań wilgotną watą.

- Na Boga - odparł zawstydzony. - To chyba nic wielkiego?

Skrzywiła się, by dać mu do zrozumienia, co myśli o jego zakłopotaniu.

- Widziałam cię już bez koszuli - przypomniała mu. - Kiedyś my się spotkali po raz pierwszy. Więc nie bądź głupi. Tych zadrapań nie wolno lekceważyć. Siadaj.

- Brenno...

- Siadaj.

To mówiąc szturchnęła go w nagie ramiona. Reilly przysiadł na starannie wyszorowanym blacie stołu. Nie dlatego, że go

popchnęła - była wprawdzie wysoka, ale nie na tyle silna - lecz dlatego, że poczuwszy dotyk jej palców na nieosłoniętej skórze, doznał zawrotu głowy.

- O, tak - powiedziała Brenna, wycierając zadrapania. Aby się znaleźć wystarczająco blisko, stanęła pomiędzy nogami Reilly'ego.

Co dobrze go usposobiło. Dziękował w duchu za to, że pies, który wpadł do potoku, był na tyle głupi, by mu się wyrwać. Zadrapania, które tak zaniepokoiły Brennę, były zaledwie powierzchowne i choć krwawiły, nie sprawiały bólu.

- Bardzo piecze? - spytała Brenna.

- Bardzo - odparł Reilly, zauważając, że jej kruczoczarne rzęsy są długie i ładnie podwinięte. Żałował, że suknia jest pozbawiona dekoltu, bo ze swego miejsca miałyby wspaniały widok.

- Przepraszam - mówiła Brenna. Wyrzuciła zakrwawiony kawałek waty i sięgnęła po następny, pochylając się nad Reillym, a jej pierś, pomimo że ukryta pod niebieskim aksamitem, musnęła lekko jego ramię. - Powinnam była przewidzieć, że Lucais wpadnie w panikę. Zazwyczaj jest przyjacielski wobec ludzi, ale kiedy się wystraszy...

- Och, nie szkodzi - odparł Reilly, spoglądając na kark pochylonej Brenny. Stwierdził, że jej szyja jest długa i szczupła, o bardzo jasnej skórze, na której wiły się rude pasma włosów. Ponieważ jego zmysły były szczególnie wyostrzone - bądź co bądź, był bez koszuli, a pomiędzy jego nogami stała kobieta - owe kędziory wydały mu się wysoce prowokujące, takie miękkie i błyszczące, odcinające się od białej skóry. Miał wielką ochotę przycisnąć do nich wargi.

I niby dlaczego nie miałyby tego uczynić? W końcu byli tu sami. Zapadał wieczór, lał deszcz, a oni już wyschli i znajdowali się w miłej atmosferze domku, który oficjalnie należał do niego.

Co więcej, Brenna nigdy przedtem nie miała nic przeciwko temu, by ją całował. To znaczy, nawet jeśli protestowała, Reilly

nie traktował tego poważnie. Mówiła wprawdzie, że musi całkowicie skoncentrować się na pracy, aby udowodnić teorię swego ojca.

Lecz Reilly nie sądził, by jego pocałunki były dla niej odrażające. Przecież oddawała je z taką żarliwością.

Pochylił się więc i przytknął usta do jej karku, w miejscu gdzie włosy zostały szesane do góry, odsłaniając ciepłą i jasną skórę.

Zareagowała z taką gwałtownością, jakby ją uszczypnął. Podebrała głowę, omal nie uderzywszy w brodę Reilly'ego, i klepnęła się po karku, jakby chciała uśmiercić komara.

- Nie wolno - powiedziała, patrząc na niego oskarżycielskim wzrokiem. - Nie możemy. Wydawało mi się, że...

Lecz pokusa była zbyt wielka. Stała tak blisko, ciepła i pachnąca tak samo, jak owego wieczoru na przyjęciu u lorda Glendenninga. Ogień trzaskał wesoło, a o szyby bębnił deszcz. Reilly po prostu musiał ją objąć.

A potem powoli przyciągnął do siebie, aż jej nogi znalazły się tuż obok tej jego części, która zrobiła się mile twarda i napięta.

Kiedy poczuł jej dłonie na swojej nagiej piersi - umieszczone tam tylko po to, by go odepchnąć - pochylił głowę, by ucałować Brennę. Ich języki się spotkały, a wtedy palce Brenny, zamiast odpychać, zaczęły go przyciągać. Teraz jest moja, pomyślał.

Brenna także zdała sobie z tego sprawę. Właściwie wiedziała o tym od chwili, gdy zobaczyła go w świetle płomieni kominka, stojącego bez koszuli, zupełnie tak samo jak owego pierwszego wieczoru w gospodzie Pod Udręczonym Zajacem. Brenna, która towarzyszyła ojcu w większości wizyt u pacjentów i widywała wiele obnażonych męskich piersi, nigdy nie oglądała równie umięśnionej jak tors Reilly'ego Stantona. Porastały go ciemne włosy, zaczynające się wąziutką smugą ponad pasem bryczesów, która ku górze stopniowo stawała się szersza, by następnie kłębić się dookoła pary płaskich brodawek o kakaowej barwie.

Jednakże postanowiła sobie, że nie podda się zachwytwowi,

i zabrała do czyszczenia zadrapań. Ach, jakże trudno jej było stać pomiędzy nogami Reilly'ego, starając się nie zwracać uwagi na ciepło, emanujące z jego ciała!

I wdychać jego zapach! Jakim cudem, po całym dniu spędzonym na wietrze i deszczu, wciąż pachniał mydłem pani Murphy? A kiedy pochylała się, by oczyścić zadrapania pozostawione przez pazury Lucaisa, musiała zauważyć, że klatka piersiowa Reilly'ego unosi się i opada w miarowym rytmie oddechu. Oraz spostrzec nabrzmienie bicepsów... które w tej chwili nie były napięte, lecz oglądane w ruchu jakoś ją onieśmiały.

I jakże miała nie poczuć lekkiego oddechu, muskającego jej kark? Każdy centymetr ciała Brenny mrowił, zanim jeszcze Reilly jej dotknął.

A właściwie czemu nie miałyby odczuwać mrowienia? Przecież pół godziny temu Reilly powiedział, że jest w niej zakochany! W niej, w Brennie Donnegal, najdziwniejszej dziewczynie w całej Anglii. Ten nieprawdopodobnie przystojny i doskonały mężczyzna był w niej zakochany!

I jak na to zareagowała?

Nijak. Bo cóż mogła uczynić? Miała do wykonania misję i nie mogła pozwolić, by coś przeszkadzało jej w pracy.

Tylko że...

Jego barki są takie szerokie. Takie silne. W sam raz, by oprzeć na nich głowę.

A potem ją pocałował - w kark - najlżejszym z pocałunków, a ona poczuła się tak, jakby wzdłuż kręgosłupa przebiegła błyskawica. Wstrząśnięta, odskoczyła jak kukiełka na sznurku.

Gdy ją potem do siebie przyciągnął, chciała zaprotestować. Naprawdę. Ale stało się tak, jakby tym jednym pocałunkiem zmienił w galarete nie tylko jej kręgosłup, ale również siłę woli. Usiłowała go odepchnąć, ale gdy jej palce dotknęły nagiej skóry - nagiej skóry jego piersi, która tak ją pociągała od czasu ich pierwszego spotkania - przestała się bronić, a poczuwszy

jego usta na wargach, myślała tylko o tym, że jego narzeczona musiała być niespełna rozumu, aby odtrącić takiego mężczyźnę...

Nektar. Oto jak smakowała Reilly'emu Brenna. Nigdy przedtem nie kosztował nektaru i wyobrażał sobie, że to coś jak melasa, której nie znosił - ale ostatnio miał do czynienia z wierszami poetów romantyzmu, którzy opisywali nektar jako napój bogów.

A taka właśnie była Brenna Donnegal. Smakowita. Pomyślał, że samo całowanie mu nie wystarczy. Pragnął czegoś więcej...

Tym razem nic im nie mogło przeszkodzić. Deszcz szumiał miarowo. Zapadła noc. Wszystkie jagnięta już przyszły na świat i we wsi nie było żadnej ciężarnej dziewczyny, która mogłaby zacząć rodzić. Gdyby do potoku wpadło jakieś jagnię, i tak nikt by go nie zdołał wyłowić, bo było ciemno choć oko wykol. Był tylko Reilly i Brenna, i miał zamiar jak najlepiej to wykorzystać.

Dlatego postąpił zgodnie z impulsem, który podszeptnął mu, by pozbawić Brennę Donnegal ubrania. Obnażając ją na tyle, na ile on był rozebrany... a jeśli się uda, jeszcze bardziej.

W tym celu zajął się licznymi guzikami przy jej sukni.

W pierwszej chwili zdawała się nie zauważać, co czynią jego palce, co było w zgodzie z jego intencjami. Im bardziej zajmę ją pocałunkami, tym sprawniej ją rozbiore, myślał.

Wkrótce się przekonał, że całowanie Brenny Donnegal było łatwe, lecz rozebranie jej znacznie trudniejsze. Dlaczego właśnie na ten wieczór musiała wybrać akurat tę suknię?

- Reilly - wymamrotała wprost w jego usta, gdy jego palce - palce chirurga, które tak biegle posługiwały się skalpelem - wciąż nieudolnie rozprawiały się z szóstym lub siódmym guzikiem (pozostało już tylko kilkanaście).

- Ciii - szepnął i pocałował ją jeszcze mocniej.

Wreszcie! Poradził sobie z przeklętymi guzikami. Pozostało jeszcze zapięcie pomiędzy piersiami, więc w razie gdyby zaczęła protestować, wystarczy wsunąć palce pod tkaninę, a Brenna

natychmiast się uspokoi. Po tym, co zaszło w sali balowej Glendenninga, wiedział, jak bardzo jest pobudliwa...

Lecz Brenna również zdawała sobie z tego sprawę. Zwłaszcza teraz, gdy ją całował, a jego palce - och, te jego zwinne palce! - wyczyniały rzeczy, których robić nie powinny. Wszystko wskazywało na to, że są zajęte rozpinaniem jej sukni. A Brenna nie chciała zostać rozebrana. Nie chciała poczuć na nagiej skórze gorąca, którym promieniował Reilly Stanton. Obawiała się, że zniknie w chmurze dymu. Spłonie jak drewno na podpałkę, umieszczone we wrotach piekła.

Co ja robię, co ja wyprawiam, pozwalając mu, by mnie tak całował? Tak nie można - myślała w panice. Pocałunki Reilly'ego Stantona sprawiały, że potrafiła myśleć tylko o jednym... o Reillym Stantonie. Tak być nie mogło. Prawda?

A palce Reilly'ego, dotykające jej piersi? Przecież nie powinny tego robić. Tylko że gdy już miała zaprotestować, znalazły się pod suknią i raz czy dwa razy musnęły nagą skórę. To nie było w porządku.

Lecz kiedy ustąpił ostatni guzik, odsłaniając obydwie jej piersi, wydało jej się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Poczowała, że dłonie Reilly'ego zostały stworzone tak, by idealnie pasowały do jej brodawek, a palce ukształtowane, by je pieścić. Wiedziała, że nie powinna pozwalać, by jej dotykał w ten sposób, ale czuła się tak rozkosznie, że niby czemu miałyby mu w tym przeszkadzać? Zwłaszcza wtedy, gdy w swoim namiętym zamroczeniu usłyszała, jak Reilly wydaje gardłowy dźwięk, świadczący o tym, jak bardzo jej pragnie.

Pod wpływem dotyku Reilly'ego podwinęła palce w pantoflach, a jej włosy nabrały czucia... a przecież były to tylko włosy. To co odczuwały inne partie jej ciała, zatrwożyłoby uczennice z londyńskiej pensji panny Laver. Płatki uszne Brenny stały się ciężkie i odrętwiałe, a piersi... och, piersi już od dawna tęskniły za dotykiem Reilly'ego!

Lecz nie koniec na tym. Między nogami znajdowało się miejsce napięcia, które, jak to spostrzegła z klinicznym zainteresowaniem naukowca, zdawało się skorelowane z pocałunkami i dotykiem Reilly'ego Stantona. Z każdą pieśczołą napięcie wzrastało.

Właśnie owo miejsce zdawało się najbardziej spragnione dotyku Reilly'ego Stantona. I Brenna, choć była dziewicą, doskonale zdawała sobie sprawę, za którą częścią jego ciała tęskni to jej miejsce.

Przypuszczała, że powinno ją to przestraszyć. Znalazła się bowiem w sytuacji, co do jakiej nie miała najmniejszego doświadczenia. Lecz jej łaknienie wiedzy oraz pragnienie, by poczuć naga skórę Reilly'ego przy swojej, oddaliło wszelkie skrupuły.

Wobec tego uczyniła to, co zdawało się najbardziej naturalne, coś, czego obydwójce pragnęli, położyła dłoń na tej twardej i pulsującej, poprzez materiał spodni, części ciała Reilly'ego.

Najwyraźniej była to właściwa droga postępowania, ponieważ Reilly wydał jęk pełen wdzięczności i, oderwawszy wargi od jej ust, przesunął je, gorące i wilgotne, po jej szyi, do jednej z jasnych brodawek piersi.

Chcąc mu okazać, co czuje, Brenna rozpięła guziki bryczesów i wsunęła do nich dłoń, aby ująć tę jego część, którą zapragnęła poczuć jak najbliżej siebie.

Zaskoczyła ją długość i grubość owej części, by nie wspomnieć o gorącu, jakim promieniowała. Odczuła zupełnie nienaukowy strach, kiedy Reilly, zdumiony tym, co uczyniła, lecz wcale nie mając jej tego za złe, zarzucił ją sobie na ramię tak samo jak przed kilku godzinami, i bez dalszych ceremonii ruszył ku sypialni.

Być może sprawił to fakt, że pocałunek został przerwany. A może to, że jej piersi boleśnie przyległy do gorącej skóry pleców Reilly'ego. Może przestraszyło ją wspomnienie tego, co przez chwilę trzymała w ręce. Tak czy siak, Brenna wybrała tę właśnie chwilę, by odezwać się głosem zduszonym na skutek zwisania głową w dół:

AMAZONKA

- Naprawdę, Reilly, uważam, że nie powinniśmy tego robić. Zastanówmy się przez moment. To może spowodować mnóstwo komplikacji, których żadne z nas nie potrzebuje...

Na co zareagował położeniem jej na łóżku, a gdy spróbowała się podnieść, przygniół jej ciało własnym.

19

Mówię poważnie, Reilly - powiedziała Brenna, czując wzrastający niepokój.

Lecz w chwili gdy Reilly na powrót przycisnął usta do jej warg, ów niepokój okazał się przelotny. Prawdopodobnie miały w tym swój udział także dłonie Reilly'ego, którymi znów nakrył piersi Brenny, jakby nie mogąc się nimi nacieszyć.

Bo faktycznie nie mógł.

- Reilly - udało jej się wyszeptać, gdy uniósł głowę, by przypuścić atak na biust Brenny. - Zastanów się. Obydwoje mamy... tyle pracy...

Brenna stwierdziła, że gdy wargi mężczyzny pieścą jej piersi, bardzo trudno jest się wysławić. A co robią, zastanawiała się w zamroczeniu, jego ręce? Najwyraźniej zadzierają do góry rąbek jej spódnicy, najpierw powyżej kostek, następnie powyżej kolan, wreszcie odsłaniają przymarszczone nogawki pantalonów, uda, a teraz...

- Masz rację - powiedział Reilly, unosząc twarz ponad piersi Brenny i spoglądając na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy. W sypialni nie było kominka, paliła się tylko pojedyncza świeca, którą Brenna zapaliła, aby się przebrać.

Toteż niezbyt wyraźnie widziała Reilly'ego, za to czuła go aż nadto dobrze. Jego niewiarygodnie zwinne palce uniosły spódnice aż do pasa i jedna dłoń znalazła się bardzo blisko tej części Brenny, która najbardziej tęskniła za dotykiem Reilly'ego. Tak nie można. Nie można.

- Mamy mnóstwo pracy - ciągnął, całując szyję Brenny. - I ty, i ja.

- Dobrze wiesz, o jaką pracę mi chodzi, Reilly - odparła zaciskając zęby. Musiała je zacisnąć, aby nie uczynić tego, na co miała wielką ochotę, to jest podsunąć biodra pod dłoń, która spoczywała tak nęcąco na jej udzie. - Mówię o...

Lecz nie dokończyła zdania, ponieważ Reilly przesunął rękę i musnął wprawnymi palcami jej pantalonek, sprawiając, że spazmatycznie zaczerpnęła powietrza, a następnie przygryzła dolną wargę. O, Boże! Że też istniały takie wrażenia! A ona, zajęta wykresami i mikroskopem, przez cały czas nie miała o nich pojęcia...

- Reilly - powiedziała błagalnym tonem.

- Wszystko w porządku - odrzekł i wydało się jej, że w słabym świetle świecy dostrzegła błysk jego zębów. Jakby się uśmiechał. I niby czemu nie miałby się uśmiechać? Reilly Stanton był stale uśmiechnięty.

Po chwili znów ją całował, tylko że teraz jego pocałunek był inny. Nie szybki i wygłodniały jak poprzednio, lecz przeciągły - nadal żarliwy i intensywny, lecz bardziej zdecydowany. Po chwili Brenna pojęła, jaki był jego cel. Wstążka podtrzymująca pantalonek została rozwiązana i, zanim Brenna się zorientowała, ręka Reilly'ego Stantona znalazła się pomiędzy jej udami, głaszcząc wilgotne loczki, na które tam natrafiła.

Serce Brenny waliło tak mocno, że nie docierało do niej bębnienie deszczu o szybki okien. Zamknęła oczy. Cóż innego mogła uczynić? Nie mogła go powstrzymać. I już nie chciała.

A potem pantalonek w jakiś sposób zniknęły, tak samo jak jej

suknia. Brenna była naga. Kiedy spojrzała na Reilly'ego, stwierdziła, że on także jest rozebrany. Stwierdziła również, wiedzona czysto naukową ciekawością, że skóra Reilly'ego jest o ton lub dwa ciemniejsza od jej skóry... nawet w miejscach, które nigdy nie oglądały słońca.

Lecz Reilly nie dał jej czasu na dalsze obserwacje. Odrzucił suknię i przydusił Brennę do poduszek łóżka, w którym nigdy nie sypiał nikt inny tylko ona, a które teraz miało się stać świadkiem niezwykłych doznań. Wargi Reilly'ego natarły teraz z nowym wigorem, palce zajęły się włosami o miedzianej barwie, porastającymi trójkątne miejsce u zbiegu jej ud.

Lecz teraz nie była to tylko eksploracja. Ów najłżejszy z dotyków sprawił, że Brenna rozsunęła kolana.

A potem on znalazł się pomiędzy nimi. Jego gorące i twarde ciało lgnęło do jej ud, brzucha, piersi, ramion, którymi instynktownie otoczyła szyję Reilly'ego. Całował ją namiętnie, a między pocałunkami szeptał jej imię oraz inne słowa. Jedną rękę wsunął we włosy Brenny, które, pozbawione grzebienia, rozsypały się po poduszce, podczas gdy drugą ręką zdawał się czegoś poszukiwać...

Nagle poczuła go: twardego i pełnego, napierającego na nią. I zamiast się przestraszyć, jak wiedziała, że powinna, poczuła nieprzepartą chęć, by jej tam dotknął. Toteż rozsunęła uda... tylko odrobinę, ale to wystarczyło, bo nagle, jakby zaskoczony, znalazł się w jej wnętrzu.

Wcale nie jest tak źle, pomyślała. Dlaczego więc te dziewczyny od panny Laver - mające zamężne siostry - opowiadały, że za pierwszym razem tak bardzo boli?

A wtedy Reilly się poruszył, i już wiedziała.

Okazało się bowiem, że nie znalazł się jeszcze nawet w połowie drogi, a już bolało. Bolało tak bardzo, że Brenna zastanawiała się, co, u diabła, Flora ma z tego, oprócz bólu, a potem jeszcze większego bólu po dziewięciu miesiącach.

Krzyknęła i Reilly oczywiście natychmiast znieruchomiał, bo

nie chciał jej krzywdzić, co było jeszcze gorsze. Zalała się łzami, zakłęta i usiłowała go zepchnąć, ale on chwycił ją za obie ręce, przycisnął do materaca i naparł znowu. Tym razem wiedziała, że znalazł się w środku, co poczuła, żałując, że urodziła się kobietą...

Ale tylko przez sekundę. Bo tyle trwało, zanim spostrzegła, że już jej nie boli, a nawet, że czuje się zupełnie dobrze.

- Jak się czujesz?

Powoli zdała sobie sprawę, że Reilly leży na niej zastygły w bezruchu, ledwie oddychając, by nie sprawić jej bólu, choć najwidoczniej kosztowało go to sporo wysiłku. Czoło miał spotniałe, pomimo że w pokoju było chłodno, a żyła, którą Brenna spostrzegła już wcześniej, silnie pulsowała. Ścisnął ją za ręce tak mocno, że zdrętwiały jej palce.

Rozpatrywała jego pytanie z kliniczną dokładnością. Czy dobrze się czuje? Przed chwilą czuła, że rozpada się na kawałki, lecz dobrze wiedziała, że mężczyzna nie może w ten sposób roztrzaskać kobiety.

Aby odpowiedzieć na jego pytanie zgodnie ze stanem faktycznym, uznała, że niezbędne będzie wykonanie eksperymentu, toteż poruszyła biodrami, tylko odrobineczkę, aby sprawdzić, czy ból powróci.

Nie powrócił. Poruszając się w górę i w dół wzdłuż tej niezwykle twardej pałki, która w niej tkwiła, poczuła cudowne doznania.

Doznania, które z pewnością stały się także udziałem Reilly'ego, bo gdy Brenna się poruszyła, wstrzymał oddech, a żyła na jego czole zaczęła pulsować jeszcze silniej.

- Dobrze się czujesz, Brenno? - zapytał znowu, tym razem przez zaciśnięte zęby.

- Tak mi się zdaje - odparła, gotowa na przedyskutowanie tej materii, gdyby zaistniała konieczność.

Okazało się, że jedyną koniecznością, jaka zaistniała, było poruszenie tą częścią Reilly'ego, która tkwiła w Brennie, i to poruszenie w sposób całkowicie pozbawiający ją rozumu. Nagle

jej ciało wygięło się w łuk, ramiona zacisnęły na szyi Reilly'ego, a głowa, w stanie ekstazy letargu, opadła na poduszki...

Reilly oswoił nadgarstki Brenny i ujął w dłonie jej twarz, obsypał wargi pocałunkami, poruszając się znowu, i znowu, za każdym razem budząc w niej przekonanie, że teraz jest najprzyjemniej... a potem poruszył się jeszcze raz i biodra Brenny uniosły się na jego spotkanie, a ona pomyślała: Nie, nie, teraz jest jeszcze lepiej...

A on zagłębiał się coraz bardziej i bardziej, napierał mocniej i mocniej, sprawiając, że rama łóżka uderzała w ścianę, ale Brenna wcale się tym nie przejmowała. Radośnie witała każde kolejne natarcie, a Reilly za każdym razem ochryple wykrzykiwał jej imię, na co jej serce odpowiadało gwałtownym uderzeniem o jego serce...

Do chwili gdy wszystkie mięśnie jej ciała wyprężyły się jak żyłka wędki, do której, gdzieś głęboko pod powierzchnią duszy, przymocowane jest jakieś monstrualnie wielkie stworzenie.

Tylko że owym stworzeniem nie był liczący kilka metrów długości wąż, lecz kolosalna fala namiętnej rozkoszy, która rozbijała się o Brennę, mącąc jej zmysły, zalewając ją cielesnym zachwytem. Dygotała na całym ciele, od stóp po koniuszki włosów, nawet opuszki palców zdawały się promieniować erotyczną błogością...

A potem ostatnia roziskrzona fala odpłynęła, pozostawiając Brennę wilgotną, całkowicie zaspokojoną i niejasno świadomą, że na niej spoczywa ciało drugiej ofiary tej, jakże słodkiej, choroby.

Kiedy Reilly uniosł twarz z zagłębienia pomiędzy szyją a barkiem Brenny, świeca dogasała, lecz dawała odrobinę słabej poświaty, przy której Brenna dostrzegła malujący się na jego twarzy wyraz szczerzej troski.

- Nie zaczniesz mnie teraz oskarżać i obwiniać, prawda? - chciał się dowiedzieć.

- Za to, co zrobiliśmy? - spytała, sennie mrugając powiekami. Dochodziło pewnie w pół do siódmej, a ona czuła się tak, jakby to była północ.

- Właśnie. Bo jeśli masz takie zamiary - powiedział, unosząc pasmo jej włosów i przyglądając mu się w zamierającym świetle - spieszę cię zapewnić, że pragnę cię poślubić, i to od chwili, gdy przywróciłaś do życia starego Stubena. Mam nadzieję, że zgodzisz się ze mną co do tego, że to jedyne wyjście z sytuacji. To znaczy, małżeństwo.

Brenna zeszywniała. I nic nie mogła na to poradzić. Reilly poczuł to i powiedział, zanim zdołała cokolwiek z siebie wydusić.

- Och, na miłość boską, Brenno! Nie próbuj udawać, że mnie nie kochasz. Wiem, że nie pozwoliłabyś na to, co się właśnie stało, gdybyś mnie nie kochała.

Oczywiście miał rację. Kochała go, na Boga, choć wcale tej miłości nie pragnęła i nie potrzebowała. Dopiero teraz dotarło do niej, co się stało.

Kochała się z Reillym Stantonem. Ona, Brenna Donnegal, straciła cnotę z mężczyzną, którym jeszcze miesiąc temu głęboko pogardzała.

Co pomyślą sobie jej rodzice?

Rodzice? Co pomyśli lord Glendenning? Dobry Boże, dalsze zatrudnienie Reilly'ego Stantona zawisło na włosku, a on mówi o małżeństwie. Nie mogą przecież pozostać na Skye jako para małżeńska. Lord Glendenning nie zniósłby tego...

Ale ona musi zostać na Skye. Od jej pozostania tutaj zależy wszystko. Wszystko.

Nie mogła zebrać myśli. Nie w chwili, gdy on leży tak blisko... Na Boga, on wciąż jest w jej wnętrzu. Co ja zrobiłam? Co ja najlepszego zrobiłam?

Reilly przyglądał się jej twarzy, wypatrując oznak gniewu. Dostrzegł, że się skrzywiła, i czekał, co nastąpi. Nigdy przedtem nie pozbawił kobiety dziewictwa, lecz Shelley, który miał słabość do panien sklepowych, często instruował Reilly'ego i Pearsona. Dziewica, wyjaśniał im Shelley, zazwyczaj nie jest zachwycona utratą wianka.

A nawet jeżeli było jej przyjemnie, należy oczekiwać, że po fakcie będzie płakała i obwiniała partnera. A jeśli dziewczyna jest katoliczką - także modlitw, najczęściej do Madonny. Dlatego zawsze, pouczał ich Shelley, należy mieć przy sobie dużą czystą chusteczkę do nosa oraz jakieś świececisko z kamieniem szlachetnym, które należy podać w chwili, gdy się zanosi na wznoszenie modłów do Najświętszej Pani.

Reilly miał przy sobie chusteczkę do nosa - choć obawiał się, że w tej chwili jest ona prawdopodobnie mokra - lecz nie posiadał żadnego świececiska. Ale czy dziewczinę, którą zamierza się poślubić, także należy obłaskawiać z pomocą biżuterii? Shelley nigdy nie poślubił żadnej z dziewczyn, z którymi się zabawiał, nie wspomniawszy o tym, jak należy się zachować w takiej sytuacji.

Poza tym Reilly nie spodziewał się, że Brenna Donnegal zacznie odmawiać różaniec. Jeśli nawet wierzyła w najwyższą siłę stwórczą, to pozostawiała tę wiarę dla siebie. Na dodatek nie należała do kobiet lubiących błyskotki. Bardziej odpowiednim prezentem byłby dla niej dobry mikroskop. Albo wycieczka do nowej biblioteki medycznej w Paryżu...

Lecz jej wahanie nie miało nic wspólnego z odrazą do tego, co zrobili. Zauważył, że choć ma powieki opuszczone, w myślach odbywa jakaś pospieszną kalkulację. Pewnie się zastanawia, jak ma się wykręcić od małżeństwa, aby pozostać na tej przeklętej skalistej wysepce z paskudnymi Mackafeem i żalonymi Florami, by leczyć ich, gdy nadejdzie następna epidemia cholery. Reilly czytał to na jej twarzy!

Czy w całej historii ludzkości kiedykolwiek zdarzyła się taka kobieta? - zapytywał siebie. Może królowa Bodicea, myślał. Królowa Estera. Boże, uchowaj przed takimi fascynującymi, lecz przerażająco zdeterminowanymi kobietami! Jak to się stało, że zakochał się w jednej z nich? Gdzie się podział jego afekt, którym darzył Christine? O ile pamiętał, był w niej kiedyś bardzo zakochany.

Lecz czymże była Christine King w porównaniu z Brenna Donnegan? Płomykiem zapałki wobec płomieni, jakimi wybucha czynny wulkan.

Poczuł raczej, niż usłyszał, że burczy jej w brzuchu.

- Głodna? - zapytał, nie okazując niepokoju, który go dręczył.
- Chyba tak... - odparła słabym głosem.

Lecz mówiła tak cicho tylko dlatego, że rozmyślała na zupełnie inny temat... nie o Reillym. W jej oczach nie było ani śladu łez. Nie żałowała tego, co zrobili... przynajmniej nie otwarcie. Przynajmniej nie teraz.

Reilly nie wiedział, czy to oznacza, że wygra tę bitwę, czy też że ją przegra.

- No cóż... - powiedział i delikatnie się z niej sturlał. Poczła chłód wszędzie tam, gdzie przed chwilą znajdowało się ciało Reilly'ego. W małej sypialni było zimno. Cechował ją całkowity brak kobiecości... no, może z wyjątkiem obecności jej mieszkanki.

Bo, jak zauważył Reilly, Brenna Donnegan nigdy nie wyglądała piękniej niż w owej chwili. Nie umywały się do niej żadne piękności z obrazów Tycjana czy Leonarda da Vinci. Klasyczna piękność, długonoga i wąska w talii, lecz o pełnym biuście i krągłych biodrach. A ta skóra! Nie oglądał - i nie dotykał - takiej skóry nigdy w życiu. Barwy kości słoniowej i gładka niczym atłas. Zachwycony miał zamiar dotykać jej regularnie.

O ile, oczywiście, uda mu się przekonać jej właścicielkę, by za niego wyszła.

- Dokąd idziesz? - spytała, a potem usiadła i sięgnęła po biało-niebieską kołdrę, złożoną w nogach łóżka, pod którą, niestety, skryła swoją wspaniałą skórę.

- Poszukać czegoś na kolację. - Reilly włożył bryczesy, które podniósł z podłogi. - Chyba masz w domu coś do jedzenia, prawda?

Brenna odgarnęła z twarzy miedziane loki.

- Oczywiście, że mam jedzenie - odparła z oburzeniem. - Poczekaj, ja... - I sięgnęła po swoją ciemnoniebieską suknię.

- Nie - odparł z galanterią. - Pozwól, bym ja się tym zajął.
- Nie. Nie wiesz, gdzie co leży. Ja przygotuję kolację.

Na Boga! I tak będzie już zawsze? Będą toczyli boje o najdrobniejsze sprawy, na przykład o to, które z nich ma przyrządzić sałatę?

Cóż, będzie to z pewnością barwne, choć męczące życie.

- Dobrze. - Reilly rozpiął bryczesy, które zsunęły się na podłogę. Wszedł z nich i powiedział. - Wobec tego ty przygotuj kolację.

Po czym wskoczył z powrotem do łóżka i ułożył się, podkładając ręce pod głowę i krzyżując nogi w kostkach.

A ponieważ był zupełnie nagi, Brenna, zamiast wyjść do kuchni, zagapiła się na tę część jego ciała, która niedawno sprawiła im obydwojemu tak wiele przyjemności.

- Halo? - zapytał. - Czyżbyś zmieniła zamiar?

Wstydliwie odwróciła wzrok i poczerwieniała. Brenna Donnegal spaşowiała. Reilly uznał, że to czarujące.

- Nie - odparła szybko. - Ja tylko... Już idę i...
- Chyba że masz ochotę na coś innego - podsunął jej pogodnie.
- Ja... - Brenna odchrząknęła. Rumieniec nie schodził z jej policzków. - Cóż, ja...

Torturowanie jej w taki sposób było niezwykle zabawne, lecz Reilly nie miał serca, by drażnić się z nią dłużej. Wyciągnął rękę i przyciągnął Brennę do siebie. Kiedy upadła, kołdra się rozchyliła, uwalniając wszystkie ukryte pod nią śliczności.

- A może - powiedział - chciałabyś zostać w łóżku trochę dłużej...

- Owszem - odparła stłumionym głosem, ponieważ miała twarz wciśniętą w szyję Reilly'ego. - Mogłoby być miło...

I, rzeczywiście, było nader przyjemnie.

20

MacAdamsowie. Campbellowie. Mackafee'owie. Abercombe'owie. Murphy'owie. Marshallowie.

Wpatrywała się w te nazwiska, aż jej oczy zaszyły mgłą. Jest w tym jakaś prawidłowość. Wiedziała, że tkwi w tym prawidłowość. Lecz dlaczego ona nie potrafi jej uchwycić? Już od miesięcy wypisywała nazwiska na mapie Lyming, ale to wcale nie przybliżyło jej do rozwiązania problemu.

W Londynie, kiedy pomyślała o tym, owego wieczoru, gdy jej ojca wygwizdano na spotkaniu Królewskiej Akademii Medycznej, cała sprawa wydawała się taka jasna. Prawidłowość. Oto, czego nie dostrzegł ojciec. Prawidłowości, która podważyłaby teorię miazmatów i udowodniła, że zaraźliwe choroby w rodzaju cholery i duru brzuszego są spowodowane czymś innym.

Ale czym? Skoro chorób nie przenosiły trujące opary, wznoszące się w powietrzu, to w jaki sposób rozprzestrzeniała się gorączka? Jeżeli uda jej się znaleźć coś, cokolwiek, co łączyło rodziny, których członkowie zapadli na cholere, pozna tę prawidłowość.

Ale dysponowała wyłącznie nazwiskami, wypisanymi na mapie w pobliżu miejsc, gdzie owe rodziny pobudowały swoje domy. Dziesiątki rodzin. Setki imion.

Ale wciąż nie było w tym żadnej prawidłowości.
Żadnej odpowiedzi.

Westchnęła i ciałniej otuliła się kołdrą. W pracowni panował chłód. Nie palił się ogień. Nie bez znaczenia był też fakt, że pod kołdrą Brenna była zupełnie naga. Zostawiła Reilly'ego Stantona, śpiącego w jej łóżku. Kiedy przez zasłony w oknie sypialni wsączyło się blade światło poranka, stwierdziła, że twarz pogrążonego we śnie Reilly'ego jest nie mniej przystojna niż wtedy, gdy nie spał... ale dojrzała na niej pewną świetlistą niewinność, której nie było, gdy czuwał.

Cicho wyszła z sypialni i podgrzała sobie wodę na kąpiel. Napełniła przenośną miedzianą wannę - jej ojciec nigdy nie zainstalował porcelanowej wanny, którą zawsze tylko obiecywał rodzinie - kilkakrotnie wlewając do niej parującą zawartość kociołka. Kąpiąc się, powtarzała sobie, że nie zmywa grzechów... lecz tylko ich świadectwo.

Wykapawszy się, owinęła się kołdrą i poszła do pracowni, by, jak to często czyniła, przyglądać się wykresom.

Tylko że tym razem nie zrobiła tego w nadziei na znalezienie odpowiedzi, która tak długo jej umykała. Nie, tym razem przyszła do pracowni, ponieważ czuła, że musi pozostać sobą i zająć się tym, co ją zatrzymywało na Skye.

Właściwie nie w pełni docierała do niej waga wydarzeń minionego wieczoru. Zdawała sobie jednak sprawę, że zachowała się w sposób wysoce nierozważny, za co przyjdzie jej jeszcze zapłacić.

I wiedziała, że ceną będzie konieczność dokonania wyboru: pomiędzy tym, co w ciągu minionych miesięcy - a może nawet lat - stało się jej obsesją, oraz czymś najbardziej cudownym w całym jej życiu.

Bo Reilly Stanton był dla niej cudem, którego nie spodziewała się zaznać: mężczyzną, który ją szanował i podziwiał, ale jednocześnie był świadom jej niedostatków, które tolerował z łagodnym rozbawieniem. A w łóżku... O Boże, na myśl o tym, co zrobili w jej panieńskim łóżku, oblewała się się rumieńcem.

I na tym polegała niesprawiedliwość sytuacji. Brenna nie chciała dokonywać wyboru. Dlaczego Reilly Stanton wkroczył w jej życie właśnie teraz? Za kilka tygodni zrobi się tak ciepło, jak w zeszłym roku o tej porze, kiedy zaczęły się pierwsze infekcje. Nie może teraz opuścić wyspy. Zależy od niej życie tutejszych ludzi. Jej obowiązkiem jest nie tylko pomoc w przebrnięciu przez następną epidemię, jeśli do niej dojdzie, lecz także... co daj Boże... zapobieżenie nawrotowi zarazy.

Bała się jednak, że teraz, gdy Reilly Stanton, który już kilkakrotnie przełamał jej opór, zniszczył ostatnią zaporę, nie uda jej się wypełnić tej misji. Bo Reilly, wiedziała o tym, był zdecydowany ją poślubić.

Równie dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że tutaj, na Skye, nigdy do tego nie dojdzie. Bo Reilly, choć wydawało mu się, że przywykł do tutejszego życia, na zawsze pozostanie mieszkańcem nizin.

A mieszkańcy nizin, o czym każdy wiedział, nie mogli wytrzymać surowego życia w górach. Och, ze względu na nią Reilly zostanie tu przez pewien czas. Ale w końcu tęsknota za łatwym życiem w Londynie stanie się zbyt silna.

Był jeszcze jeden problem. Należało wziąć pod uwagę lorda Glendenninga. Nie mogli się pobrać w obecności Iaina MacLeoda. Hrabia nigdy by na to nie pozwolił. Brenna nie była pewna, do czego lord Glendenning byłby zdolny, ale z pewnością dopuściłby się przemocy...

Przemocy wobec Reilly'ego Stantona.

Brenna westchnęła i znów wpatrzyła się w wykresy, choć właściwie ich nie dostrzegała. Przebiegała pamięcią zdarzenia minionej nocy: uśmiech Reilly'ego, jego nieustającą pogodę ducha. Jego czułe usta na jej wargach, powiekach, piersiach. Kolację o północy, kiedy inny rodzaj głodu wyгнаł ich wreszcie z łóżka. Chwile radosnej wesołości, westchnienia...

Dlaczego nie możemy, zastanawiała się, po prostu dalej tak żyć? Dlaczego Reilly upiera się przy małżeństwie? Uznała, że

chciał ją pocieszyć... bo, faktycznie, biorąc pod uwagę to, do czego doszło, powinna czuć się nie najlepiej.

Ale ona wcale się tak nie czuła. To, co zrobili, wydawało jej się słuszne i naturalne.

Niepokoiła ją perspektywa małżeństwa.

Sam pomysł zostania żoną Reilly'ego Stanton'a nawet jej się podobał. Mieć to wspaniałe męskie ciało tylko dla siebie i na zawsze? Wspaniałe oświadczenia.

Ale z małżeństwem łączyły się sprawy, które ją przerażały...

- Co robisz? - Głęboki męski głos wyrwał ją z zamyślenia. Brenna szybko się obejrzała.

W drzwiach stał Reilly. Równie nagi jak ona pod swoją kołdrą.

- Nic - odparła, czując, że jej serce bije w przyspieszonym rytmie. Nie wiedziała, czy dlatego, że ją zaskoczył, czy też dlatego, że sama obecność Reilly'ego działała na nią tak pobudzająco - nie wspominając o drobiazgu, że był goluteńki.

- Coś jednak robisz - powiedział. I wszedł do pracowni, klapiąc bosymi stopami. - Aha - dodał, stwierdziwszy, w co się wpatrywała. - Nie sądzisz, że trochę na to za wcześnie?

Brenna wzruszyła ramionami. Przy tym ruchu kołdra odrobinę się zsunęła.

- Pomyślałam sobie, że dziś mogę spojrzeć na to innym wzrokiem niż wczoraj.

- Interesująca teoria - mruknął Reilly, unosząc brwi. - Ponieważ straciłaś, jak by to ująć, swój wianek?

Poczuła, że się rumieni.

- Cóż, ja bym tego tak nie ujęła...

- Wpuść mnie pod skrzydło - powiedział, unosząc brzeg kołdry. - Chętnie na to rzucę okiem, jeśli pozwolisz.

Brenna przesunęła się, robiąc mu miejsce na taborecie obok siebie. Reilly przysiadł na jednym pośladku i otoczył ramieniem talię Brenny, po czym obydwójce okryli się kołdrą. W tej intymnej pozycji przyglądali się mapie na biurku.

- Co to jest? - zapytał Reilly, wskazując palcem oznakowanie.
- Kościół. - Brenna nie mogła się nadziwić, że Reilly promieniuje takim ciepłem, ogrzewając jej przemarznięte ciało. Jakie to dziwne, myślała, siedzieć z nim w pomieszczeniu, którego nigdy nikomu nie pokazuję. W pewien sposób wydawało jej się to bardziej intymne niż to, co zaszło pomiędzy nimi w łóżku. Ponieważ tam Brenna otworzyła przed Reillym tylko swoje ciało. A teraz czuła się tak, jakby otwierała przed nim duszę.

- Gospoda - mówiła, wskazując mu różne miejsca na mapie. - A tutaj dom Mackafeech.

Reilly skinął głową. W miarę jak się przyglądał mapie, jego wzrok stawał się bardziej przenikliwy.

- A ta falista linia - powiedział - to nasz potok. - Gdy Brenna skinęła głową, dodał: - Nie miałaś chyba zbyt dobrych ocen z rysunku, prawda? Ani z kaligrafii. Co tu jest napisane?

- Północ - odparła, urażona.

- Ach, rozumiem. Naprawdę, okropnie bazgrzesz. Nie mogę cię odczytać. - A potem przeniósł wzrok na Brennę. - Więc moja sztuka uwodzenia nie rozjaśniła ci w głowie?

- Nie. - Będę mu chyba musiała powiedzieć, myślała, dlaczego nasze małżeństwo jest niemożliwe...

Lecz Reilly poprawił kołdrę i z wielkim skupieniem wpatrzył się w mapę.

- A więc tym się zajmujesz całymi dniami? - zapytał. - Przesiadujesz na stołku w tej zimnej klitce i patrzysz na źle narysowane mapy, czekając na olśnienie?

- Zwykle tak - odparła, starając się nie zwracać uwagi na to, że wzrok Reilly'ego, zamiast spocząć na jej oczach, wędruje gdzieś niżej, w kierunku biustu. - Czasami oglądam próbki gruntu, które zebrałam we wsi. Dzięki nim dowiedziałam się, że na wyspie nie ma gnijących odpadków. Takich, które mogłyby być odpowiedzialne za tworzenie się gazowych wyziewów...

- Naprawdę? - Reilly nie wydawał się specjalnie podekscyto-

wany tym, co usłyszał. - I po to tylko ryzykowałam gniew twoich rodziców i stryja? Po to, żeby siedzieć w pracowni i gapić się na mapy oraz przesiewać próbki gruntu?

Teraz za wzrokiem Reilly'ego poszedł jego palec, który delikatnie muskał pierś Brenny.

- No, niezupełnie.

Miała trudności z doborem słów, ponieważ palec Reilly'ego podążał teraz w górę, wzdłuż ud, które Brenna mocno zacisnęła, na wypadek gdyby chciał zawędrować jeszcze dalej, burząc wszelką nadzieję na racjonalne wyperswadowanie małżeństwa jego właścicielowi...

- Reilly - powiedziała, starając się nie zwracać uwagi na dłoń, która znalazła się tuż obok włosów, porastających miejsce u zbiegu jej ud. - Naprawdę musimy...

Lecz wtedy Reilly zsunął się z taboretu i, wraz z przypadającą mu częścią kołdry, pochylił się, jakby chciał coś podnieść z podłogi.

- Reilly - powiedziała, lekko poirytowana. Jakże mają omawiać drażliwy temat, skoro on w ogóle jej nie słucha? - Słyszysz mnie? Musimy porozmawiać o naszym dalszym postępowaniu...

- Doskonale wiem, co teraz zrobimy.

Co rzekłszy, z dużym znawstwem rozsunął jej kolana.

- Oto - powiedział - nasz następny krok.

Zanim się zorientowała, wtulił twarz pomiędzy jej uda.

Tego się nie spodziewała. Podczas spędzonych wspólnie długich godzin jeszcze tego nie próbował.

Dlatego, poczuwszy wargi doktora Stanton na najbardziej intymnym miejscu swego ciała, zeszywniała i chwyciła się ręką blatu biurka, podczas gdy drugą dłoń wsunęła we włosy Reilly'ego.

- R...Reilly... - wyjąkała. Na nic. Odrośnięty w ciągu nocy zarost łaskotał wewnętrzną stronę jej ud. - Co robisz?

- Myślałem - odparł głosem cokolwiek zduszonym, ponieważ wydobywającym się spod kołdry - że to w pełni oczywiste.

I w sekundę później takim się stało. Sztywne plecy Brenny stały

się wiotkie, a ona poczuła, że zsuwa się z taboretu, ponieważ wilgotny język Reilly'ego sprawił, że jej kości zmieniły konsystencję ze stałej na płynną. Gdyby nie jego ramiona, którymi obejmował nogi Brenny, asekurując ją, spadłaby na podłogę.

Zamiast niej znalazła się tam kołdra. Brenna czuła, jak nakrycie zsuwa się z jej ramion, ale nie była w stanie temu przeciwdziałać.

Poza tym teraz nie było jej ani trochę zimno. Reilly wydzielał z siebie takie ilości ciepła, że mogłby ogrzać wielką komnatę w zamku Glendeninga. A dzięki temu, co wyprawiały wargi Reilly'ego, ona samaomal nie spłonęła, zmieniawszy się w piorun kulisty.

Gdy wydawało jej się, że eksploduje z rozkoszy, którą dawały jej utalentowane wargi Reilly'ego, uniósł twarz. Tam, gdzie przed chwilą znajdowały się jego usta i język, dotarło chłodne powietrze.

Gwałtownie uniosła powieki i spojrzała na niego zaskoczona, podczas gdy ta jej część, której poświęcił tyle wytrwałej uwagi, wciąż pulsowała.

Wtedy spostrzegła, że Reilly także pulsuje. I właśnie dlatego przerwał pieszczotę i stanął przed nią, prezentując swoją, bijącą w oczy, żądzę... Konieczne było natychmiastowe jej zaspokojenie, toteż nie mieli czasu na powrót do łóżka. Przyciągnął ku sobie Brennę, otoczył ją ramionami i podsunawszy dłonie pod jej pośladki, uniósł i nasadził na trzon, mrucząc do ucha słowa...

Słowa, których nie miała czasu słuchać, bo całkowicie skupiła się na odczuwaniu.

Doznawała wrażeń podobnych jak minionej nocy, z jedną tylko różnicą: było jej jeszcze lepiej. Jak to możliwe, że za każdym razem doprowadzał ją do granicy wytrzymałości, do najwyższej ekstazy, a potem udawało mu się zaprowadzić ją jeszcze dalej? Od tego błogostanu była bliska szaleństwa. Teraz także balansowała na krawędzi, na skraju niebios. Jeszcze jedno pchnięcie, jeszcze jedno natarcie, a będzie stracona...

A potem rzeczywiście się zatraciła. Całe jej opanowanie roz-

leciało się na tysiące cząsteczek, z których każda migotała niczym kropelka deszczu w promieniach słońca. Krystaliczne odłamki reszek jej rozsądki ulatywały wokół, całując jej skórę, zanim opadły na podłogę.

I podczas gdy ona wtuliła się w Reilly'ego, on bez wytchnienia zagłębiał się w niej coraz bardziej, aż wreszcie doznał ulgi... ale stało się to dopiero wtedy, gdy przyparł plecy Brenny do biurka, aż jej rude loki rozsypały się po nieczytelnej mapie, na którą opadło czoło Reilly'ego, a on sam zwałił się na Brennę.

- No - powiedział i, ciężko dysząc, uniósł głowę. - Co chciałaś mi powiedzieć?

Lecz ona nie pamiętała. A zresztą to nieważne, pomyślała. Nie teraz, kiedy mają do przedyskutowania znacznie ciekawsze sprawy. Na przykład, ile czasu musi minąć, zanim znów to zrobią.

21

V/kazało się, że niewiele. Właśnie przychodzili do siebie po następnym podobnym wysiłku, gdy rozległo się stukanie do drzwi domku.

Po wczorajszym deszczu dzień wstał jasny i bezchmurny. W miarę wędrówki słońca po niebie robiło się coraz cieplej, więc Brenna i Reilly leżeli w łóżku niczym nie przykryci. Usłyszawszy walenie do drzwi, Brenna usiadła.

- To lord Glendenning - powiedziała. - O mój Boże, musisz się ukryć!

Reilly nie miał na to najmniejszej ochoty. Niby czemu? Wziął, co mu się należało, i nie widział powodu, by hrabia miał się o tym nie dowiedzieć. A poza tym był taki zaspany i rozleniwiony, że nie chciało mu się ruszyć. Prawdę powiedziawszy, był również obolały, co, jak sądził, stanowiło naturalną konsekwencję wielokrotnego kochania się z Brenna w ciągu minionych szesnastu godzin. Podejrzewał, że ona odczuwajeszczę większy dyskomfort.

- Ja nie żartuję - wysyczała Brenna, wkładając niebieską suknię. - Ukryj się.

- Nie ma mowy. - Reilly z rozbawieniem przyglądał się, jak walczy z suknią. Stwierdził, że nigdy nie znudzi mu się patrzeć

na nagie ciało Brenny Donnegal. Nawet ubrane stanowiło dla niego nieustające źródło zainteresowania. - Skąd wiesz, że to on?

- Jo kracze tak tylko wtedy, gdy odwiedza nas hrabia.

Rzeczywiście, Reilly dosłyszał krakanie bardzo poirytowanej Jo.

Brenna popędziła do toaletki i przeczesła palcami włosy.

- Wiedziałam, że tak się stanie - mamrotała. - Wiedziałam. On cię zabije. A wszystko z mojej winy.

Reilly uniósł brwi.

- Obrażasz mnie. Sam ponoszę odpowiedzialność za swoje czyny, nawet wtedy gdy, jak powiadasz, mogą doprowadzić do mojej śmierci.

- Jeśli nie chcesz się ukryć, to przynajmniej obiecaj, że nie wyjdiesz z tego pokoju. Słyszysz, Reilly? - Brenna obejrzała się przez ramię i rzuciła mu błagalne spojrzenie, któremu trudno się było oprzeć. - Lord cię zamorduje, jeśli się dowie, co pomiędzy nami zaszło.

- No, no - odparł Reilly. Ależ ona piękna, kiedy się tak denerwuje, pomyślał.

- Mówię poważnie. - Znowu stukanie do drzwi. - Idę! - zawołała Brenna, a potem jeszcze raz spojrzała na Reilly'ego. - Zostań tu, cokolwiek by się działo. Dla twego dobra.

- Nie przyszło ci do głowy - powiedział, machając zranioną dłonią - że na miecze jestem równie dobry jak na pięści?

- Po prostu się stąd nie ruszaj - błagała Brenna. - Nie tylko ze względu na siebie. Zrób to dla mnie. Nie chcę, żeby rozeszło się po wsi, że spędziłeś u mnie całą noc. Już i tak mam dość kłopotów z wielbnym Marshallem.

Reilly uznał, że jest to jedyny rozsądny powód, by nie zdradzać swojej obecności. Dobrze, nie ruszę się stąd, pomyślał z goryczą. Lecz gdy tylko Brenna wyszła z sypialni, wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać w rzeczy, które wreszcie wyschły po kąpieli w potoku.

- Idę, już idę - powtarzała Brenna, spiesząc ku drzwiom. Czego może chcieć lord Glendenning? - myślała. Hrabia nie miał zwyczaju nachodzić jej w domku, głównie dlatego, że nie spodobałoby się to pastorowi. Musiało się zdarzyć coś naprawdę szczególnego...

Otworzywszy drzwi, dowiedziała się, co go sprowadza.

- Jest tutaj?

Lord Glendenning wyminął ją i wpadł do kuchni, gdzie w zlewie odmały naczynia po kolacji i widoczne były inne dowody ich grzechu: stojące otworem drzwi do pracowni, wygasłe palenisko, całkowity brak jakichkolwiek śladów, że Brenna jadła śniadanie.

- Kto? - spytała Brenna, mając nadzieję, że zwraca się do hrabiego ze zwykłą sobie szorstkością. - Co się z tobą dzieje?

- Nie mogę go nigdzie znaleźć. - Lord Glendenning przygładził swoje nazbyt długie, kruczoczarne loki. Był prawdziwie przejęty. - Moira mówi, że nie wrócił od Mackafeech. Ale nie ma go u nich. Nie widzieli go od wczoraj... Rozpłatał wargę Haroldowi Mackafee.

Brenna podwinęła rękawy i zabrała się do mycia naczyń. Uznała, że to bardzo naturalne zajęcie, które pozwoli jej nie patrzeć na hrabiego, gdy będzie go musiała okłamywać. Wbrew kunsztownemu spiskowi, który uknuła, by wyprowadzić w pole wuja oraz rodziców, Brenna nie potrafiła kłamać.

- Mówisz chyba o Reillym Stantonie - powiedziała, zanurzając ręce w lodowatej wodzie. - Nie ma go tutaj, jak sam widzisz.

Lecz lord Glendenning, zamiast wyjść, na co miała nadzieję, odsunął od stołu jedno z krzeseł i usiadł na nim, przy akompaniamencie trzeszczących stawów i poskrzypywania krzesła, które nie zostało skonstruowane, by wytrzymać ciężar takiego olbrzyma.

- Nie mam pojęcia, gdzie on się może podziewać - powiedział zaniepokojony hrabia. - Myślisz, że nędzny los rodziny Mackafeech wpawił go w takie obrzydzenie, że opuścił wyspę?

- Nie bądź głupi - odparła Brenna, wycierając filizankę.

- Nie jestem. Mogło się tak zdarzyć. Czasami myślę, że Stanton jest przewrażliwiony jak kobieta. Pamiętasz, jaki był zaaferowany z powodu chłopaka MacGregorów...

- Którego omal nie zabiłeś - przypomniała mu zniecierpliwiona Brenna.

Hrabia tylko machnął ręką.

- Ale wszystko się dobrze skończyło. Widziałem go przed chwilą. Zostawił ci na progu naręcze stokrotek.

Słyszac to, Brenna uśmiechnęła się z zadowoleniem. A więc mały Hamish nie był takim niewdzięcznikiem, na jakiego wyglądał! Podziękował im za wczorajszą pomoc. Reilly na pewno się z tego ucieszy.

- Musiałem je kopnąć, żeby tu wejść - ciągnął lord Glendenning. - To okropny facet. Ten Mackafee. Może właśnie przez niego Stanton wyjechał. Ja sam wiele razy miałem ochotę rozkwasić mu gębę.

- Naprawdę? - parsknęła Brenna. - W takim razie okazałeś się niezwykle wstrzemięźliwy.

- Par, taki jak ja, nie może się zniżyć do bicia swoich poddanych - odparł z oburzeniem. - To nie uchodzi. A poza tym mój cios mógłby go pozbawić życia.

- Jasne - powiedziała ironicznie Brenna. - W takim razie powinnam ci pogratulować, że oszczędziłeś nieszczęśnika.

- Powinnaś. - Lord Glendenning spojrzał na wygasłe palenisko. - Jak to? - Zapytał zdumiony. - Nie ma dziś herbaty?

- Właśnie ją przygotowuję - odparła Brenna, nie odrywając wzroku od mydlin.

- Zaspałaś, co? - spytał hrabia z uśmiechem. Uznał jej ospałość za niezwykle zabawną. - Też bym sobie pospał, ale zjawili się ci przybysze z nizin.

Brenna postawiła filiżankę na półce. Dwie filiżanki obudziłyby podejrzenia hrabiego, więc pozostawiła drugą w mydlinach i zajęła się myciem łyżeczek.

- Jacy przybysze z nizin?
- Ci, którzy przyjechali dziś rano do doktora Stantona. - Zirytowany hrabia spojrział na belki pod sufitem. - Nie możesz uciszyć tego ptaszyska? Chętnie ci pomogę.

- Nic jej nie zrobisz. - Brenna podeszła do drzwi, uchyliła je i spojrzała na niezadowoloną wronę. - Na dwór. Już!

Ptaka sfrunął z belkowania i wyleciał z domku. Brenna zamknęła drzwi.

- Kto przyjechał do doktora Stantona? - spytała, starając się nie okazywać zbytniego zainteresowania.

- Dwóch jegomościów - odparł Glendenning. - Lub raczej dżentelmenów. Dość wystrojeni, wedle najnowszej londyńskiej mody. Jeden z nich ma srebrną laseczkę, a drugi wciąż pali cuchnące cygara.

- Rany boskie - powiedziała Brenna słabym głosem. Zastanawiała się, czy zamknięty w sypialni Reilly wszystko słyszy. - Czego chcą?

- Mają jakieś nowiny - odparł hrabia, wzruszając ramionami. - Dla Stantona.

- Mam nadzieję, że to nic złego.

- Nie sądzę, by odbyli taką podróż, gdyby nie stało się coś złego. - Glendenning odchylił się na oparcie krzesła, nie zważając na jego złowrogie trzeszczenie. - Wiesz, Brenno - powiedział w zamyśleniu - nigdy przedtem nie widziałem cię przy zmywaniu naczyń.

- Nie jest to wprawdzie tak ekscytujące zajęcie jak przecinanie krwiaka - stwierdziła - lecz jakoś sobie radzę.

Hrabia najwyraźniej nie dosłyszał w jej tonie nuty ironii.

- To mi się podoba - oświadczył.

- Przypuszczam - powiedziała, zaalarmowana gardłowym brzmieniem jego głosu - że zmywając, przypominam ci Florę.

- Nie chodzi mi o Florę - powiedział takim samym niskim głosem. I pochylił się do przodu.

Serce Brenny zabiło niespokojnie. Szybko sięgnęła po ścierkę do naczyń i wytarła ręce, na wypadek, gdyby musiała ich użyć do czegoś innego niż zmywanie. Żałowała, że nie zdążyła się obuć. Nie uśmiechało jej się uskakiwanie przed hrabią na bosaka, zwłaszcza że w chwilach takich jak ta miał tendencję do przydeptywania jej palców swymi wielkimi stopami.

- Flora - powiedziała szybko - zmywa znacznie lepiej niż ja.

- Ale nie wygląda przy tym tak ładnie jak ty, Brenno - odparł hrabia.

Następnie wstał gwałtownie. Krzesło, na którym siedział, upadło z łoskotem na podłogę, ale on zdawał się tego nie zauważać.

- Brenno - powiedział tym swoim wciąż gardłowym głosem i zbliżył się o krok. Wyraz pożądania na jego przystojnej twarzy roztopiłby serce każdej innej dziewczyny, lecz Brenna rozglądała się w poszukiwaniu noża.

W końcu okazało się, że wcale go nie potrzebowała. Zanim lord do niej podszedł, otworzyły się drzwi sypialni. Całkowicie ubrany Reilly Stanton wkroczył do kuchni pewnym krokiem.

- Halo - powiedział. - Szukał mnie pan, milordzie?

Gdyby sytuacja nie była taka poważna - ona sama zamarła z ręką tuż nad nożem do krojenia chleba, którym zamierzała rozpłatać twarz lorda Glendenninga, gdyby przysunął się bliżej, hrabia zastygł ze wzniesionymi ramionami, którymi miał zamiar objąć Brennę, by ją pocałować - Brenna wybuchnęłaby śmiechem. Hrabia był tak niepomiernie zdumiony, jakby ktoś dźgnął go widelcem do ryb.

- Rozumiem, że moi przyjaciele czekają na mnie w zamku? - zapytał Reilly, nonszalancko poprawiając krawat. - Musi im pan wybaczyć, milordzie. Poinformowałem ich w liście, że się tam zatrzymałem. Znaczy, w zamku. Zapomniałem im wspomnieć, że się przeniosłem do szpitalika. Cóż, w takim razie chodźmy.

Lord Glendenning nadal stał ze wzniesionymi rękoma. Brenna, nie wiedząc, co ma robić - lecz całkowicie świadoma, że nie chce

się znajdować w pobliżu jego wielkich pięści, gdy zaczęła się bójka - szybko podeszła do kredensu, gdzie stanęła, zastanawiając się, jak ma zapobiec rozlewowi krwi.

- Co? - zapytał lord Glendenning normalnym tonem. - Co ty tu robisz, Stanton?

- Ja? - zdumiał się Reilly, szeroko otwierając ciemne oczy. - Mogę panu zadać to samo pytanie.

- Ja? - jak echo powtórzył hrabia. - Szukam cię wszędzie, Stanton.

- No więc już mnie pan znalazł. I myślę, że sprawiliśmy pannie Donnegal dosyć kłopotu, prawda? Lepiej już chodźmy.

- Ale... - Wzrok hrabiego powędrował ku drzwiom, przez które wszedł Reilly. - Ale to jest sypialnia Brenny.

- Tak - powiedziała Brenna, zanim Reilly zdążył się odezwać i pogłębić swój własny grób. - To prawda. Doktor Stanton pomagał mi w czymś.

Lord Glendenning spojrzał na Brennę, potem na Reilly'ego i znowu na Brennę.

- W twojej sypialni?

- Tak - odparła Brenna, wychodząc z kąta i prostując dumnie plecy. - To była... sprawa osobista. Medyczna.

- Źle się czujesz? - zapytał hrabia, ściągając brwi. - Nie wyglądasz na chorą.

I miał rację. Brenna nigdy w życiu nie sprawiała wrażenia zdrowszej.

- To niedomaganie, którego, hm, nie widać.

- Chcesz mi wmówić, że tak dobrze się znając na medycynie, musiałas prosić o poradę tego konowała? - zapytał hrabia z niedowierzaniem.

Brenna skinęła głową.

- Tak. Widzisz, hm, nie mogłam tam sobie dosięgnąć...

Najwyraźniej nie powinna była tego powiedzieć, bo hrabia wybuchnął:

- Co ci jest, do diabła?

Reilly nie stracił zimnej krwi.

- Uspokój się, stary - odezwał się. - To tylko pieprzyk. Nic nadzwyczajnego. Panna Donnegal miała rację, zwracając się do specjalisty. Gdy ich nie leczyć, te rzeczy czasami robią się naprawdę paskudne. Choć w tym przypadku pieprzyk okazał się całkowicie niegroźny. Dzięki Bogu.

Lord Glendenning wciąż nie był przekonany.

- Gdzie jest ten pieprzyk? - zapytał.

- Doprawdy, milordzie. - Rumieniec Brenny nie był podrabiany. Nie mogła uwierzyć, że rozmowa przybrała taki obrót i wolałaby zapaść się pod ziemię, niż dalej ją prowadzić.

Lecz lord Glendenning nie wykazał ani odrobiny wrażliwości na jej kobiece poczucie wstydu.

- No, sama powiedz, Brenno. Co ja mam o tym wszystkim myśleć? Mówisz mi, że Stantona tu nie ma, a potem się okazuje, że jest w twojej sypialni. Ciekawe, co powiedziałyby na to wielebny Marshall. Bardzo jestem ciekawy.

- A ja chciałabym wiedzieć, co wielebny Marshall powiedziałyby na to, że przychodzisz do mego domu i oskarżasz mnie... sama nie wiem o co! - Oburzenie Brenny było równie prawdziwe jak jej rumieniec. - Doprawdy, milordzie, czuję się obrażona. Proszę, byś stąd natychmiast wyszedł.

- Wyjdę - powiedział, marszcząc brwi. - Jeżeli on wyjdzie.

Przy słowie „on” hrabia wskazał głową w kierunku Reilly'ego.

Reilly wyciągnął kapelusz z kieszeni płaszcza i starał się mu nadać jakiś przyzwoity kształt, co, jak spostrzegła Brenna, nie było możliwe.

- Dobrze - powiedział. - Panno Donnegal, cała przyjemność po mojej stronie. Mam nadzieję, że wkrótce znów się zobaczymy.

- Tak, oczywiście. Wkrótce - wymamrotała Brenna słabym głosem.

- Jeśli jest pan gotowy, milordzie... - powiedział Reilly, zwracając się do wciąż pełnego podejrzeń Glendenninga.

- Jestem gotowy - odparł hrabia. - Do widzenia, Brenno - powiedział, kiwnąwszy głową w jej stronę.

- Do widzenia, lordzie Glendenning.

Odprowadziła mężczyzn do drzwi. Reilly będzie musiał, pomyślała, wyprowadzić ze stajni konia, który spędził tam noc obok mojej klaczy. Miała nadzieję, że lord Glendenning nie zacznie się zastanawiać, dlaczego doktor, który wpadł tu tylko na chwilę, zadał sobie trud, by rozsiodłać wierzchowca.

Zamknąwszy za nimi drzwi i wróciwszy do sypialni, z przeżeniem spoglądała na dowody swych grzechów. I wtedy spostrzegła, że Reilly nie zabrał torby z przyrządami medycznymi.

Chwyciła ją i ruszyła ku drzwiom, by zawołać za Reillym, że zapomniał przyborów. Gdy to uczyniła, z zewnętrznej torby kieszeni wypadła jakaś książka i otworzyła się na stronie, na której widniało imię Brenny.

Zaciekawiona Brenna podniosła książkę i od razu poznała, że to prywatny pamiętnik Reilly'ego Stantona. Na stronie, która tak nieodparcie przyciągnęła jej wzrok, było napisane: *Nie udało mi się uratować życia topielca. Zostałem zawstydzony na oczach całej wioski przez amazonkę w spodniach. Ma na imię Brenna, ale nie przypomina żadnej z dotychczas poznanych.*

Przeczytawszy to, nie myślała już, by oddać Reilly'emu jego torbę. Usiadła na podłodze.

I czytała.

Na Boga, Stillworth. - Charles Abernathy Pearson III wyjął z ust cygaro i spojrzał w osłupieniu. - Co ty masz na głowie?

Reilly uniósł rękę na wysokość czoła. I wtedy mu się przypomniało - kapelusz, który w pośpiechu nasadził na głowę, by bronić Brenny przed natarczywością lorda Glendenninga.

Zdjął z głowy wymiętoszony kapelusz i rzekł:

- Zechciejcie pamiętać, panowie, że nie jesteście w Londynie, a tutaj nikt nie zawraca sobie głowy ubiorem.

St. John Christopher Fleming Shelley odstąpił od zbroi, którą bez powodzenia usiłował przymierzyć, przejrzał się w niej, a następnie obrzucił przyjaciela zaciekawionym wzrokiem i wykrzyknął wzburzony:

- A niech cię, Stillworth! Zapomniałeś, czego cię uczyłem? Nieważne, że ludzie nie dbają o to, jak wyglądasz. Masz się zawsze prezentować możliwie jak najlepiej. - Po czym dodał: - A ty, milordzie, wyglądasz okropnie.

Hrabia, który nie odstępował Reilly'ego, zatrzymał się gwałtownie i spytał z oburzeniem:

- Naprawdę?

Reilly spojrzał znacząco na swych przyjaciół i powiedział:

- Nie natrzęsajcie się ze stroju jego lordowskiej mości. Zapewniam was, że jest ubrany w zgodzie z nakazami tutejszej ostatniej mody.

Pearson i Shelley nie zrozumieli.

- Wystarczyły cztery miesiące na dzikich Hebrydach - ciągnął Shelley - a zapomniałeś, kim jesteś. Na miłość boską, mówiłem o tobie, Still...

- Tak, tak, masz rację. - Reilly klepnął przyjaciela w ramię mocniej, niż to było konieczne. - Musi pan wybaczyć moim przyjaciółom - zwrócił się do Glendenninga. - Mają dziwny zwyczaj zwracania się do mnie per „milordzie”. Sam nie wiem, kiedy się to zaczęło.

Pearson wyjął z ust cygaro.

- Chyba wtedy - powiedział oschle - gdy zacząłeś nalegać, aby cię tytułować markizem Stillworth.

- Racja. - Reilly walnął w plecy Pearsona. - Aleśmy się wtedy ubawili! Cóż za pomysł, ja i markiz!

Pearson, który, w chwili gdy Reilly przyłożył mu w plecy, właśnie zakrztusił się dymem cygara, rzekł, kaszląc:

- Rzeczywiście. Czy prawdziwy markiz zwracałby sobie głowę nauką, by zdobyć dyplom lekarza?

- A gdyby tak zrobił - dodał Shelley - na pewno nie zaczęłby praktykować. Chyba że byłby głupcem.

Glendenning roześmiał się z przymusem. Nadal nie otrząsnął się z szoku, którego doznał na widok Reilly'ego Stanton, wychodzącego z sypialni Brenny, i wciąż rzucał w jego stronę podejrzliwe spojrzenia. Reilly nie chciał go dobijać, wyjawiając, że jest markizem.

- A więc... panowie - powiedział hrabia, odrzucając do tyłu pelerynę. - Udało mi się odszukać waszego przyjaciela, tak jak obiecałem.

- Dobra robota - pochwalił go Shelley. Uniósł szklaneczkę whisky, którą najwyraźniej, pod nieobecność hrabiego, podał mu

służący. Fakt, że była zaledwie dziesiąta rano, w najmniejszym stopniu nie kłopotał Shelleya - ani Pearsona, który również wzniosł swoją szklanczkę.

- I gdzież on był? - zapytał Pearson.

- Domyślałam się, że w domu najładniejszej dziewczyny w okolicy - wypalił Shelley. - Tak samo bywało w Londynie, prawda, Chas?

- Prawda - zachichotał Pearson. - Żeby obejrzyć jej pieprzyki.

Lord Glendenning rzucił Reilly'emu tak wściekłe spojrzenie, że ten ostatni z trudem opanował wybuch śmiechu i powiedział:

- Wspaniały dowcip. A teraz powiedzcie, co was sprowadza na Skye. Muszę stwierdzić, że nie spodziewałem się waszej wizyty.

Pearson i Shelley spojrzeli po sobie. W końcu, na skutek dziwacznych min i takichż odzywek Reilly'ego, zorientowali się, że coś nie jest w porządku.

- Cóż - zaczął powoli Pearson. - Mamy dla ciebie nowiny...

- Coś, o czym nie chcieliśmy pisać w liście. - Shelley, wyższy, lecz bardziej wymuskany z dwóch przyjaciół, odgarnął z czoła delikatne jasne włosy i wsparł się na laseczce ze srebrną główką. - Ale może wolisz posłuchać tego bez świadków.

- Racja - dodał Pearson. Zgniółł cygaro na zniszczonej srebrnej tacy, którą Raonull podał specjalnie w tym celu, oraz podkreślił gęste brązowe wąsy. - Proszę nam wybaczyć, milordzie - zwrócił się do hrabiego.

Jednakże hrabia nie zrozumiał aluzji. Opadł na swój ulubiony fotel, ten, który stał najbliżej kominka, i spojrzał wyczekująco na Reilly'ego i jego przyjaciół.

- To sprawa - powiedział Shelley zakłopotany - natury prywatnej, Still... to znaczy, Stanton.

- Wszystko w porządku. Możecie to powiedzieć w obecności Glendenninga. - Reilly także usiadł i przesunął fotel tak, by mieć hrabiego na oku. Po tym, co zaszło w domku Brenny, musiał go pilnować. Do chwili gdy, po ich ślubie, Brenna znajdzie się pod opieką Reilly'ego.

A może nawet dłużej.

- Hrabia i ja jesteśmy przyjaciółmi - ciągnął spokojnie. - Dobrymi przyjaciółmi. Prawda, Glendenning?

- Z całą pewnością - potwierdził jego lordowska mość. I choć jego ton brzmiał przyjaźnie, hrabia nie przez przypadek wybrał tę właśnie chwilę, by wyjąć z pochwy swój odziedziczony po przodkach miecz i zacząć go polerować.

Pearson i Shelley wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- No cóż, panowie. Czekam - powiedział Reilly, odchylając się na oparcie fotela.

Nie bardzo wiedząc, jak się mają zachować, Pearson i Shelley także znaleźli sobie fotele - choć ich tapicerka była wytarta, a poduszki z lekka zatraçały zapachem psów, taktownie o tym nie wspomnieli - i usiedli, ściskając w dłoniach szklaneczki whisky, jakby to były ich ostatnie deski ratunku.

- Twoja szanowna matka czuje się dobrze, Still... to znaczy, Stanton. - Pearson musnął wąsy. - Widzieliśmy ją przedwczoraj na baliecie.

- Twoje siostry także - Shelley nie mógł się usadowić w fotelu. - Wszystkie zdrowe. Można by rzec, kwitnące. Stan małżeński świetnie im służy.

Reilly spostrzegł, że Pearson mocno kopnął Shelleya w kostkę. Był jednak pewien, że Pearson chciał to uczynić ukradkiem.

- Tak - powiedział Reilly. - Ze szwagrami łączą mnie więzy szczerzej sympatii. A moje siostrzenice i siostrzeńcy? Mam nadzieję, że u nich także wszystko w porządku.

- W jak największym - pośpiesznie zapewnił go Pearson. - Przyjechaliśmy tutaj nie w związku z rodziną, Still... Stanton. Chodzi o to...

- Nie wiedziałem o tym, że masz siostry, Stanton - wtrącił hrabia.

Reilly spojrział na Glendenninga, który starannie pucował ostrze miecza miękką szmatką.

- Mam - powiedział Reilly z promiennym uśmiechem. - Cztery siostry.

- Młodsze od ciebie?

Reilly skinął głową.

- Najmłodsza, Julia, wyszła za mąż ostatniej jesieni.

- Ach - powiedział Glendenning. Uniósł rękojeść miecza, celując ostrzem brzeszczotu w Reilly'ego, i udawał, że wypatruje szczerb. - Twoja stara matka nie może się pewnie doczekać, żebyś ty także zawarł związek małżeński.

- Raczej tak - odparł Reilly ostrożnie.

- No właśnie - podchwycił Pearson. - Właśnie dlatego tu jesteśmy. Prawda, Shelley?

Shelley odkaszlnął, bo na widok miecza wycelowanego w Reilly'ego, nieco się zakrztusił.

- Prawda - wychrypiał. Wstał i nalał sobie whisky. - Reilly, mój stary, dolać ci trochę tego doskonałego trunku?

- Nie trzeba - odparł Reilly z uśmiechem.

- Cóż, pomyślałem, że whisky dobrze by ci zrobiła. - Pearson napił się. - Kiedy już usłyszysz nowiny.

- Skoro z matką i dziewczynami wszystko w porządku, nie wiem, co mogłoby mnie zaniepokoić.

Shelley, który nalał whisky pomimo odmowy Reilly'ego, podał mu szklaneczkę.

- Idzie o to, Stan ton... - zaczął, gdy Reilly odbierał od niego trunek, a potem opadł z powrotem na oparcie. - Och, nie mogę. Chas, ty mu powiedz.

- Osiół z ciebie, Sinjun - mruknął Pearson. Następnie zwrócił się do Reilly'ego: - Posłuchaj, stary. Sprawa wygląda tak. Twoja panna King związała się z tym błaznem Ethelridge'em. - Po czym jednym haustem opróżnił szklaneczkę, jakby to jego dotyczyła wiadomość.

- I to wszystko? - zapytał Reilly, spoglądając to na jednego, to na drugiego przyjaciela. - I po to przejechaliście taki kawał drogi? Żeby mi powiedzieć, że Christine wyszła za mąż?

Shelley, nie mogąc dłużej znieść napięcia, zerwał się z krzesła i zaczął chodzić po komnacie.

- Mało, że wyszła za mąż, stary! - wykrzyknął. - Poślubiła tego gałgana Ethelridge'a! Przecież to nicpoń o wiele gorszy od nas! Słyszałem, że ma z pół tuzina bękartów, wychowywanych w wiejskim klasztorze. I ta kobieta - która niesłusznie oskarżała cię o te wszystkie okropieństwa - teraz wyszła za mąż za kogoś takiego! To hipokrytka. Oto, kim jest. I zawsze nią była. Co ty na to, stary?

Reilly ani trochę się tym nie zmartwił. Wprost przeciwnie. Jeżeli Christine zadała mu jakieś rany, już dawno się z nich wyleczył. Sprawił to pobyt w Lyming.

- Życzę im wszystkiego najlepszego.

Dwaj przyjaciele znów wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Widzę, stary - powiedział Pearson - że doskonale to zniosłeś. Obawialiśmy się, że będziesz... bardzo nieszczęśliwy, kiedy o tym usłyszysz.

- Zwłaszcza że przybyłeś tu wyłącznie z jej powodu. Żeby zrobić wrażenie na tej hipokrytce, pannie King.

- Jeżeli będzie to dla ciebie jakkolwiek pociechą - powiedział Pearson - wiedz, że wszyscy o tym gadają. W zeszłym miesiącu Ethelridge wszedł w posiadanie pięćdziesięciu tysięcy funtów. Panna King nie traciła czasu. Twoje dwadzieścia na rok nie mogą się z tym równać. Kupili dom przy Park Lane. Szybko przejedzą te pięćdziesiąt tysięcy.

- A ja słyszałem - dodał Shelley, ścisząc głos do konspiracyjnego szeptu - że ona nawet nie była w bieli.

- Panowie - powiedział Reilly, stawiając swoją szklaneczkę na podłodze, bo w pobliżu nie było żadnego stołu. - Cieszymy się szczęściem państwa młodych. Nie należy rzucać kalumnii na żadną ze stron.

- Ależ, Reilly! - wykrzyknął zdesperowany Shelley. - Teraz stało się jasne, że Christine King jest pazernym na pieniądze

pasożytem. Wszystkim nam zamydliła oczy swoją świętoszkowatością. A ty sam nazwałeś kiedyś Ethelridge'a małym nasie...

- Coś tu nie gra - przerwał mu Pearson. Przyjrzał się Reilly'emu. - Spodziewaliśmy się, że na tę wiadomość dostaniesz apopleksji. A ty mówisz o Christine King, jakby to była pierwsza lepsza dziewczyna, a nie twoja była narzeczona.

- Właśnie - Shelley nawet nie usiłował kryć rozczarowania. - Zupełnie straciłeś dla niej głowę, pamiętasz? Mógłbyś przynajmniej cisnąć czymś o podłogę.

- Ciskanie o podłogę nic tu nie da - powiedział Pearson. - Właściwie, oprócz przekazania ci złych wiadomości, mieliśmy jeszcze jeden powód, by tu przyjechać. Żeby cię zabrać do domu.

- Słucham? - zapytał zaskoczony Reilly.

- Pewnie! - Shelley postukał się w czoło. - Nie ma powodu, żebyś siedział dłużej na tej zakazanej wyspie. Już nie. Panna King wyszła za mąż, więc nie musisz jej nic udowadniać. Ona już nie jest do wzięcia. Zaczynaj pakować manatki, stary.

- Do domu? - Reilly spoglądał to na jednego, to na drugiego.

- Tak, do domu - odparł Shelley z entuzjazmem. - Pamiętasz chyba? Londyn. Gdzie w każdej chwili można zamówić bezy. Gdzie kobiety nie chodzą w spodniach... - Otrząsnął się z obrzydzeniem. - Jak to możliwe, że poświęciłeś temu faktowi tak wiele miejsca w liście? Wciąż nie mogę sobie wyobrazić...

- Bardzo mi przykro - szybko przerwał mu Reilly i zerwał się z fotela. - Ale obawiam się, że nie wrócę do domu. A w każdym razie nie teraz.

- Niemożliwe... - Skonsternowany Pearson spojrział na Shelleya. - Nie dotarło do ciebie, cośmy ci powiedzieli? Christine wydała się za Ethelridge'a. Nie ma powodu, byś tu tkwił nadal.

- Wprost przeciwnie - odparł Reilly. - Mam wszelkie powody, by tu pozostać.

I choć miał na myśli przede wszystkim Brennę, zatrzymywało go coś jeszcze.

- Po prostu nie mogę zostawić moich pacjentów - oświadczył, dziwiąc się własnym słowom.

- Twoich pacjentów? - zapytał Shelley z niedowierzaniem.

- Kto by się przejmował pacjentami, stary? Możesz wracać do domu. Woda w kranie. Wygódka w domu. A może już o tym wszystkim zapomniałeś?

- Dzięki za przypomnienie. Ale jakiś czas temu postanowiłem sobie, że nie wrócę do mojej londyńskiej praktyki - powiedział Reilly, choć powziął tę decyzję dopiero w tej chwili. - Jestem tutaj potrzebny - ciągnął. - Więc jeśli...

- Nie wierzę własnym uszom! - zawołał Shelley. - Słyszałeś go, Chas?

Pearson pokręcił głową.

- Widzę, że stoi przede mną i porusza ustami. I wypowiada jakieś słowa... ale ja w nie nie wierzę.

- Ani ja - powiedział Pearson, a potem zwrócił się do Reilly'ego: - Kim ty jesteś?! - ryknął. - I co zrobiłeś z naszym przyjacielem Stantonem?

Reilly, który zawsze uważał Shelleya i Pearsona za najlepszych przyjaciół, zacisnął zęby. Czy to możliwe, że zawsze byli tak okropnie tępi, czy też zmienili się po jego wyjeździe? Czyżby nie dostrzegali, że on tu chce zostać?

Najwyraźniej nie. Czy ma im to wykrzyczeć? Że po kilku miesiącach mieszkania w Lyming uważa wioskę za swój dom, a jej mieszkańców za swoją rodzinę? Czy musi im wyjaśnić, że teraz, kiedy robi się coraz cieplej i nawrót cholery staje się coraz bardziej realny, on nie może porzucić wieśniaków? Nie może wyjechać, gdy jest tu najbardziej potrzebny.

No i, oczywiście, jest jeszcze Brenna. Ale o niej nie może im opowiedzieć. Nie w obecności Glendenninga, polerującego ten miecz...

A może nie będzie im musiał nic mówić.

Shelley chwycił Pearsona za ramię.

- Boże! - wykrzyknął. - Przyszło mi do głowy coś okropnego.
- Co? - zapytał Pearson.
- Domyślam się, dlaczego nie chce z nami wrócić do Londynu. - Shelley podejrzliwie spojrzął na Reilly'ego. - Nawrócił się. Odnalazł religię.

Pearson strząsnął z ramienia dłoń Shelleya.

- Nie bądź durniem.
- To dlaczego chce tutaj zostać? - Shelley z niepokojem zerknął na Reilly'ego. - Chyba nie zaczniesz cytować Leviticusa * co, stary?

- Nie - odparł Reilly, poprzez zaciśnięte zęby. - Ale wyrzucę was stąd na zbity łeb, jeśli nie przestaniecie się zachowywać jak para głupków.

- Głupków? - powtórzył zdumiony Shelley - Obrażasz nas...
- Przestańcie - Pearson uniósł dłonie. - Cicho bądźcie. Obydwaj. Muszę się zastanowić.

I zamyślił się, marszcząc z wysiłku czoło. Reilly najchętniej wytargałby ich obu za uszy, ale to z pewnością obudziłoby podejrzania hrabiego. Glendenning zaczęłaby roztrząsać, dlaczego Reilly za wszelką cenę chce się pozbyć swoich gości. Może po to, by jak najszybciej wziął w ramiona Brennę Donnegal?

Lepiej będzie usunąć ich stąd w sposób nie tak gwałtowny i mniej rzucający się w oczy.

- To wszystko nie ma sensu - oświadczył Pearson, unosząc głowę. - Facet przyjeżdża tu po to, by udowodnić tej harpii, pannie King, ile jest warty, a usłyszawszy, że ona poślubiła innego, nie okazuje najmniejszego żalu...

- I nawet nie rzuca przedmiotami - dodał Shelley.
- ...tylko życzy państwu młodym szczęścia. A gdy mu doradzam powrót do domu, do bliskich i do wszelkich wygod, jakie go tam

* Leviticus (z łac. dotyczący Lewitów) - Księga Kapłańska, trzecia księga biblijnego Pięcioksięgu (przyj. tłum.).

czekają, grzecznie odmawia. Nie ma na to żadnego racjonalnego wytłumaczenia. Poza...

Pearson zamilkł i rzucił Reilly'emu zdumione spojrzenie.

- Na Boga!

- Co? Co? - dopytywał się zaniepokojony Shelley.

- Panowie - Reilly wyciągnął do nich prawą rękę. - Dziękuję, że przejechaliście taki kawał drogi, by opowiedzieć mi o szczęściu, które spotkało pannę King... to znaczy, teraz już lady Ethelridge. Teraz jednak muszę odwiedzić pacjentów. Jak wiecie, praca praktykującego na wsi lekarza nie jest łatwa.

Pearson podniósł się z fotela, podszedł do Reilly'ego i uściśnął jego dłoń. Następnie przyciągnął go ku sobie, co dla lorda Glendenninga miało wyglądać na przyjacielski uścisk, i wyszeptał Reilly'emu do ucha:

- Ty łajdaku! Kim ona jest?

- Nieważne - odparł Reilly, także szeptem. - Po prostu zabierajcie się stąd i nie ważcie się wracać.

- A więc o to chodzi? - Uścisk Pearsona trwał stanowczo zbyt długo. - Ten bałwan hrabia także się do niej pali, co? Zauważyłem, że teraz jest znacznie bardziej ponury niż rano, kiedyśmy go widzieli pierwszy raz. Co się stało? Przyłapał cię na gorącym uczynku z jego ukochaną?

- Do widzenia - powiedział Reilly, wyswobodzając się z uścisku przyjaciela. - Miło was było zobaczyć. Pozdrówcie moją matkę, gdy ją znowu spotkacie.

Teraz objął go Shelley.

- To chyba nie ta amazonka, co? - wyszeptał. - Powiedz, że to nie ta w spodniach, o której nam pisałeś. Twoja matka będzie wstrząśnięta. Jestem pewien.

- Lepiej się pospieszcie - ponaglał Reilly. - Bo spóźnicie się na prom do Lochalsh.

Glendenning parsknął.

- Coś pana rozbawiło, milordzie? - zapytał Reilly.

- Prom - zachichotał Glendenning. - Dzisiaj już nie odpłynię. Mamy środę.

- On ma rację - przyznał zgnębiony Reilly. - W środę kursuje tylko raz.

Pearson i Shelley spojrzeli po sobie.

- Dlaczego? - zapytał Pearson.

- Nie wiem - odparł Reilly, wzruszając ramionami. - Po prostu tak jest. Obawiam się, że będziecie musieli zostać tu na noc.

Na Pearsonie ta wiadomość nie zrobiła wrażenia. Shelley zaś wykrzyknął, jakby mu kazano zjeść swego pierworodnego.

- Tutaj? Mamy tu zostać na noc? Na Skye?

Teraz, przekonawszy się, że tak łatwo się ich nie pozbędzie, Reilly poddał się losowi i usiłował jak najlepiej wybrnąć z sytuacji. Przyjacielskim gestem położył dłoń na ramieniu Shelleya.

- Daj spokój, stary - powiedział radośnie. - To nie takie straszne.

- Nie takie straszne? - Shelley rozejrzał się po komnacie, a na jego przystojnej twarzy odmalował się wyraz niesmaku. - I niby gdzie mielibyśmy się zatrzymać? Chyba jest tu jakiś zajazd? Powiedz, że tak.

- No cóż - odparł Reilly. - Nie mamy tu zajazdu.

- Wiedziałem. - Shelley wzniosł oczy ku przyporom sklepienia. - Będziemy musieli przenocować na sianie.

- Bzdury.

Reilly'emu przyszedł do głowy diaboliczny pomysł. Nieczęsto miewał przebłyски geniuszu, ale tym razem jego inwencja była niedościgniona.

- Czy zgodziłby się pan, by moi przyjaciele zostali na noc w zamku, milordzie?

Glendenning uniósł głowę znad miecza.

- Tutaj? - zapytał zdumiony.

- Tak. Tutaj. W zamku. Oczywiście mógłbym ich zabrać do szpitalika, ale co będzie, gdy się nadarzy jakiś pacjent? Mam tam tylko trzy łóżka. Chyba mogą tu zostać na noc, co, stary?

To było wyborne. Piękne w swoje prostocie. Reilly żałował, że nie wpadł na to od razu. Piekł dwie pieczenie na jednym ogniu. On spędzi czas z Brenna, a przyjaciele będą mieli na oku Glendenninga. Piękne. Doskonałe...

- Oni nie będą chcieli tu zostać - powiedział zaniepokojony hrabia. - Co ze szcz...

- Och, Pearson i Shelley nie są wybredni - przerwał mu Reilly. - Kilka myszek w niczym im nie przeszkodzi.

- Myszy! - krzyknął przerażony Shelley.

- Nie chodzi mi o myszy - obstawał przy swoim Glendenning. - Mówię o sz...

- Wybaczcie. - Reilly wyjął z kieszeni zegarek. - Oj, spóźnię się do chorego! A wy, panowie, zostańcie i dotrzyście towarzysztwa jego lordowskiej mości... - powiedział, spoglądając znacząco na Pearsona. - Postaram się wpaść wieczorem na kolację.

- Stanton - rzekł Glendenning, wstając. Miecz błyskał złowrogo w jego prawej dłoni. - Ja...

Ale Reilly już zmierzał do wyjścia.

- Tak mi przykro, że nie mogę zostać. Shelley, pokaż jego lordowskiej mości tę twoją sztuczkę. Tę, wiesz, z kciukiem...

I podczas gdy Shelley starał się zająć lorda Glendenninga swymi bardzo zwinnymi palcami, Reilly umknął z zamku i, odszukawszy wierzchowca, pogalopował do Burn Cottage. Na złamanie karku, jak to później określił Hamish - który pomimo zaleceń lekarza powrócił, by doglądać owiec, kiedy tylko Lucais i jagnię obeschły po przygodzie w potoku.

23

Ilekcroć o niej myślę, przypominają mi się blade róże na parapecie okna w sypialni mojej siostry Cecylii. Jest taka delikatna i eteryczna jak ich kwiecie, które więdnie przy najlżejszym podmuchu wiatru.

Ore nna uniosła brwi i ugryzła duży kęs jabłka, które jadła na lancz. Żując, odwróciła stronę.

Nie widziałem jej dzisiaj. Zupełnie jakby zgasło słońce. Nie czuję nawet ciepła kominka, który tak mnie rozgrzewał. Teraz tylko ona może mnie rozgrzać. Żyję dla jej uśmiechu, umieram, gdy zmarszczy czoło...

Brenna usłyszała tętent końskich kopyt i uniosła głowę. Ktoś nadjeżdżał, i to w wielkim pośpiechu. Ze swego miejsca na gałęzi drzewa dostrzegła siwka, bardzo podobnego do wierzchowca Reilly'ego Stantona. Przeniosła wzrok na kartkę pamiętnika.

Co powie na mój widok dziś wieczorem? Czy zadrzy? A może będzie udawać, że jej na mnie nie zależy? Męki oczekiwania.

Dlaczego tak mnie torturuje? Nie, to nieprawda. W niej nie ma cienia sztuczności.

Reilly Stanton wstrzymał konia tuż przed drzwiami domku. Wołając imię Brenny, zsunął się z siodła, po czym złapał za klamkę, nie stukając.

- Brenno?! - usłyszała, jak ją wołał. - Gdzie jesteś, Brenno?
Brenna spokojnie przewróciła kartkę.

Ona nie jest jak słońce. Bo to oznaczałoby, że ma ognisty temperament. A ona jest całkiem inna. Chłodna i tajemnicza jak księżyc.

Reilly obiegł wewnątrz domku i wypadł na dwór, mrużąc oczy przed słońcem.

- Brenna?! - zawołał.

Brenna odrzuciła na ziemię ogryzek, który spadł z wysokości ponad dwóch metrów, i zaczęła czytać na głos:

I tak jak księżyc panuje nad moimi nastrojami. Jestem szczęśliwy, gdy ona jest szczęśliwa, i smutny, gdy ona posmutnieje...

- Och, Reilly - zamilkła i spojrzała na niego. - To naprawdę okropne.

Reilly stanął pod drzewem i uniósł głowę, aby ją dojrzeć pomiędzy listowiem.

- Brenna? Co ty tam robisz? Oszalałaś! Chcesz skręcić kark? Natychmiast zejdziesz z tego drzewa.

- Nie mam zamiaru - odparła chłodno. - Bo widzisz, czytam właśnie coś niesłychanie zabawnego.

Dojrzał, co trzymała w rękach, i powiedział spokojnie:

- To prywatne zapiski. Dobrze o tym wiesz.

- Wiem - odparła, przewracając kartkę. - Tak samo jak moje

badania. A jednak to cię nie powstrzymało. Wszedłeś do pracowni wbrew mojej woli.

- Ale to było co innego - zaproponował Reilly.

- Niby czemu? Na czym polega różnica?

- To było przedtem. - Szukał wzrokiem gałęzi, na którą musiała się najpierw wciągnąć. - Zejdź, Brenno. Chcę z tobą porozmawiać. I przestań czytać ten pamiętnik. To same idiotyzmy.

- Też tak uważam. Oto mój ulubiony fragment: *Bum Cottage jest czarujący, malowniczy jak z obrazu Gainsbourgh. Christine podobałyby się kryty strzechą wiejski dach. Jest tylko jeden problem: mieszka w nim amazonka.*

Opuściła pamiętnik i spojrzała na Reilly'ego.

- To chyba o mnie.

Reilly oparł dłonie na biodrach i znów zadarł głowę.

- Po tym wszystkim, co między nami zaszło, będziesz się natrzasać z moich głupich zapisków?

- Jasne, że tak. Jestem amazonką, prawdopodobnie pozbawioną wszelkich wyższych uczuć...

- Brenno!

- W przeciwieństwie do tej twojej Christine, którą porównujesz do róży, do księżycy oraz nowo narodzonej sarny. - To rzekłszy, cisnęła pamiętnikiem, celując w głowę Reilly'ego, który w ostatniej chwili zdążył się uchylić. - Skoro znaczy dla ciebie tak wiele, powinieś do niej co prędzej wrócić, nie uważasz? Oddasz nam wszystkim wielką przysługę i przestaniesz żałośnie opłakiwać rozstanie...

Urwała i pisnęła, bo zmęczony jej gadaniną Reilly podskoczył i złapał rąbek jej spódnicy, który zwiisał nad jego głową. Pociągnął mocno i Brenna straciła równowagę, po czym spadła wprost w jego rozwarte ramiona.

Znalazszy się nos w nos z Reillym, spoglądała na niego zaskoczona.

- Skoro już skończyłaś - powiedziała oschle - może pozwolisz mnie dojść do słowa.

Odwróciła twarz.

AMAZONKA

- W porządku - ciągnął. - Po pierwsze, wszystko, co przeczytałaś, napisałem wiele miesięcy temu...

- Tak - przerwała. - Zorientowałam się. Po przybyciu na Skye zamilkłaś. Ostatni zapis dotyczy amazonki...

- Właśnie. I wiesz dlaczego?

- Przypuszczam, że po całej tej bazgraninie na temat Christine zdrętwiała ci ręka...

- Nie - powiedział. - Ponieważ jestem szczęśliwy.

Na chwilę szeroko rozwarła oczy, a potem znów je zmrużyła.

- O, tak. Masz do czynienia z tutejszymi półgłówkami i z amazonką, a to uszczęśliwiłoby każdego mężczyznę...

- Posłuchaj mnie. - Chwycił ją mocno, aby mu się nie wyśliznęła jak ryba. - Wszystkie te bzdury, które napisałem o Christine, są tylko bzdurami. To brednie wypisywane przez chłopaka, któremu się zdaje, że jest zakochany. Nie miałem pojęcia o miłości, dopóki nie spotkałem ciebie, Brenno. I kiedy to zrozumiałem, doszedłem do wniosku, że nie da się o niej pisać w pamiętniku. Miłości nie można opisać słowami. Nic, nawet wszystkie miłosne sonety Szekspira nie opiszą tego, co czuję do ciebie, Brenno. Tego, co poczułem w chwili, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy. Dlatego przestałem pisać. Nie pisałem więcej, bo nie mogłem. Żaden język świata nie dysponuje słowami zdolnymi, by wyrazić moją miłość do ciebie.

Brenna była teraz wyraźnie mniej nadąsana.

- Cóż - powiedziała. - Dla Christine umiałeś znaleźć odpowiednie słowa. Rozżarzona, świetlista, eteryczna, delikatna. A ja, co? Amazonka. W spodniach. Jak mogę się czuć po czymś takim? Powiem ci. Bardzo źle.

- Chcesz słów. - Wysunął rękę spod jej kolan, ale nadal mocno obejmował w talii, tak że mogła stanąć na własnych nogach, lecz wciąż znajdowała się tuż obok niego. Drugą ręką uniósł brodę Brenny, aby patrzyła mu w oczy.

- Dobrze. Będziesz miała słowa. Brenno Donnegal, twój głos kojarzy mi się bardziej z dymem niż z dzwonami, jak to bywa w przypadku głosu innych kobiet. Z gęstym dymem, unoszącym się sponad paleniska, które rozprasza zimowy chłód. Dymem, który przenika skórę i wnika w płuca, aby zadomowić się w pobliżu serca mężczyzny i powlec je niczym ciepły pled.

Brenna zamrugała powiekami. Zachęcony jej milczeniem Reilly ciągnął:

- Kiedy spoglądam w twoje oczy, nie widzę w nich twojej duszy. Widzę niebo. Czasami pogodne jak dzisiaj - bezmiar błękitu, na tle którego, niczym mewy, unoszą się twoje myśli, radosne i pełne życia. Kiedy indziej niebo jest zasnuwane szarymi, skrywającymi słońce, chmurami. Na szczęście nie na długo. Nawet wtedy słońce jest tuż-tuż i czeka na twój śmiech, który odeгна deszcz. I nigdy nie czeka długo, Brenno.

Twoja skóra? - Uniósł jedną dłoń Brenny i przyjrzał się jej z uwagą. - Gdyby wszystkie jedwabniki w całych Chinach żywiły się wyłącznie śmietanką, nie zdołałyby wytworzyć czegoś równie gładkiego jak twoja skóra. - Musnął kciukiem grzbiet jej dłoni, a następnie przycisnął ją do ust. - Ludzie, którzy nigdy nie widzieli śniegu, wyobrażają sobie, że jest on w dotyku taki jak twoja skóra. To najlepsza, najgładsza czekolada, nalewana z garbuszka do filiżanki. To osełka świeżego masła, pozostawiona w spiżarni dla schłodzenia...

A twoja dusza? - Rozpalone wargi Reilly'ego powędrowały ku nadgarstkowi, a następnie wzdłuż przedramienia, ku nadzwyczajnie gładkiemu miejscu, gdzie bark spotykał się z podstawą szyi. - Jest jak morze. Hojna. Szczodra. Obfita. Zawsze w ruchu... Zdecydowana, a jednak skromna. Nieposkromiona, lecz również niebezpiecznie swawolna. Słona jak morska bryza... - Wargi Reilly'ego znalazły się teraz tuż przy jej ustach. - Lecz również słodka - wyszeptał.

Brenna wpatrywała się w jego wargi jak zaczarowana.

- Wystarczy, czy chcesz usłyszeć więcej? - zapytał Reilly. Brenna uniosła ręce, ujęła jego twarz w dłonie i przyciągnęła ku sobie.

- Dziękuję, wystarczy. Było ich w sam raz. Będziemy się teraz kochali?

- Myślałem, że już nigdy nie zapytasz.

Osunęli się na chłodną, świeżą trawę.

Miał nad nią niezwykłą władzę. Samymi słowami sprawił, że zmiękła, stopniała, tak samo jak rankiem w pracowni.

Brenna podniosła aksamitną spódnicę i dosiadła Reilly'ego okrakiem. Spojrzał na nią zaskoczony jej śmiałością.

Zaskoczony, ale mile.

- Tak powinno być - odezwał się głosem, który jak zwykle, gdy Brenna była tuż obok, stawał się o kilka oktaw niższy. - Zostawiam sprawę w twoich rękach, madame.

I ułożył się na plecach z tym samym niewinnym wyrazem twarzy, jaki przybierał we śnie. Tylko że teraz miał otwarte oczy i utkwiał wzrok w piersiach Brenny, które zręcznie obnażył.

Brenna, której zdarzało się nosić bryczesy, nie miała najmniejszych trudności z rozpięciem męskich spodni. Wystarczyło kilka szybkich ruchów i uwolniła tę część ciała Reilly'ego, która przed chwilą napierała na nią z taką siłą. Ujęła ją w swoje zręczne paluszki - spostrzegłszy, że właściciel przygląda się temu z wielką uwagą - i zsunąwszy z siebie majtki, umieściła ją tam, gdzie była najbardziej potrzebna.

Słowa wypowiedziane przez Reilly'ego sprawiły, że stała się gotowa. Wilgotna, bez żadnych pieszczot. Nadziała się na twardy sztyft, obejmując go ciasno. Reilly ucałował jedwabiste piersi Brenny.

A ona się poruszyła. Tylko odrobinę, a Reilly zacisnął powieki. Instynktownie uchwycił ją za biodra, aby pokierować ich falowaniem. Dziwił się, że jest taki wezbrany od żądz, mimo że

niedawno kochali się wielokrotnie. Pulsował dziko w jej wnętrzu, z każdym jej ruchem bliższy wyzwolenia.

Ale nie pozwalał sobie na nie. Jeszcze nie. Dopóki ona się z nim nie zrówna. A ona jeszcze była w tyle... lecz wkrótce go doścignie. Poznawał to po rumieńcu, który powlekał urocze policzki Brenny. Odrzuciła głowę do tyłu, odsłaniając białą kolumnę szyi, na której pulsowała tętnica. Zamknęła oczy, przygryzła dolną wargę. Jej dłonie spoczęły na jego dłoniach, które zaciskały się na piersiach Brenny...

I wtedy poruszyła się jeszcze raz - tylko troszeczkę - i Reilly był stracony.

Ale, co stwierdził, wznosząc się na wyżyny kolejnego orgazmu, ona także. Krzyczała, wyginając plecy, unieruchomiwszy biodra. Zastygła w bezruchu, podczas gdy on nacierał coraz mocniej i wbijał się coraz głębiej, zraszając jej wnętrze za każdym kolejnym skurczem...

A kiedy już było po wszystkim, uśmiechnęła się i opadła obok niego, wspierając czoło na barku Reilly'ego.

Leżeli tak przez chwilę, słuchając śpiewu ptaków oraz dochodzącego z oddali pobekiwania owiec.

- Obiecuj mi, że już nigdy nie zajrzesz do mego pamiętnika - leniwie zażądał Reilly. - O ile znów zacznę go prowadzić.

- Obiecuję - powiedziała - jeżeli ty mi przyrzekniesz, że nigdy więcej nie wejdiesz do mojej pracowni. Jeśli będzie w niej coś, czego nie zechcę ci pokazać.

- To bez znaczenia. I tak nie potrafię odczytać twoich okropnych bazgrołów. - To rzekłszy, odgarnął wilgotne loki z twarzy Brenny.

- Co ci powiedział lord Glendenning, kiedy opuściliście domek?

- Niewiele. Czy często tak cię nachodzi? Chętnie go tego oduczę.

Brenna usiadła. Reilly nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy, ponieważ przysłoniły ją włosy.

- Nie powiedziałaś mu o nas, prawda?

Odgarnął włosy, by spojrzeć Brennie w oczy.

- Miałabyś coś przeciwko temu?

- Tak. - Zwróciła na niego błękitne tęczy. Miała rację, mówiąc, że jej oczy przypominają mu niebiosy. Teraz były świetliste jak sierpniowe niebo w samo południe. - Bo najprawdopodobniej zechciałby cię uśmiercić.

- Naprawdę? - Spojrzał na nią leniwie. - A nie dalej jak kilka miesięcy temu powiedziałaś mi, że lord Glendenning nie jest taki zły...

- Bo nie jest. Chyba że ktoś zrani jego dumę. Jest MacLeodem, przede wszystkim i ponad wszystko, a MacLeodowie to wojownicy.

Reilly uniósł brew.

- Nie wierzysz, że potrafiłbym się obronić?

- Ależ nie. Nie o to chodzi. Tylko że... on ma naprawdę wielki miecz.

Reilly uniósł brwi.

- Na twoim miejscu nie przejmowałbym się lordem Glendenningiem. W tej chwili zajmuje się Shelleyem i Pearsonem. Moimi przyjaciółmi, którzy przyjechali dziś rano z Londynu.

- A właśnie, czego chcieli?

- Och - odparł, wciągając i zapinając bryczesy - chcieli sprawdzić, jak sobie radzę na tym pustkowiu...

Mówił pogodnym tonem, ale wiedział, że czas nagli. Będzie jej musiał powiedzieć prawdę o swoim arystokratycznym tytule, i lepiej to zrobić teraz, nie czekając, aż sama dowie się tego przypadkiem.

- Posłuchaj, Brenno. Muszę ci coś powiedzieć...

- Och?

- Tak. Więc... - Jak głęboka jest jej niechęć do parów? - myślał. Wstał podenerwowany. - Porozmawiajmy w domu. Wydaje mi się, że owce są coraz bliżej. A teraz nie mam ochoty skakać do potoku, by ratować którąś z nich.

Brenna pozapinała aksamitną suknię, a potem z pomocą Reilly'ego wstała.

- Mamy do pogadania - zaczął nerwowo.
- Musimy się naradzić, jak utrzymać nasz związek w tajemnicy przed lordem...
- Och, daj spokój - przerwał jej Reilly, przeczesując palcami włosy. - Potrafię sam zadbać o siebie. Robię to już od trzydziestu lat.
- Wiem, ale...
- Posłuchaj, najpierw muszę powiedzieć ci coś ważniejszego.
- Dobrze. - Brenna schyliła się, by podnieść pamiętnik Reilly'ego. - Ale nie możemy...

Lecz Reilly nie dowiedział się, czego nie mogli. Bo w chwili gdy Brenna się schyliła, rozbrzmiał huk, który spłoszył siedzące na drzewach ptaki i przeraził owce.

Następnie coś bardzo mocno wyrznęło go w bark, zwalając z nóg.

Usłyszał, że Brenna woła jego imię, i zobaczył, że upuszcza pamiętnik. Przewracane zbyt wiele razy kartki odkleiły się od grzbietu i rozsypały po trawie.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył Reilly, zanim ogarnęła go ciemność, były kartki z jego pamiętnika, powiewające w ciepłych podmuchach wiosennego wiatru.

24

Gdzie on jest?

Charles Pearson zbudził się z drzemki, otworzył oczy i ujrzał zjawę.

A w każdym razie coś, co wyglądało jak zjawa. Nigdy przedtem nie widział zjawy - oprócz tej jedynej, która ukazała mu się, gdy podglądał pokojówkę, przemykającą nago o północy przez ich ogród różany, co według starej celtyckiej tradycji miało obudzić miłość w sercu ukochanego kobiety, która dokonała owego wyczynu. Niestety, w przypadku Colleen skończyło się to wyrzuceniem jej z pracy, gdyż pani Pearson zorientowała się, że ukochanym pokojówki jest właśnie Charles.

Teraz, siedząc w komnacie lorda Glendenninga i mrugając zapuchniętymi od snu powiekami, pomyślał, że Colleen bardziej przypominała zjawę niż ta tutaj, ponieważ Colleen nie miała na sobie ubrania. Tutejsza zjawa miała na sobie długą obcisłą suknię z niebieskiego aksamitu, o perłowych guzikach, z których nie wszystkie były zapięte. A ponieważ dziewczyna dyszała, co świadczyło o tym, że nie zmaterializowała się z płomieni kominka, lecz po prostu przybiegła, Charles mógł dostrzec jej wspaniałe piersi.

- Słyszysz mnie pan? - Dysponowała ochrypłym i zniecierpliwionym głosem. Co dobrze współgrało z obfitą grzywą jej rudych włosów, które rozsypały się w lokach, przywodząc na myśl węże wokół głowy Meduzy. - Pytałam, gdzie on jest?

Wtedy Pearson oprzytomniał i upewnił się na dobre, że to nie zjawą, lecz kobietą. Żywa kobieta z krwi i kości - uderzająco piękna, choć o gwałtownym temperamencie, o czym świadczył pogrzebacz, który przytknęła mu do gardła.

Chwyciwszy się poręczy fotela, na którym był usnął, Pearson gorączkowo rozglądał się w poszukiwaniu pomocy. Jediną osobą poza nim był w komnacie Shelley, również zapadnięty w fotelu i nadal pogrążony w głębokim śnie. Tego dnia musieli wstać bardzo wczesnym rankiem, aby złapać prom z Lochalsh, i po lanczu, który, na nieszczęście, składał się z huggis, ogarnęła ich nieprzeparta senność.

- Zapytam pana... jeszcze... raz...

- Przypuszczam, że ma pani na myśli hrabiego - odezwał się ostrożnie.

- Tak, pytam właśnie o niego - odparła gniewnie. - Gdzie on jest?

- Bardzo mi przykro, madame, ale nie wiem. Był tutaj przed chwilą. Obawiam się, że musiałem przysnąć...

Wtedy trzasnęły drzwi i hrabia - tak, dzięki Bogu, hrabia - wykrzyknął:

- Co ty tu robisz, Brenno?! I czemu podtykasz ten pogrzebacz pod nos pana Pearsona?

Zimny metal odsunął się od twarzy Pearsona, który z ulgą opadł na oparcie fotela...

Lecz nie był całkowicie obojętny na dramat, rozgrywający się przed jego oczami.

Zjawą bowiem, która nosiła imię Brenna - imię, które, co zabawne, on sam, Shelley i Stillworth przypisywali nieatrakcyjnym kobietom - wywijając pogrzebaczem, zamachnąwszy się na hrabiego, który w ostatniej chwili zdołał uskoczyć.

- Zwariowałaś? - zagrzmiął hrabia i, uchwyciwszy pogrzebacz, pociągnął go ku sobie. - Dlaczego zamierzasz się na mnie pogrzebaczem?

- Bo myślę, że postrzeliłeś Reilly'ego! - ryknęła dziewczyna. A następnie zwymyślała hrabiego od ostatnich, posługując się słownictwem, o jakiego znajomość Pearson nie podejrzewałyby damy.

- Postrzelony? - Pearson potarł twarz. - Reilly został postrzelony?

- Tak - mknęła zjawa. Nadal ścisnęła swój koniec pogrzebacza, usiłując go wyrwać hrabiemu. - Przez tego... - Po czym nastąpiły dalsze niecenzuralne wyrazy.

Coraz bardziej zaniepokojony Pearson wstał i kopnął Shelleya w łydkę.

- Zbudź się, stary - powiedział. - Zbudź się.

Shelley otworzył jedno oko, zobaczył dziewczynę i otworzył obydwaje oczu.

- Cóż to za dziewczyna? - zapytał na widok Brenny, przeciągającej pogrzebacz z hrabią.

Właśnie wtedy Glendenningowi udało się wyrwać narzędzie z rąk zjawy i cisnąć je jak najdalej od niej. Zjawa zaś rzuciła się naprzód i wpiła paznokcie w twarz hrabiego.

- Oj, niedobrze - westchnął Shelley. - Gotowa zrobić sobie krzywdę.

- Mówi, że Glendenning postrzelił Stillwortha - powiedział Pearson i wraz z Shelleyem zajęli się odciąganiem Brenny od hrabiego, który osunął się na ziemię.

- Co? - zapytał Shelley, który zręcznie pochwyił dziewczynę w talii. - Postrzelono Stillwortha?

- Nie wiem, kto to jest Stillworth - odparła Brenna, wrywając się z uchwytu. - Ktoś postrzelił Reilly'ego, i jestem gotowa pójść o zakład, że to ten wielki...

- Śmiertelnie? - chciał się dowiedzieć Pearson. Oczywiście,

słyszał niejedną opowieść na temat tutejszych krewkich górali. Chwytał dziewczynę za nadgarstki, aby przestała drapać przytrzymującego ją Shelleya, i zapytał: - Reilly? Czy... on... umarł?

Brenna natychmiast zaprzestała walki. Obwisała w ramionach Shelleya i w niczym nie przypominała mściwej walkirii. Stała się po prostu bardzo zmęczoną dziewczyną.

- Jeszcze nie - odparła z patosem. - Kula nie trafiła w tętnicę, więc udało mi się zatamować krwawienie. Ale nie mogłam jej wyjąć. Znaczący kuli. - Spojrzała na niego zalanyymi łzami, zaskakująco niebieskimi oczyma. - Utkwiła zbyt głęboko. Umrze od zatrucia krwi, i to z mojej winy.

- Nie pozwolę na to. - Charles Pearson strzelił palcami. - Zostaw ją, Sinjun. Zaprowodzi nas do Stillwortha.

Dziewczyna potrząsnęła głową i zerknęła na przyjaciół Reilly'ego. Glendenninga nie zaszczyciła ani jednym spojrzeniem.

- Ale jak wy możecie mu pomóc? - spytała łamiącym się głosem.

- Jak możemy mu pomóc? - roześmiał się Shelley. - Moja droga, ma pani przed sobą sir Charlesa Abernathy Pearsona III, jednego z najlepszych lekarzy w Anglii, specjalizującego się w usuwaniu pocisków. A ja także nie jestem najgorszy w te klocki.

Słyszając te słowa, Pearson zbladł, jedyną bowiem rzeczą przypominającą pocisk, jaką ostatnio usunął, był powiększony wyrostek robaczkowy. Jednakże poczuł wdzięczność w stosunku do przyjaciela, który nadał nieco sensu jego przygłupiemu życiu. Dziewczyna najwyraźniej poweselała i otarła łzy z oczu.

- Och! - wykrzyknęła. - A więc chodźcie ze mną. Chodźcie jak najszybciej!

I wybiegła z komnaty.

Shelley spojrzał na hrabiego, który różkiem kiltu ocierał podrapaną twarz, powtarzając:

- Ja tego nie zrobiłem. Nie mam pojęcia, o czym ona mówi. Nic nie zrobiłem.

AMAZONKA

- Co z nim? - wyszeptał zaniepokojony Shelley.
- Nic mu nie będzie - odparł Pearson, sięgając po płaszcz.
- Nie o to mi chodzi. A jeśli on rzeczywiście postrzelił Stillwortha? Może powinniśmy... sam nie wiem. Aresztować go czy jak?

Pearson popatrzył na hrabiego, który usiłował przejrzeć się w ostrzu miecza.

- Nie ruszy się stąd - powiedział z niesmakiem. - Chodźmy. Wyszli z komnaty i Shelley wyszeptał:
 - Myślisz, że to ta dziewczyna? Ta, z powodu której nie chce wyjechać z wyspy?
 - Jeśli nie ta - odparł Pearson z przekonaniem - to lepiej by było, żeby umarł.

25

Głosy.

Stłumione głosy. Przeszkadzały mu bardziej, niż gdyby ludzie mówili głośno. Nie mógł rozpoznać, kto rozmawia. Kogo ma ochotę wyrzucić za zakłócanie mu spokoju.

O Boże. A teraz pochlipywanie. Tak, z całą pewnością ktoś popłakiwał. Jego siostry. To one pochlipyją. Jego liczne siostry. Dlaczego Bates nie trzyma ich z dala ode mnie? - pomyślał. Tylko tego mi brakowało, wianuszka opłakujących mnie kobiet. Czy nie widzą, że nie mam zamiaru umierać? Postrzał to dla mnie nie nowina.

No, może jednak nowina, ale przecież nie umiera się od postrzału w ramię. Jestem na to zbyt silny.

Dlaczego Bates je tu wpuścił? Pojedynki są niedozwolone, chyba że na kontynencie. Teraz będą mieliły ozorami o tym, jak przegrał z... Właściwie z kim się pojedykowałem? Nie mógł sobie przypomnieć, by ostatnio miał z kimś na pieńku.

Ethelridge. Nagle przypomniał sobie to nazwisko. Czyżby się pojedykował z Ethelridge'em? Ale o co? Jegomość był teraz mężem Christine, a to dla mężczyzny wystarczająca kara, czyż nie?

Nagle się obudził.

Już nie słyszał pochlipywania. Teraz dochodziły do niego miękkie plaśnięcia...

Karty. Ktoś grał w karty.

Natężył wzrok. Znajdował się w nieznanym pomieszczeniu, w wielkim łożu o ozdobnie rzeźbionym wezgłowiu. Za oknami świeciło słońce, a w pokoju unosił się wyraźny zapach pieczonych jabłek.

Ponad głową miał belkowanie, a wyżej strzechę.

Nie, nie miał omamów. Widział strzechę.

W nogach wielkiego łoża siedzieli Pearson i Shelley, rozebrani do kamizelek. To nie halucynacje. Gdyby istnieli tylko w jego wyobraźni, z całą pewnością zajmowałoby się czymś bardziej interesującym niż gra w oczko.

- Ha! - powiedział Shelley. - Dwadzieścia jeden. Wygrałem.

- Wypchaj się - odparł oburzony Pearson. - To niemożliwe.

Nie mogłeś znów wygrać.

- Możliwe. Zle potasowałeś.

- Tasowałem przez całą godzinę. Szachrujesz.

- Jak mogę szachrować? Ty rozdawałeś.

Reilly usiłował ich spytać, gdzie się znajduje i czy nic nie stało się Brennie, lecz gdy otworzył usta, wydobyło się z nich tylko skrzeczenie.

Na szczęście usłyszeli je obydwoj. Przestali się spierać i spojrzeli na niego zaskoczeni.

- No proszę! - radośnie zawołał Pearson. - Obudziłeś się.

Najwyższy czas. Jak się masz?

Shelley rzucił na niego okiem. Zebrał karty i powiedział:

- Pokażę ci, jak się tasuje. O, cześć, Stillworth.

Reilly znowu zachrypiał. Pearson orzekł:

- Chce pić. Podaj mu wodę, Sinjun.

- Podałem mu cholerne laudanum - odparł Shelley, tasując karty. - Ty mu daj wodę.

Pearson westchnął, wstał i podał Reilly'emu szklankę wody.

Reilly spróbował unieść prawe ramię, poczuł przeszywający ból i opadł na poduszki.

Pearson wcale się tym nie przejął.

- Drugą ręką, przygłupie. Postrzelili cię z prawej strony.

Reilly odebrał szklanekę lewą ręką i wypił wodę. Oddał szklanekę Pearsonowi i powiedział prawie normalnym głosem:

- Brenna.

Pearson uniósł brwi.

- Tak?

- Czy ona... - Reilly odchrząknął. - Nic jej nie jest?

- Nie pamiętasz? - Pearson spojrział na przyjaciela.

Reilly żałował, że ma niewładne prawe ramię. Gdyby był zdrowy, chętnie przyłożyłby staremu druhowi.

- Nie, nie pamiętam - wychrypiął niecierpliwie. - Straciłem przytomność, osłe. Gdzie ona jest? Jak się czuje?

- Nic jej nie jest - powiedział zbity z tropu Pearson. - I muszę ci zwrócić uwagę, że nazywanie mnie osłem jest niewdzięcznością. To ja wyjąłem ci kulę. Twoja wspaniała panna Donnegal nie potrafiła tego zrobić.

- Tylko dlatego - sprostował Shelley, nie podnosząc wzroku znad kart - że jest uczuciowo związana z tym nieszczęśnikiem. Bała się, że zada ci ból. Na szczęście, obecny tu sir Charles nie podzielał jej obaw. Zaparł się stopą o wezgiel i z całej siły szarpnął. Kula utkwiała w kości. Nie zdziwiłbym się, gdyby ci ją uszkodził.

- O, przepraszam. Obszedłem się z nim delikatnie jak z dzieckiem - obruszył się Pearson. - Z własnym dzieckiem. Panna Donnegal nie zrobiłaby tego lepiej, nawet gdyby nienawidziła Stillwortha, do czego zresztą ma wszelkie prawo. Najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy, jaki z niego nicpoń i łobuz. To było zadanie wymagające biegłego specjalisty i ja je doskonale wykonałem.

- Gadanie. - Shelley odłożył karty i mruknął do Reilly'ego. -

Zanim się do ciebie zbliżył, dla kurażu musiał pociągnąć kilka zdrowych łyków whisky.

Obolały Reilly nie miał cierpliwości do droczących się przyjaciół. Wymamrotał kilka słów podziękowania, a potem zapytał:

- Gdzie teraz jest?

Pearson i Shelley wymienili spojrzenia. Shelley gwizdnął przeciągle.

- A więc tak się sprawy mają - powiedział.

- A nie mówiłem? - odparł Pearson.

- Skąd miałem wiedzieć? - Shelley był zniecierpliwiony i rozczarowany. - Taka wspaniała dziewczyna... co ona widzi w takim bubku jak Stanton?

- Złamałeś mu serce - powiedział Pearson. - I mnie także.

- Nic dziwnego, że nic go nie obchodzi małżeństwo Christine - westchnął Shelley. - Ma taką namiętą...

- Gdzie ona jest?! - ryknął Reilly.

- Jezu. Jest w swojej sypialni. I jeśli chcesz wiedzieć, natychmiast zasnęła... ale nie pośpi długo, jeśli będziesz się tak wydzierał. A musiałem jej dać dobrego łyka, zanim się położyła.

- łyka czego? - spytał Reilly, usiłując usiąść.

- Co ty wyprawiasz?! - wykrzyknął zaniepokojony Pearson. - Zepsujesz mój artystyczny opatrunek.

- Odczep się. - Na czole Reilly'ego pojawiły się kropelki potu, ale udało mu się usiąść. - Na miłość boską, Chas, co jej podałeś?

Shelley spojrzał na Reilly'ego.

- Wiesz, co? - powiedział. - Jesteś okropnie trudnym pacjentem, nie zasługującym na dobrego lekarza.

Pearson zacisnął zęby.

- Posłuchaj, Stillworth - powiedział ostrożnie. - Dziewczyna szalała z niepokoju o ciebie...

- Była gotowa zabić - dodał Shelley.

- Zabić? - Reilly spoglądał to na jednego, to na drugiego przyjaciela. - O czym ty mówisz?

- Kiedy miałem zaszczyt poznać wybrankę twego serca - wyjaśnił Pearson - usiłowała rozwalić pogrzebaczem głowę mężczyźnie, którego podejrzewała o to, że cię postrzelił.

- Boże miłosierny! - wykrzyknął oszołomiony Reilly.

- To było piękne - powiedział Shelley. - I właśnie ja ją w końcu rozbroiłem.

- Nieprawda - zaprzeczył Pearson z niesmakiem. - Glendenning wyrwał jej pogrzebacz. Ty tylko powstrzymałeś ją, by nie wydrapała mu oczu.

- Glendenning? - jęknął Reilly. - Przecież wam powiedziałem, żebyście go pilnowali.

- Cóż - bąknął zakłopotany Pearson. - Zdrzemnęliśmy się troszkę... Ale tylko na chwilę. - Szybko opowiedział, co się wydarzyło, gdy się obudzili.

- Była rozjuszona jak tygrysyca - dodał Shelley. - Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego. Wymachiwała tym pogrzebaczem, jakby się nim posługiwała od kołyski. Jeśli poważnie myślisz, by się z nią związać, bądź ostrożny, Stanton. Dziewczyna jest ładna, ale niebezpieczna.

- Ale nie widziała, że to Glendenning pociągnął za spust? - spytał zaniepokojony Reilly.

- Nic nie widziała - odparł Pearson. - Poza tym, że zwałeś się na ziemię jak worek kartofli. Każda inna dama dostałaby spazmów, a ty byś się wykrwawił na śmierć. Ale nieustraszona panna Donnegal zatamowała krwawienie i bezskutecznie usiłowała wyjąć kulę, a potem uznała, że należy ukarać winnego. Wtedy my wkroczyliśmy do akcji.

- Właśnie. Przyszliśmy tutaj, podnieśliśmy cię, otrzepali, zanieśli do łóżka... - Shelley kolejno zginał palce - wyjęliśmy kulę, zabandażowaliśmy cię, podaliśmy, co trzeba, twojej przyjaciółce, i zagraliśmy szesnaście kolejek w oczko, z czego ja wygrałem dwanaście. - Spojrzał na Pearsona. - Pomiąłem coś?

- Zapomniałeś wspomnieć o tym - dodał Pearson - że wszystkie

kobiety z okolicy były w domku przynajmniej jeden raz, aby popłakać u wezłowania młodego lekarza i zostawić mu ciasto z owocami, aby miał co jeść, gdy się lepiej poczuje.

- A właśnie - westchnął Shelley. - Zapomniałem o tych ciastach.

- Glendenning wpada od czasu do czasu, aby sprawdzić, jak się czujesz i zapewnić, że nic ci nie zrobił.

- Tak - potwierdził Shelley. - Ale nie przyniósł ciasta, więc nie bardzo wierzymy w jego niewinność.

- Miał coś wspólnego z tym, co się stało? - spytał Reilly.

- Oczywiście - odparł Pearson. - Hrabia nie przyzna się, że pociągnął za cyngiel. Twierdzi, że jeździł konno, aby pozbierać myśli... Nie ma nikogo, kto by go widział... choć jeden chłopiec z ogoloną głową twierdzi, że coś widział...

- Hamish? - zapytał Reilly z ożywieniem.

- Tak mu na imię - odparł Pearson, strzelając palcami. - Widział coś, ale nie chce powiedzieć co. Boi się. Chce rozmawiać z tobą. Tylko z tobą. Wciąż tu zagłada, sprawdzając, czy się nie obudziłeś.

- Myślicie, że widział Glendenninga? - głośno zastanawiał się Reilly.

- Twoja panna Donnegal jest tego pewna - powiedział Shelley, starannie układając karty. - Dlaczego podejrzewa hrabiego? Wpakowałaś się w trójkąt miłosny, co, Stillworth? Nawet nie mam ci tego za złe. Ona jest tego warta. Ale ty nie ułatwiłeś sobie zadania. Nawet jej nie wspomniałeś o tym, że jesteś markizem.

Reilly milczał. Analizował w myślach wszystko, co dotychczas usłyszał. Brenna jest przekonana, że postrzelił go hrabia? Tak bardzo przekonana, że usiłowała go zabić? Czy Glendenning widział ich - Reilly'ego i Brennę - razem na trawie? Na taki widok ktoś taki jak hrabia mógłby się wściec i usiłować go zabić...

A jednak Reilly nie mógł się pozbyć myśli, że w adorowaniu Brenny przez lorda było coś podejrzanego. Jakby jej nie kochał

za to, jaka jest, lecz za to, kim jest... Jak to ujęła sama Brenna: „jestem jedyną kobietą na wyspie, której nie miał”.

- Jak tam, stary? - zapytał Pearson. - Masz ochotę na ciasto z owocami?

- Nie - odparł, podejmując decyzję. - Chcę ją zobaczyć.

- Pannę Donnegal? - zapytał Shelley. - Nie bądź głupi. Dopiero co usnęła. Nie masz pojęcia, co biedaczka przeżyła. Całą noc nie zmrużyła oka, bojąc się, że się wykrwawisz...

- Tak - dodał Pearson. - Ma pewną wiedzę lekarską, ta twoja panna Donnegal. Mówi, że uczyła się od ojca. - Sięgnął po oprawione miniatury, stojące na toalecie. - To pewnie ten jegomość. Przypuszczam, że to jego pokój. Jego i żony. - Podał miniatury Reilly'emu, który znów usiłował podnieść prawą rękę, poczuł falę dotkliwego bólu i sięgnął po nie lewą ręką.

Spoglądał na dwa portrety, z których każdy był mniejszy od tarczy jego zegarka kieszonkowego. Pięknie namalowane, przedstawiały przystojną parę: ciemnowłosego mężczyznę, o mocnych rysach, gładko ogolonej twarzy, oraz kobietę, będącą delikatniejszą wersją Brenny, lecz o takiej samej grzywie niesfornych rudych loków i takich samych jaskra woniebieskich oczach obramowanych czarnymi rzęsami.

Pearson oparł się łokciem o wezgielnie łóżka i także przyglądał się miniaturom.

- Pewnie już nie żyją, nieszczęśnicy.

- Wcale nie - odparł Reilly. - Są za granicą. W Indiach.

- Dobry Boże. - zdumiał się Pearson. - I zostawili dziewczynę samą, na pastwę takich nicponiów jak ty? Nie do wiary.

- Skoro już musisz wiedzieć, zostawili ją pod opieką stryja - wyjaśnił Reilly. - A ja mam zamiar ją poślubić, więc dla własnego dobra trzymajcie się od dziewczyny z daleka.

Shelley znowu gwizdnął.

- To niesprawiedliwe. Dlaczego on ją ma poślubić? Ja jestem znacznie przystojniejszy.

- Dałbyś się dla niej postrzelić? - parsknął Pearson.
- Oczywiście, że tak - odparł oburzony Shelley. - O ile blizna nie będzie zbyt oszpecająca... Stanton, dokąd się wybierasz?

Bo Reilly zwiesił stopy nad podłogą.

- Do Brenny - powiedział Reilly, zaciskając zęby z bólu. Stwierdził, że gdy nie rusza prawą ręką, nie odczuwa dolegliwości. Wielce obiecujące.

- Daj nam znać, gdybyś czegoś potrzebował! - wesoło zawołał Pearson.

- Właśnie - ironicznie dodał Shelley. - Na przykład noszy.

Reilly'emu nie było do śmiechu. Zbyt zaprzętało go posuwanie się naprzód. Dopóki miał się o co oprzeć, jak na przykład o krzesło lub o ścianę, nie było to takie trudne. Kręciło mu się w głowie, prawdopodobnie na skutek laudanum. Reilly nienawidził tego świństwa, uważając, że bardziej szkodzi, niż pomaga, i postanowił, że więcej nie da go sobie zaaplikować...

Na jego widok suka Brenny, Sorcha, zerwała się ze swego miejsca przy kominku i podbiegła do niego. Jednakże nie skakała na niego. Obwąchała jego dłoń i, spoglądając na niego z niepokojem, szła obok, merdając ogonem, jakby rozumiała, że jest niezdrow. Z wdzięcznością zagłębił lewą dłoń w jej gęstym futrze, mówiąc sobie, że ożywienie suki wynika z troski o stan jego zdrowia, a nie jest spowodowane głodem.

Przedziwna sprawa. Postrzelony! - myślał. I to właśnie wtedy, gdy po wielu miesiącach wyznał wreszcie, co czuje, i pojął, że znalazł swoje miejsce, w którym jest potrzebny. Pomysł, że ktoś spośród społeczności, do której za wszelką cenę chciał przynależeć, nienawidził go aż tak bardzo, by do niego strzelać, był całkowicie niedorzeczny. Gdyby owym kimś był lord Glendenning, Reilly mógłby to zrozumieć. Ale jeśli to nie hrabia? Jeśli strzelał ktoś inny? Kto na tej wyspie pragnął jego śmierci? Po tym wszystkim, czego tutaj dokonał, aby udowodnić swoją wartość?

Na myśl o tym zapragnął się spakować i wsiąść na najbliższy

prom wraz z Pearsonem i Shelleyem. Niewdzięczni, ciemni, nie niewarci nieszczęśnicy! Oto, kto zamieszkiwał wioskę Lyming. Skoro nie chcą go tutaj po tym wszystkim, co dla nich uczynił, odjedzie z wyspy.

Ale gdy otworzył drzwi do sypialni Brenny, zrozumiał, że nie może opuścić Skye. Chyba że z nią.

Spała. Spała na swojej biało-niebieskiej kołdrze, z podłożonym pod głowę ramieniem i rudymi włosami rozsypanymi na poduszce. Koszula nocna, której Reilly nigdy przedtem nie widział, miała barwę ciemnej zieleni. Przy niej twarz Brenny wydawała się niezwykle jasna. Zbyt blada. Dziewczyna oddychała płytko i szybko.

Sorcha wskoczyła na łóżko pani. Obwąchała twarz Brenny i usiadła, niespokojnie spoglądając na Reilly'ego.

Kazał jej zejść z łóżka. Usłuchała go i z westchnieniem wyszła z sypialni. Reilly zamknął za nią drzwi i usiadł na łóżku, ostrożnie przytrzymał prawą rękę i ułożył się obok Brenny.

Opadł na poduszki, czując ogromne zmęczenie. To przez laudanum, powiedział sobie ze znajomością rzeczy. Zamknął oczy i zaczynał zapadać w sen...

Wtedy Brenna nagle usiadła.

Miała sen. W tym śnie ona i Reilly Stanton stali na trawie obok Burn Cottage, całując się w słońcu. Pocałunki Reilly'ego były takie przyjemne. Po raz pierwszy w jej stosunkowo krótkim życiu Brenna czuła się szczęśliwa. W końcu znalazła kogoś - i to nie byle kogo, lecz bardzo przystojnego mężczyznę - kto zaakceptował ją taką, jaka była. Mężczyznę, jakiego nie spodziewała się spotkać. Była przygotowana na spędzenie życia w staropanieństwie, prowadząc dziwaczne eksperymenty i wpatrując się w wykresy.

I nagle w jej życiu pojawił się ten mężczyzna. Na początku nie ośmielała się w to wierzyć. Czy taki ktoś może w ogóle istnieć? Mężczyzna, który ją kocha, szanuje i nie chce, aby się zmieniała?

I właśnie kiedy otworzyła przed nim serce i duszę... zabrano go jej.

W jej śnie rozległ się wystrzał i Reilly, który jeszcze przed chwilą był pełen życia, osunął się w jej ramiona. Nie miała nawet dość jasności umysłu, by sprawdzić, kto do niego strzelił. Stała jak wryta, podczas gdy ciężkie ciało Reilly'ego osuwało się na ziemię, plamiąc jej suknię krwią.

I wszystkie jej nadzieje rozwiały się w ułamku sekundy.

Brenna rozglądała się nie bardzo przytomnie, dopóki Reilly nie położył dłoni na jej ramieniu. Wtedy odwróciła głowę ku niemu.

Jest przy niej. Mężczyzna z jej snów, tylko że tutaj, na jawie ma na sobie nocną koszulę, a jeden jej rękaw jest dziwacznie wypchany bandażem. Jego twarz porasta gęsty zarost, a pod oczami widnieją ciemne sińce...

Ale oczy są takie same jak wtedy, gdy zobaczyła je po raz pierwszy - żywe, ciepłe i wesołe.

Załkała i objęła go ramionami, kładąc głowę na jego piersi.

- Słyszałem - powiedział pogodnie - że usiłowałaś roztrzaskać czaszkę lorda Glendenninga za pomocą pogrzebacza.

Brenna zamrugała powiekami. Do tej chwili pamiętała tylko tyle, że Reilly został postrzelony. Dopiero teraz przypomniała sobie o krwi, bandażach i dwojgu nieznanym, którzy nazywali Reilly'ego Stillworthem...

- Nie mówmy o tym. Teraz, kiedy widzę, że jesteś cały, nie ma to już znaczenia.

- Owszem, ma znaczenie. Gdybyś go zabiła, powieszono by cię za morderstwo. I kto by się wtedy zajął pupilką twojego brata?

Zadrżała.

- To nie jest śmieszne. Myślałam, że umrzesz. A wtedy nie miałabym po co żyć.

Reilly nie wiedział, ile ją kosztowało to wyznanie. Nigdy, nigdy w życiu nie przyznała się do podobnych uczuć. Ale też nigdy w życiu nie czuła czegoś podobnego. Taka jednak była prawda. Bez niego nie miała po co żyć. Tak bardzo go kochała.

Usłyszawszy jej słowa, Reilly poczuł przyspieszone bicie serca.

Tym razem był pewien, że nie z powodu laudanum. Głębia uczuć tej dziewczyny o lśniących niebieskich oczach i arystokratycznych rysach twarzy, dziewczyny, która pasowała do życia w luksusie, a nie w prowincjonalnej osadzie rybackiej, zadziwiła go.

Było to bardzo zawstydzające, a zarazem niesłychanie podniecające doświadczenie. Natychmiast zapomniał o tym, że chciał opuścić Lyming przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Bardzo mi to pochwlebia - powiedział. Boże, po co w ogóle otwierał usta? I dlaczego powiedział coś tak bardzo pozbawionego romantyzmu? - To niezdrowe, lecz niezwykle pochlebne.

Czy bełkoceć tak na skutek działania laudanum? - zastanowił się w duchu. Najwyraźniej. Czuł, że jego zmysły powleka jakąś gęsta chmura.

- Ja czuję coś podobnego w stosunku do ciebie...

- No, to już lepiej. - Powinniśmy się jak najszybciej pobrać.

Brenna milczała. Dopiero po chwili Reilly zorientował się, że znowu usnęła. Tylko że teraz jej oddech był równy i głęboki. A na policzki powrócił rumieniec. Wyglądała prześlicznie, jak zawsze.

Możliwe, że go usłyszała. A może nie. W każdym razie byli razem, a dla Reilly'ego tylko to się liczyło.

Pochylił się i złożył pocałunek na jej gładkim białym czole.

- Uznaję to za zgodę.

I także zapadł w sen.

Żadne z nich nie wiedziało, że w najbliższym czasie nie dane im będzie porządnie się wyspać.

26

To był pan Mackafee.

Reilly musiał się pochylić, by usłyszeć szept chłopca.

- Mackafee? - powtórzył.

Hamish MacGregor uciszył go niecierpliwie.

- Ogłuchł pan? Nie tak głośno. Powiedział, że mnie zabije, jeśli komukolwiek zdradzę, co widziałem.

Reilly rozejrzał się po pokoju. Ktoś mógłby ich podsłuchać. W Burn Cottage roiło się od gości, którzy tłoczyli się jak wierni w kościele podczas niedzielnej mszy. Byli nawet pastor i jego żona. Brakowało jedynie Brenny, która wymknęła się, by podać lekarstwo młodszemu bratu Hamisha, który najadł się niedojrzałych jagód i cierpiał na niestrawność.

Brenna niechętnie wyszła z domku, i to tylko po licznych zapewnieniach Reilly'ego, że podczas jej nieobecności nie zdejmie bandażu i nie będzie usiłował mścić się na swoim niedoszłym zabójcy. On zaś uparł się, by wyruszyła pod eskortą sir Charlesa Pearsona, bo ją także może trafić kula. Jak długo sprawca pozostaje na wolności, Reilly nie zgodzi się, by wychodziła z domu sama.

Tylko że teraz poznał już tożsamość tajemniczego strzelca.

- To był Mackafee, mówię panu - szeptał Hamish. - Widziałem

go na własne oczy. Wycelował do pana z myśliwskiej strzelby. Spostrzegł mnie i zagroził, że będę następny, jeżeli nie utrzymam języka za zębami.

- Rozumiem - powiedział Reilly.

Mackafee. Świat Reilly'ego, który został wywrócony do góry nogami, zaczynał wracać do normalności. Był on bowiem bardziej przejęty tym, że któryś z mieszkańców Lyming nienawidził go tak bardzo, by chcieć pozbawić go życia, niż odniesioną raną.

Nie potrafił uwierzyć, że niedoszłym zabójcą był lord Glendenning. MacLeodowie mogli być wojownikami, jak twierdziła Brenna, lecz Reilly czuł, że hrabia nie należał do tych, co strzelają z ukrycia do nieuzbrojonego człowieka, choćby go nie wiem jak nienawidził.

Przygnębienie, jakie odczuwał na myśl, że ktoś spośród tutejszych wieśniaków tak bardzo go nienawidził, było dla Reilly'ego znacznie boleśniejsze niż ból spowodowany raną. Wszystko, czego tu dokonał, wszystkie więzi, jakie nawiązał, zostały zniszczone tą jedną kulą.

Aż do tej chwili.

Mackafee. To oczywiste. Mackafee był jedyną osobą na Skye, która miała powody, by nienawidzić Reilly'ego, która nie miała powodów, by szanować jego starania na rzecz ogółu.

Co więcej, Mackafee poprzysiągł Reilly'emu, że mu odpłaci za rozkwazoną szczękę i wybite zęby.

Nagle świat Reilly'ego znów nabrał sensu. Przygnębienie zniknęło. Postanowienie, że opuści Lyming, zabierając stąd Brennę, straciło rację bytu. Wszystko szło ku lepszemu.

Reilly wyprostował się i spojrzał na chłopca, który przyglądał mu się z powagą.

- Więc skoro ci zagroził - zapytał z uśmiechem - dlaczego mi o tym mówisz?

- Pan wyratował mego psa. I uratował mi życie. Jestem pana dłużnikiem. Wiele panu zawdzięczam.

Reilly uśmiechnął się szerzej. Tylko prawdziwy góral cenił życie psa na równi z własnym.

- Już mi się odpłaciłeś - powiedział, dotykając runda kapelusza chłopca. - Jestem ci szczerze wdzięczny za tę informację.

- Dobrze - odparł Hamish, spoglądając na Reilly'ego z ciekawością. - Rzecz w tym, jak ją pan wykorzysta.

Faktycznie. Reilly nie miał pojęcia. Wiedział jedno, nie był to odpowiedni czas na rozprawianie o tym. Zwłaszcza w obecności wielbego Marshalla i jego żony.

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej - powiedział szeptem, a Hamish skinął głową. Następnie wrócili do stołu, przy którym siedzieli pastor i pani Marshall, popijając herbatę.

- Oczywiście nie chodzi o to, że nie mamy zaufania do doktora Stantona - mówił pastor, zwracając się do Shelleya, którego prześladował pech, na skutek czego, podczas gdy Reilly i Hamish oddalili się, by porozmawiać na stronie, on wylądował przy stole wraz z wielbnym i jego żoną.

- Jesteśmy od tego jak najdalsi - dodała żona pastora, uśmiechając się do Shelleya.

- Oczywiście, że tak - odparł Shelley, unosząc filiżankę, odstawiając wysoko mały palec, co Reilly uznał za raczej okrutne naśladownictwo pani Marshall, która uważała, że będąc żoną pastora, ma prawo wynosić się ponad pospólstwo.

- Jako człowiek światowy - powiedział wielbny Marshall, przyglądając się, jak Reilly ostrożnie, ze względu na obolałe ramię, przysiadł na krześle - musi mi pan przyznać rację, że nie godzi się, by trzech mężczyzn, jakkolwiek tymczasowo, mieszkało pod jednym dachem z młodą, niezamężną kobietą.

Reilly, zbity z tropu przebiegiem rozmowy, już miał coś uprzejmie odpowiedzieć, gdy Shelley wypalił:

- Nawet gdy wszyscy trzej jesteśmy lekarzami, których profesjonalizmowi można z pełnym zaufaniem powierzyć każdą kobietę?

- E... - wybąkał pastor. - Tak czy owak, nadal uważam, że to wysoce...

- Niewłaściwe - odpowiedziała mu pani Marshall.

- ...to, że wszyscy trzej mieszkacie tu z panną Brenna, jest nie tylko niewłaściwe - ciągnął pastor - lecz...

- Godne potępienia - dokończyła pani Marshall stanowczym tonem.

- Interesujące - odparł Shelley. - Panna Donnegal wcale tak nie uważa. Gdyby nasza obecność wydawała jej się niewłaściwa, na pewno by nam o tym powiedziała.

Brennie z jakiegoś powodu, ku niezadowoleniu Reilly'ego, bardzo odpowiadało, że jego przyjaciele zatrzymali się w Burn Cottage. Przygotowała im łóżka w sypialni braci. Możliwe, że była im wdzięczna za uratowanie mu życia.

Jednakże Reilly nie mógł się oprzeć wrażeniu, że kryło się za tym coś więcej. Od czasu wyznania, jakie mu uczyniła poprzedniego dnia, ani na chwilę nie chciała z nim zostać sam na sam. Dlaczego? Reilly nie miał pojęcia.

Postanowił sobie, że za wszelką cenę wyjaśni tę sprawę.

- Panna Brenna - powiedział wielebny Marshall - jest bardzo młoda i er... raczej ekscentryczna i nie wie, co jest właściwe.

- Zwłaszcza - dodała pani Marshall - gdy jej droga mama jest o tysiące kilometrów od niej.

- Dlatego właśnie - mówił wielebny Marshall - apelujemy do was, panowie, byście uczynili to, co należy.

- To znaczy? - chciał wiedzieć Shelley.

- Wszyscy trzej - odparł wielebny tonem wskazującym na to, że uważa go za słabego na umyśle - musicie koniecznie przenieść się gdzieś indziej.

- Na Boga! - wykrzyknął Shelley, rzucając Reilly'emu zaniepokojone spojrzenie. - Tylko nie to! Jedynym miejscem, dokąd moglibyśmy się przenieść, jest zamek Glendenning, a tam, przykro mi o tym wspominać, roi się od szcurów!

Na wzmiankę o szczurach pani Marshall wzdrygnęła się tak mocno, że rozlała herbatę. Było jasne, że nie zapomniała ostatniej wizyty w zamku.

- Moja droga - napomniał ją wielebny, wycierając rozlaną herbatę chusteczką do nosa. A następnie zwrócił się do Reilly'ego i Shelleya: - Istnieją jeszcze inne miejsca poza zamkiem. Moja żona i ja nie mielibyśmy nic przeciwko temu, byście wszyscy trzej zamieszkali u nas...

Pani Marshall nadspodziewanie szybko otrząsnęła się z urazu spowodowanego wzmianką o szczurach.

- Tak! - krzyknęła. - Musicie zamieszkać u nas! Ugościmy was z największą przyjemnością. Nasze córki to naprawdę miłe dziewczyny... będą was traktować jak członków rodziny królewskiej.

Shelley, któremu pomysł bardzo się spodobał, spojrział na Reilly'ego, unosząc brwi. Jednakże Reilly dyskretnie pokręcił głową, rozwiewając wszelkie nadzieje przyjaciela. Córki Marshallów istotnie mogą ich ugościć po królewsku, lecz trudno będzie się wyrwać z ich szponów, ponieważ są bardzo spragnione męskiego towarzystwa.

Zanim jednak Reilly zdążył obmyślić sposób na wykręcenie się od zamieszkania u Marshallów, wrona Jo wydała przenikliwy skrzek, po czym rozległo się głośne trzaśnięcie drzwiami.

Pięć głów, a właściwie sześć, jeśli policzyć kocią, zwróciło się ku wejściu. W drzwiach, odcinając się na tle południowego słońca, stał Iain MacLeod, dziewiętnasty hrabia Glendenning. W jednej ręce dzierżył swój odziedziczony po przodkach miecz, w drugiej opróżnioną do połowy butelkę whisky od pani Murphy.

- Stanton - powiedział, chwiejąc się lekko. - Mam z tobą na pieńku.

Wielebny Marshall i jego małżonka zerwali się z krzeseł i spiesznie wymamrotawszy słowa pożegnania, opuścili domek.

Pijany Glendenning uprzejmie usunął się im z drogi. Życzył im nawet miłego dnia, czego już nie mogli usłyszeć.

Kiedy znaleźli się na dworze, Glendenning głośno zawołał:

- Dzięki Bogu, że sobie poszli! Nie znoszę ich. Wciąż paradują mi przed nosem z tymi swoimi paskudnymi córkami. Pytam się, jaki mężczyzna poszedłby z którąś z nich do łóżka?

Zachwycony sceną Shelley wybuchnął śmiechem. Hamish, który przyglądał się wszystkiemu zdumionym wzrokiem, zachichotał. Glendenning odrócił się szybko i wycelował w nich swój miecz.

- Nie ma się z czego śmiać. To poważna sprawa między mną a Stantonem.

Shelley z trudem opanował wesołość. Hamish spowaźniał na widok miecza.

- To wołę - powiedział Glendenning. - A teraz posłuchaj, Stanton. Wiem, że Brenna myśli, że to ja ciebie postrzeliłem. Problem polega na tym, że nie widziałem powodu, dla którego miałbym do ciebie strzelać. Przynajmniej do chwili, gdy mnie o to oskarżyła. Nie będę się tutaj zwierzał... ale uważam, że postąpiłeś podle, wiedząc, co do niej czuję.

Wyprostował się na całą, liczącą metr osiemdziesiąt, wysokość i, wypiąwszy pierś, dokończył:

- Wracając do tematu, gdybym wiedział, co knujesz, na pewno bym do ciebie strzelił. Przecież ja poznałem ją pierwszy. Mam wszelkie prawa... - Tu wycelował ostrze miecza w twarz Reilly'ego - by cię poszlachtować i patrzeć, jak wypływają twoje wnętrzności.

Słuchając tego barwnego opisu, Shelley otworzył szeroko usta, a Hamish uśmiechnął się z zachwytem. Reilly zaś spokojnie spoglądał na Glendenninga.

- Ale tak się składa - ciągnął hrabia, opuszczając miecz, jakby nagle stał się dla niego zbyt ciężki - że nie jestem mściwy. Pochodzę z MacLeodów. A MacLeodowie wiedzą, kiedy przegrali. W tej bitwie ty zwyciężyłeś, Stanton. Zdecydowałem, że możesz ją sobie wziąć. - Zamilkł, uniósłszy butelkę do ust. - No i - dodał - to nie ja do ciebie strzelałem.

To powiedziawszy, zdrowo pociągnął z butelki.

Reilly chwycił Shelleya za ręce i unieruchomił je, zanim przyjaciel zdążył nagrodzić brawami dramatyczne przemówienie hrabiego.

- Wiem - powiedział Reilly, zwracając się do Glendenninga.

Hrabia odjął butelkę od ust. Spojrzał na lekarza zdumionym wzrokiem.

- Wiesz?

- Tak - odparł Reilly.

- Niby co wiesz?

- Że to nie ty do mnie strzeliłeś.

Glendenning wybałuszył oczy.

- Skąd możesz to wiedzieć?! - wykrzyknął Shelley.

Hamish milczał, spoglądając na Reilly'ego spod runda kapelusza.

- Wiem - powiedział Reilly spokojnie. - I to wystarczy.

- I co masz zamiar zrobić? - zapytał Shelley.

- To, mój przyjacielu, jest...

Przerwał, słysząc głosy za drzwiami, które Glendenning pozostawił niedomknięte.

- Może to morderca. Wraca, by dokończyć dzieła.

To nie był morderca. Nadeszli Brenna i Pearson, powracający od MacGregorów. Brenna miała na sobie spodnie, lecz tym razem zamiast swetra włożyła białą koszulę ojca. Reilly szczerze podziwiał efekt, jaki osiągnęła, choć nie był szczególnie zadowolony, że docenili go także Pearson i Shelley, nie wspominając już o hrabim.

Brenna i Pearson rozmawiali sobie w najlepsze, lecz zamilkli, widząc, kto siedzi przy stole ze Stantonem i Shelleyem. Brenna poczerwieniała i zacisnęła pięści.

- Ty! - zawołała głosem pełnym nienawiści.

Reilly i Shelley poderwali się na widok Brenny, a Glendenning pozostał na swoim miejscu... czego Reilly nie miał mu za złe, biorąc pod uwagę stan upojenia alkoholowego, w jakim lord się znajdował.

- Tak, to ja - odparł Glendenning ze smutkiem. - Tylko już mnie nie bij, dobrze? Powiedziałem Stantonowi, że to nie ja go postrzeliłem, i on w to uwierzył. Ty także musisz mi uwierzyć.

Brenna odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. W jej śmiechu nie było jednak cienia wesołości.

- Niby czemu miałabym ci uwierzyć? - zapytała. - To bardzo w twoim stylu.

- Strzelanie do bezbronnego? - Glendenning, choć pijany, zacisnął szczęki z oburzeniem. - Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. I ty dobrze o tym wiesz. Żaden MacLeod nie strzelałby do nieuzbrojonego człowieka. A zresztą... - dodał, prostując dumnie plecy - ja wolę białą broń.

Brenna uznała, że wobec stopnia zamroczenia hrabiego nie warto się z nim spierać, więc zacisnęła wargi i milczała zawięcie.

Pearson spostrzegł dodatkowe filiżanki i zapytał ciekawie:

- A więc mieliście gości?

- To Marshallowie - odparł Reilly. - W trosce o moralność Brenny.

Rumieniec na policzkach Brenny stał się jeszcze ciemniejszy. Reilly widział, że coś ją zaprzęta, nie tylko fakt, że został postrzelony. Dlatego cieszyła się z obecności Shelleya i Pearsona pod jej dachem. Reilly miał ochotę porozmawiać z nią na ten temat...

Ale nie tutaj. Nie w obecności tych wszystkich ludzi.

- Wścibscy staruchowie - skwitował Shelley. - Oto, co o nich myślę. Siadajcie. Napijemy się whisky lorda Glendenninga.

- Z chęcią - odrzekł Pearson i opadł na krzesło, które przed paroma minutami zwołniła pani Marshall.

- Co ty tu robisz, Hamish? - spytała Brenna, spostrzegłszy chłopca, siedzącego obok paleniska.

- Nic - odpowiedział niewinnie, mrugając wielkimi niebieskimi oczyma.

Rzuciła mu spojrzenie, świadczące o tym, że chociaż mu nie wierzy, nie ma pojęcia, o co mogłaby go oskarżyć.

- Brenno - odezwał się Reilly tonem równie niewinnym jak Hamish. - Lord Glendenning ma ci coś do powiedzenia. Prawda, milordzie?

Glendenning skinął głową.

- To nie ja strze...

- Nie, nie o to mi chodziło - szybko przerwał mu Reilly.

- W takim razie nie wiem... - powiedział Glendenning z za-
kłopotaniem.

- O Brennie - przypomniał mu Reilly.

- Nie każ mi tego powtarzać, Stanton - jęknął hrabia.

- W porządku. W takim razie ja to powiem. Lord Glendenning
życzy nam wszystkiego najlepszego na wspólnej drodze życia,
Brenno.

Brenna spojrzała zdumionym wzrokiem na hrabiego. Reilly
kopnął go pod stołem w kostkę.

- Tak - bąknął Glendenning.

- W takim razie przepraszam, milordzie, że się rzuciłam na
ciebie z pogrzebaczem.

- Och - Glendenning poprawił kołnierz koszuli. - Obeszło się
bez sińców.

Zapanowało niezręczne milczenie. Aby je przerwać, Reilly
zapytał:

- Jak się ma najmłodsza latorośl pana MacGregora?

- Młody panicz Seumas najadł się niedojrzałych jagód - odparł
Pearson.

- Wyzdrowieje? - zapytał jego starszy brat.

- Z pewnością. Podałam mu opium z wodą.

- Doskonale - powiedział Reilly, choć nie bardzo ich słuchał.

Wciąż go zaprzętała myśl, co się dzieje z Brenna. Dlaczego boi
się zostać z nim sam na sam? Może powiedział jej coś pod
wpływem laudanum? Nie wyobrażał sobie, by to było praw-

dopodobne. Nie mógł przecież powiedzieć nic poza tym, że ją kocha nad życie.

A może powiedzieli coś Pearson albo Shelley? Spojrzał na przyjaciół, radośnie popijających whisky Glendenninga. Byłem nieprzytomny przez cały dzień - pomyślał. Może wygadali się wtedy, że jestem markizem? Nie daj Boże, by Brenna dowiedziała się od nich tego, co już dawno powinienem był sam jej powiedzieć...

Ale on miał zamiar uczynić to w odpowiednim czasie i na swój sposób. Jeśli Pearson lub Shelley nie utrzymali języków za zębami...

Cóż, zapłacą mu za to. I tyle.

- Skoro nie postrzelił cię lord Glendenning - drażył sprawę dociekliwy Shelley - kto to zrobił?

- Podejrzewam Mackafeego - powiedział Pearson pogodnie. - Tego, o którym opowiadała nam panna Donnegal.

Brenna spojrzała na niego zdumionymi oczyma.

- Harold Mackafee?! - wykrzyknęła.

- Kiedy się nad tym zastanowić, nie jest to pozbawione sensu - ciągnął Pearson. - Z tego co nam powiedziałaś, miał powód, by życzyć Stantonowi śmierci.

- Ale mój ojciec przyłożył mu wiele razy - zaproponowała Brenna - a on nigdy do niego nie strzelał.

- Możliwe, że wreszcie stracił cierpliwość.

- Możliwe również - powiedział Reilly - że strzelał ktoś inny, a nie Harold Mackafee.

Nie powiedział tego, ponieważ nie wierzył Hamishowi, ani dlatego, że chłopiec zaniepokoił się przebiegiem rozmowy, lecz dlatego, że Harold Mackafee był jego problemem i Reilly sam musiał go rozwiązać.

Reilly potarł brodę i spojrzał na Brennę, która wciąż unikała jego wzroku. Pod palcami poczuł gładką skórę. Dziś rano ogolił się po raz pierwszy od wypadku i samodzielnie ubrał, mówiąc sobie, że jest gotowy stawić czoło światu i Brennie.

Teraz jednak przeszła mu chęć na spotkanie ze światem, pragnął jedynie porozmawiać z Brenna... niestety ona nie miała na to ochoty.

Zastanawiał się właśnie nad tym, co mogło nią powodować, gdy usłyszał głosy przy drzwiach.

- Co się stało, Maeve? - pytała Brenna. - Coś złego?

Reilly odwrócił się i spojrzał zaciekawiony. W drzwiach stała dziewczyna z piwiarni. Oczy miała zaczerwienione i spuchnięte od płaczu. Dyszała ciężko, widać było, że całą drogę z gospody przebyła biegiem. - Och, panienko, panienko...

Płakała, nie mogąc wydusić ani słowa. Brenna postawiła garnek na palenisku, podeszła do dziewczyny i położyła dłonie na jej drżących ramionach.

- Co się stało, Maeve? - spytała. - Powiedz mi, o co chodzi?

- Och, panienko... - Maeve rzuciła okiem w stronę lorda Glendenninga. - Chodzi o Florę, panienko. Ona... jest chora.

- Na co? - zapytał Reilly, ale nikt go nie słuchał. Brenna potrząsnęła nią łagodnie.

- Co jej jest? Odpowiedz, Maeve!

Lord Glendenning wstał, jak zwykle przewracając krzesło. Podeszedł do drżącej dziewczyny.

- Och, wie pani na co! - krzyknęła Maeve, kryjąc twarz w dłoniach. - Dobrze pani wie! Cholera wróciła, panienko! Jestem pewna. To znowu cholera!

Wyspę spowijała poranna mgła, tak gęsta, że na odległość większą niż dwa metry nie można było dostrzec ludzkiej twarzy. Stojący na szczycie skały zamek Glendenning w ogóle nie był widoczny. Z miejsca, w którym się znajdował, Reilly nie widział nawet gospody Pod Udřejczonym Zającem, choć wiedział, że obecni w niej ludzie zapalili latarnie.

Pomimo wczesnej pory rybacy już odpłynęli na łodziach. Większość mew pośpieszyła za nimi, lecz kilka pozostało i teraz fruwały z nadzieją ponad Reillym i jego przyjaciółmi, czekającymi na przybycie promu. W porannej ciszy słyhać było tylko krzyki mew i szum fal...

- Spóźnia się - powiedział Pearson.

Nie było zimno, lecz Shelley zadrżał.

- Cholerny głupiec - powiedział z niesmakiem.

Reilly nadstawiał uszu, by pochwycić fałszywe pogwizdywanie Stubena, jedyną oznakę zbliżania się promu.

- To mi się nie podoba - oświadczył Pearson.

- Nigdy nie spóźnia się więcej niż o pół godziny - zapewnił go Reilly. - Pół godziny nie ma znaczenia. Na pewno złapiecie dyliżans.

- Nie o to mi chodzi - odparł zniecierpliwiony Pearson. - Mówię o tobie. Powinieneś odpłynąć z nami.

- Dobrze wiesz, że nie mogę.

- Przeciwnie, stary. Twoim moralnym obowiązkiem jest stąd odjechać. Zabrać dziewczynę i wracać z nami do Londynu. Pozostanie na tej zapomnianej przez Boga wyspie jest grzechem.

- Ona by nie pojechała - odparł po prostu Reilly.

- W takim razie zwiąż ją i zaknebluj - poradził Pearson. - A w razie potrzeby wepchnij ją do worka. Ale uciekajcie stąd, obydwójcie.

Reilly tylko się uśmiechnął. Kochał Charlesa Pearsona i St. Johna Shelleya, jak rodzonych braci, których nie miał. Ale nie był zaślepiony i dostrzegał ich wady... takie jak samolubstwo i zamięłowanie do plotkarstwa.

A to mu przypomniało...

- Czy któryś z was nie napomknął Brennie - zapytał - że jestem markizem Stillworth?

- Zapewniam cię po raz ostatni, że nie - burknął Pearson.

- Ale coś ją bardzo zaprzęta - powiedział Reilly. - I jeśli to nie to, sam już nie wiem, co by to być mogło.

- Może nawrót zarazy - podsunał Shelley pogodnie. -Wszyscy tutejsi ludzie są z tego powodu nieco podenerwowani.

- Zaczęła się na mnie dąsać wcześniej - powiedział Reilly w zamyśleniu. - Zaraz po moim wypadku.

- Może się zorientowała, jakim trudnym jesteś pacjentem, i nie chce mieć z tobą nic do czynienia. Nie dziwiłbym się. Żaden z moich pacjentów nie wybrzydza tak jak ty...

- Źle się zabrałeś do rzeczy, Stillworth - przerwał mu zirytowany Pearson. - Powinieneś jej powiedzieć, że masz tytuł markiza. To by jej zaimponowało.

- Nie jej - odparł Reilly z emfazą.

- Bzdura. - Pearson wyciągnął z kieszeni zegarek i przyglądał mu się w szarym świetle mglistego poranka. - Myśleliśmy, że

panna King, to jest lady Ethelridge, dba bardziej o charakter wybranego niż o jego majątek i popatrz, jak bardzo się myliliśmy. Nawet twoja panna Donnegal powiedziała...

Pearson zamilkł.

- Co powiedziała moja panna Donnegal?

Pearson zatrasnął kopertę zegarka i wsunął go do kieszeni marynarki.

- Och, nic.

Ale widać było, że zaciska ukryte pod wąsami wargi.

- Co powiedziała panna Donnegal, Charles? - dopytywał się Reilly.

- Wtedy, gdy rozmawialiśmy o panie King? - zapytał Shelley.

- Rozmawialiście o panie King?! - ryknął Reilly. - Z Brenna? Kiedy?

Shelley podskoczył, lecz bardziej z powodu sójki w bok, którą wymierzył mu Pearson, niż z powodu wybuchu Reilly'ego.

- Au! - syknął, rozmasowując obolałe miejsce. - Co z tobą, Chas? Zapewniam cię, Reilly, że to była zupełnie niewinna pogawędka. Kiedy usnąłeś po laudanum. Chas i ja rozmawialiśmy o tym, jak przyjąłeś wiadomość o Ethelridge'u i wtedy... pojawiła się ona.

- Nie wiedzieliśmy, że się już obudziła - dodał zakłopotany Pearson.

Reilly przyjrzał się przyjaciołom.

- I co dalej?

- A wtedy ona zapytała, czy rozmawiamy o panie Christine King - wyjaśnił Shelley. -I powiedziała, że wicehrabia jest lepszą zdobyczą niż zwykły lekarz, a my przyznaliśmy jej rację. Tak. Nie pisnęliśmy ani słowa o tym, że uważamy markiza za lepszego od nich obydwu, co powinniśmy jej byli powiedzieć.

- Reilly - westchnął Pearson. - Mówię poważnie...

- Cicho. - Reilly uniósł dłoń. - Muszę się zastanowić.

A więc Brenna wie, że Christine poślubiła innego, myślał. Czy to jest przyczyną jej lodowatych spojrzeń? Ale dlaczego? Jakie

znaczenie ma dla Brenny Donnegal fakt, że Christine King poślubiła wicehrabiego Ethelridge'a?

- A może - wykrzyknął Shelley - ma to coś wspólnego z tym, co jej powiedzieliśmy zaraz po przybyciu na wyspę?! Że przyjechaliliśmy, żeby cię stąd zabrać.

- Powiedzieliście jej, że przyjechaliście mnie stąd zabrać? - wychrypiał Reilly. - Tak jej powiedzieliście? Powiedzieliście jej, że po to przybyliście na Skye? Żeby mnie zabrać do domu?

- Oczywiście - odparł Shelley, bardzo zdziwiony pytaniami przyjaciela. - Ale i tak by się tego domyśliła. Przyjechałaś tu przecież z powodu panny King. A ona wyszła za mąż. Nie ma więc powodu, żebyś tu pozostał.

Pod Reillym ugięły się nogi.

- Powiedzieliście jej, że chcecie mnie zabrać do domu i nie wspomnieliście jej o tym, że odrzuciłem waszą propozycję? - wybuchnął.

Jego dwaj przyjaciele, teraz już byli przyjaciele, wymienili zakłopotane spojrzenia.

- To oczywiście, że ją odrzuciłeś - odparł Shelley, śmiejąc się nerwowo. - Jesteś tu tylko dlatego, że nas odprowadzasz. Nie masz zamiaru wsiadać na prom. Wkrótce sama się o tym przekona.

- A więc ona nie ma pojęcia... nie ma zielonego pojęcia, że powiedziałem...

- Wcale się tym nie przejęła, Reilly - pocieszył go Shelley. - Nawet sobie żartowała. Pamiętasz, Chas? Że lepszy wicehrabia w garści niż doktorek na dachu...

- Na miłość boską, Stanton - wtrącił się Pearson. - Sam nam powiedziałeś, że mamy utrzymać twój tytuł w tajemnicy. I tak się stało. Nie możesz teraz...

Na szczęście w tym momencie rozległo się pogwizdywanie Stubena.

- No, jest nareszcie - powiedział Reilly. - Nie miejcie mi za złe, ale zostawię was, chłopaki. Widzę, że muszę ratować sytuację.

- Ależ, Reilly... - zaczął Pearson.
- Możecie zostać i pomóc nam w walce z cholera - przerwał mu Reilly.
- O, nie. Bardzo dziękuję. Nie zamierzam narażać życia, nawet jeśli masz się na mnie za to gniewać.
- Pamiętajcie, czego uczono nas na studiach? To się chyba nazywa przysięga Hipokratesa...
- Nie wyjeżdżaj mi teraz z cholernymi przysięgami - przerwał mu rozżłoszczony Pearson. - Pozostanie tutaj to szaleństwo. Ci ludzie i tak umrą, nawet jeśli nie wyjedziesz z wyspy. Zabieraj dziewczynę i wracaj z nami.
- Nie mogę tego zrobić, stary - odparł Reilly, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Jestem tutaj potrzebny. Ale życzę wam bezpiecznej podróży. I nie zapomnijcie o moich zamówieniach. Potrzebujemy dostawy leków. Mnóstwa leków.

Pearson w roztargnieniu poklepał się po kieszeni. Wpatrywał się we mgłę, usiłując dostrzec prom, który zabierze ich z tego piekła, w jakie niebacznie się wpakowali.

- No dobrze. Może i nie - powiedział zagadkowo.
- Reilly pytająco uniósł brwi.
- To nie szaleństwo - wyjaśnił Pearson. - Ty rzeczywiście przejmujesz się ich losem. Naprawdę zależy ci na tych ludziach, prawda?
 - Chyba tak - odparł Reilly z posępnym uśmiechem.
 - Jeżeli przeżyjecie zarazę, zaprosicie nas na wesele, dobrze? Przyjedziemy.

Reilly uśmiechnął się i zostawił ich na pomoście, czekających, aż Stuben wyłoni się z mgły. Oddalił się spieszenie, bo miał bardzo wiele do zrobienia.

Najpierw zaszedł do gospody Pod Udręczonym Zającem, aby naprawić to, co zniszczyli jego przyjaciele.

Okazało się to niełatwe. Brenna nie chciała rozmawiać o niczym innym, prócz swojej pacjentki.

- Przetrzymała noc - poinformowała go bardzo zmęczona, wyszedłszy z maleńkiego pokoiku Flory. - To już coś.

Reilly spojrział przez uchylone drzwi na wyniszczoną przez wysoką gorączkę twarz dziewczyny. Nie była to już ta sama krucha i delikatna Flora, która tuż przed porodem kartkowała żurnale mód, zainteresowana najnowszą paryską modą. Ta Flora leżała nieruchomo. Rozsypane na poduszce złociste loki otaczały przeraźliwie bladą twarz. W pokoju unosił się wyraźny odór. Reilly stwierdził, że jest to zapach cholery.

Woń śmierci.

Przy łóżku Flory stała ławka zastawiona dzbankami pełnymi płynu. Cholera powodowała u swych ofiar nieustające pragnienie. Pośród kolegów Reilly'ego nie było zgody co do tego, jaki napój jest najodpowiedniejszy. Sam Reilly często żartował, że chorym najlepiej podawać to, czego sobie zażyczą, bo najprawdopodobniej będą pili po raz ostatni w życiu.

Teraz ten żart nie wydawał mu się ani trochę zabawny.

Wkrótce się przekonał, że Brenna, zgodnie z radami ojca, najchętniej podawała swoim pacjentom wodę z dodatkiem opium, a gdy zaczynało brakować opium, serwowała piwo pani Murphy. Ponieważ u doktora Donnegała liczba wyleczonych pacjentów była dwukrotnie wyższa niż w sąsiednich miejscowościach, Reilly uznał, że ojciec Brenny wiedział, co robi. W każdym razie to właśnie opium z wodą, wlewane przez całą noc do gardła Flory, utrzymało dziewczynę przy życiu... na razie.

W odległości dwóch metrów od łóżka siedział lord Glendenning. Rozwalony na rachitycznym krześle, wydawał się absurdalnie wielki. Tak samo jak Brenna, spędził tu całą noc. Nie ruszył się także rankiem. Było jasne, że hrabia będzie tkwił przy Florze, dopóki dziewczyna nie wyzdrowieje... lub umrze. W ten sposób dawał wzruszający, choć nieco spóźniony wyraz przywiązania do matki jego czterech córek. Reilly żałował, że Flora jest nieprzytomna i nie może tego widzieć.

Brenna uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Tak - powiedziała. - Wreszcie usnął. Dzięki Bogu. Nie mogłam już słuchać jego opowieści o tym, jak bardzo zawsze kochał Florę.

- Naprawdę? - zdziwił się Reilly. - Dobrze się składa, że zdał sobie z tego sprawę teraz, gdy ty jesteś zajęta.

Brenna nawet się nie uśmiechnęła.

- Twoi przyjaciele zdążyli na prom?

- Tak. A co do moich przyjaciół. Posłuchaj, Brenno. Oni...

- Zajrzałeś do Seumasa MacGregora? - przerwała mu.

- Tak. Miałaś rację. To wcale nie jagody. On także ma cholere.

- O Boże! - Brenna uniosła rękę do czoła. - Powinnam się była domyśleć. Tylko że tego lata zaraza zaczęła się tak wcześniej. Nie spodziewałam się...

- Żona MacAdamsa też zachorowała. I jedna z córek Abercombich. Musiałem ją zabrać do szpitalika. Kiepsko z nią... - Reilly spostrzegł, że, słuchając go, Brenna pobladła jeszcze bardziej. Zaczął żałować, że jej o tym opowiedział.

- Może wrócisz do domku i trochę się zdrzemniesz - podsunął łagodnie. Wyjaśnienia mogą poczekać. Teraz mieli na głowie ważniejsze sprawy. - Obudzę Glendenninga. Poradzi sobie z poje- niem Flory. A ja zajrzę do syna MacGregorów i do pani Mac Adams...

- Nie - odrzekła Brenna. - Nie ma czasu na spanie

Nie odgrywała cierpiętnicy. Pomimo zmęczenia powodowała nią chęć sprostania wyzwaniu. I tak nie mogłaby usnąć. Jej szafirowe oczy płonęły niecierpliwie z chęci zmierzenia się z epidemią.

Reilly dostrzegł ów płomień i zrozumiał Brennę. Dlatego powróciła na Skye, ryzykując własną reputację i niezadowolenie rodziny. Nie dbała o nie. Teraz nawet on sam się dla niej nie liczył... W tej chwili Brenna zmieniła się w gejzer energii.

- Powiedziałaś, pani MacAdams? - spytała, sięgając po jego pamiętnik. Przez chwilę myślał, że znów zacznie mu suszyć głowę z powodu nie dość romantycznych zapisków na jej temat.

Lecz stwierdził, że Brenna przywłaszczyła sobie jego zeszyt i prowadzi w nim swoje nieczytelne notatki.

- MacGregorowie - zapisywała. - MacAdamsowie. Flora. Rodzina Abercombiech. Tak samo jak w zeszłym roku. Tylko... tylko że nadal nie wiem, skąd to się bierze.

- Od chłopaka MacGregorów - podsunął Reilly.

- Tak. Ale skąd się wzięło u niego? - Brenna spoglądała na szkic, który wykonała. Reilly stwierdził, że to mapka okolicy. Zaznaczając domostwa zarażonych rodzin, Brenna naszkicowała zarys gwiazdy.

- MacGregorowie mieszkają z dala od osady. Prawie tak samo daleko jak rodzina Mackafeech. Abercombie mają dom na granicy osady, a Flora mieszka w Lyming. Ale tak samo jak poprzednio nie zachorował nikt z zamku. Nikt spośród Marshallów oraz ani ja, ani ty.

Reilly skinął głową. Zbliżała się do nich pani Murphy z zaniepokojonym wyrazem twarzy. Nic dziwnego, że była zdenerwowana. Choroba mogła w każdej chwili zaatakować następne ofiary...

- Doktorze Stanton - cicho powiedziała właścicielka gospody, podchodząc blisko, by nie obudzić drzemiącego lorda. - Panno Brenno. Jakaś kruszyna czeka na dole, mówi, że musi się z wami zobaczyć...

Brenna zamknęła zeszyt.

- Pani Murphy - powiedziała autorytatywnym tonem. - Proszę posiedzieć przy Florze. Trzeba ją obudzić i zmusić, by się napiła. Jak najwięcej.

Następnie wzięła Reilly'ego pod rękę i razem zeszli po schodach.

- Wygląda na to, że największa koncentracja przypadków zachorowań jest w miastach - mówiła, mijając szynkwasy i podchodząc do drzwi. - To się zgadza z tym, co wiemy na temat tej choroby. Śmiertelność wywołana cholera jest w Londynie i innych gęsto zaludnionych miastach o wiele większa niż gdzie indziej. Szczególnie duża jest w miastach portowych...

- Co - powiedział Reilly ostrożnie - potwierdza teorię miazmatów. Zgnilizna...

- Nie wydaje mi się - szybko przerwała mu Brenna. - Już ci mówiłam, że w pobliżu domostw ofiar cholery nie ma żadnych gnijących odpadków.

- Na ten temat napisano już niejedno dzieło...

- W takim razie ich autorzy się mylą.

To powiedziawszy, Brenna gwałtownie otworzyła drzwi i stanęła oko w oko z małą dziewczynką. Pomimo brudu powlekającego jej twarz, widać było, że to Shannon Mackafee.

- Shannon? - Brenna przykucnęła naprzeciw dziewczynki. - Co się stało?

Dziewczynka nie była w stanie odpowiedzieć.

- Chodzi o twoją matkę? - spytała Brenna, odgarniając włosy z twarzy dziecka.

Dziewczynka pokręciła głową.

- Siostry i bracia są zdrowi?

Dziewczynka skinęła głową.

- To... to mój tata - wyszeptała z trudem, spoglądając na Reilly'ego.

- Twój ojciec? - powtórzyła Brenna. - Co mu jest?

- Od kilku dni bardzo boli go tutaj - wyjaśniła dziewczynka, wskazując na brzuch. - A teraz ciągle chce pić. Mama mówi, że jest rozpalony, i kazała jak najszybciej przyprowadzić panią i doktora...

Na twarzy Reilly'ego pojawił się krzywy uśmiech. Nie potrafił go opanować, tak samo jak nie potrafiłby zmusić słońca, by przestało świecić na niebie.

- Naprawdę? - zapytał tonem, który sprawił, że Brenna szybko uniosła głowę.

Ale gdy to uczyniła, spostrzegła, że Reilly w zamyśleniu wpatruje się we mgłę.

Rudera, w której gnieździła się rodzina Mackafeech, była jeszcze gorsza, niż Reilly zapamiętał. Możliwe, że z powodu odoru cholery.

Opady oraz woda, pochodząca z topniejącego w górach śniegu, zmieniła wąską strużkę, ciekącą przez podwórko Mackafeech, w solidną strugę. Reilly rycersko podał dłoń Brennie, lecz ona zlekceważyła jego uprzejmość i samodzielnie przeszła przez wodę.

Jednak na widok nędzy i brudu straciła nieco animuszu.

- Panie Mackafee - przemawiała do swego pacjenta, który leżał pośród łachmanów, w rogu dusznej szopy, którą jego dzieci nazywały domem. - Whisky tylko wzmagają pragnienie. Niech się pan napije tego.

Podawała mu butelkę mieszaniny wody z opium, którą przygotowała przed wyjściem z gospody.

Mackafee, który teraz sprawiał wrażenie o wiele starszego i był bardziej wyniszczony niż wtedy, gdy Reilly z taką przyjemnością przyłożył mu pięścią w szczękę, pokręcił przecząco głową.

- Whisky - zażądał.

Brenna, która przysiadła na brzegu legowiska, ponieważ w pomieszczeniu znajdowało się tylko jedno krzesło i zajęła je bardzo wymizerowana pani Mackafee, odkorkowała butelkę.

- Naprawdę, panie Mackafee - powiedziała. - Niech pan tylko spróbuje. Ten napój dobrze panu zrobi.

Lecz Mackafee chwycił butelkę i, z zadziwiającą u tak chorego człowieka siłą, cisnął nią na podłogę, wylewając większość zawartości na Brennę.

- Nie chcę! Słyszysz mnie, jędzo? Nie chcę tego świństwa i nie potrzebuję twojego leczenia. Wynoś się! Wynoś się stąd!

Zrozpaczona Brenna podniosła się z legowiska. Reilly odprowadził ją na bok i poradził:

- W takim razie zbadaj dzieci, a ja zajmę się panem Mackafee.

- Dobrze - zgodziła się oszołomiona Brenna. - Tak będzie lepiej.

Reilly usiadł obok Harolda i uśmiechnął się do chorego.

- Witam - powiedział przyjacielskim tonem. - Pamiętasz mnie?

Mackafee wybałuszył zażawione oczy. Było oczywiste, że doskonale go pamięta.

- To ty - wydyszał poprzez splekane wargi.

- Tak, ja - odparł Reilly wesoło. - A to niespodzianka! Myślałeś, że już nie żyję, co? Cóż, przykro mi, że sprawiam ci zawód. Nas, Stantonów, niełatwo zabić.

- To nie ja - odparł Mackafee. - Nie wiem, co...

- Och, dobrze wiem, że to ty. Groziłeś, że mi odpłacisz przy pierwszej sposobności za to, że ci dołożyłem. I dotrzymałeś słowa. Tylko że mnie nie zabiłeś. Ja żyję.

Na twarzy Mackafeego odmalowało się przerażenie. Reilly nieomal czuł smród strachu, tak jak wyczuwał odór cholery.

- Co teraz zrobisz? Oskarżysz mnie? Na Skye tak się tego nie załatwia. Tutejsi ludzie załatwiają swoje porachunki między sobą. Nie procesują się w sądzie...

- W sądzie? Mój Boże, nie. Co by nam dał proces? Najwyżej trafiłbyś do więzienia, o ile przeżyjesz. A tam leniuchowałbyś tak samo jak na wolności, gdy tymczasem twoja żona umarłaby z głodu. Nie, ja mam dla ciebie znacznie surowszą karę.

Mackafee oblizał spękane wargi.

- Ja...jaka karę?

- Tylko taką - odparł Reilly, wyjmując z kieszeni drugą butelkę eliksiru Brenny. - Widzisz tę flaszkę? Wypijesz jej zawartość. Do dna.

- Ale...

- A gdy ją opróżnisz, wypijesz następną, którą ci przyślę. Będziesz wypełniał wszystkie polecenia panny Brenny i nie umrzesz. Będziesz żył, Mackafee. A wiesz dlaczego? Bo tak sobie życzy panna Brenna. Ona, w przeciwieństwie do mnie, nie dostrzega w tobie wyrzutka. Chce, abys żył, abys przestał chlać whisky i stał się mężem i ojcem, na jakiego zasługują twoja żona i dzieci. A to oznacza, że będziesz robił wszystko, co ci nakaze panna Brenna. Wtedy wyzdrowiejesz.

- Naprawdę?

- O, tak. Wyzdrowiejesz. Przestaniesz pić, wybudujesz przyzwoity dom dla swojej rodziny, zaczniesz się kapać i chodzić do kościoła...

- Nie możesz... - zaprotestował Mackafee.

- Nie mogę? Uwierz mi, Haroldzie, dopilnuję, by tak się stało.

- Niczego nie dopilnujesz - odparł Mackafee - jeśli ja umrę.

- Wyobrażasz sobie, Haroldzie, że pozwolę ci umrzeć? Nigdy!

- Nie możesz mnie powstrzymać.

- Oczywiście, że mogę. Słyszałeś o tym, że nie pozwoliłem umrzeć chłopakowi MacGregorów? Wywierciłem mu dziurę w czaszce. Aż do samego mózgu - ciągnął z uśmiechem. - Bardzo nieprzyjemna operacja. Ale to nie jest jedyny sposób, jaki znam. Wiesz, co zrobię, gdybyś na przykład przestał jeść i pić?

- Co?

- Wziąłbym nóż i wywiercił ci dziurę, o, tutaj... - Reilly dotknął gardła Mackafeego. - Wsunąłbym do niej rurkę i podawał ci przez nią jedzenie i picie. - Oczywiście... - dodał i uśmiechnął się z żalem - ...nie mógłbyś mówić, więc nie byłbyś nam w stanie

powiedzieć, na co masz ochotę, ale ponieważ i tak przez rurkę można wpychać tylko papki, nie miałyoby to wielkiego znaczenia. Kiedy już zrobię ten otwór i umieszczę w nim rurkę, nie będzie jej można usunąć... bo umarłbyś z głodu, zanim dziura zarosłaby na tyle, abyś mógł znowu normalnie przełykać. W każdym razie musiałbyś się pożegnać z whisky, przyjacielu.

Reilly spojrział na chorego, zastanawiając się, czy uwierzył w te bajdy, których mu naopowiadał.

- Wypiję to, co jest w tej butelce - zdecydował Mackafee, nie mrugnawszy okiem.

- Bardzo dobrze - odparł Reilly, klepiąc pacjenta po ramieniu. - Tak właśnie myślałem.

- Zrobię, co mi każe panna Brenna.

- Doskonale.

- Przepraszam, że usiłowałem cię zabić. Nie chciałem tego. Wszystkiemu winna ta whisky. Straciłem głowę.

- Jasne. Ale więcej nie będziesz miał takich problemów. Otwórz usta - poleciał i gdy Mackafee go usłuchał, Reilly wlał mu do gardła sporą część zawartości butelki.

Mackafee przełknął i uśmiechnął się z przymusem.

- Świetnie - powiedział Reilly zupełnie innym tonem. - Lekarstwo panny Brenny bardzo pomaga, prawda, Mackafee?

Mackafee skinął głową, spoglądając na Brennę, która właśnie do nich podeszła.

- Widzisz, Brenno? - powiedział Reilly. - Smakowało mu.

- Całkiem dobre - potwierdził Harold Mackafee.

Nie do wiary - powiedziała Brenna po upływie dwudziestu minut, gdy rozmontowali bimbrownię Mackafeego.

- Mackafee sam mnie o to poprosił. „Zniszczcie destylatornię”, tak mi powiedział. Szkoda, że go nie słyszałaś. Był bardzo skruszony.

- Pędził bimber od dwudziestu lat... - zauważyła w zamyśleniu Brenna.

- Cóż, człowiek zdaje sobie sprawę, kiedy dokonać zmiany w swoim życiu. Ciężka choroba może mu w tym pomóc. Myślę, że obserwowałaś podobne przemiany, zachodzące u pacjentów twego ojca.

- Ale nie aż tak drastyczne. Zanim wyszliśmy, wypił prawie całą zawartość butelki. Przed zachodem słońca muszę mu wysłać następną flaszkę.

- Kiedy człowiek decyduje się odmienić swoje życie, zwykle zaczyna od razu. - Reilly podeptał ostatnie okruchy szkła i otrzepał dłonie. Brenna przyglądała mu się z wielką uwagą.

- Zagroziłeś mi, prawda? - spytała.

- Niczego takiego nie zrobiłem. Jak śmiesz...

- Bzdury. Zagroziłeś mi, dlatego wypił opium. Ale czym mi groziłeś? Jest jedną nogą na tamtym świecie.

Reilly wzruszył ramionami i natychmiast przypomniał sobie o ranie. Ilekroć uniósł prawą rękę, odzywał się ból w barku.

- Nie pamiętam, co mi powiedziałem. Czy to naprawdę ważne? Cokolwiek to było, odniosło skutek.

- Najwyraźniej. Pytałam tylko dlatego, że kiedyś mogłabym się posłużyć podobnymi pogroźkami.

- Brenno - zaczął Reilly, zmieniając temat. - Co się tyczy moich przyjaciół, jeśli nadal mogę ich tak nazywać, powiedzieli ci coś...

- Hola, a to kto? - przerwała mu Brenna. Gdyby jej nie znał, pomyślałby, że celowo unika rozmowy. Obejrzał się i spostrzegł małą Dorcas Mackafee, która wyszła z rudery i z obrzydzeniem prała jakieś gałgany w strudze ponad miejscem, w którym stali.

- Co robisz, Dorcas? - spytała Brenna, podchodząc do dziewczynki.

- Płuczę brudne pieluchy - odparła Dorcas.

- Och. - Brenna przyglądała się, jak dziewczynka zanurza szmatę w wodzie.

- Coś mi się zdaje, moja droga - powiedział Reilly z niesmakiem - że to ta sama struga, z której bierzecie wodę do picia.

- Słucham? - spytało dziecko, nie rozumiejąc.

- Pijecie wodę z tej strugi, Dorcas? - spytała Brenna.

- Tak. Oczywiście - odparła Dorcas i wróciła do prania.

Reilly wzdrygnął się z obrzydzeniem.

- Chodźmy stąd, Brenno, zanim zwymiotuję.

Jednakże Brenna powstrzymała go, opierając dłoń na jego piersi. Ponieważ był to pierwszy dotyk, jakim zaszczyciła go od kilku dni, Reilly znieruchomiał i spojrzał na nią wzrokiem pełnym nadziei.

Brenna zaś nie spuszczała oczu z dziecka.

- Dorcas - powiedziała. - Twoja mama mówiła mi, że dzidzius chorował. Na to samo, co teraz choruje twój tata. Kiedy to było, pamiętasz? Czy maleństwo chorowało, zanim byliśmy tutaj ostatnim razem?

- Tak - powiedziała dziewczynka. - Dlatego tata zbił mamę. Dzidzius płakał po nocach i nie dawał mu spać.

Brenna milczała. Patrzyła na brązową, cuchnącą wodę.

- Lepiej już chodźmy - powiedział Reilly. - Inni pacjenci czekają...

- MacGregorowie biorą wodę ze strumienia, do którego wpada ta struga - powiedziała Brenna w zamyśleniu.

- Tak, powinniśmy do nich wstąpić i powiedzieć o tych pieluszkach...

Brenna sięgnęła do kieszeni. Wyjęła pamiętnik Reilly'ego i otworzyła go na stronie, na której naszkicowała mapkę Lyming.

- Potok, do którego wpada ta struga - powiedziała, rysując go na mapie - przepływa w sąsiedztwie domu MacGregorów, których dziecko właśnie zachorowało. W zeszłym roku zmarło dwoje innych dzieci.

- W rodzinie Hamisha? - zapytał Reilly, marszcząc brwi. - Nie wiedziałem.

- A dalej - mówiła Brenna, nie przestając rysować - płynie obok Campbellów. Zeszłego lata umarło czworo spośród nich. Potem obok domu Abercombiech...

- Jedna z dziewczynek choruje - powiedział Reilly. Nagle udzieliło mu się podniecenie Brenny.

- A wreszcie wpada do podziemnego źródła - Brenna narysowała kwadracik. - Na którym jest pompa. Z niej biorą wodę MacAdamsowie. - Narysowała linię, wychodzącą z kwadracika. - Gospoda Pod Udręczonym Zającem zaopatruje się w wodę z tej samej pompy. - Narysowała drugą linię. - Właściwie całe Lyming bierze wodę z tego ujęcia.

Z wyjątkiem Burn Cottage - ciągnęła. - Bierzymy wodę z potoku. W Burn Cottage nie było przypadków zachorowań na cholere. I jeszcze Marshallowie... - Narysowała linię od potoku w stronę kościoła. - U Marshallów też nikt nie chorował na cholere, a oni biorą wodę z tego samego potoku.

Następnie przeniosła ołówek na południowy skraj mapy.

- Zamek Glendenning - powiedziała. - Ani jednego przypadku cholery, nigdy. Zamek Glendenning zaopatruje się w wodę w źródle, z którego wypływa nasz potok.

Reilly spojrzał na splątane linie na mapie. Chyba zaczynał pojmować, tylko że...

Tylko że to było niemożliwe.

- Właściwie co chcesz powiedzieć, Brenno?

- Sam dobrze wiesz, Reilly - odparła. Przytknęła koniuszek ołówka do kwadracika na środku strony, do kwadracika, z którego rozchodziło się wiele linii. Przycisnęła ołówek tak mocno, że złamała grafit.

- To woda - powiedziała.

29

Nie mogła w to uwierzyć. Przez cały ten czas prawda była w zasięgu ręki, bijąc w oczy ją i jej ojca, a żadne z nich nie potrafiło jej dostrzec. Nie przyszło im do głowy, że chorobą zarażało małe dziecko, piorące w strudze brudne pieluchy.

Woda. Cholerę roznosiła woda.

Dlaczego nie wpadła na to wcześniej? Wszyscy ci ludzie, wszystkie nazwiska wypisane na płytach nagrobnych. Wszyscy pochodzili z rodzin, które czerpały wodę z wiejskiej pompy oraz ze strumienia, który do niej wpadał.

To była owa prawidłowość. To wiązało wszystkie ofiary...

I nad rozprzestrzenianiem się cholery można było zapanować. Udowadniał to fakt, że nie chorował nikt spośród ludzi, pijących wodę z potoku. Choroba atakowała wyłącznie tych, którzy pili wodę, pochodzącą z brudnej strugi, przepływającej obok rudery Mackafeech. W Londynie i w innych dużych miastach, gdzie choroba szerzyła się nieokiełznanie, działo się podobnie: ludzie wylewali nieczystości do tej samej wody, którą inni pili.

To takie oczywiste. Dlaczego przedtem nigdy o tym nie pomyślano? Zawsze obwiniano miazmaty, gazowe wyziewy, wydobywające się z bagien i wysypisk śmieci...

Dokładne zbadanie topografii okolicy wskazywało na to, że w pobliżu Lyming nie było żadnych bagien ani wysypisk odpadków... Nie było tu żadnych tajemniczych wyziewów, mogących powodować rozprzestrzenianie się choroby. Zaraza była skutkiem ignorancji. Niewiedzy i ubóstwa. Kombinacji, która doprowadziła już do niejednej epidemii.

I z ich powodu corocznie umierały tysiące ludzi.

Ale koniec z tym. Na razie Brenna nie znała jeszcze lekarstwa na cholere, ale przynajmniej będzie potrafiła zapobiec szerzeniu się tej choroby. Może nie na skalę światową... ale w Lyming.

Brenna obejrzała się przez ramię. Reilly jechał za nią na swoim wierzchovcu, lecz z powodu rany nie mógł jej dogonić. Jak mam postępować z Reillym? - myślała.

Nie będzie się nad tym zastanawiać. Nie teraz. Nie wtedy, gdy ma tak wiele do zrobienia.

Dopiero wjechawszy do wsi, Brenna wstrzymała swoją klacz. Niezadowolona Willow stanęła dęba, lubiła szybki galop i chętnie pędziłaby dalej. Brenna nie zwracała uwagi na niesforne zachowanie klaczy. Zsunęła się z siodła i popędziła do kowala.

- Przepraszam, panie Cameron - powiedziała bez tchu. - Ale potrzebuję klucza do śrub.

Kowal, który właśnie spożywał posiłek, spojrział na nią z ciekawością.

- Proszę sobie wybrać, panno Brenno - odparł.

Brenna przejrzała zestaw kluczy i wybrała jeden z nich o odpowiednich rozmiarach i wadze. Chwyliła masywne narzędzie i, uśmiechnąwszy się do pana Camerona, pomknęła w stronę urządzenia, które zaprzętało jej myśli...

Ku wiejskiej pompie.

W pobliżu nie było żywej duszy. Od czasu gdy zachorowały Hora i pani MacAdams, nie handlowano na straganach. Wszyscy mieszkańcy osady, którzy akurat nie byli zajęci wypasem owiec

oraz połowem ryb, kryli się w domach, starając się nie wdychać miazmatów, które unosiły się w okolicy.

Brenna wiedziała, że nikt z nich nie spodziewa się, że choroba pochodzi z wody, w której się kąpali i którą pili.

Lecz ona wkrótce ich uświadomi.

Pompa była nowiuteńka. Zanim ją zainstalowano, była tu studnia. Innowacja, ułatwiająca czerpanie wody, stała się przedmiotem zrozumiałej dumy mieszkańców Lyming. Brenna wiedziała, że nie będą oni zachwyceni tym, co miała zamiar zrobić.

Zdawała sobie jednak sprawę, że nie ma innego sposobu, by położyć kres pladze.

Przyklęknęła obok jaskrawo pomalowanej pompy i nałożyła klucz na jedną ze śrub, które mocowały dźwignię.

- Brenno, zaczekaj!

Podniosła głowę. Na plac wjechał Reilly Stanton. Ostrożnie wstrzymał wierzchowca i spojrzął na Brennę.

- O co chodzi? - spytała. Dlaczego chce mnie powstrzymać? Czyżby nie wiedział, że to jedyny sposób? - myślała.

- To nie będzie łatwe. Może ja spróbuję poluzować śruby.

Brenna podniosła się z klęczek, a kiedy Reilly zsiadł z konia, podała mu klucz gestem królowej, wręczającej miecz nowo pasowanemu rycerzowi.

- Proszę bardzo, doktorze - powiedziała.

Reilly miał pewne trudności. Bolało go ramię, a śruba zardzewiała od wilgotnego powietrza. W końcu udało mu się ją poruszyć, a dalej odkręcała Brenna. Już niemal uporali się z pierwszą śrubą, gdy ze szkoły nadeszła mała Jessie Murdoch, by zaczerpnąć wody.

- Co robicie? - spytała dziewczynka bez wstępów.

Reilly, mocujący się z następną śrubą, milczał. Był zbyt zasapany, by jej odpowiedzieć.

- Rozmontowujemy pompę, Jessie - wyjaśniła Brenna. - Obawiam się, że będziesz musiała przynieść wodę z potoku.

- Z potoku? - spytała zdumiona dziewczynka. - Ale dlaczego?
- Woda z pompy nie jest dobra. - Brenna wskazała Reilly'ego ruchem głowy. - Doktor Stanton i ja nie chcemy, żeby ludzie ją pili. Na razie wszyscy będą brali wodę z potoku.

- Ale potok jest tak daleko... - zauważyła Jessie.

- Wiem. - Brenna uśmiechnęła się do dziewczynki. - I bardzo mi przykro. Ale tak teraz będzie.

Jessie spojrzała na wiadro.

- Lepiej powiem panu Rupertowi.

- Koniecznie - odparła Brenna z powagą i dziewczynka odeszła.

- Nie będą zadowoleni - powiedział zaspany Reilly. Brenna odepchnęła go od pompy i przejąwszy klucz, zabrała się do pracy nad następną śrubą.

- Ale nie ma innego wyjścia. Długi spacer po wodę albo śmierć. Myślę, że jednak wybiorą spacer.

Śruba ani drgnęła. Reilly odzyskał siły i przyłożył pomocną dłoń do rąk Brenny. Wspólnymi siłami udało im się obluźować śrubę.

Właśnie ją odkręcali, gdy nadszedł nauczyciel, pan Rupert.

- Przepraszam - powiedział nieśmiało. Był bardzo wymagającym nauczycielem, ale Brenna wiedziała, że prywatnie jest wstydliwy. Podchodził do nich tak ostrożnie, jakby się obawiał, że go pogryzą jak psy, pilnujące swego terytorium.

- Słucham, panie Rupercie? - Brenna wyprostowała się i wytarła poplamione rdzą dłonie o nogawki spodni.

- Jessie powiedziała mi, że rozkręcacie pompę. Podobno woda jest niedobra.

- Tak - odparła Brenna. - Woda z tej pompy zaraża cholera. Musi pan powiedzieć dzieciom, aby piły wodę wyłącznie z potoku. Tutejsza woda jest zainfekowana.

Pan Rupert poprawił okulary.

- Dobry Boże - powiedział. - Jest pani pewna? Myślałem...

- Tak - powiedziała Brenna. - Całkowicie pewna.

- Rozumiem. - Pan Rupert skinął głową. - Tak, cóż, rozumiem. Bardzo interesujące. Natychmiast powtórzę to dzieciom. Potok jest bezpieczny?

- Na razie - powiedziała Brenna. Wyjaśniła również, że wszelkie przepierki powinny być robione z dala od potoku, który pozostanie jedynym bezpiecznym źródłem pitnej wody tylko tak długo, jak długo nie skażą go ludzkie nieczystości. Pan Rupert, zatwardziały stary kawaler, o bardzo staromodnych poglądach na temat kobiet, zaczerwienił się, słuchając, jak z jej ust wydobywają się takie nieprzyzwoite słowa. Jednakże znał Brennę, odkąd była małą dziewczynką, i wiedział, że należy ją traktować poważnie.

- Powiem im - zapewnił Brennę, blednąc. - Ja... o rety. Tak. Powiem im. Ja... o rany.

Jednakże pastor, który właśnie nadszedł po odwiedzinach u chorych, nad którymi wznosił modły, nie odniósł się z takim zrozumieniem do rozkręcania pompy.

- Roznosi się poprzez wodę?! - wykrzyknął. - Nie opowiadajcie bzdur! Każdy wie...

- ...że cholera jest roznoszona przez miazmaty - skończyła Brenna za niego, tak jak zwykle czyniła to żona pastora. Tylko że następnie wypowiedziała własną opinię, do czego pani Marshall nie miała skłonności. - Ale to nieprawda. I potwierdza to fakt, że chorują tylko ci ludzie, którzy regularnie pijają wodę z pompy.

Pan Marshall popatrzył na Brennę.

- Chciałem powiedzieć, zanim mi tak obcesowo przerwano, że cholera jest karą zesłaną przez Boga. Nie jest tajemnicą, że pierwsza zachorowała ta flądra z gospody...

Rozgniewana Brenna podeszła do pastora, ale Reilly ją powstrzymał, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Pastorze Marshall - powiedział, stając pomiędzy wielebny a Brenna. - Doceniamy pański ekumeniczny pogląd na sprawę. Doprawdy, doceniamy. Ale, będąc praktykującym lekarzem, muszę podejmować decyzje oparte na naukowych, a nie duchowych

faktach. A naukowe fakty wskazują, że woda z pompy jest niebezpieczna dla tutejszych parafian. Dlatego ja i panna Donnegal nie możemy dopuścić, by ją pili.

Tak przemawiając, Reilly przyjacielskim gestem objął pastora przez plecy i delikatnie odprowadził od miejsca, w którym trudziła się Brenna. Następnie poklepał wielebnego i dodał:

- A teraz proszę być dobrym pasterzem i w niedzielnym kazaniu pouczyć wiernych, żeby brali wodę do picia z potoku... i by, broń Boże, nie prali w nim brudów.

Reilly mrugnął porozumiewawczo, zostawił wielebnego i wrócił do Brenny.

- Co robi? - zapytał szeptem, pochylając się nad pompą.

Brenna się obejrzała.

- Przygląda się nam, jakbyśmy uciekli z domu wariatów.

- Nieszczęsny głupiec. Jeszcze jeden obrót, Brenno, i po sprawie... - Dźwignia pompy jęknęła i dała się odjąć od metalowej konstrukcji, do której była umocowana. - Dzięki Bogu. Mamy ją. Brenna odebrała mu dźwignię.

- Doskonale. Dziękuję. Teraz potrzebna jest tabliczka informacyjna.

- Mam coś odpowiedniego. Napiszmy tak: „Ta pompa jest zamknięta z polecenia doktora Reilly'ego Stantona, lekarza wiejskiego, w celu zapobieżenia dalszemu rozprzestrzenianiu się cholery”.

- Brzmi nad wyraz urzędowo - powiedziała Brenna z uznaniem. Reilly otarł ręce o płaszcz.

- Tak - powiedział. - Kiedy chcę, potrafię być bardzo oficjalny. I co potem?

- Musimy umieścić inne tabliczki z zakazem picia wody, wzdłuż strumienia, który dostarcza wodę do pompy. A dla ludzi, którzy nie potrafią czytać... a jest ich tutaj mnóstwo, Reilly... będziemy się musieli przejść od drzwi do drzwi. - Spojrzała na dźwignię pompy. - To jest zaledwie połowa sukcesu.

- Ale gra warta świeczki - zauważył Reilly.

Brenna przyjrzała się mu. Na policzku miał smugę smaru, a obandażowany bark nadawał mu wygląd garbusa.

Lecz mimo wszystko był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego dotychczas widziała. Słońce rozświetlało jego niesforne włosy i igrało na pięknie rzeźbionych rysach twarzy. Jego czekoladowobrazowe oczy pełne były inteligencji i poczucia humoru...

Nagle posmutniała i powtórzyła cicho:

- Tak, gra warta świeczki.

r\le nie było jej łatwo wygrać.

Wieśniaków nie uradowała wiadomość, że źródło wody, które służyło im od dawna, nagle stało się niedostępne. Bez względu na to, że Brenna i Reilly wielokrotnie tłumaczyli im, że woda z pompy jest skażona, nie przestawali się uskarżać: „Piję tę wodę od urodzenia i nigdy w życiu nie chorowałem” albo „Skoro cholerę powodowała woda z pompy, jak to możliwe, że Una Murdoch zachorowała po jej rozmontowaniu?”

Brenna usiłowała im wyjaśnić, że pani Murdoch zaraziła się przed usunięciem dźwigni, tylko że objawy wystąpiły u niej później niż u innych osób. Wiedziała też, że po upływie kilku dni, gdy nie pojawi się nowy przypadek zachorowania na cholere, mieszkańcy Lyming będą jej musieli przyznać rację. Ale na razie...

Na razie ona i doktor Stanton nie byli najbardziej lubianymi osobami w osadzie.

Co jej bardzo odpowiadało. Przy tak wielu pacjentach nie miała czasu na życie towarzyskie. Najbardziej niepokoiła się o Florę, która wciąż była poważnie chora i nie wykazywała żadnych oznak poprawy. Była tak wyniszczona, że Brenna spodziewała się usłyszeć wkrótce przerażające, lecz dobrze jej znane śmiertelne rżenie.

Co gorsza, lord Glendenning zaczął podejrzewać, że dla tej pacjentki nie ma już wielkiej nadziei. Nie ruszał się z pokoju Flory, chyba że Brenna kazała mu zmienić bieliznę pościelową dziewczyny lub przynieść nową porcję mieszaniny wody i opium, aby wlać ją chorej do gardła. Nie sypiał, tylko siedział, wpatrując się w umierającą dziewczynę i dopytując się Brenny, czy mógłby dla Flory coś zrobić. Raz zdesperowana Brenna powiedziała mu, że jeśli chce pomóc, niech zejdzie, by porozmawiać z wieśniakami, którzy dobijali się do drzwi Pod Umęczonym Zającem, dopominając się, żeby Brenna oddała im dźwignię od pompy. Niech im wyjaśni, że Flora by nie zachorowała, gdyby nie piła skażonej wody z pompy. Brenna się łudziła, że usłyszawszy to z ust lorda Glendenninga, wieśniacy w końcu uwierzą. Pomimo swoich flirtów, hrabia był szanowany przez tutejszą społeczność.

Lecz aby rozmawiać z wieśniakami, lord Glendenning musiałby opuścić wezgłowie Flory. A tego stanowczo odmówił.

Brenna przeniosła się do gospody. Było to łatwiejsze niż przychodzenie tu co kilka godzin. Innym pacjentom: Seumasowi MacGregorowi i pani MacAdams - zaczęło się polepszać, więc nie wymagali ciągłej pielęgnacji. Reilly zajmował się pozostałymi chorymi: panią Murdoch i swoim ulubieńcem, Haroldem Mackafeem. Do tej pory Flora była ich jedyną porażką.

Brenna nie chciała się jednak poddać. Wlewała płyny do gardła nieprzytomnej dziewczyny i ocierała jej czoło. Prawdziwy cud, że Flora wyżyła tak długo. Gdyby przetrzymała jeszcze jedną noc...

Kiedy lord Glendenning obudził ją z lekkiej drzemki, Brenna spodziewała się najgorszego.

Hrabia, który od przeszło tygodnia nie *golił się* i nie spał, wyglądał jak dzikus albo jak pustelnik, który zszedł z gór. Brenna otworzyła oczy i wzdrygnęła się na jego widok. Choć podejrzewała, że ona sama wygląda nie lepiej, tyle że nie ma zarostu.

- I co? - spytała szeptem.

Jednakże lord Glendenning nie usiłował zniżyć głosu. Było już

po północy, a on wcale się nie przejął, że budzi wszystkich mieszkańców tawerny.

- Myślę, że już po wszystkim - powiedział drżącym głosem.

Przeżrana Brenna spojrzała na Florę. Z jej twarzy zniknęła śmiertelna bladość, która, niczym maska, spowijała jej ładne rysy. Policzki Flory były różowe, spękane usta miała rozchylone.

Brenna widywała wiele trupów. Wiedziała, że czasem na twarzach zmarłych pojawia się wyraz niebiańskiego spokoju. Pomyślała, że tak stało się teraz.

- O Boże - powiedziała, dotykając ramienia lorda. - Tak bardzo ci współczuję, Iainie.

Twarz hrabiego wykrzywił wyraz smutku. Pochylił się nad Brenna i oparł twarz na jej ramieniu. Jego ogromnym ciałem wstrząsały łkania.

Brenna, zupełnie nieprzygotowana na taki wybuch uczuć, niezręcznie poklepała go po plecach, szepcząc jakieś banały.

Krzyki hrabiego obudziły co najmniej jedną osobę. Reilly, który nocował na ławie, tej samej, którą zaoferowano mu pierwszej nocy po jego przybyciu do Lyming, stanął na progu, mrugając powiekami.

Na widok Glendenninga, obejmującego Brennę, od razu oprzytomniał. Spostrzegłszy go, Brenna uniosła dłoń, którą poklepywała plecy hrabiego, i wskazała nią Florę.

Reilly nie tracił czasu. Chwycił stetoskop i, usiadłszy przy łożku chorej, przyłożył go do piersi Flory, nasłuchując bicia serca lub oddechu.

- To moja wina - łkał lord Glendenning, wtulając twarz w ramię Brenny. - Gdybym się z nią ożenił, nie zachorowałyby. Nie piłyby tej zepsutej wody i byłyby zdrowa.

- To nie twoja wina. Nie wiedziałeś. Nikt z nas nie wiedział...

Reilly uciszył ich syknięciem. Brenna poznała po jego zachowaniu, że dzieje się coś niezwykłego.

- O co chodzi, Reilly? - wyszeptwała.

Reilly nie odejmował stetoskopu od ucha.

- Przedziwna sprawa. Oddycha zupełnie normalnie, a bicie serca...

Właśnie wtedy Flora raptownie otworzyła oczy. Lord Glendenning krzyknął ze zdumienia, nawet Brenna nie wierzyła oczom.

- Co... - powiedziała Flora. - Co tu robicie?

Głos miała bardzo słaby, ale nie było to już gorączkowe bredzenie, jakie od kilku tygodni dobywało się z jej ust.

Lord Glendenning wykrzyknął jeszcze raz i z hukiem rzucił się na kolana obok łóżka Flory.

- Floro! - zawołał. - Jak się czujesz?

Flora spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Chyba nieźle - powiedziała. - Chociaż jestem okropnie głodna.

Zdumiona Brenna zamrugała oczami.

- Głodna. Słyszałaś, Brenno? - powiedział Reilly, odejmując słuchawkę od piersi dziewczyny. - Ona mówi, że jest głodna.

Dopiero wtedy Brenna przyłożyła dłonie do policzków, po których spływały łzy.

- Och - powiedziała, spoglądając z niedowierzaniem na swoje wilgotne od łez palce, które odjęła od twarzy. O rety.

- Co powinna zjeść? - dopytywał się lord Glendenning. - Co mam jej podać?

Brenna spojrzała na Reilly'ego.

- Chleb. Może namoczony w mleku?

Reilly spostrzegł, że Flora i hrabia spoglądają na siebie wzrokiem pełnym miłości.

- Może zejdziemy do spiżarni, panno Donnegal?

- Oczywiście - odparła Brenna, ocierając łzy rękawem.

Zeszli po ciemku na dół. W głównej salce było zupełnie pusto. Wszyscy stali bywalcy gospody przebywali w domach, pielęgnując chorych krewnych. Postępując za Reillym, który przytomnie zapalił świecę, Brenna rozmyślała o tym, że poza Florą i hrabią,

są tu teraz jedynymi nie pogrążonymi we śnie osobami. Pani Murphy i jej mąż położyli się spać, jeszcze raz poprosiwszy Brennę, by zechciała im oddać dźwignię od ich własnej pompy, którą mieli przy zlewie w kuchni.

Nikt mnie nie rozumie, myślała ponuro. I dopóki nie zmuszę tych durniów z Akademii Królewskiej, aby zaakceptowali moją teorię, nikt mi nie uwierzy.

- I co my tu mamy? - powiedział Reilly, otwierając drzwi do spiżarni. - Mleko. Tego nam trzeba. Pokroisz go na kromki? - poprosił, podając jej bochenek chleba.

Brenna wzięła od Reilly'ego chleb i zajęła się krojeniem, myśląc: Jesteśmy tu teraz zupełnie sami, ciekawe, czy mnie zapyta...

- Wiem, o co ci chodzi, Brenno - odezwał się Reilly, wciąż zaglądając do spiżarni. - Dobrze wiem.

Cholera! Omal nie skaleczyła się w palec.

- O co ci chodzi? - spytała, grając na zwłokę. Bądź silna, powtarzała sobie. Im dłużej będziesz to odkładać, tym trudniej ci będzie. Zupełnie jak... jakbyś miała odciąć kawałek własnego ciała.

- O ten mur, którym się ode mnie odgradziłaś. - Reilly wyniósł ze spiżarni mleko i zamknął za sobą drzwi kopniakiem. Ustawił świecę na stole, na którym Brenna kroiła chleb. - Wiem, o co ci chodzi. Ale ja nie mam zamiaru stąd wyjeżdżać.

- Nie? - spytała Brenna, mrugając powiekami.

- Nie. - Tym razem w jego ciemnych oczach nie było wesołości. - Wbrew temu, co naopowiadali ci moi dwaj nieodpowiedzialni przyjaciele. Co się tyczy ślubu Chnstine... w ogóle się nim nie przejąłem. Na miłość boską, Brenno, przecież musisz rozumieć, że Christine King nic już dla mnie nie znaczy.

Brenna zacisnęła wargi. Nie powie mu tego. Zachowa się jak dystyngowana dama. Nie odezwie się...

- Christine?! - wykrzyknęła oburzona. - Myślisz, że mi chodzi o Christine?

- Cóż, tak mi się wydawało - odparł zakłopotany. - Roz-

mawiałem z Pearsonem i z Shelleyem. Wszystko mi powiedzieli. Nie próbuj zaprzeczać, Brenno. Zrób mi tę przyjemność i bądź ze mną szczerą.

- Tak jak ty byłeś szczerą ze mną, milordzie?

- Tak - odparł, odzyskując animusz. - Właśnie tak...

Zamilkł gwałtownie.

- Jak się do mnie zwróciłaś? - zapytał po chwili.

- Chyba słyszałaś, lordzie Stillworth.

- Ach, tak - powiedziała. - Który z nich się wygadał?

- Żaden - odparła Brenna. Wyjęła z kieszeni jego pamiętnik i otworzyła na pierwszej stronie, gdzie widniał napis: Edgar Reilly Willoughby Stanton, ósmy markiz Stillworth.

Reilly wpatrywał się w litery, jakby ich nigdy przedtem nie widział. Następnie uniósł wzrok i Brenna spostrzegła, że jego oczy znów poweselały.

- A więc wiesz już najgorsze. Podejrzywałem, że tego się nie da utrzymać w tajemnicy. Teraz nie mam zamiaru zaprzeczać faktom. Tak, to prawda. Naprawdę nadano mi imię Edgar.

Brenna zamknęła pamiętnik.

- A niech cię, Reilly - powiedziała, czując, że do jej oczu napływają łzy. Wszystkiemu winne to napięcie, myślała. Choroba Flory i krzyki rozgniewanych wieśniaków, domagających się uruchomienia pompy. Dlatego płaczę. Tylko dlatego.

Nie. Nie dlatego. Miała złamane serce. To był powód jej płaczu.

Na widok jej łez Reilly natychmiast zaprzestał żartów.

- Brenno - powiedział łagodnie. - Wiem, że powinienem być ci o tym powiedzieć. I nawet próbowałem... Ale pomyślałem sobie, że zaczekam z tym do chwili, gdy ci udowodnię, że nie jestem taki jak oni, jak ci durnie, którzy tak źle potraktowali twego ojca. Bo ja naprawdę nie jestem taki. Nie każdy lekarz, który urodził się arystokratą, musi być szarlatanem...

Odsunęła się od niego, nie dlatego, że jego bliskość była dla

niej przykra, lecz dlatego, że pozwoliwszy się mu dotknąć, nie miałyby siły na uczynienie tego, co musiała zrobić.

- Okłamałaś mnie, Reilly - powiedziała.

- Nie - odparł, kręcąc głową. - Pomiąłem prawdę milczeniem, ale cię nie okłamałem.

Brenna wycelowała w niego palec.

- Pozwoliłeś, abym uwierzyła, że jesteś wiejskim lekarzem. Zadowolonym ze swojej sytuacji.

- Bo to prawda! - wykrzyknął. - Chcę nim pozostać!

- Ale to niemożliwe. Nie możesz być wiejskim lekarzem na Skye i markizem w Stillworth Park.

- Nie mogę? A to dlaczego?

- Masz mnie za głupią, Reilly? Urodziłam się tu, na Skye, ale wiem, że arystokraci mają obowiązki wobec swoich poddanych. Nie mogą sobie, ot tak, odejść... i zajmować się leczeniem ludzi na końcu świata.

- Nie mogą? Otóż ja mogę.

- Przecież twoi ludzie już się o ciebie upominają.

- Moi ludzie? To nie są moi ludzie. To tylko Pearson i Shelley. Oni się nie liczą.

- To na nic, Reilly - powiedziała Brenna, spoglądając na niego gniewnym wzrokiem. - Wiem, co usiłujesz zrobić, ale to się nie uda. Ja nie mogę.

- Czego nie możesz, Brenno? O czym ty mówisz?

- Nie mogę zostać lady Stillworth - powiedziała ze łzami w oczach. - Mogłabym być panią Stanton. Z przyjemnością byłabym panią Stanton. Ale nie mogę być lady Stillworth. Nie rozumiesz? To niemożliwe. Nie zrobię czegoś takiego. Nienawidzę przyjęć i herbatek z księżnymi, bali oraz wypraw do modystek, pouczenia służby i, na Boga, Reilly, nie wytrzymałabym ani miesiąca!

Przyglądał jej się ze zdumieniem. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

- I nawet gdybym się bardzo starała, ze względu na ciebie, nigdy by mi się nie udało - ciągnęła Brenna. - Nigdy nie stanę się taka, jak ta twoja panna King. I po jakimś czasie, może nie od razu, zacząłbyś mieć do mnie żal, a potem... a ja nie mogłabym tego znieść - mówiła, starając się wyrazić to, co dręczyło ją przez kilka ostatnich tygodni. - Kiedy zostałeś postrzelony... - zniżyła głos do szeptu - i pomyślałam sobie, że nie potrafię bez ciebie żyć... Reilly, nigdy nie byłam równie przerażona. Czegoś podobnego nie wytrzymałabym po raz drugi.

- I nie będziesz musiała, Brenno - zapewnił, chwytając ją za rękę. - Przysięgam ci, że coś takiego nigdy się nie powtórzy. Mackafee i ja jesteśmy teraz przyjaciółmi... - Skrzywił się nieco. - No, może niezupełnie.

- A więc to był pan Mackafee - westchnęła. - Nigdy mi nie powiedziałeś...

- Nie powiedziałem. Ale przysięgam ci, Brenno, że to ostatni sekret, jaki przed tobą miałem. Teraz wiesz o mnie wszystko...

- To nie ma znaczenia - powiedziała Brenna, kręcąc głową. - Nie rozumiesz, Reilly? To bez znaczenia, ponieważ ja nie mogę być z tobą. Nie mogę być lady Stillworth, a ty... cóż, nie wierzę, że oni pozwolą ci być zwykłym doktorem Stantonem. Myślę, że lepiej od razu położyć kres całej tej sprawie. Zanim... zanim trudniej będzie mi się z tobą rozstać. - Ku jej wielkiemu zaskoczeniu Reilly wybuchnął śmiechem i choć się broniła, chwycił ją w objęcia.

- Cieszę się, że tak cię rozbawiłam - warknęła. - Może zechcesz mi wyjaśnić, co cię rozśmieszyło.

- Przepraszam - wykrztusił Reilly. - Chodzi o to, że Christine pragnęła czegoś zupełnie innego. Chciała zostać lady Stillworth, a nie panią Stanton...

- Znowu ona -jęknęła Brenna. - Nie mogę już słuchać o panie Christine King...

- Powinnaś jej być wdzięczna - przerwał jej Reilly. - Po pierwsze, to właśnie z jej powodu przybyłem na Skye...

Brenna ponowiła próbę uwolnienia się z jego uścisku, lecz bezskutecznie.

- Ale nie ona jest powodem, dla którego tu pozostaję. - Odsunął Brennę nieco od siebie, aby móc spojrzeć w jej oczy. - To prawda. Przyjechałem tu, aby coś udowodnić. Wmawiałem sobie, że chcę coś udowodnić mojej byłej narzeczonej, ale już dawno przestałem w to wierzyć. Przyjechałem tutaj, aby udowodnić coś sobie samemu, Brenno. I wiesz co? Udało mi się. Jestem zdolny do czegoś więcej, niż wypisywanie recept na puder do stóp i leki przeciwko histerii.

Ujął twarz Brenny w dłonie i zajął głęboko w jej oczy.

- Ty mi w tym pomogłaś, Brenno. Ty uczyniłaś ze mnie lepszego lekarza, ty sprawiłaś, że stałem się lepszym człowiekiem. Rzuciłaś mi wyzwanie, odepchnęłaś mnie... a ja zakochałem się w tobie. Powiem ci tylko tyle: jeśli zechcesz pozostać na tej wyspie i być panią Stanton, nie mam nic przeciwko temu. Nie dbam o to, gdzie zamieszkamy, pod warunkiem że będziemy razem. - Złożył na jej czole czuły pocałunek. - Bóg jeden wie, że w Stillworth Park nikt się nie troszczy o to, gdzie jestem, bylebym tylko wrócił w grudniu, na czas, by rozdać moim dzierżawcom świąteczne szynki.

Brenna nie wierzyła własnym uszom.

- Ale... - zdołała wyjąkać. - Ale...

- Ale co? Możemy się natychmiast pobrać. Jesteśmy w Szkocji. Nie potrzebujemy żadnych specjalnych świadectw ani żadnych głupich...

Brenna przytuliła się do niego w niemym zdumieniu. Po ostatnich przeżyciach miło było wdychać zapach jego świeżo wypranej koszuli.

- To lubię - powiedział. - Pocałuj mnie, żeby przypieczętować naszą umowę.

Uniosła twarz i przytknęła wargi do ust Reilly'ego. Dziwne, po tym wszystkim co zrobili w jej sypialni, czuła się zawstydzona.

Ale tak właśnie było. Teraz całowała kogoś zupełnie nowego... Przynajmniej przez pierwszą sekundę. Bo potem pocałunek stał się głębszy. Reilly objął ją mocniej i Brenna poczuła, że rozgorzał w niej dobrze znany płomień, jak zawsze, gdy znajdowała się blisko niego...

I znów całowała go z dawną żarliwością...

Do chwili gdy odezwał się drżącym głosem:

- Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek to powiem, ale... zapomnieliśmy o naszej pacjentce, moja droga.

- Flora! - wykrzyknęła Brenna.

- Czeka na śniadanie. Dokończymy to później.

Brenna skwapliwie skinęła głową. Sięgnęła po miskę z mlekiem, w której miała namoczyć chleb.

- Musisz mi coś obiecać - powiedział, Reilly, podnosząc się z kłeczek.

- Co?

- Że wprowadzisz w domku kilka zmian - odparł, rozmasowując swoje obolałe ramię. - Chcę tam zainstalować porcelanową wannę, w której mógłbym się wyciągnąć, w razie gdybym musiał moczyć jakieś nowe rany. Pozwolisz mi na to?

- Obiecuję - powiedziała, uśmiechając się w świetle świecy.

31

Jeżeli ktoś z zebranych - powiedział wielebny Marshall - wie o jakiejś przeszkodzie w zawarciu tego małżeństwa, niech o niej powie teraz lub...

Pastor zamilkł na chwilę, jak to zawsze bywało po wygłoszeniu powyższych słów. Jednakże w kościele nie zapanowała cisza. Parafianin, Hamish MacGregor, pisnął na widok małej brązowej myszy, którą jego młodszy brat Seumas, całkowicie uleczony z cholery, wsunął mu do kieszeni odświętnej marynarki.

Reilly posłał chłopcom karcące spojrzenie i obydwaj natychmiast się uspokoili. Hamish wiercił się trochę, gdy mysz rzucała się w jego kieszeni. Harold Mackafee, wysoki i wyprostowany w otoczeniu rodziny, wystrojony w prawie nowe ubranie, które kupił za pieniądze zarobione za pracę na łodzi Adama MacAdamsa, w niczym nie przypominał dawnego obszarpanca. Spojrzał surowo na swoje młodsze dzieci, chichoczące na widok myszy Hamisha. Nawet cztery złotowłose dziewczynki, z których najmłodsza, nie umiejąca jeszcze siedzieć, spoczywała w ramionach starszej siostry, wysunęły się z rzędu, by zerknąć na zabawne stworzonko.

W chwili gdy wielebny Marshall miał się zwrócić do pana

młodego, by go spytać, czy bierze za żonę tę tu kobietę, rozległ się głos, dochodzący z głębi kościoła.

- Ja się sprzeciwiam!

Wszyscy zebrani obejrzeni się, by zobaczyć, kto ma obiekcje wobec zawarcia węzła małżeńskiego przez tak miłą parę. Wzdłuż nawy zbliżał się nieznany nikomu, przystojny siwowłosy mężczyzna, ubrany w strój londyńskiego dżentelmena.

Nikommu, z wyjątkiem Brenny, która skuliła się, chowając za Reillym.

- Żądam, by natychmiast zakończono tę farsę! - huknął dżentelmen.

Wielebny Marshall spojrział na niego zdumiony. Jego żonie, siedzącej przy organach, trzeba było podać sole trzeźwiące, by nie zemdląła, jak to stało się jej zwyczajem od owego wieczoru, gdy została zaatakowana przez szczura w jadalni zamku Glendenning.

- Cz...czy mogę zapytać, sir - wyjąkał pastor - jakiej natury są pańskie zastrzeżenia?

- Idzie o to, że moja bratanica, panna młoda, nie ma pozwolenia rodziców na wstąpienie w związek małżeński. - To rzekłszy, przystojny starszy pan podszedł do panny młodej, której twarz skrywał welon z weneckiej koronki, i powiedział: - Wstyd mi za ciebie. Natychmiast wracaj do Burn Cottage. Mam także coś do powiedzenia temu niepoprawnemu młodzieńcowi.

Panna młoda odsunęła welon, ukazując ładną twarzyczkę o kształcie serca, otoczoną przez burzę jasnych kędziorów.

- Przykro mi - powiedziała Flora gniewnym tonem - ale pan nie jest moim stryjem.

Siedząca za przystojnym i, w tej chwili, bardzo skonsternowanym mężczyzną, Brenna odchrząknęła.

- Stryju Euanie - powiedziała, machając do niego ręką. - Tu jestem.

Przystojny starszy pan spaśował. Był jeszcze czerwieńszy niż

pan młody, lord Glendenning, który na tę okazję przywdział swój najlepszy pled w kratę.

- Co to ma znaczyć? Psujesz moją uroczystość zaślubin. Wynos się stąd, zanim rozwalę ci łeb.

- Lepiej wyjdźmy - szepnęła Brenna do Reilly'ego.

- Masz rację - odrzekł, pomagając jej wstać.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz, mężczyzna, do którego Brenna zwracała się per „stryju”, bezzwłocznie natarł na krnąbrną bratanicę.

- Co to ma znaczyć? - zagrzemiał. - Co robisz na Skye? Masz przecież być w Bath. I cóż to za historia z poślubieniem jakiegoś nieznanego nam jegomościa?

- Stryju Euanie - zaczęła Brenna z cierpliwością, której Reilly mógł jej pozazdrościć. - Wszystko ci wyjaśnię...

- I słusznie. Będziesz mi miała wiele do wyjaśnienia. Najpierw stwierdziliśmy, że do Akademii Królewskiej nadeszła nowa rozprawa naukowa na temat rozprzestrzeniania się cholery, opatrzona nazwiskiem twego ojca, a następnie otrzymałem to... - Wuj zamachał wyjętym z kieszeni listem. - List, w którym wyjaśniasz, że jesteś na Skye i masz zamiar poślubić jegomościa, o którym nikt z nas nie słyszał. A wszystko to w czasie, gdy twoja ciotka i ja jesteśmy przekonani, że mieszkasz u Elizabeth Sexton w Bath...

- Przepraszam pana, sir - Reilly poczuł się w obowiązku przerwać tyradę stryja Brenny - lecz nie podoba mi się sposób, w jaki beszta pan moją żonę.

- Wasza miłość! - zagrzemiał stryj Euan.

- Słucham pana? To chyba jakieś nieporozumienie. Nie jestem księciem.

- Pan nie! - zakrzyknął stryj Brenny. - Ale ja jestem! Tak się składa, że jestem księciem Camden, młody człowieku, i proszę się do mnie zwracać tak, jak wymaga tego mój tytuł. I co ma znaczyć nazywanie mojej bratanicy pańską żoną?

Skonfundowany Reilly spojrzął na Brennę. Jej stryj księciem? To by znaczyło...

- Stryju Euanie - powiedziała Brenna, biorąc go pod rękę. - Reilly i ja pobraliśmy się w minioną sobotę. Mój list, hm, musiał nadejść z opóźnieniem. Dlatego pomyślałeś, że przyszła sobota oznacza tę sobotę, ale jak widzisz...

- W takim razie - przerwał jej stryj - żądam anulowania.

- Stryju Euanie - odparła Brenna, wznosząc oczy do nieba. - Nie bądź śmieszny.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - powiedział stryj, nawet na nią nie spojrzawszy. - Moi prawnicy w mig przygotowują odpowiednie dokumenty.

- Zważywszy na to, że około Bożego Narodzenia stanie się pan stryjecznym dziadkiem córki lub syna Brenny, nie sądzę, by anulowanie ślubu było najrozsądniejsze, wasza miłość. A zresztą my się kochamy - powiedział Reilly.

Stryj Brenny oniemiał.

- Stryju Euanie? - odezwała się zaniepokojona Brenna. - Co się stało?

Stryj ani drgnął.

- Wykończyliśmy go - powiedziała, zwracając się do Reilly'ego.

Reilly spojrział na starszego pana zaniepokojonym wzrokiem.

Książę szybko doszedł do siebie i rzekł z oburzeniem:

- Ty pozbawiony skrupułów kundlu! Ślub w zeszłym tygodniu, a już spodziewacie się dziecka...

- Milordzie - przerwał mu Reilly.

- Słucham? - zapytał zaskoczony książę.

- Nazwał mnie pan kundlem. A tak się składa - powiedział Reilly lodowatym tonem - że jestem ósmym markizem Stillworth i będę wdzięczny, jeśli będzie się pan do mnie zwracał tak, jak tego wymaga mój tytuł.

Książę szeroko otworzył oczy. Brenna poklepała go po ramieniu i powiedziała:

- Wiem, stryju, że jesteś rozgniewany, ale myślę, że dogadacie

się z Reillym. Podczas epidemii cholery wyratował dziesiątki chorych. To dzięki niemu udało mi się udowodnić teorię mego ojca. I mamy zamiar zostać na wyspie, aby kontynuować dzieło ojca... przynajmniej do chwili, gdy on i mama wrócą z Indii. Wtedy przeniesiemy się jeszcze dalej na północ. Jak więc widzisz, Reilly wcale nie jest nicponiem.

- Markiz Stillworth. - Stryj Brenny bardzo się zmienił. Nie sprawiał już wrażenia apoplektyka. Wyglądał na kogoś, kto przeprowadza w myśli szybką kalkulację. - Markiz Stillworth - powtórzył. - Przecież ja znam pańską matkę.

- Doprawdy? - spytał Reilly niechętnie, wciąż żywiąc urazę do stryja Brenny.

- Ależ tak. Jedna z bardziej uroczych gospodyń w całym Londynie. Markiz Stillworth. A niech mnie! Nie miałem pojęcia.

Reilly od razu zyskał w jego oczach, zwłaszcza że książe wiedział, że markiz Stillworth jest wart ponad dwadzieścia tysięcy funtów rocznie, który to fakt, choć Brenna o tym nie wiedziała, był znany prawie każdemu ojcu panien na wydaniu, a do takich zaliczał się książe.

Choć raz Reilly musiał przyznać, że jego tytuł na coś mu się przydał. Ułatwił mu stosunki z rodziną Brenny.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział książe. - Ale kiedy usłyszałem o tym ślubie... Cóż, to jedyna córka mego brata i ja...

- Już w porządku - powiedział Reilly z kwaśnym uśmiechem.

- W takim razie poczekajcie tu chwilę, dobrze? Muszę coś... Po prostu zaczekajcie.

To powiedziawszy, książe Camden ruszył w kierunku powozu... powozu, który musiał przyjechać z Portree, bo z całą pewnością nie należał do nikogo z Lyming.

Brenna, zaskoczona nagłą zmianą nastroju stryja, paplała radośnie.

- Polubił cię, Reilly! - wykrzyknęła. - Nie sądziłam, że tak

się stanie. Zwłaszcza gdy powiedziałeś mi o dziecku. Myślałam, że to już koniec. Ale dobrze z tego wybrnął.

- Właśnie. Powiedz mi, Brenno, czy nie zapomniałaś mi czegoś wyjaśnić?

- Czy zapomniałam? Chyba nie...

- Na przykład, że twój stryj jest księciem?

- Och. - Brenna przygryzła dolną wargę. - Chyba masz rację.

- Co oznacza, że twój ojciec jest synem księcia?

- Tak, w istocie.

Reilly uniósł brwi.

- Co oznacza, że ty jesteś wnuczką księcia.

Policzki Brenny poróżwiały.

- Tak - przyznała. - To prawda.

- A więc wszystkie te rzeczy - mówił Reilly, starając się zachować spokój - które opowiadałaś o pogardzie dla parów, wybierających karierę medyka, aby sobie dodać chwały...

- Ale mój ojciec - poinformowała go spieszenie - jest zupełnie inny. Jest wprawdzie synem księcia, ale naprawdę chce nieść pomoc ludziom. Niby po co przyjechałby na Skye? I nie używa swego tytułu...

- Ale fakt pozostaje faktem - przerwał jej Reilly. - I ty jesteś, i byłaś od urodzenia, lady Brenna.

- Tak - odparła zakłopotana. - Ale nigdy nie chcieliśmy się z tym obnosić. Nie chcieliśmy, żeby ludzie myśleli, że zadzieramy nosa...

- I powodem... - Reilly zaczynał dostrzegać zabawną stronę sytuacji. - I powodem, dla którego lord Glendenning tak bardzo pragnął cię poślubić, nie było to, że jesteś jedyną kobietą na wyspie, która go nie chce, lecz to, że byłaś jedyną kobietą na wyspie, która ma tytuł...

- Myślę - powiedziała Brenna, spoglądając na Reilly'ego przezpraszającym wzrokiem - że kierował się jednym i drugim.

Lecz nie miała powodu do niepokoju. Jej mąż dławił się ze

śmiechu, choć wiedział, że jego zachowanie nie jest na miejscu wobec powagi uroczystości, odbywającej się w kościele.

Na widok miny Brenny opanował niewczesną wesołość. Patrzyła poza niego, na parę ludzi, wysiadających z powozu, którym przyjechał jej stryj. Był to wysoki, dystyngowany mężczyzna i drobna kobieta. Obydwoje wpatrywali się w Brennę.

Reilly domyślił się, kim byli, zanim Brenna rzuciła się ku nim. Rozpoznał ich dzięki miniaturze, którą oglądał w jej sypialni.

- Pańscy teściowie - wyjaśnił książe, podchodząc do Reilly'ego. - Właśnie wrócili z Bombaju. W zeszłym tygodniu. Niełatwo było mi ich przekonać, by pozostali w powozie. Niall, pański teść, był gotów pana zabić. W końcu udało mi się go uprosić, żeby zaczekał, aż wyjaśnię sytuację.

Reilly przyglądał się lordowi Niallowi, ściskającemu córkę. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu lepiej się nie narażać.

- Mairi jest nieco bardziej wyrozumiała - mówił Euan. Reilly przyglądał się, jak matka Brenny, filigranowa przy swej posagowej córce, bierze Brennę w ramiona. - I zawsze miała więcej zrozumienia dla romansów niż Niall. Wyjaśniłem mu, jak sprawy stoją, i chyba odwiódłem go od pomysłu, by pana zabić.

Reilly przełknął ślinę, patrząc, jak Brenna bierze rodziców za ręce i prowadzi ich w jego stronę.

- No - odezwał się książe. - Na co czekasz, chłopie? Idź!

I Reilly, z uniesioną głową, ruszył ku swojej nowej rodzinie.

Od autorki

Położona na wyspie Skye wioska Lyming jest fikcyjna. Niestety, prawdą jest, że w okresie poczynszy od roku 1831 aż po lata pięćdziesiąte, epidemie cholery nękały większą część Europy, a zwłaszcza miejscowości nadmorskie. W wyniku pierwszego ataku choroby na Wyspach Brytyjskich zmarło ponad 52 tysiące ludzi, czyli jedna piąta ówczesnej populacji. Brytyjscy lekarze byli całkowicie nie przygotowani i bezbronni wobec tej azjatyckiej choroby, która w niczym nie przypominała dotychczas znanych epidemii.

Jesienią 1848 roku, zgodnie z historią opowiedzianą w niniejszej książce, nowa fala cholery odebrała życie 50 tysiącom ludzi, to jest prawie tyle samo, co w roku 1831. Stało się tak, ponieważ, pomimo faktu, że niektórzy lekarze zaczęli dostrzegać związek pomiędzy skażoną wodą a wybuchem zarazy, tradycyjne środowisko lekarskie upierało się przy wierze, że choroby w rodzaju cholery są wywoływane samorzutnie poprzez nieczystości i przenoszone przez niezdrowe wyziewy, czyli miazmaty. Ta wiara utrzymywała się jeszcze wtedy, gdy John Snów, który jest dziś uznawany za ojca nowoczesnej epidemiologii, usunął w 1854 roku dźwignię pompy przy Broad Street, wierząc, że pochodziła z niej

AMAZONKA

zatruta woda, czym położył kres rozprzestrzenianiu się choroby w tej części Londynu.

Autorka pragnie podziękować epidemiologowi, pani magister ochrony zdrowia publicznego, Melissie Ehman, za jej wydatną pomoc przy ustaleniu faktów, opisanych w książce. Wszelkie historyczne nieścisłości są, oczywiście, winą samej autorki.